

De II J.
Tom CCH.
SERYA 6.

ROK 51.
ZESZYT 604.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

KWIECIEŃ.

1891.

TOM II. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Foksal № 6.

1891.

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY
SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. — NOWA FILOZOFIA W POLSCE WIEKU XVIII-go — przez Władysława Smoleńskiego	1
II. — GŁUPI FRANEK — przez Maryę Konopnicką	34
III. — HENRYK SCHLIEMANN I JEGO ODKRYCIA NAUKOWE (Dokończenie) — przez Ludwika Ćwiklińskiego	56
IV. — KRONIKA GALICYJSKA — przez U.	78
V. — NOWY FENOMEN LITERACKI (Maurycy Maeterlinck i dekadentyzm symboliczny) — przez Józefa Weysenhoffa	86
VI. — MAŻ I PAN. Opowiadanie. (Dokończenie) — przez S. M. Roguskiego	125
VII. — PIŚMIENICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE:	
<i>Stanisław Tarnowski i Józef Wójcik: „Wypisy polskie dla klas wyższych gimnazjalnych i realnych“</i> — przez Antoniego Bądzkiewicza	155
<i>Wincenty Kosiakiewicz: „Przy budowie kolei“ (powieść) i Teodor Jeske-Choiński: „Na straconym posterunku“ (dramat w 5 aktach)</i> — przez W. Bogusławskiego	166, 176
IX. — KRONIKA MIESIĘCZNA	181
X. — WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	208
OGŁOSZENIA	I

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 202.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.

Tom drugi.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.

1891.



De II 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Апрѣля 1891 года.

NOWA FILOZOFIA

w Polsce wieku XVIII-go.

Próby przyswojenia szkole polskiej i piśmiennictwu zdobywszy naukowych zachodu uprzędziła krytyka nowój filozofii, podjęta przez duchowieństwo zakonne ze stanowiska interesów religii. Szczególnie wrogie względem niej stanowisko zajęli jezuiti, upatrujący w nowatorstwie niebezpieczeństwo dla wiary. Oni pierwsi wystąpili przeciwko Kartezjuszowi, długo nie mogli pogodzić się z naukami doświadczałnemi.

Ksiądz Jerzy Gengell († 1730), rektor kolegium jezuickiego gdańskiego, autor dzieł polemicznych, wymierzonych przeciwko luteranizmowi, kalwinizmowi i jansenizmowi, w dwóch książkach, ogłoszonych w Brunsberdze: „Eversio atheismi“ (1716) i „Gradus ad atheismum“ (1717), pierwszy zaatakował Kartezjusza, przedstawiając go za gorszyciela i nieprzyjaciela religii. Podstawę całej filozofii kartezjańskiej stanowi—pisze Gengell—wątpienie. Każe nam Kartezjusz wątpić o wszystkiem i dowodzi, że nic niema pewnego, nawet czy świat widomy rzeczywiście istnieje, czy jest ziemia, niebo i jakikolwiek bądź przedmiot, kształt, wielkość i miejsce. Powątpiewa o wiarogodności takich pewników, jak: że całość jest większą od swojej części; że ilości równe trzeciej, są sobie równe. Tego rodzaju premisy czyż nie prowadzą do wątpienia o istności samego Boga?

Kartezyusz uczy, jako Bóg mógł sprawić, że dwa razy dwa nie czyni czterech; że jeden i ten sam przedmiot jednocześnie istnieje i nie istnieje; że twierdzenia sprzeczne mogą być prawdą. Czyż to nie prowadzi do wniosku, że Bóg jest i Boga niema; że jednocześnie jest i nie jest? Za fraszkę poczytuje Kartezyusz argumenta największych filozofów i teologów, powoływane ku stwierdzeniu istnienia Boga; tymczasem przywołane przez niego nie mają nawet pozoru prawdy, z gruntu są mylne. Aksjomat: *cogito, ergo sum* błędny jest również. Kto wątpi, czy istnieje, wątpić też może, czy myśli. W ogóle doktryna kartezyańska, jako prowadząca do negacyi nieśmiertelności duszy ludzkiej i egzystencji Boga, stanowi jeden ze stopni do ateizmu. Nie jest Kartezyusz twórcą filozofii zreformowanej i zdrowej, jak twierdzą jego zwolennicy, lecz raczej koryfeuszem zepsucia, jak słusznie świadczą liczni znaniej sławy uczeni. Traktuje go ks. Gengell z wysoka: zarzuca mu, że niczego dokładnie nie umiał. Bardziej się ubiegał za nowością, niż prawdą; więcej za sławą rozgłosną, niż pocziwą ¹⁾.

W r. 1724 ponowił Gengell wydanie „*Gradus ad atheismum*“ we Lwowie, gdzie jako rektor kolegium do walki przeciwko Kartezyuszowi przykładem swoim zagrzewał innych. W r. 1746 profesor szkół lwowskich, Jan Kowalski, pod imieniem ucznia swego, Michała Drużbackiego, wystawił na dysputę publiczną rozprawę przeciwko Kartezyuszowi, a w obronie Arystotelesa ²⁾; na ten sam temat w r. 1748 miał mowę jezuita również, Stanisław Jaworski ³⁾. Ostatni dowodził, że Kartezyusz nie zgadza się często sam z sobą, gdy Arystoteles jest zawsze z filozofią swoją w harmonii i bardziej, niż inni, da się nagiąć do prawd kościelnych. Dla stwierdzenia mylności doktryny kartezyańskiej, powołuje się mówca na powagę pogromcy herezyi (*haeresum bellator*), Gengella; wskazuje też na ateizm Spinozy—przykład dowodny, do czego doprowadzić może wątplenie.

Teorye, przeciwko którym wojowały pisma jezuitów, miały już w kraju odgłos, znachodziły nawet wyznawców. Zapoznawała się z niemi za granicą młodzież zamożniejsza, dla której wiedza nie sta-

¹⁾ „*Gradus ad atheismum*“, str. 112—121, *passim*.

²⁾ Rozmowa o filozofii, przez Michała Drużbackiego, skarbnikowicza podolskiego napisana, a przy dokończeniu filozofii w szkołach lwowskich „*Soc. Jesu*“, oraz z tąż całą filozofią na publiczną dysputę wystawioną... d. 8 Lipca R. P. 1746-8-o, kart nłb. 48. Porównaj Janockiego: „*Lexicon derer itztlebender Gelehrten in Polen*“. Wrocław, 1755, t. II, str. 184.

³⁾ „*Praefatio oratorio-philosophica*“. Wyszła w r. 1767 w Warszawie w zbiorze p. t. „*Specimina literaria laborum in Reipublicae Orthodoxae atque Ecclesiae obsequia susceptorum*“.

nowiła wprawdzie celu głównego, pożądaną była przecież jako jeden z motorów błyszczenia towarzyskiego, narzędzie zniewalania sobie opinii i torowania drogi do karyery publicznej. Stanisław Mateusz Rzewuski, mając w Paryżu syna, późniejszego wojewodę wołyńskiego, zalecał pod datą 4 Sierpnia r. 1721 guwernerowi Kaweckiemu: „życzę aplikować się *ad Cartesianam*, przynajmniej dla dyskursu“¹⁾: Obznajamiali młodzież z teoryami filozoficznymi zachodu cudzoziemcy Francuzi, Włosi i Niemcy, przybywający do Polski dla chleba, sprowadzani w charakterze pedagogów na dwory magnatów. Osiedli w r. 1740 w Warszawie teatyn, ks. Antoni Marya Portalupi († 1791) krzewił filozofię profesora halskiego Krystyana Wolffa; pomysły tegoż uczzonego rozpowszechniał sprowadzony w 1743 na guwenera przez podkanclerzego Małachowskiego, Wawrzyniec Mitzler de Kolof²⁾. Niektórzy wreszcie z luminarzy duchownych przeszczepianiu wiedzy zachodniej na grunt ojczysty nie skąpili poparcia. Wizytator generalny misyonarzy, Piotr Hiacynt Śliwicki (1705 †1774), oczyszczał w seminariach swego zgromadzenia wykład teologii z dziwołagów scholastycznych³⁾. Andrzej Stanisław Kostka Załuski, biskup chełmiński, kanclerz w. kor., obmyślał sposoby podniesienia nauk w akademii zamojskiej. W liście, pisanym z Drezna 29 maja r. 1745, następujące ordynatowi Tomaszowi Zamoyskiemu podawał rady: „Albo profesorów dobrych, we wszelkich naukach zupełnie wyćwiczonych, z cudzych krajów zaciągnąć...; albo młodź akademiczną do cudzych krajów posyłać, wybrawszy takie subjekta, w których większa wydaje się sposobność i otwartzszy umysł, ażeby im tam spadła ta fatalna łuszcza z oczu, która nie dopuszcza *discernere* dobrych i prawdziwych w naukach postępów... A kiedy jeszcze nastąpi *lex domestica*, żeby żaden nie mógł mieć katedry *ad docendum*, póki by się sam nie uczył przez kilka lat w akademiach cudzoziemskich—dopiero WMM. Pan obaczysz z pociechą *uberis studiorum fructus et frequentiam* uczących się, którzy z całej Polski *confluent* tam, gdzie *vera scientia invitabit scire cupientes*“⁴⁾. Zostawszy, po zmarłym w r. 1746 kardynale Lipskim, biskupem krakowskim, a tём samém kanclerzem aka-

1) „Encyklopedia wychowawcza“, w art. „Caraccioli“.

2) Powiada Mitzler o sobie, że był „einer der ersten Apostol der Wolfischen Philosophie in Pohlen“ („Warschauer Bibliothek“ str. 170); o Portalupim zaś że: „philosophiam Wolfianam inter primos in Polonia docuit“ („Acta litteraria, trimestre II“, str. 130).

3) Mitzler. „Acta litteraria, tr. II“, str. 135. „Śliwicki... methodum scholasticam tractandi theologiam in seminariis congreg. suae abrogavit...“

4) Łukaszewicz. „Historja szkół“ II, str. 107, 108 w przyp.

demii, zamierzył Zaluski zaprowadzić w niej reformę w wykładzie filozofii i nauk matematycznych. Będąc w zażyłych stosunkach z Wolffem, postanowił sprowadzić go do Krakowa, aby dał kurs publiczny filozofii i matematyki i przysposobił młodzież do wykładu tych nauk w akademii i jej koloniach ¹⁾. Współcześnie (1740—1753) pijar, Stanisław Konarski, organizował w Warszawie konwikt dla szlachty i zabiegał około reformy szkolnictwa. W ustawach, dla których w latach 1753 i 1754 pozyskał zatwierdzenie kapituły łowickiej i Rzymu (*Ordinationes visitationis apostolicae*), unikać każe profesorom przy wykładzie teologii kwestyi nieużytecznych, niemających związku z obyczajami i wiarą, zaleca najnowsze zdobycze wiedzy ²⁾. Wypędził ze szkół pijarskich scholastycyzm, pamięciowość zastąpił rozumowaniem, podniósł skalę wykładów matematycznych, do geografii wprowadził atlas i globus, dał też prawo obywatelstwa fizyce doświadczalnej.

Podobny stan rzeczy pobudzał zwolenników starej filozofii do oporności i walki. *Facultas philosophica* w akademii krakowskiej propagowania nowości strzegła się pilnie. „O Kartezjuszu, Gassendim, Leibnicu i Newtonie nie mówiono tam, tylko odrzucając ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tém, że chrześcijańskiemu filozofowi nie wolno udawać się za nowemi filozofów sektami, ale owszem, winien trzymać się jednej, a to arystotelesowej, poprawionej przez Św. Tomasza“. Nie przyzwolili profesorowie krakowscy na sprowadzenie Wolffa, aby jako protestant i nowator nie zaszczerpiał wśród młodzieży herezyi. Nie mogąc mieć filozofa, wysłał Zaluski własnym kosztem do Hali akademika ks. Marcina Świątkowskiego dla studyowania matematyki i umiejętności fizycznych. Człowiek ten dużo skorzystał pod goślnym w Niemczech mistrzem; za powrotem (1749) do Krakowa, chciał dawać lekcye matematyki sposobem, używanym przez Wolffa, i wyrabiać powoli upodobanie do nowej filozofii; lecz, prześladowany od starszyny, musiał się od zgromadzenia akademickiego oddalić ³⁾. Współcześnie zaćmiła niebo polskie chmura grotów, jakie wyrzucili z kołczanów swoich zwolennicy filozofii Arystotelesa, z okazji działalności pijarów. Uderzyli jezuitci ⁴⁾ na Konarskiego za pokuszenie

¹⁾ Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panow. Augusta III“. Poznań, 1841, t. I, str. 153.

²⁾ „*Ordinationes visitationis apostolicae*“. Pars II, § III, art. 84; III, § XVIII, art. 274.

³⁾ Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce“ I, str. 148—153, *passim*.

⁴⁾ Wieruszewski („*Litterae amici ad aut. libelli de emend. vitiis*“, 1741), Grodzicki („*De perversa atque inepta stili ad scriptoris veteris exemplum confor-*

zreformowania wymowy (*De emendandis eloquentiae vitiis*, 1741); rzucili się na Wiśniewskiego, że nową filozofię krzewił słowem żywym i piórem.

Antoni Wiśniewski (1718 †1774) po odebraniu nauk elementarnych u jezuitów, w mieście rodzinném Łęczycy, przeszedł w czternastym roku życia do pijarów łowickich, w kilka lat później wstąpił do ich zgromadzenia i niebawem przyjął święcenia. Filozofię studyował w Podolińcu, teologię w Warszawie, gdzie téż rozpoczął w konwiktie Konarskiego na Żoliborzu zawód pedagogiczny od nauczania gramatyki i arytmetyki. Korzystając z zasobności biblioteki pijarskiej, zagłębiał się w dziełach matematycznych i filozoficznych; pilnością własną doszedł do rezultatów, z którymi ośmielił się wystąpić publicznie. W r. 1746 w pałacu biskupa krakowskiego w Warszawie, w obecności samego Załuskiego, prałatów i osób świeckich, wygłosił przez usta najlepszego z elewów swoich, Ignacego Paca, „*Propositiones philosophicae ex physica recentiorum*“¹⁾, w których z całą stanowczością oświadczył się za nowym w nauce kierunkiem. Tłómaczył doniosłość odkryć w dziedzinie fizyki doświadczalnej, nastawał na płonność dociekań scholastycznych. Obecni wykładowi zwolennicy wiedzy zachodniej nie szczędzili Wiśniewskiemu uznania i pochwał. Konarski zajął się dalszym losem jego, — ułatwił mu wyjazd za granicę z synem wojewody krakowskiego, Kacprem Lubomirskim, przy którym dwudziesto-dziewięć-letni pijar pełnił obowiązki mentora. Wyjechał w r. 1747: zwiedził Rzym, dwa lata bawił w Turynie. W uniwersytecie turyńskim, w którym jaśnili głośni w nauce profesorowie pijarzy: Vacca i Beccaria, słuchał w godzinach wolnych od zajęć obowiązkowych wykładów matematyki i fizyki doświadczalnej. W powrocie do kraju przebył czas pewien w Wiedniu, gdzie uczęszczał na wykłady astronoma Marinoniego i matematyka jezuita Franza. Zaledwie wrócił do Warszawy, w tym samym roku 1750 udał się znowu w charakterze mentora młodego hrabiego Löwendhal do Francji. W Paryżu przez rok cały słuchał fizyki Nollet'a, następnie z polecenia zwierzchności swojej udał się do Londynu dla zakupu ksiąg matematycznych i narzędzi fizycznych. Po półrocznym pobycie w stolicy Anglii, zwiedził Holandję i główne wszechnice nie-

matione liber, 1746) i Malczewski („*Specimina ligatae et solutae eloquentiae*“, 1747. „*De vera eloquentia disceptatio, ejusdem analysis Cicerone illustrata*“, 1748).

¹⁾ Wyszedł z druku w Warszawie r. 1746, in f. pl. 5 z uzupełnionym tytułem: „*in aedibus Zaluscianis, celeberrimo coram Regni Procerum conventu, propugnatae*“.

mieckie: halską, gdzie poznał Wolffa, i lipską. Po powrocie do kraju objął w konwikkie Konarskiego wykład matematyki i fizyki, który z przerwami małemi prowadził przez lat dwanaście. Urządził gabinet, zaopatrzył go obficie w narzędzia i maszyny. Jasnym wykładem, zręcznie wykonywanemi doświadczeniami budził w młodzieży zamiłowanie do przedmiotu, pierwszy raz w Polsce traktowanego ze stanowiska wiedzy zachodniej ¹⁾.

Wyznawcy filozofii arystotelesowej, zarówno z powodu wystąpienia Wiśniewskiego w r. 1746, jak i dalszej działalności jego w konwikkie, naciągnęli łuki scholastyczne i rozpoczęli batalię.

Profesor różnych szkół jezuickich, ks. Andrzej Rudzki, nastawał na Wiśniewskiego najprzód w wydanej w r. 1747 w Poznaniu pod nazwiskiem Wojciecha Obrębskiego rozprawce: „Philosophia orthodoxa omnium ferme saeculorum consensu, doctissimorum virorum estimatione, Ecclesiae autoritate, cum suo principe Aristotelae celebratissima“ ²⁾; w 1750 ogłosił w Lublinie przeładowaną pomysłami Gengella „Aristotelicam philosophiam, quaestionibus eruditis ac notis sententiarum illustratam“, w której zwolenników nowych kierunków naukowych poszlakuje o podkopywanie religii. Dziesięć jest, zdaniem jego, stopni do ateizmu: grzechy ciężkie, popełniane z nalogu; lubieżność wyuzdana; pycha i zarozumiałość, zwłaszcza w tych, którzy śmia lekceważyć najznakomitsze w nauce powagi; machiawelizm; opaczne tłumaczenie prawd ewangelicznych; szerzenie wymysłów dziwnych w mowach i pismach; herezye; kalwinizm, luteranizm, oraz inne sekty przeciwne wierze objawianej; takie sentencye filozoficzne jak, że cokolwiek istnieje i nie istnieje; w końcu nauka Kartezjusza i jego zwolenników. Osobne poświęca Rudzki ustępy dowodzeniu, że nowa filozofia obala wiarę w Boga, nieśmiertelność duszy, sakrament eucharystyi i prawdy religii. Jednocześnie (1750) autor „Rozmowy o filozofii“, Kowalski, wydrukował przeciwko Wiśniewskiemu w Kaliszu pod nazwiskiem Antoniego Kuleszy „Philosophiam peripateticam orthodoxis veritatibus prae aliis sectis philosophicis conformiorem“ ³⁾, w której, podobnie jak Rudzki, krzewienie nowej filozofii poczytuje za zamach na wiarę. W r. 1752 Adam Malczewski wytłoczył w Poznaniu w tym samym duchu napisaną książeczkę, której jednak zwierzchność jezuicka puścić w obieg wzbronila ⁴⁾.

¹⁾ Bielski. „Vita et scripta Piar.“ Warszawa, 1812, str. 101—107. Janocki „Lexicon“. I, str. 171—174.

²⁾ Janocki. „Lexicon“. I, str. 143.

³⁾ Janocki. „Lexicon“. I, str. 81.

⁴⁾ Janocki. „Lexicon“. I, str. 102.

Rudzki z Kowalskim stanowili dopiero awangardę korpusu, mającego niebawem wystąpić przeciwko Wiśniewskiemu do walki całą swą siłą.

W Czerwcu roku 1752 uczniowie kolegium warszawskiego pijarów wystawili na popis publiczny „*Propositiones philosophicas ex illustrioribus veterum recentiorumque philosophorum placitis depromptas*“ (4-0, kart 8), dedykowane przez wojewodzica braclawskiego, Świdzińskiego, królewiczowi Ksaweremu. Obrony podjęli się: Józef Dąbkowski, Adam Worowski i Ludwik Ekielski — przedstawiciele trzydziestu dziewięciu młodzieńców, studyujących w kolegium filozofię. W tezach swoich definiują młodzi adepci filozofii najprzód nauki, należące do umiejętności matematyczno-fizycznych: arytmetykę, algebrę, geometryę i mechanikę; określają znaczenie każdej, przywodzą odkrycia Gravesandego, Newtona, Bernoullego, Wolfa, Kartezjusza i innych. Fizykę nazywają koroną filozofii, przenika bowiem nieba, powietrze, ziemię i wody; wszystkie ciała, spostrzegane we wszechświecie, ogarnia swoją bacznością. Z teoryi zarówno filozofów starożytnych, jak nowożytnych: Gascendiego, Kartezjusza, Leibnica, Wolfa, dotyczących budowy materii, na żadną zdecydować się nie chcą: „która z nich prawdziwa—Bóg wie; która najpodobniejsza do prawdy—rozstrzygnąć trudno“. Oświadczają się tylko za teorią astronomiczną Kopernika. „Hipoteza Kopernika jest ze wszystkich najpiękniejsza i najprostsza; najwyborniejszy stanowi klucz do zrozumienia zjawisk niebieskich. Nie z pychy narodowej, lecz przez miłość prawdy podnosimy ją i wedle sił naszych sławimy“.

Tak stanowcze oświadczenie się wychowañców pijarskich za filozofią nową zwolenników perypatetyzmu przejęło zgrozą. Dominikanin, Mikołaj Zakiewicz ¹⁾, wygotował i ogłosił zaraz „*Vindiciae accidentium peripateticorum*“, które wymierzył przeciwko Wiśniewskiemu, jako głównemu gorszycielowi młodzieży. Rozprawa napisaną została dla dysputy publicznej, w której obronę perypatetyzmu brali na siebie: jezuita Jan Kowalski, oraz dominikanie: Hiacynt Kukliński i Ludwik Schlegel. Odbyła się istotnie 5 Września r. 1752 w kościele dominikańskim wobec licznego zgromadzenia osób duchownych i świeckich. Dominikanie atakowali pijarów zaciekle, Wiśniewskiemu zarzucali herezyę. Z dwóch ochotników, którzy zapowiedzieli obronę nowej filozofii, rezydent francuski, Du Perron de Castera, na kilka dni przed dysputą umarł, pozostał jeden ksiądz Józef Tori, teatyn, od r. 1750 osiadły w Warszawie. Drobny staturą, odznaczał się Tori śmiałością i ogniem. Wykształcony i nieporównany w dyalektyce, był

¹⁾ Janocki. „*Lexicon*“. I, str. 183.,

postrachem przeciwników: zasłynął też jako *flagellum disputantium*, bicz na dysputujących. Miał on podobno stanowcze nad przeciwnikami odnieść zwycięstwo; pod wpływem argumentacji jego, jezuita postanowili filozofię nową zaprowadzić w swych szkołach ¹⁾.

Wiśniewski bezpośredniego udziału w dysputach nie brał, nie odpowiadał też na piśmienne jezuitów i dominikanów zarzuty. Gdy dostał do rąk Rudzkiego „Aristotelicam philosophiam illustratam“, napisał na jej karcie tytułowej przypowieść Salomona: „Ne respondeas stulto juxta stultitiam ejus, ne efficiaris ei similis“ ²⁾. Korzystając z ochoczości Torego, protekcji Du Perron de Castera, który go osłaniał przed zarzutem kacerstwa, zatykał uszy na zgiełki polemiczne, oddał się całkowicie obowiązkom profesora kolegium. Pisał też na temat nowej filozofii niewiele: w r. 1753 ogłosił pierwszy tomik „Kolędy warszawskiej“, zawierającej nieco „ciekawości fizycznych“; w 1753 wystąpił publicznie przy otwarciu akademiki referendarza Załuskiego z mową („Oratio de utilitate ex Varsaviensi bonarum artium et scientiarum academia“), w której wyraził życzenie założenia Towarzystwa naukowego, iżby „światłem swoim przewodniczyło polityce, podniosło matematykę i filozofię, teologię uwolniło od zadań bez wagi, krytykę ujęło w rozumne reguły, język zaś polski, nabyty z mlekiem matczynym, do starodawniej przywróciło czystości“. Dopiero wystąpienie akademika krakowskiego, Stęplowskiego, skłoniło Wiśniewskiego do podjęcia obrony.

Kazimierz Franciszek Stęplowski, profesor teologii w akademii krakowskiej, wydał r. 1753 w Krakowie, kosztem wojewodzica bracławskiego Jordana „Logicam incipientium, regulas definiendi, dividendi et argumentandi in ordine ad faciliorem philosophiae peripateticae captum continentem“ z przedmową: „Apologia pro arte disputandi peripateticorum“, w której nowatorów filozofii potępia, jako ludzi bez wiary. „Naukę, przez tyle wieków używającą powagi, uznaną przez najznakomitszych mężów, chcą zaćmić lub zniszczyć; sztukę dowodzenia sposobem perypatetycznym najstarożytniejszą, zalecaną przez kościół katolicki, pismo święte i ojców, ścigają nienawiścią, aby natomiast świat ten nowemi wrzekomo dogmatami (zapożyczonemi właściwie od Demokryta i Epikura, nieprzyjaciół egzystencji Boga i nieśmiertelności duszy) zakazać. Arystotelesową sztukę dowodzenia wyrwać z umysłów i z rąk kościoła katolickiego usiłują; zarzucają ją posiewem błędów swoich, aby moc i ostrość dowcipu zniweczyć“.

¹⁾ „Journal littéraire de Pologne“. 1754, str. 252—256. Janocki. „Lexicon“. I, str. 162, 174, 183.

²⁾ Janocki. „Lexicon“. I, str. 172.

Na utyskiwania Stęplowskiego Wiśniewski wygotował odpowiedź. Pod przybraném nazwiskiem *Carpophori Philalethae* wydał datowaną r. 1755 w Weronie, właściwie kosztem biskupa warmińskiego, Adama Grabowskiego, drukowaną w Elblągu broszurę dwuarkuszową („*Epistola ad auctorem apologiae pro arte disputandi peripateticorum*“), w której fizyki doświadczałnej bronił, dziełko zaś Stęplowskiego nazwał logiką głupców (*logica insipientium*). Profesor prawa w akademii krakowskiej, Herka, w obronie Stęplowskiego wydał „*Responsum Carpophoro Philalethae*“ (4^o, kart. nłb. 2), sam zaś Stęplowski dwie bezimienne broszury polemiczne, z których jedna: „*Discipulus auctoris apologiae pro arte disputandi peripateticorum in calumniosum Carpophori Philalethae libellum*“, druga: „*Amicus ad amicum in scriptum improbum Carpophori Philalethae contra autorem apologiae pro arte disputandi peripateticorum*“. Polemika była zaciekle i nieparlamentarna. W *responście* Herki do przyzwoitszych się zalicza parafraza przypowieści Salomona: „*Responde stulto juxta stultitiam suam, ne sibi sapiens esse videatur*“. Nie brakło walce i epizodów wesołych, gdy stanowisko teologiczne perypatetyków pociągnęło do udziału w niej i najuboższych duchem zakonników, operujących środkami zakrystyi. Na jednym z popisów publicznych w konwiktie pijarskim lektor reformacki, poczytując wydobywanie ognia z maszyny elektrycznej za sprawę dyabelską, dla zdemaskowania jęj położył pod korbę *agnum Dei*, ulepionego z wosku. Zmiażdżenie świętości narobiło śród pobożnych hałasu, wojowniczego zaś lektora utwierdziło w mniemaniu, że przez maszynę elektryczną działają czary. Dla zdyskredytowania nowości, zwłaszcza fizyki doświadczałnej, używali perypatetycy i żądał satyry. Jezuici w dyalogu, wyprawionym u siebie w szkole warszawskiej, przedstawiali filozofię pod postacią klucznicy, wyrzekającej, że naczynia kuchenne musi posyłać księdzu profesorowi na lekcję ¹⁾.

Pociski jezuitów, dominikanów i akademików krakowskich niezupełnie chybiały celu.

Wiśniewski trzymał się na stanowisku niezachwianie, zyskiwał też w sferach wpływowych nie dwóznaczne dowody uznania. W r. 1756 towarzyszył, z woli Augusta III, poselstwu Mniszcha, podkomorzego W. Ks. Lit., do Turcyi ²⁾; po powrocie otrzymał w nagrodę zasług godność teologa nadwornego i bogate probostwo w Lebiczu. Ceniony w zgromadzeniu pijarskiem, w r. 1759 objął zarząd kolegium,

¹⁾ Kollgataj. „*Stau oświecenia w Polsce*“. I, str. 50 w przyp.

²⁾ Ustęp listu Wiśniewskiego z Konstantynopola z 18 Lipca r. 1756 drukował „*Kuryer Polski*“ z r. 1756, Nr. 162.

w r. 1765 obrany został prowincyałem ¹⁾). Rosła popularność Wiśniewskiego, kolegium Konarskiego zdobywało uznanie — nie samą przecież mocą propagowania nowości. Że insynuacye perypatetyków były dotkliwe, jednocześnie przeto z przeszczepianiem nauki zachodniej na grunt krajowy poczęli pijarzy manifestować swoją prawowierność religijną, jęli owszem walczyć przeciwko wolnomysłności. Usiłowali w ten sposób z rąk przeciwników wytrącić broń niebezpieczną i podejrzenia, jakie budzili w społeczeństwie, odwrócić.

Oprócz popisów dorocznych, zaprowadzili pijarzy w kolegium tak zwane „rozmowy“, odprawiane przez wychowawców w języku polskim publicznie. Były to wykonane pod okiem profesorów, przeważnie Wiśniewskiego i Kaliszewskiego, wypracowania uczniów, wyrażające sposób ich myślenia, a właściwie ducha, panującego w kolegium. W r. 1757 uczniowie filozofii czytali „o uszczęśliwieniu własnej ojczyzny“, retoryki „o pierwszym edukacyi celu“; w 1758 pierwsi „o boskich przymiotach przeciwko deistom“, drudzy „o uszczęśliwieniu człowieka w życiu“; w latach następnych „o poprawie obyczajów polskich, prawa boskiego tyjących się“, „o poprawie obyczajów polskich, prawa ojczyzstego tyjących się“, „o powinnościach każdego człowieka“, „o nieśmiertelności duszy ludzkiej“ i z Monteskiusza „o wielkości i upadku Rzeczypospolitej rzymskiej“. Pod odmiennemi nieco tytułami drukowano wypracowania owe osobno, zbiór wszystkich ogłoszono później ²⁾.

¹⁾ Bielski. „Vita et scripta Piar.“ str. 107.

²⁾ „Rozmowy w ciekawych i potrzebnych w filozoficznych i politycznych materyach, w Kolegium Nobilium warszawskiem Scholarum Piarum miane“. Warszawa, w druk. J. K. M. i Rzplitęj u XX. Sch. Piarum. 8^o, t. I 1760, stron 336, t. II 1761, str. 39; t. III 1762, str. 356. Że „Rozmowy“ czytane były publicznie, dowodzą sprawozdania w gazetach. „Z Warszawy d. 29 Junii. W Collegium Nob. XX. Sch. Piarum odprawiła się akademika z mów polskich: Na czém dobro i szczęście Rzeczypospolitej zaległo — w przytomności wszystkiego tu znajdującego się państwa („Kuryer polski“ z r. 1757, Nr. 26). „Z Warszawy 13 Julii. W przeszłym tygodniu w Coll. Nob. XX. Sch. Piarum odprawiła się akademika o celu i najpierszym edukacyi końcu — w przytomności wielu znajdującego się państwa“ („Kuryer polski“ z r. 1757, Nr. 28). „Warszawa 12 Aprilis. W przeszły piątek w przytomności wielu państwa odprawiła się w Coll. Nob. XX. Sch. Piarum rozmowa filozoficzna, zbijająca bezbożne ludzi bez religii, deistami się nazywających, sentymenta“ („Kuryer polski“ z r. 1758, Nr. 15). „Quia 18 Grudnia w Coll. Nob. Schol. Piarum odprawił się publiczny akt rozmowy filozoficznej o powinnościach człowieka“ („Kuryer warszawski“ z 26 Grudnia r. 1761). W rozmowie, podzielonej na „zdania“, brało udział kilku uczniów. W rozmowie „o pierwszym edukacyi celu“, wypracowanej pod okiem prof. Kaliszewskiego, występowali: Leon Kochanowski, kasztelan radomski, Andrzej Tarło, kasztelan lubelski, Jan Narzymski, wojewódzic pomorski, Stefan Wróblewski, stolnikiewicz inowrocławski, Szymon Tarło, sta-

Tematy z etyki, prawa polskiego i historii, takie materye, jak uszczęśliwienie człowieka i ojczyzny, poprawa obyczajów i cel wychowania, dość pijarom dawały pola do określenia stanowiska swego w zapatrywaniu się na zadania nauki i życia.

W pedagogice brali pijarzy za punkt wyjścia teorię, zaprzeczającą istnieniu idei wrodzonych. „Nie bez wielkiej i osobliwej przyczyny dawni filozofowie uczyli, którzy rozum ludzki do gładkiej i żadnemi niezapisanej charakterami przyrównywali tablicy; ta jest albowiem mizerna wszystkich ludzi kondycya, iż się wszyscy w niedoskonałości rodzą i na świat bez wszelkiej umiejętności i poznania rzeczy wychodzą. Dlaczego, jako na próżnej, wszystko, co kto chce, pisać może tablicy, tak też i na umysłach młodych osobliwie ludzi łatwo się mogą wszystkich rzeczy rysować i przyjmować obrazy, jeżeli dobra z młodu zaraz przystąpi edukacya“... Zadanie wychowania polega głównie na udoskonaleniu człowieka moralném. Sformułował to Konarski w mowie („De viro honesto et bono cive ab ineunte aetate formando“), wygłoszonej w r. 1754 przy otwarciu nowego gmachu szkolnego: „plus interest Reipublicae habere honestos viros, bonosque cives, quam summos oratores, poetas, mathematicos et philosophos“. Zacność człowieka, oprócz obowiązków względem Boga i religii, rodziców, krewnych i bliźnich, polega też na spełnianiu powinności względem ojczyzny. Wychowanie właśnie wskazuje „jako jęj bronić, o jęj wzrost i przymnożenie starać się mamy; jako tam, gdzie o jęj idzie dobro, żadnym prywatnym uwodzić się nie powinniśmy interesem. Jako praw ojczystych służyć i im być podlegli, jako w zgodzie i jedności umysłów w radach i sądach kochać się mamy. Uczy nas na ostatek, jaką dla królów naszych mieć miłość, z uszanowaniem złączoną; jak im wierni w radach być i uczynkach

roście goszczyński, Ksawery Borzysławski chorążyc trębowelski, Izidor Szembek, staroście brzesko-kujawski, Anastazy Walewski, chorążyc brzeziński, Franciszek Szymanowski, staroście wyszogrodzki (Rozmowa o celu i najpierwszym edukacyi końcu przez uczących się retoryki konwiktarów in Collegio Nobilium Scholarum Piarum miana roku 1757). W rozmowie przeciwko deistom brali udział: Joachim Morsztyn, kasztelanic wiślicki, Józef Mniszech, starosta sanocki, Andrzej Tarło, kasztelanic lubelski, Hieronim Sanguszko, marszałkiewicz w. lit., Stanisław Kossowski, podskarbic nad. kor., Michał Mniszech, podkomorzyc w. lit., Jan Narzymiski, wojewodzie pomorski, Piotr Wilkoński, kasztelanic krzywiński, Franciszek Szymanowski, staroście wyszogrodzki, Ksawery Borzysławski, chorążyc trębowelski, Jan Wawrzecki, stolnikiewicz braclawski, Ignacy Bleszyński, chorążyc sieradzki, Józef Konarski, miecznikiewicz chełciński, Paweł Biernacki, skarbnikiewicz piotrkowski, Leon Kochanowski, kasztelanic radomski („Rozmowa filozoficzna o Boskich prócz jestności przymiotach przeciw niegodziwie sobie przywłaszczającym nazwisko deistów... miana r. 1758).

i jak o wielkich w ojczyźnie ludzi afekt i estymację starać się powinniśmy“. Dla urobienia młodzieży na pożytecznych ojczyźnie obywateli kształcić ją należy przedewszystkiem: w retoryce, filozofii, matematyce, językach, historii i prawie, wdrażać obok tego do ćwiczeń ciała i zagłębiania się w księgach.

„Jeżeli wszystkim—prawił konwiktor, tłumaczący doniosłość retoryki—tak w pokoju, jako i na wojnie, tak na urzędach zostającym, jako prywatnym i jakiegokolwiek kondycji ludziom potrzebna pokazuje się retoryka; toć tedy nam, którzy w takim urodzeni jesteśmy państwie, w tej chowamy się ojczyźnie, w której tak, jako niegdyś w Rzymie, w sądach i trybunałach, na sejmach, sejmikach i innych Rzeczypospolitej zjazdach, ta najbardziej panuje sztuka. Jeżeli dobrze potem ojczyźnie radzić, urzędy, do których sposobie się mamy, przyzwyczajcie piastować i naszym na każdym honoru stopniu zadosyć czynić powinnościom chcemy, o tę się w edukacji naszej najbardziej starać trzeba wymowę“.

Filozofia, zdaniem innego, prawdę od fałszu, dobro od złego, pewność od wątpliwości oddziela i, jak o wszystkich mamy sądzić rzeczach, jasne nam i nieomyłne podaje reguły. „Tać to filozofia, która terażniejszych osobliwie czasów z niewolniczego, że tak rzekę, dawnych wybiwszy się filozofów jarzma i na żadnego słowa ślepo nie przysięgając nauki mistrza, zupełnej w dysputowaniu bez subtelnych i zawyłych spekulacji i o rzeczach sądeniu nabyła wolności. Za pomocą matematyki i eksperymentalnej fizyki tak wiele, dawnym nawet niewiadomych filozofom, przez swoje oczywiste i jawne i wszystkich nietylko oczy, ale i rozумы zniewalające eksperyencye w mechanice, statyce, hydraulicie, optyce, botanice, anatomii i innych niezliczonych rzeczy naturach poodkrywała sekretów, iż mało takich być na świecie zdaje się rzeczy, o którychbyśmy, jej pewnymi naukami wsparci, doskonale mówić i sądzić nie mogli“.

Matematyka—dowodził znowu, powołując się na Wolffa, rzecznik tej umiejętności — udoskonala rozum i w pomoc przychodzi filozofii. „Czyliż albowiem podobna rzecz jest, aby w tej filozofii, która za świadectwem Wolfiusza do tego teraz za pomocą matematyki przyprowadzona jest doskonałości stopnia, iż dawniejsi filozofowie, gdyby teraz ze swoich powstałi grobów, nigdyby w niej przeszłej nie rozoznali postaci,—mógł ten jaki krok uczynić, który żadnej, wprzód nabytej, o matematyki początkach wiadomości nie ma? Weźmy-no tylko tę część filozofii, która od odkrywania w rzeczach natury sekretów nazywa się fizyka; o! jak tam zaraz na wiele takich napadniemy materii, do których zrozumienia i doskonałego z gruntu pojęcia żadną miarą bez matematyki obejść się nie można. Któż doskonale pojmie

naturę ruszenia; kto zrozumie ciężkość ciał widomych; kto całego strukturę świata, skutki powietrza i w innych stworzonych rzeczach własności, odmiany i przymioty bez matematyki odkryć i opisać potrafi? Prawda jest, że fizyka eksperymentalna, która z nieskończonym narodu ludzkiego jest wynaleziona pożytkiem, wszystkie te zawile swoimi oczywistymi eksperymentami odkrycia nasze wyluszcza i objaśnia trudności; z tém wszystkiém, ponieważ żaden eksperyment bez przyłączonej do tego racji, racya zaś bez demonstracji, być nie może,— pokazanie więc takie nasze tylko contentuje oczy; jeżeli zaś w przyłączonej demonstracji sekretu tego nie dociekamy przyczyny, naszego bynajmniej nie contentuje rozumu... Śmieje się tam gdzieś w swoich Faciolatti oracyach z Durandów, Jandunów, Pikołominich i innych tegoż gatunku filozofów, którzy, zamiast wolnego, bez żadnej od cudzych opinii dependencyi szukania prawdy, tak się w swoim byli zatopili Arystotelesie, iż w najmniejszym od jego zdania odstąpić i sprzeciwić się słówku za największy sobie poczytywali kryminał. Same tylko, mówi, natenczas Arystoteles i Platona, Hipokratesa i Gałena w uszach całego świata brzmiały imiona i ci tylko już to filozofów, już to medyków, już to matematyków bez żadnej sporki sobie przywłaszczali nazwiska, którzy, tych się wyuczywszy autorów, wszystkie ich pisma, jak historję, na pamięć umieli. Nie potrzeba im było natenczas w odkrywaniu sekretów natury skądinąd zaciągać przyczyn; niezbitym to w nich już było dowodem, kiedy poprzysiężonych sobie filozofów swoje stwierdzali zdania świadectwem. W tój tedy rozumu niewoli, kiedy aż do siedmnastego wszyscy na świecie żyjący zostawali wieku ludzie, pierwsi dopiero byli: we Włoszech Galileusz, Bako Warulamius w Anglii, we Francyi Gassendus, którzy wszystkie te, którymi ludzkie skrępowane były rozумы, potargawszy węzły, do poznania prawdziwej filozofii, która się na odkrywaniu wewnętrznych w naturach przyczyn, nie na ludzkich zasadza zdaniach, otworzyli im oczy. Wkrótce zaś potém Kartezyusz, Harweusz, Borellius, Malpigijs i innych wielu z niewolniczego dawnych filozofów, którym wszysecy dotąd hołdowali, zupełnie wyzuwszy się jarzma, wolniej o wszystkich sądzić poczęli rzeczach“.

Języki nowożytne ułatwiają poznanie „autorów, w których nieoszacowane mądrości i wszelakiej umiejętności ukrywają się skarby“; czytanie historyi „młodych ze starymi w roztropności równa, przeźorności zaś i eksperycy w rzeczach dodaje starszym, wodzów dla nieśmiertelności chwały do wielkich zapala czynów“; znajomość prawa niezbędna jest „i do pożytku ludzkiego, i do służenia ojczyźnie... osobliwie w tój naszej“. Do ćwiczeń ciała zaliczali pijarzy, oprócz tańca, fechtunku, musztry i jazdy konnej — muzykę, która „troski

i zgryzoty rozpędzając, myśl sprawuje wesołą; to, które na ciele czujemy, duszy naszej komunikuje wzruszenie; ucho naprawia i w uczeniu się języków do nabrania akcentu w mowie i gładkości pomaga w mówieniu“. „O! jak ciężko ci na swoim mylą się zdaniu,—utyskuje wreszcie autor zdania o czytaniu książek,—którzy całą swoją na tém zakładają mądrość, kiedy, nauczywszy się łaciny i ze zwyczaju wszystkie przeszedłszy nauki, ze szkół wychodzą, jakoby teżsame nauki nowego coraz ćwiczenia i udoskonalenia nie potrzebowały rozum“...

Nie uniknęli przecież pijarzy w zapatrywaniach się na cele wychowania i na zadania pojedynczych gałęzi nauki zabarwienia teologicznego. „Słyszac,—dowodzili konwiktowie,—częste nauki i ustawiczne o niebie, ziemi, żywiołach i tych wszystkich podmiesięcznych czyniąc sobie refleksye rzeczach, jako regularnie wschodzą i zachodzą słońce i inne planety, jako odmiany roku jednakowym po sobie zawsze następują porządkiem, jako wszystkie, słowem, na świecie rzeczy opisanych sobie nie przestępują i reguł, i granic.; dopiero rozum nasz z głębokiej niejako podnosi się ciemności i jasnymi oświecony dowodami, niby porwawszy się ze snu, sam w sobie uznawac poczyna, że musi być Bóg...“ Takie same refleksye budzi rozglądanie się w dziejach. „Te częste państw odmiany, różne królestw rządy, bereł i koron z familii do familii przeniesienia, z nikczemnego stanu wielcy ludzie, wielkich i znacznych ludzi straszne i niespodziane upadki, ustawiczne wojny, zwycięstwa i przegrane batalie, trzęsienia ziemi, głód, powietrze, różne na niebie widziane znaki, o czém tysiączne w historyach czytamy przykłady;—cóż innego znaczą, tylko wszechmocność boską, która wszystkiem rządzi i ukrytemi przed naszą wiadomością sposobami jednych szczęściem obdarza, drugich w nieszczęście pogrąża“. Według ostatecznej konkluzyi, wszystkie nauki obrócone być winny ku usłudze religii i etyki. „Nie rozumiejmyż,—oświadczałi retorowie,—żebyśmy byli pryncypalnie oddani dla samych którychkolwiek, czy tu od nas wspomnionych, czy nie wspomnionych nauk...; ale najpierwsza, najcelniejsza, najpożyteczniejsza i najpotrzebniejsza rzecz dla nas w całej edukacji jest uczyć się religii, poczciwości i cnoty. Wszystkie insze nauki do téj jedné nabycia i wsparcia pomocą nam tylko i środkami być mogą“¹⁾.

Rozmowy „o uszczęśliwieniu własnej ojczyzny“ i „o poprawie obyczajów polskich, prawa ojczystego dotyczących się“, ogarniają cały niemal program reformy. Na pytanie: na czém dobro Rzeczypospolitej polega?—na—odpowiadali konwiktowie: dobrych prawach i ich

¹⁾ O pierwszym edukacji celu („Rozmowy“, t. I, str. 253—333, *passim*.

zachowaniu; dobrej młodych edukacji; siłach proporcjonalnych i potrzebnych do obrony; ekonomii publicznej i prywatnej; pilnej administracji sprawiedliwości; rządach dobrych i mądrych; sejmów dochodzeniu i zachowaniu religii. Konkluzya przecież była znowu teologiczną, skoro dobro Rzeczypospolitej czyniła zależnym przedewszystkiem od konserwowania religii. „Kto na rozumie przekonany jest o tém, że Bóg jest panem, stwórcą i rządcą wszystkiego, ten naturalnie to wnosi, że ratunku i utrzymania wszelkiego, którego ojczyźnie żądamy, od niego wyglądać, jego o to błagać i prosić należy... O to idzie, aby za najgruntowniejszy wszystkiego Rzeczypospolitej dobra fundament uznawszy religię,—tamę irreligii i bezbożności szerzącej się założyć, a wzorem i duchem przodków naszych, nietylko świętymi i mocnemi gromić ją prawami, ale téż na obronę boskiego honoru i wiary, kiedyby tego była potrzeba, krew i samo życiełożyć ochotnie... Bo aby była pożyteczna ojczyźnie młodzi edukacja—poświęci ją religia; aby prawa obserwowane były—najlepiej dostrzeże religia; aby wojska dzielne były i w imprezach szczęśliwe—dopomże religia; aby skarb sprawowany był pilnie, cnotliwie i wiernie—dopilnuje religia; aby ekonomia każdego prywatna szła jak najrzęczniejsz i najobficiej rosła—pobłogosławi religia; aby sprawiedliwość sumiennie administrowana była—najmocniej sumienie obowiąże religia; aby rządcy, rozumnie i sprawiedliwie panując, nas zachowali w pokoju—sprawi religia; aby rady zbawienne Rzeczypospolitej, panu zawsze wierne, przychodziły do skutku—natchnie je i skuteczne uczyni religia. Tę zaś zniósłszy, bezbożność i irreligia wszystko to kryminałami, krzywoprzysięstwami, zdradziectwami, nienawiściami, kłamstwami, nieposłuszeństwem, buntami, rozpustami napelni i zgubi“¹⁾.

Rozprawy z etyki i teologii przez samą naturę tematów górują nad dociekaniem perypatetyków; trzymały się jednak ściśle pomysłów katechizmowych, nie zgola nie głosiły nowego. Po długich debatach na temat szczęścia człowieka, dochodzą konwiktowie do wniosku, że „na ziemi go nie masz...; w nieśmiertelnym być musi życie“²⁾. W rozmowie „o boskich przymiotach“ złorzeczą ateuszom, jak Vanini, Spinoza, Bayle, Łyszczynski. Gromią Hobbesa, Montaigne'a, d'Argens'a, Monteskiusza, Woltera. „Tak się... przeciw naturalnym rozumom natchnieniom temi osobliwie czasy zepsowali na świecie ludzie, iż (prócz rozsądnego pospólstwa i niektórych prawdziwie rozumnych) wielu po wszystkich krajach takich jest mędrków, którzy

¹⁾ „O uszczęśliwieniu własnej ojczyzny“. (Rozmowy, t. I, str. 127, 128, 137).

²⁾ „O uszczęśliwieniu człowieka w życiu“. (Rozmowy, t. I, str. 50).

w nic nie wierzą, żadnych tajemnic i praw boskich, żadnej nie uznają religii: a zatem, jak tylko chcą i mogą, swywolnie żyją, z najświętszych naigrawają się nauk, postponują i prześladują duchownych, pobożność za bigoterję, gorliwość przy wierze za fanatyzm, proste i bogobojne życie poczytują za głupstwo. I lubo... od bezrozumych nie różnią się ateistów, piękne sobie atoli jużto mocnych rozumów, już deistów przywłaszczyli nazwisko... Błąd deistów ztąd nadewszystko pochodzi, iż, zatopiwszy się w nieprawościach, mocno i sobie, i drugim wyperswadować usiłują, że lubo Bóg jest, o to jednak, co ludzie na świecie czynią, cale nie dba, ażeby mogli tym sposobem nierządne bezpieczniej i spokojniej prowadzić życie¹⁾.

Podobny nastrój panował i na popisach dorocznych, odprawianych publicznie w języku łacińskim. Uczniowie filozofii i matematyki wyrażali admiracyę dla umiejętności ścisłych i fizyki doświadczalnej; nie szczędzili podziwu dla odkryć naukowych, — o ile nie zaczęły wiary i nie podkopywały podań biblijnych. Dowodzili mylności teoryi Berkeleyya o nieistnieniu świata zmysłowego; nie podzielali poglądów Kartezjusza, Gassendiego, Newtona na substancyę; wojowali z poglądami Lejbnica na budowę materyi. Teoryę (*hypotesim*) Kopernika w zasadzie przyjmowali, — bez obrazy jednak wersyi biblijnej. Pozorne wstrzymanie biegu słońca na rozkaz Jozuego zaliczali do cudów i za złe mieli Spinozie, że wiary temu dać nie chciał²⁾.

Pomimo uroczyste manifestowanej prawowierności katolickiej, nie uniknęli pijarzy podejrzeń i fałszywych istotnie oskarżeń. Chociaż ustały ataki perypatetyków, Durini, nuncyusz papieski w Warszawie, arcyniepochlebną zdawał (1769) kardynałowi sekretarzowi stanu o samym Konarskim i konwikcie pijarskim opinię. Konarski był, zdaniem jego, człkiem wolnomyślnym, w wierze obojętnym, krzewicielem filozofii materialistycznej francuskiej. Zaprowadził w szkołach kierunek racjonalistyczny, postanowił zapewnić rozumowi przewagę zupełną nad wiarą. W szkołach pijarskich uczył z Erazma Roterdamskiego i Wolffa. Książki takich autorów wciąż z dodatkami pewnemi tłoczy drukarnia pijarska, zaopatruje je zaś na początku i końcu w breve Benedykta XIV, aprobujące ustawy, przedstawione przez Konarskiego w Rzymie w r. 1754. Dochodzą mnie skargi, dodawał nuncyusz, że z kolegów ich wychodzi młodzież bez znajomości katechizmu i bez śladu pobożności³⁾.

¹⁾ „O Boskich przymiotach przeciwko deistom“. (Rozmowy, t. I, str. 139, 165).

²⁾ „Propositiones philosophicae... exponunt J. C. et Ph. Olizar.... in Coll. Nob. Varsav. Sch. Piarum philosophiae et matheseos auditores, mense Julio 1767. Vars. 4-to kart. nlb. 10.

³⁾ Theiner. „Histoire du pontificat de Clement XIV“. Paris, 1862, t. I, 316.

Ostatecznie wyszli pijarzy zwycięsko: w pierwszym roku istnienia (1741), miał konwikt Konarskiego ucznia jednego, w drugim dwudziestu, w następujących latach zapelnionym był szczelnie, liczył ich bowiem po sześćdziesięciu — przeważnie synów senatorskich i starościców, niemalą dla zakładu stanowiących reklamę. I nie tylko przy reformie wytrwali sami, lecz pociągnęli za sobą innych. Poszli za nimi franciszkanie warszawscy, którzy za rządów gwardyana swego, Michała Halkiewicza, filozofię scholastyczną porzucili, a chwycili się nową¹⁾; teatyni, w których kolegium pod superyoratem Bellavita uczył Portalupi i Tori; sami wreszcie jezuiti, zagrzewani emulacją z pijarami, dali się unieść prądowi.

Już w r. 1752, zwierzchność kolegium jezuitów poznańskich książki Malczewskiego, wymierzonej przeciwko Wiśniewskiemu, puścić w obieg wzbronila. Jednocześnie publikowali jezuiti w gazetach, że „na dawniejsze żądanie i oczekiwanie wielu Ichmciców, aby w Warszawie *Societas Jesu* prowincyi litewskiej miała osobliwą akademię, albo *collegium* dla polskich *utriusque gentis* kawalerów..., w r. 1752 za otwarciem szkół po wakacyach augustowych otwarte będzie seminarjum na wszystkie Ichmoóm panom kawalerom przystępne scyencye i ćwiczenia w językach: rodowitęj i czystęj łaciny, przy francuskich i niemieckich lekcyach, pod doskonałymi metrami, także w geometryi, historyi uniwersalnęj, chronologii, fizyce eksperymentalnęj i matematyce“²⁾... Zapowiadano wykład fizyki eksperymentalnęj ks. Rafała Hempla, który istotnie nauczał jęj w nowo otwartém kolegium *nobilium*³⁾. Rychło na popisach dorocznych wychowañcy kolegium „wobec panów i dam, eksplikowali swoje propozycye filozoficzne i one na różnyh fizycznych machinach przez eksperymenta utwierdzali“⁴⁾. W Listopadzie r. 1761 ukończone zostało „museum“, zaopatrzone w narzędzia matematyczne i fizyczne, znacznym kosztem sprowadzone z Paryża⁵⁾. W auli akademickiej w Wilnie, na akcie publicznym 22 Lipca r. 1754, przedmiotem dysputy, w któręj wziął udział starosta sobocki, deputat i pisarz kadencyi ruskięj trybunału głównego, Rudomina, był, między innemi, system Kopernika i Tychona Brahe. Ucznia jezuickiego, prezentującego swą wiedzę, pan starosta „doświad-

1) Łukaszewicz. „Historya szkół”. II, str. 143.

2) „Kuryer Polski” z r. 1752, Nr. 829.

3) „Journal littéraire de Pologne” 1754, str. 252. Janocki. „Lexicon”, t. II, str. 118.

4) „Kuryer Polski” z r. 1758, Nr. 29 i z r. 1759, Nr. 31.

5) „Wiadomości uprzywilejowane warszawskie” z 25 Listopada r. 1761, suplement.

czał dość długo, dość *solide*, bardzo mądrymi kwestyami i gruntownymi zarzutami *de systemate Copernicano atque Tychonico...* z wielkiem wszystkich, ile uczonych, ludzi ukontentowaniem i swojej w tych scyencyach biegłości estymacją“. Po akcie zaproszono publiczność do „*musaeum*“ matematycznego „dla oglądania różnych eksperymentów tak *machinae electricae* i innych, jako też *antliae pneumaticae*“, którą pod okiem profesora matematyki zbudowali rzemieślnicy wileńscy ¹⁾. Program opisu rocznego uczniów kolegium *nobilium* wileńskiego podawał w r. 1756 do rozwiązania z historyi świętej: „Gdzie był raj, i jeśli jest teraz? Czy prawdziwy był wąż w raj? Co za pokarm Izraelici na puszczy mieli? Kiedy manna ustała i jeśli w niej równie czuli smak źli i dobrzy? Salomon wiele łożył na kościół jerozolimski? Czy robaków lub ziół zamiast żelaza używał i jeśli jest zbawion? Nabuchodonozor czy prawdziwie w wołu przemieniony?“

Traktował przecież obok tego ów program: „o sławniejszych dwóch świata systemach: Tychona i Kopernika“, zadawał pytania z fizyki: „o naturze ciepła, zimnie i termometrze, o fermentacyach chemicznych, trzęsieniu ziemi, źródłach, obiegu krwi i t. p. ²⁾. We Lwowie r. 1758 „kawalerowie, w *Collegium nobilium* pod dozorem XX. jezuitów mający edukację, wobec gości... dawali dowody postępu z różnych umiejętności, a mianowicie z fizyki o znaczniejszych własnościach i skutkach żywiołów“ ³⁾. W Poznaniu w Czerwcu r. 1766, „w wystawionym nowo wspaniale muzeum, różnemi matematycznemi narzędziami i ciekawościami szczególniejszemi przyozdobioném, miany był popis publiczny... o dziwnych bursztynowania czyli elektryzacyi skutkach... z wytłómaczeniem dokładném tej przedziwnej własności pod zmysły podpadających rzeczy i oraz niektórych pierwszego jęj rodzaju szczególniejszych doświadczeń“ ⁴⁾.

1) „Kuryer Polski” z r. 1754, Nr. 50 i 55.

2) Łukaszewicz. „Historja szkół”. II, str. 129 i dalsze.

3) „Kuryer Polski” z r. 1758, Nr. 32, addyament.

4) „Pomiędzy któremi czynione téż było doświadczenie pierwszy raz roku tego w Poznaniu od ks. Jana Paprockiego, profesora matematyki pobaczone, a od wielu mu już, mianowicie postronnych, jako Imci p. Eulera i innych w tej rzeczy dobrze biegłych, szczególnieję pochwalone. Około lejdeńskieję faszki, za której pomocą dzwonki, bądź najodlegleję porozwieszane, po zniesionęj nawet w nich wudzielniku i w drucie samym, idącym od faszki, wszystkięj bursztynowości, przez kilka godzin dzwonić i przestawać na przemiany mogą, podobnież inne się rzeczy bursztynować bez najmniejszego obracania bani. Pierwszy z tych skutek dzieje się za dotknięciem samém wspomnionęj faszki, wolno od oddzielnika wiszące; drugi za dotknięciem się jęj drutu albo udielnika samego“. („Wiadomości warszawskie” z 5 Lipca r. 1766). Relację o tym popisie wydał stolnikiewicz poznański, Szczepan Turno, p. t.: „O dziwnych bursztynowania skutkach“. Poznań, 1766.

Popisywali się jezuici podczas zjazdów trybunalskich i sejmikowych; efektownymi doświadczeniami fizycznymi starali się budzić w publiczności zainteresowanie i podziw. Podczas zjazdu trybunalskiego w r. 1753 w Wilnie „Książę Jmć hetman wielki W. ks. lit., będąc uwiadomiony od wielu Ichmciów, których codzienny bywa *concursum* do oglądania *in musaeo mathematico* różnych ciekawych eksperymentów,.. wizytował też *musaeum* tutejszej akademii *in comitatu* księcia Jmci miecznika W. Ks. Lit., Imci p. starosty oniksztańskiego, Imci p. cywuna wileńskiego i wielu Ichmciów kawalerów, kędy różnym, a coraz nowo-wynalezionym przypatrywał się elektryzacyi sztukom. I inne dość ciekawe *physicae experimentalis* oglądał *specimina*, jako to: *dilatationem solidissimorum corporum*, oraz *ex principis dioptricus, catoptricus, hydrostaticis* pochodzące *effectus*... Dla satysfakcyi zaś dam, pragnących widzieć tak elektryzacyę, jako też inne eksperymenta, — sprowadzona była *extra collegium* do sali akademickiej mniejsza *machina electrica* i inne, tak matematyczne, jako i do filozofii eksperymentalnej służące instrumenta. Dokąd tedy *d. 16 mai* w kompanii wielu państwa przybywszy, były tego wszystkiego spektatorkami: Pacowa, kasztelanowa żmudzka, Chreptowiczowa, kasztelanowa brzeska z córką, Tyszkiewiczowa, cywunowa wileńska, Sawaniewska, wojska W. Ks. lit., Ogińska, starościna dorsuniska, Chreptowiczowa, starościna werbelska i wiele innych¹⁾. W Lipcu r. 1762 odbył się „na obserwatoryum akademickiem S. J. z fizyki eksperymentalnej dowód o kolorach, pompach, elektryce etc.“ wobec deputatów trybunału i dygnitarzy²⁾.

W Listopadzie r. 1760 „przy dowodzie z nauki filozoficznej w Nowogródku różne fizyczne narzędzia paryską misterną robotą, a wynalezieniem p. Nollet'a, sławnego eksperymentalisty, zaszczycone, prześwietnemu trybunałowi filozofii profesor okazywał, któremi różnych przyrodzonych skutków przyczyny objaśniał i gruntownie opisywał... Z optycznych instrumentów wystawione było angielskie *microscopium*, 4 *lenticulas* mające, każde z nich niedojrzane oczyma *insecta*, w wodzie pływające, pokazywało. Widzieć można było przez nie w każdym najdrobniejszym pyłku, ze skrzydła motyla zebranych, całego motyla; w najmniejszej cząsteczce puchu — całe pióro; we włosach — kolanka, rowki i pory. Pokazano potem dwa znacznej wielkości zwierciadła, z których pierwsze, wydrążone abo *concauum*, mogło zapalić o pół łokcia i nawet metal topić; w pewnej tudzież odległości twarzy ludzkie (jakoby największych były olbrzymów) pokazywało; w dalszej

1) „Kuryer Polski” z r. 1753, Nr. 878.

2) „Kuryer Litewski” z 9 Lipca r. 1762.

zaś odległości wszystkich ludzi na wspak wywracało; a gdy w sam środek szpadę przykładano, — przez odwracający się blask druga napozór spada ze zwierciadła wytykać się zdawała i tak się końcami z sobą schodzić, że doskonale fechtowanie być się wydawało. Drugie zwierciadło, mające różne okrągłe wypukłości, ośmnaście razy jednego człowieka pokazywało, im bardziej odległego, tém bardziej szczuplejszego; widzieć można było, że gdy się jeden ze strzelbą musztrował, — najporządniejszy i najregularniejszy w ośmnastu wyrażających się osobach munsztr był zachowany. Obrócono się potem do zwierciadeł metalowych, z których jedne były *cylindrica*, drugie *conica*, trzecie *quadriangularia*: te wszystkie nieznanome na papierze figury tak sztucznie zbierały w jedno promienie i kolory, że każdy we zwierciadłach tych widział z podziwieniem i rozeznawał, co znaczyły. Więcej zaś, niż 30 figur przepatrzone. Wystawiono na potem szafę optyczną, lakierem chińskim i złotem ozdobioną, w której pałace, ogrody, fontanny i okręty pływające ta się żywo, jakby na nie kto w rzeczy patrzył, rysowały. Przeglądano potem dwa wielkie płaskie zwierciadła stalowe na metalicznych postumentach, różnemi szrubami trzymających się, dla wprowadzenia promieni słonecznych, w którąkolwiek potrzeba stronę, służących. Rozstawione były różne szkła trójgraniaste paryskiej i londyńskiej roboty; z tych 6 jedno przed drugim stać miało, aby przepuszczony promień słoneczny przez pierwsze prysma na siedm swoich przedniejszych kolorów podzielił się; z tych wzięty jeden, np. czerwony, na drugie pięć obrócony, dowodnie pokazać mógł, że systema Newtona o kolorach podobniejsze jest do prawdy, aniżeli Kartezjusza. Przypatrowano się także różnym szklom szlifowanym różnego koloru, które, gdy między sobą mieszać i przekładać zaczęto, mieszane kolory wydawały, tak: niebieskie, założone szkłem czerwonym, kolor fioletowy wydało; zielone, założone czerwonym, żółty pokazało; likwory mieszane różne różnych także kolorów już nabierały, już traciły. Z areologii o powietrzu dowodzono naprzód, że jest do życia potrzebne i krwi cyrkulacyi: próbowano to na rybach, pod recypient podłożonych, z którego przez machinę pneumatyczną — taką, jakiej używa w Paryżu najslawniejszy fizyk i akademik Nollet, na której 160 eksperymentów pokazać się może, — gdy wyciągniono powietrze, — rybki już na dno pogrążyły się; gdy zaś przywrócono, — na wierzch dla ścieśnionego wewnątrz pęcherza wychodziły, nigdy się już ponurzyć nie mogąc. Ciężkości i nalegania powietrza dochodzono już przez *hemisphaeria* magdeburskie, które się za wypompowaniem powietrza tak zamykały, że końmi rozerwać trudno; a gdy pod recypient podłożono szklany, nie mając takiego ciśnienia i ciężkości nad sobą, cienkim prętem mosiężnym od siebie ro-

zerwane były. W barometrach żywe srebro na dno spadało; merkurysz przez skórę i drzewo, na drobne się krople podzieliwszy, za pierwszym pompowaniem przechodził. Były czynione i inne eksperymenta: różnymi kołowrotami, na to umyślnie sporządzonymi, różne mosiężne w recypientach szruby obracane były dla krzeszenia ognia; w subtelném powietrzu widzieć było, jak skry kolor swój odmieniały i z żółtych stawały się czerwone, z czerwonych purpurowe, z purpurowych bardzo ciemne, tak, iż znikać począły; a gdy na proch padały, dym tylko, a nie płomień, wzbudzały. Z tego dowodzono, że sam płomień bez powietrza wolnego być nie może. Między wszystkimi innymi kontentowała przytomne państwo owa fontanna, która wyrzucała wodę na 30 łokci w górę, gdy mosiężną pompą powietrze w onęj machinie natężono i zgęszczono. Na końcu egzaminowano różne *phaenomena* abo skutki uwagi godne elektryczne, które wszystkie filozofii profesor tłómaczył podług zdania Nollet'a, kładąc za przyczynę dwa źródła materyi: wypływającej i przyływającej, z sobą się ścierające¹⁾...

W Poznaniu w Październiku r. 1764 „w przytomności zgromadzonych urzędników i ziemianów, na sejmik do Środy przejeżdżających“, dysputowała młodzież o wodociągach (pompie wodnej): „czynione były doświadczenia na różnych narzędziach i machinach, do tego służących, z wykładem i ułatwieniem zarzutów, które goście czynili“²⁾, W Czerwcu roku następnego rozprawiano tamże „o dochodzeniu, dobywaniu i chędożeniu kruszców, o sposobie osuszenia ich od wody zalewającej, pokazując to doświadczeniem na sporządzonym wodociągu w obecności JO. trybunału prowincyi wielkopolskiej, licznych dam, urzędników i wielu innych zgromadzonych gości“³⁾.

Nęciły popisy szerszą publiczność nowością i żywotnością tematów, pociągały i dostępnością swoją, jako odprawiane w języku rodzimym, który od połowy wieku począł wywalczać sobie w szkole prawo obywatelstwa. Kasztelan sandecki, Leon Raczyński, zrobił dla akademii poznańskiej zapis 10,000 złp. na katedrę ekonomiki, która wykładaną być miała po polsku⁴⁾. Franciszek Bohomolec napisał o języku polskim traktat, który był przedmiotem ćwiczeń konwiktorów jezuickich⁵⁾. W Lipcu r. 1761 uczniowie jezuicy w Warsza-

1) „Wiadomości literackie“ (wileńskie) z 21 Listopada r. 1760.

2) „Kuryer warszawski“ z 14 Listopada r. 1764.

3) „Wiadomości warszawskie“, z 26 Czerwca r. 1765.

4) „Kuryer Polski“ z r. 1751, Nr. DCCLXXI.

5) Rozprawkę Bohomolca, wydaną po łacinie w r. 1752, przetłómaczył chorążyc malborski Ksawery Leski i wydrukował w „Zabawkach poetyckich niektórych kawalerów ak. szlacheckiej warsz. Soc. J.“ (1758).

wie, wobec licznie zebranych gości, prowadzili dyskurs: „jeśli mamy dostatek słów, jeśli nam nie schodzi na wyborze jak słów, tak pewnych mówienia sposobów? jakie mogą być największe trudności w wydoskonaleniu, jeśliby tego była potrzeba, naszego języka, abyśmy go do wszystkich nauk zażyć mogli i do nich obcych języków umiejętności nie zaciągali“ ¹⁾. Chwalili się w r. 1765 pijarzy łukowscy, że dysputa wychowawców ich „stąd szczególnie gości ukontentowała, że zdania albo propozycje filozoficzne — rzadko gdzie słyszany sposobem — ojczystym językiem do zrozumienia wszystkich oppugnowane i otrzymywane były“ ²⁾. Jezuiti głosili ukontentowanie króla, gdy mu konwiktorowie „traktat o mechanice polskim językiem napisany“ ofiarowali ³⁾.

„Filozof eksperymentalny, — dowodzili jezuiti, — bez narzędzia nie więcej dokaże, jak żołnierz bez broni... Wielkim ludziom, terazniejszym fizykom, wdzięcznie obowiązani być mamy, iż nas nie gołemi słowy uczą, lecz widocznie pokazują to, co mówią“; najbardziej winniśmy wiele pierwszym wynalazcom microscopiów, telescopiów, barometrów i machin pneumatycznych. Albowiem przez telescopia poznaliśmy większą część nieba; przez machinę pneumatyczną poznaliśmy powietrze; przez microscopia poznaliśmy nowy świat mały, zamknięty w świecie starym“ ⁴⁾. Utyskiwali na kosztowność narzędzi, dla zaopatrzenia w nie gabinetów wskazywali na niezbędną subwencyi państwowej. „*Physica experimentalis*, w której z doświadczenia pewne się wywodzą reguły, potrzebnie byłaby dla kraju naszego wniesiona, gdyby nie potrzebowała nieco większego nakładu. Ten chętnie obce królestwa podejmując, większą nierównie miarą odbierają pożytki, których i u nas możnaby się było roztropnie spodziewać“ ⁵⁾. Gabinety fizyczne przy ich szkołach, dzięki bogactwu zgromadzenia i hojności dobrodziejów, zasobnością swoją przewyższały pijarskie ⁶⁾. Zaczęli też w matematyce i fizyce współzawodników wyprzedzać. Napływ do Polski jezuitów, wypędzonych w r. 1761 z Francji, niemałą w podniesieniu nauk był dla naszych pomocą. Ks. Jan Fleuret, w r. 1762 profesor fizyki eksperymentalnej w akademii wileńskiej, wielkie zainteresowanie budził wykładem teorii kolorów ⁷⁾. W Lipcu r. 1763, na akcie dorocznym, podkomorzyc bęlski,

¹⁾ „Kuryer warszawski“, z 29 Lipca r. 1761.

²⁾ „Wiadomości warszawskie“ z 24 Lipca r. 1765.

³⁾ „Wiadomości warszawskie“ z 14 Sierpnia r. 1765.

⁴⁾ „Wiadomości literackie“ z 28 Listopada r. 1760.

⁵⁾ „Wiadomości literackie“ z 1 Stycznia r. 1761.

⁶⁾ Kołłątaj. „Stan oświecenia w Polsce“, I, str. 91—93, passim.

⁷⁾ „Wiadomości literackie“ z 16 Lipca, 26 Listopada i 25 Grudnia r. 1762.

Choloniowski, zapewniał publiczność warszawską, że kawalerowie ćwiczą się „pod doskonałymi we wszystkich częściach matematyki profesorami, umyślnie z Francji sprowadzonymi“, i zapowiadał na przyszłość popis z mechaniki i optyki ¹⁾. W Poznaniu w r. 1765, ks. Antoni Sionest, w świeżo urządzonym gabinecie fizycznym, robił doświadczenia z zawieszonym w rurze szklanej drutem żelaznym, który podczas błyskawic nocnych nabierał własności elektrycznej i wydawał z siebie skry ogniste ²⁾. Rywalizacja zakonów wydała też kilka podręczników naukowych, ubiegających się z sobą o zaszczyt lepszości.

Pijarzy zalecony mieli ustawą Konarskiego wykład fizyki doświadczalnej według: Newtona, Kartezjusza, Bernoullego, Gravesandiego, Dalhama, Nollet'a, Keplera, Regnaut'a i innych. Wybór treści zależał od uznania profesorów, którzy jednak nie powinni wypuszczać z pamięci epigramatu Ovena: „nierozumną jest nienawiść, potępiająca wszystko dzisiejsze; godna politowania głupota, której wszelka do gustu przypada nowość“ ³⁾. W r. 1764, ks. Samuel Chróścikowski ogłosił w Warszawie „Fizykę, doświadczeniami poświadczoną“, zaopatrzoną w tablice rysunku Rocha Marłowskiego, również ze zgromadzenia pijarów ⁴⁾. Książka Chróścikowskiego nie ogarniała całości przedmiotu: pominęła wiadomości o znanych już wówczas własnościach cieplnych, magnetycznych, optycznych i innych; — ograniczała się do objaśnienia podzielności ciał, nieprzenikliwości, postaci i dziurkowatości, ciśnieniu ciężaru i sprężystości powietrza, przy czém podawała opis termometru i barometru, maszyny pneumatycznej, lewara i t. p. W poglądach na podzielność materji, próżnię, atrakcyę, szedł Chróścikowski za Newtonem, przyznając wyższość jego nad poglądami Kartezjusza i Lejbница; powstawał przeciwko tym, którzy we własnościach rzeczy widzą coś utajonego (*qualitatem occultam*). Był Chróścikowski zdeklarowanym zwolennikiem Newtona, z obawy jednak, żeby go nie posądzono o niezgodność z religią, daje się niekiedy powodować chwiejności. „Dalekom się podobno, — pisał, — z newtoniaską atrakcyą zapędził: com jednak mówił, w tém tylko myśli newtonianów wyrażałem, albo raczej dotknąłem. Wolno zaś każdemu trzymać, co się podoba i zdaje“ ⁵⁾. Rychło po Chróścikowskim, ks.

1) „Wiadomości uprzywilejowane warszawskie“ z 3 Sierpnia r. 1763.

2) „Wiadomości warszawskie“ z 2 Stycznia r. 1765.

3) „Stulta haec invidia est, cui cuncta recentia sordent; invida stultitia est, cui nova sola placent“. (*Ordinationes visitationis apostolicae, pars. IV. § 7. art. 192*).

4) O wyjściu jój donosił „Kuryer warszawski“ z 1 Września r. 1764.

5) Ocenę dziełka Chróścikowskiego, ze stanowiska historycznego, napisał S. Dickstein, („Przegląd pedagogiczny z r. 1883, str. 125—128).

Józef Rogaliński rozpoczął wydawnictwo dzieła obszernego p. t.: „Doświadczenie skutków rzeczy, pod zmysły podpadających“ (tom I w 1765, dalsze 1767, 1770, 1776), obejmującego wykłady autora w szkołach jezuitkich w Poznaniu. Jezuita, podobnie jak pijar, krytykuje teorię monad Lejbnica i Wolffa, nie podziela poglądów Kartezjusza, wielbicielem zaś jest Newtona. Newtonowskie prawo ciężenia, że „wszystkie skutki na świecie tłómaczy“, do najznakomitszych Rogaliński zalicza odkryć; lęka się przecież oświadczyć za nié stanowczo, niewątpliwie z obawy znalezienia się w kontradycyji z religią. Nie będziemy się—powiada—ślepo przywiązywać do niego: „nie nie przyznam na samo słowo mędrca jakiego, póki prawdy przez doświadczenie nie obaczę“. Z poszukiwania „początków pierwszych i przyczyn wszystkich na świecie rzeczy“, rezygnuje zupełnie, albowiem rezultat dotychczasowych w tym kierunku dociekań ogranicza się „na dowcipném podobno“. „Dlaczego wszystkie szkoły, wszystkie rozумы tego wieku, zaniechały cale dalszego szukania tych początków, uznając, że wiadomość ta nie jest potrzebną do zrozumienia skutków przyrodzonych. Bo chociaż pierwszych początków ich nie wiemy, możemy jednakowo przez doświadczenie dochodzić ich bliższych początków i przyczyn, które pod zmysły nasze podpadają“. Mniejszój od dzieła Rogalińskiego wartości była, wydana w r. 1767 w Lublinie przez jezuitę Stanisława Chyczewskiego, „Physica experimentalis figuris aeriincisis depicta et illustrata“, rozprawiająca o kometach, systemach budowy światów: Kopernika, Tychona i Ptolomeusza; o machinie elektrycznej i anatomii człowieka; podająca sposoby fabrykacyi atramentu sympatycznego, chronometru, termometru i t. p.

W szóstém i siódmém dziesięcioleciu nowa filozofia stanowiła kwestyę żywotną: w zebraniach towarzyskich wywoływała dysputy i spory, w czasopismach i książkach była przedmiotem rostrząsań i uwag.

„Wrzaskliwe, pełne uporu i potwarzy dysputy nie wiedzieć o co—pisał „Monitor“ (1770 r. Nr. 15)—które się teraz po kompaniach zjawily, tak mnie zgorszyły, że pomyśleć nie mogę bez gniewu o filozofii. Stawiam przed oczy WMPanu niedawno tu w Warszawie w znaczniejszej jednej kompanii, podczas obiadu, odprawianą dysputę. Ci, co ją rozniecili, tak żwawo, potężnie, z zaślinieniem się, szelestem, tupaniem, lukiem, potwarzami... nastawali na siebie, żeśmy już rozumieli, iż od téj argumentacyi zapewne do krwawego przyjdzie pojedynku... Obstawano tam z jednej strony przy tém zdaniu, że „materya pierwsza rzeczy wszystkich jest to możność nieprzypuszczająca żadnej czynności, ani metafizycznej, ani fizycznej“; z drugiej strony atakowano, że „ta materya... jest próżny wymysl ludzi, źle rze-

czy pojmujących, w uczeniu oszukujących... jest śmiech rozsądnych ludzi“ Popierający swego zdania, powiadali, że to jest fundament wiary, pierwszy do pojęcia wszystkich rzeczy zmyslnych początek i grunt nauki naturalnej. Atakujący mówili: toż tedy tak szacowna i potrzebna rzecz powinna być istotą jakąś, łatwą do pojęcia, a WMPanowie powiadacie, że: „ta materya nie jest coś, nie jest jakie, nie jest tyle albo tyle, bez żadnych przyzwoitych jestestwa własności, a przecież nie jest nic“. Broniący swojej materyi rycerze powiadali, że: „możność do bycia jest tak dobra, jak samo jestestwo i że ta możność jest pośredniącą rzeczą między jest i nie, a lubo własności jestestwa nie ma, ale w łonie swoim cudowném ma ukryty skład wszystkich rzeczy... A tak, skoro materya łono swoje otworzy, wnet stanie się: Piotr, koń, kamień, ryba, drzewo“. Atakujący z wielkim pośmiechem i hałasem pytać zaczęli: „a ta forma znowu substancyonalna rzeczy wszystkich, cóż będzie? Odpowiedziano: oto piotrostwo, koniostwo, rybstwo, drzewiostwo, jest formą Piotra, konia etc. I też to cała odpowiedź? a któż się mędrszym i lepiej objaśnionym stał po takiej odpowiedzi? Kto tu z przytomnych (mówili atakujący) rozumie te wyroki delfickie? O! strato czasu! o nauko, ćmiąca rozum jasność naturalną i wrodzoną do pożytecznych rzeczy sposobność! Dobrze uczony Grawina powiedział, (mówi dalej atakujący), że jak tylko poczęło się królowanie w szkołach perypatetyki, tak też zaćmiona została prawda, upadł gust pożytecznych nauk; krótko mówiąc: uczyć zaczęto subtelnie błędzić. Tu dopiero otworzyło się pole wielkiej bitwie z obudwóch stron z taką żwawością i gorliwością, z jaką żaden jeszcze podobno generał forticy najmocniejszej nie atakował. Broniący się, mniemając, że to był *crimen laesae majestatis* tknąć naukę Arystotelesa, któremu posłuszeństwo przysięgają, wydali to hasło: że jednego Arystotelesa nauka wszystkich filozofów przeważa zdania; że oną ojcowie Kościoła uznali pomocą do obrony wiary. Opak wszystkiego dowodzili atakujący, idąc przez wszystkie wieki, i pokazywali wielką nikczemność, balamuctwo perypatetyki“...

Filozofowie, poczytywani przed laty dziesięciu za gorszycieli, zdobywają uznanie. Jezuita, Andrzej Bromirski, przetłómaczył z francuskiego i wydał za aprobatą kościelną książeczkę¹⁾, nie szczędząca dla Kartezjusza najwyższych pochwał. „Filozof ten uczył godnie, ponieważ mówił uczniom swoim: zbierzcie myśl w sobie i radźcie się rozumu, a względem tajemnic natury uciekajcie się do dochodzenia rzeczy i do doświadczenia... Żaden człowiek, który nie myśli o nau-

¹⁾ „Filozofia obyczajów i rozumu“. R. 1762, Warszawa, druk. Coll. Soc. Jesu.

kach tak, jak myśleć o materii fizyki przepisał Kartezjusz, nie jest godnym wieku teraźniejszego... Logika szkolna, na słowach tylko i podejściu w nich zasadzająca się, wielkiem była ukontentowaniem pięciu lub sześciu wieków... lubo mało na co zdała się. Logika gruntownego i stałego dyskursu, na poważnych i głębokich zdaniach zasadzająca się..., jest darem daleko nad pierwszą doskonalszym, który nie dał się słyszeć między ludźmi, aż po Kartezjuszu..." *Czasopismo*, redagowane przez jezuitę, Adama Naruszewicza, o zasługach filozofów nowożytnych z gorącym się rozwodzi zapalem. „Patrzcie na Kartezjusza, zgrzybiałej parypatetyków filozofii urągającego się, a szkolne w zwadliwym tłumie berło Arystotelesowi z rąk wydzierającego: bez względu na potwarzy najstraszniejsze, nań od ludzi, w błędach zanurzonych, miotane; bez względu na wygnanie ustawiczne, w którym zostawać musiał; pełen w tylu utrapieniach, dla utrzymania prawdy poniesionych, był pociechy, a pociechy stąd wypływającej, iż się pewnym tego widział, że na fałsze następuje; a nadzieję miał, że prawda tak chętnie po śmierci jego przyjęta będzie, jak żwawo za życia była odrzucona. Patrzcie na Bakona, z ciemnych zabytków nieumiejętności wychodzącego, w którychby jednak współżyjących zjednać sobie mógł podziwienie: uniesiony w górę lotnem dowcipu swego skrzydłami, wzbija się na miejsca, obfitym obdarzone światłem, na których podziwienia celem być nie mógł, gdyż słabe ludzi wieku onego wzroki dojrzyć go nawet nie potrafiły. Wzniecił on pierwsze iskiereki onego-to, tak nam mile teraz przyświecającego, ognia; stawiał, ale daremnie, to słabe jeszcze światło przed oczami ludzi, dzikością niejaką i nierozumem zaślepionych, a tём samém wyrzekał się pochwał wieku swego, aby całej potomności oczy na się obrócił“²⁾. Wydawnictwo zeszytowe księgarza warszawskiego, Pose-ra³⁾, w obszernym artykule o historii filozofii urąga Arystotelesowi, a raczej tym, którzy go komentarzami swymi spaczyli; unosi się nad odkryciami myślicieli, począwszy od Kopernika, skończywszy na Wolffie... W wieku XVI filozofia poczęła się uwalniać z więzów terminologii i dla dowodzenia prawdy trzeba było dowodów i przekonania rozumu, a nie samych słownych wyrazów. Zrzuciono nawet jarzmo mistrzowskiej powagi w filozofii i, nie czyniąc krzywdy Arystotelesowi, nie chciano mu wierzyć na gołe słowa... Mikołaj Ko-

²⁾ „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ (1770), t. I, część I, edycyi 2-ej z r. 1775 str. 167.

³⁾ Zbiór różnego rodzaju wiadomości z nauk wyzwolonych, filozofii, prawa przyrodzonego, historii, polityki, moralnej tudzież innych umiejętności rozmaitych uwag do pożytku i zabawy publicznej służący. 1770, zeszyt 10.

pernik odważył się iść za światłem własnego rozumu do gruntowania i dochodzenia prawd matematyki i astronomii... Galileusz poszedł za zdaniem Kopernika... Gassendi wynalazł na początku XVII wieku najłatwiejszy i najdoskonalszy sposób traktowania filozofii, który wiele dopomógł do wydoskonalenia tej nauki. W tymże czasie Kartezjusz odkrył sposobem, mało komu przed nim znajomym, więcej prawd w filozofii, niż filozofowie dawniejszych wieków... Jeszcze przed Kartezjuszem Franciszek Bacon poznał niedokładność filozofii szkolnej i zły sposób, którym jej uczono: on pierwszy pokazał światło, za którym poszli wszyscy... Wiele światła i wydoskonalenia swego powinna filozofia Newtonowi, Lejbniciuszowi i Lockemu... Wiadome jest całemu światu sławne systema Newtona o czczości i ciągłości, nikomu z uczonych nie jest tajno, z jak wysokim i doskonałym wymysłem zakładał swoje początki i jak mocne z nich czynił wnioski... Cóż mówić o barona Lejbniciusza systemacie względem świata? jak wysokimi ten mąż był zaszczycony talentami i doskonałością w naukach matematycznych? z jaką łatwością rozwiązywał problemy najtrudniejsze i największej wagi? Cóż mówić o prawdziwej anatomii, ugruntowanej na dowodnych przyczynach i doświadczeniu, ściągającej się do duszy i rozumu ludzkiego, której autorem jest pan Locke? co o odkryciach jego w tej mierze najsubtelniejszych i najprawdziwszych, o sprawiedliwych granicach, które naszym poznaniom oznaczył? Nie przytoczę tu po tych wielkich ludziach, tylko pana barona Wolfiusza, któremu filozofia winna wyluszczenie i wykładanie terazniejsze prawd swoich nowym sposobem matematycznym. Ten sam objaśnił i dokładniej wyłożył wszystkie systemata pana Lejbniciusza i zostawił bardzo szacowne dzieło o wszystkich częściach filozofii. Jego instytucje matematyczne składają najlepsze dzieło z tych wszystkich, którekolwiek w tej mierze i w jakimkolwiek wyszły języku..“

Inicyatywą i zabiegami pijarów, wytrwałą emulacją jezuitów, poparciem czasopism i książek, nowa filozofia wywalczyła sobie rację bytu i kredyt. Pijarzy—powiada Kitowicz¹⁾—dokonali tego, że wszystkie szkoły przyjęły neoteryzm czyli naukę *recentiorum*, według której ziemia się obraca koło słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczeń obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni. Że koloru nie masz żadnego w rzeczach, tylko te barwy, które na nich widzimy: białe, czarne, zielone, czerwone, żółte, sprawuje temperament oczu i światła... Że ból, świerzbienie i inne czucia nie mają swego pla-

¹⁾ Opis obyczajów i zwyczajów za pan. Augusta III. Petersb. i Mohylew. 1855, t. I. str. 20.

cu w ciele, tylko w duszy... Zgoła, pod Augustem III... wzięła w szkołach polskich początek nowa filozofia, ale z wielką bojaźnią rozszerzała swe zdania; ośmieliła się zupełnie na końcu jego panowania". „Zaczyna w Warszawie—głoszono w r. 1765¹⁾—osobliwie u księży... fizyka doświadczalna kwitnąć i spodziewać się należy, że wkrótce mężów, w wszystkich częściach matematyki biegłych, Polska widzieć będzie. Mogę też słusznie mówić, że zdrowsza filozofia, która od niemałego czasu do tego królestwa nie była dopuszczona, z czcią do niego teraz się wraca i niechybnie onych pożytków, które z sobą przynosić zwykła, uczestnikiem one uczyni". Ci, którzy w pierwszej połowie stulecia wystąpili przeciwko krzewicielom nowej filozofii z zarzutem herezyi, w lat kilkanaście później utyskiwali, że popularyzowanie fizyki doświadczalnej w Polsce napotyka trudne do złamania zawady, doradzali dla podniesienia w narodzie znajomości téj nauki działać na młodzież środkami zachęty. „Te nauki,—pisali jezuici—w r. 1761²⁾, że nie tak są łacne, aby z małym przygotowaniem i lekką uwagą miały być pojęte,—nie wzięły dotychczas wzrostu u nas znacznego. Rozumy nasze, chociaż są dosyć ostre do pojęcia, dla przeciwnych jednak maksym, od młodych lat powziętych, jakoby całe szczęście i promocyja uboższych w kancelaryach się i dworach zawierały,—w takim mają szacunku nauki, w jakim zabawy, wymyślone do zwłoki czasu. Bojaźń kary zostawiona jest za jedyny środek do wrażenia młodym ochoty do nauk, gdy inne królestwa do osiągnięcia tego końca promocyi na wysokie dostojności używają. Skutecznie im się ten sposób powodzi i mają w duchownym i świeckim stanie ludzi, doskonałą mądrością ojczyznę wspierających".

W początkach ruchu największem uznaniem cieszyła się filozofia Wolffa, ucznia Leibnica. Mistrza nazywano filozofem „nieśmiertelnej sławy", Wolffa najmądrszym, najślawniejszym (*sapientissimus, celeberrimus*). Kiedy Hobbes „wynalazca ateuszostwa czyli Bogaprzeczcstwa" i taką samą mający opinię Spinoza, w ludziach religijnych budzili odrazę, Lejbnic, a przedewszystkiém Wolff, popularność zdobyli w Polsce największą. „Chrystyan Wolfiusz—pisał Narbutt—Lejbniciusza zdania wierny tłómacz, wielkiego człowiek pojęcia i bystrego rozumu, wszystkie filozofii części nietylko naturalnym porządkiem, ale wielką dowodów mocą wyłożył, pomnożył i objaśnił, tak szczęśliwie i doskonale, że słusznie mu przyznać imię należy wielkiego". Mitzler de Kolof wydał w przekładzie „pewnego młodego kawalera, który z nie-

1) „Monitor" z r. 1765. N. 62.

2) „Wiadomości literackie" z 1 Stycznia r. 1761.

spracowanem usiłowaniami i pomyślnym skutkiem w umiejętnościach wyższych dotąd się ćwiczy“, *Naukę rozsądkową* Jana Krzysztofa Gottscheda, ucznia Leibnica i Wolffa¹⁾. „Nie mógł zaiste—powiada Mitzler w przedmowie o tłumaczu—narodowi polskiemu znakomitszej przysługi uczynić. Bo dotychczas nowa filozofia tylko niektórym wyższego stanu osobom znajoma była. W polskim języku jeszcze dotychczas filozofii nie czytano, przynajmniej poprawionej przez nowszych autorów, która we wszystkich prawie państwach Europy na dawniej Arystotelesowej miejsce nastąpiła. W Polsce mniej dotychczas poważano wynalazki nowej filozofii, a najmniej o nie dbali ci, którzy najbardziej mieć staranie winni byli. Teraz zaś jest nadzieja, że i ta część umiejętności lepiej w Polsce kwitnąć pocznie, do czego się ta filozofia nie mało przyczyni“²⁾. W kilka lat później pijar, Kazimierz Narbut, napisał podług pomysłów Wolffa i ogłosił w Wilnie (1769) *Logikę, czyli rozważania i rozsądzania rzeczy naukę, według której każdy ma we wszystkiem prawdy dochodzić i strzedz się fałszu*³⁾. Jezuita Nakcyanowicz z dzieł Wolffa ułożył kompendyum⁴⁾ do wykładu matematyki w akademii wileńskiej. Pijar, Klemens Hołowiński, miał w manuskrypcie polskim wyciąg z prac filozoficznych profesora halskiego; kanonik chelmski, Antoni Rostkowski, przełożył różne traktaty jego, których jednak do druku nie podał⁵⁾. Wogóle przecież nie chciano się kępować żadnym systemem filozoficznym, obejmującym całokształt pojęć o człowieku i świecie. „Należałoby—pisał *Monitor* (1773, Nr. 69)—jak może być najmniej łożyć czasu na nauczanie się rozmaitych systematów, które ułożyli filozofowie tak dawniejsi, jako i terażniejsi. Niektóre są tylko walczeniem w słowach i zasadzają się na szczerym domyśle. Niech jeden daje tę atomom godność, że są początkami rzeczy, t. j. ciałkami tak złączonemi, iż się rozdzielić nie mogą; drugi okrzyknie, że każde ciało jest nieskończenie podzielne.

¹⁾ Wychodziła przy „Nowych wiadomościach ekonomicznych i uczonych, albo magazynie wszystkich nauk, do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych“ (1758—1761); osobno w r. 1760 p. t. „Pierwsze prawdy całej filozofii“.

²⁾ W młodszych latach pisał Mitzler po niemiecku i po łacinie rozprawy z logiki (np. „De natura syllogismi“), stosując do niej metodę matematyczną Wolffa. Rezultaty badań jego, zaniechanych później, przypominały czasopisma polskie, nie szczędząc autorowi wyrazów uznania („Monitor“ z r. 1775, N. 6).

³⁾ Bentkowski („Hist. lit.“ II, 20), według którego pierwsza edycja książki Narbutta wyszła w r. 1766, prawdopodobnie myli się. Wydania takiego nie znaleźliśmy, nie zna go i „Bibliografia“ Estreichera. Edycje z r. 1769, 1775, 1782, 1791 mają aprobatę z 13 Sierpnia r. 1768, co przemawia za wersją naszą.

⁴⁾ „Praelectiones mathematicae et Wolfianis elementis adornatae“. Wilno. 1759, 1761.

⁵⁾ Janocki. „Lexicon“. I, str. 141; II, str. 159.

Mówmy to samo o sprzeczkach i zdaniach rozmaitych o wibracjach i czczości. Są to utarczki ustawiczne, w których nigdy nie można widzieć, z której strony zwycięstwo, bo wiele jest ciemności w tej części filozofii. Plato i Arystoteles byli panami wydanęj bitwy przez wiele wieków; w ostatnich latach Gassendystowie i Kartezjuszowie sądzili, że ich spędzili z placu, ale w pośrodku ich zwycięstwa Newtonowie, Leibnicowie, Wolfiuszowie — wszyscy waleczni wojownicy przeciwko nim powstałi i mogą się spodziewać, że ich podobny, jak drugich, los oczekuje. A wieleż jeszcze pałaców na powietrzu nie wymyślają codziennie filozofowie?“.

Żaden istotnie z systemów filozoficznych w całości uznania nie znalazł: czerpano ze wszystkich o tyle, o ile bezpośrednio nie zaczęły dogmatów i nie podkopywały etyki chrześcijańskiej. „Kartezjusz — pisał ks. Samuel Chróścikowski¹⁾ — wszystkich dawniejszych filozofów zawstydził, błędy ich wytknął i pokazał, jak mało co o rzeczach naturalnych rozumieli. Nową więc filozofię ułożył i za prawdziwą lub przynajmniej do prawdy podobniejszą utrzymował. Lecz i jego filozofia, czas niejaki panowawszy, prawie już upada. Dzielią się najbieglejsi ludzie. Jedni jemu sprzyjają, naukę jego oświecając lub niektóre rzeczy poprawiając. Drudzy za Newtonem idą. Inni się do Leibnicjusza nachylają. Inni Arystotelesa jeszcze utrzymują. A jako dawni argumentowali, tak i terażniejsi filozofowie jeszcze argumentują, i do którego kto w czém przywiązał się, w tém jego naukę wszelkimi rozumem siłami popierać usiłuje. Już-że więc na wszystko filozofowie zgodzili się? już-że nam dowiedli, jaka jest rzeczy materialnych istota? czyli materia jest nieskończenie podzielna? czyli Newtonska atrakcja jest rzeczy materialnych własnością? czyli czczość w rzeczach ma być przypuszczona? czyli słońce koło ziemi, lub ziemia koło słońca obraca się? Prawdę szczerze wyznając, te i tym podobne kwestye jeszcze dotychczas nie są gruntownie rozwiązane i tylko je filozoficznem mniemaniem nazywamy. Któreby z nich do prawdy podobniejsze było, każdy tak trzyma, jak się mu zdaje i podoba... W tych naukach, które się do samej filozofii ściągają i w których nikomu swém zdaniem nie zaszkodzi, jakkolwiek utrzymywać będziesz, wolno to twierdzić, co za prawdziwe lub przynajmniej do prawdy podobniejsze być poczytujesz. Wszakże i nam Newtonska atrakcja, tudzież czczość w rzeczach materialnych być się do prawdy podobniejsze zdają, aniżeli najsubtelniejsza jakaś materia, od Kartezjusza wymyślona. Lecz w nauce,

¹⁾ „Filozofia chrześcijańska o początkach praw naturalnych przeciwko deistom“. Warszawa. 1765, str. 237, 240 passim.

obyczajów tyczącej się, nietylko rzecz jest sprawiedliwa, ale też i potrzebna, ażeby nauczycielem naszym był Chrystus“.

Nad wszystkie systemy filozoficznie przekładano eklektyzm. Z pomysłów scholastycznych Bakona, Kartezjusza, Gassendiego, Locke'a i innych ulepił „Praelectiones logicae“ (1761) profesor filozofii w akademii wileńskiej, Benedykt Dobszewicz¹⁾. W akademii krakowskiej zaprowadził filozofię eklektyczną profesor Józef Putanowicz, w szkołach Lubrańskiego w Poznaniu – Matatowski i Chudzicki; wykładali ją w niektórych kolegiach jezuiti, np. w Przemyślu ks. Michał Pisarski, i miewali o niej dysputy²⁾. Sam Narbutt, lubo wyznawca Wolffa, chwali eklektyków, że, do żadnej nie przywiązując się „sekty“, wybierają z filozofów opinie, jakie przypadną komu do gustu. „Ten to jest sposób, który od szkolnej niewoli filozofię skutecznie wyzwolił“.

Gruntowniej, niż Leibnica i Wolffa, zaaklimatyzowały się w ostatniej ćwierci wieku poglądy Locke'a: jako nie masz żadnych idei wrodzonych, że wyłącznym źródłem poznania są zmysły (*Nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu*). Teorya gołej tablicy (*tabula rasa*) ducha stała się punktem wyjścia dla prac pedagogicznych i publicystycznych, podejmowanych w celach przekształcenia narodu. „Człowiek nie przynosi z sobą na świat ani cnót, ani występków; rodząc się, nie jest ani złym, ani dobrym. Nie przynosi z sobą na świat, jak tylko moc czucia potrzeb swoich, którym dogodzić sam przez się nie może. Namiętności żywsze lub słabsze są darem samej natury, ale darem, który przy pomocy tejsze natury wymusić na nią można. Idźcie tylko rodzice drogą samej natury, porzućcie kunsztowny i niewłaściwy człowiekowi sposób życia, a wasze dzieci będą miały piękną figurę i dobry temperament. Dawać edukację dziecięciu jest to używać jego naturalnych sposobności, temperamentu, tkliwości i potrzeb, aby z niego zrobić to, co chcemy, jak garncarz używa ciągłości i wilgotności gliny na zrobienie z niej według swego upodobania garnka lub talerza. Najwięksi obyczajności nauczyciele są tego zdania, iż przy pomocy edukacji można każde dziecię tak uformować, jak tylko kto chce, i że wszystkie dzieci mogą przyjmując i utrzymać w sobie te wyrazy, które się w nich chce czynić, aby tylko umiał kto, jak sobie trzeba z nimi postępować“³⁾. Z tego

1) Struve. „Wykład systematyczny logiki“. Warszawa, 1870, str. 170.

2) „Kurier polski“ z r. 1759, N. 1, addyament. Baliński. „Pamiętniki o J. Śniadeckim“ I. 6.

3) „Zbiór tygodniowy wiadomości uczonych na R. P. 1784 wydany“. Kraków. Art. „Maksymy dobrego wychowania“ (Kwartal III N. 2).

samego stanowiska ujmowali się publicyści za chłopstwem, rozprawiali o reformie żydostwa. „Pomimo przesądu — pisał „Monitor“ (1778, N. 81)—który nie przyznaje chłopu najmniejszych dobrych przymiotów, zawsze jest pewne, że chłop, jako jedną z nami naturę mający, tak jedneż ma sobie nadane od natury przymioty, które nie chcieć mu przyznawać, jest to chcieć wyzuć go z nazwiska człowieka“. „Chcemy mieć ludzi czułych i towarzyskich, wychowujemy dzieci nasze w społeczeństwach ludzi, a nimi się staną; ludzi rozumiem wszelkiego stanu, bo natura, tworząc nas, żadnej zewnętrznej między nami nie uczyniła różnicy“¹⁾). Cechy moralne, właściwe Żydom, przypisywano nie prawu dziedziczności, lecz warunkom wychowania i wpływowi ustawodawstwa²⁾ Pogląd Locke'a na znaczenie zmysłów w procesie poznania również popularność miał wielką. „Albo rozumem przeniknąć, albo o tém mówić, o czém i o której rzeczy człowiek przez zmysł żadnej wiadomości nie zasiągnął, mojem zdaniem najtrudniejsza. Czego człowiek nie widział, nie osądzi co jest; jak się dowie o rzeczy, jeżeli się nie dotknął?“³⁾ Profesowie i publicyści przy każdej sposobności przypominali zasadę, jako „nic nie jest w rozumie, coby wprzód nie było w zmysle“⁴⁾). Staszyc, sentecjami filozoficznemi przepełniający zarówno traktaty publicystyczne, jak utwory poezyi, najwybitniej wyobraża panujący w ostatniej ćwierci wieku kierunek empiryczny. „Nie mamy wyobrażeń wrodzonych. Z porównania uczuć robią się wyobrażenia zmysłowe. Z porównania zmysłowych wyobrażeń pochodzą wyobrażenia myślne, czyli pomysły. Pierwsze mogą mieć zwierzęta, drugie ma tylko człowiek... Plato pierwszy dawał naukę o wyobrażeniach wrodzonych, Kartezy myśl Platona rozszerzył i jako umiejętność podał. Z uczniów, z naśladowców Kartezego najślawniejszymi byli: Malebranche, Pascal, Arnould. Do nich przystąpił Leibnic i przydał jeszcze naukę o monadach... Naukę Leibnica poparł dowcipnie Wolff i przez osobliwy sposób idei wykładu upowszechnił ją we wszystkich szkołach Niemiec... Aristot wyrzekł najpierwszy, że to wszystko, co wyobraża rozum, muszą wprzód znać zmysły... Locke, obrażony mylném Kartezego mniemaniem, podaném za zasadę nauki o wrodzonych wyobrażeniach,

1) „Kniaź Żegota, czyli pan dobry“, powieść. Warszawa, 1784, str. 33.

2) „Żydzi, czyli konieczna potrzeba reformowania Żydów w krajach Rzeczypospolitej“. 1782.

3) „Monitor“ z r. 1780, N. 28.

4) Trzcziński. „Opisanie przyczyn fizycznych trzęsienia ziemi“. Kraków, 1787.

zebrał wszystkie wywody na utwierdzenie prawdy, przez Arystotelesa wyrzeczonej. Naukę Locke'a posunął daleko Condillac¹⁾.

Do rozpowszechnienia empiryzmu przyłożył się akademik krakowski, ks. Cyankiewicz, przez ogłoszenie przekładu dzieła Locke'a „O rozumie ludzkim“²⁾, oraz zaprowadzenie w szkołach logiki Condillac'a. Wytłoczony w r. 1786 „w drukarni pokojowej Siemiatyckiej“ traktat p. t. „Physiologia albo krótko zebrane lekcyje elementarne o naturze i własnościach duszy“ główne zasady filozofii empirycznej rozpowszechniał w formie przystępnej. „Jako krawiec bez igły, malarz bez pędzla, cieśla bez siekiery nie obejdzie się, tak i dusza twoja bez zmysłów obejśćby się nie mogła, bo to są jej instrumenta, przez które dochodzi wszystkiego... Przymioty duszy naszej czy są podobne tym, które zwierzęta mają? Mają zwierzęta ideę ciemną (pies szczeka przez sen), mają jasną (pies rzucony kęs chleba pożera), ale nie mają rozeznawającej (pies nie wie: z czego mięso, a z czego chleb). Fundamentalna między człowiekiem a zwierzęciem różnica, że człowiek, mając ideę rozeznawającą, przewiduje skutki i zna przyczyny tych skutków, czego zwierz nie może“.

Zawarcie możności poznania w granicach zmysłów i doświadczenia dawało naukom eksperymentalnym znaczenie wyjątkowe. Fizykę doświadczalną uważano za główną zasadę filozofii³⁾. „Do tego już stopnia oświecenia i umiejętności przyszedł wiek XVIII, że uwolnił filozofów, aby więcej nie byli filozofami, lecz przestali na tém, że są fizykami“⁴⁾. Proces reakcyi przeciwko scholastycyzmowi, błędzemu po bezdrożach urojeń, sprowadził filozofię do wyłącznego niemal badania zjawisk podpadających pod zmysły.

1) W przypiskach do poematu „Ród ludzki“. Podobnie rozwodzi się w „Przestrogach dla Polski“ (1790, str. 7) i w dodatkach do przekładu „Epok natury“ Buffona (1786).

2) „Logika, czyli myśli z Lokka o rozumie ludzkim wyjęte“. Kraków, 1784.

3) Trzeciński. „Dyssertacya o wzroście światła przez ducha obserwacyi i doświadczenia“. Kraków, 1791.

4) „Zbiór tygodniowy wiadomości uczonych na R. P., 1784 wydany“. Kraków. Art. „Uwaga względem filozofii obyczajnej“ (Kwartal I, N. 2).

GLUPI FRANEK.

Niski brzeg Narwi kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pełczyńskich do Zajek ciągnie się kręto i obłąźnie, brzmiała teraz jak struna ruszona.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode, kwietniowe słońce, jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomieniwszy tylko rąbek widnokregu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche.

Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskrós światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymyły tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, rozciągające się aż do samej Biebrzy, dyszały tchem ciepłym jeziora i kołbiele, z których opary to w górę słupem sinym szły, to opadały poszarpaną płachtą, nie puszczając oczu w głąb zarastających je oczeretów, sitnisk i wikliny.

Z tych-to właśnie oczeretów i sitnisk biła owa roznośna, głużąca wrzawa ptasia. Tutaj-to grały bekasy, chruściele, łyski krzykliwe i biegusy błotne. Ztąd rwały się wrzeszczące czajki, baki, kurki wodne; tam odzywał się nur, tam dاری się krakwy wrzaskliwe, tam podgorzałki, jednostajnym kwakiem świdrujące uszy, tam cyranki lotne. Tam zapadały rybołówki i mewy, tam krążyła wysooko pływająca w powietrzu kania; ztamtąd i czapla, śmigając skrzydłami jak miechem, brała lot ciężki, oporny.

Wrzask tu był tak zmieszany, głosy tak rozmaite, że zupełnie pokrywały szum szorującej poprzez trzciny rzeki, która sobie z sypkiem drogę torowała, tworząc w pośrodku owych kęp i sitnisk małe, ciche, odbijające błękit nieba oka, niby sadzawki, umyślnie dla tej skrzydlatej hałastyry robione.

W tej chwili właśnie, z jednej z kęp takich porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież, z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosom okryta, mało co różniąca się barwą od pożółkłych zeszłorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chudej szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej grzywy, posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistej głębi oczu, twarz chudą, śniadawą, i szerokie cienkie wargi, które dziwaczny, pełen żalości i zakłopotania uśmiech, szerszemi czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między pożółkłemi badyłami sitowia, sterczały gęsto trzciny o brunatnych pałkach, połamane kłębnie tataraków i wielkie pierzaste kiście mietlic, tworząc oryginalne tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski przebiegłości i przekory, a na dnie których leżał stary i niepoczyszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzcina, tkwiły tak nieruchomie, że kaczki, lot nagle zniżywszy, były w nią niemal, nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżej, nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigwały w powietrzu śniade brzegówki, których gniazda czerniły się w gliniastym ile wyższego brzegowiska rzeki, jak kule, tkwiące w gęsto ostrzelanym murze. Przenikliwie ich głosy wpadały w tępy, uporzeczywy kwak kaczego stada, jasne, fletowe, wysokie. I one zlekły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka, bujająca się na okiści rudego szuwaru tuż prawie przy spłowiałej gęstwie włosów owej głowy, świegotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jednem, to drugiem oczkiem na nieobyczajne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet rozumieć, co ten świegot oznaczał.

....Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

....To jest głowa głupiego Franka.... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcej... Czego się bać? Czego się bać?...

....Poznaję ją... Wybornie ją poznaję... W czółnie tu leż w każdego wieczora, z czółna podnosi się każdego rana.. Czego się bać?... Czego się bać?

...Nic złego nie zrobi... jajek nie wybierze... piskląt nie nastraszy... Czego się bać?

...Tak, to głupi Franek!... Głupi... głupi Franek!... Czego się bać?... Czego się bać?...

Nagle urwała pokrzywka swój świegot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrze wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągniętych lotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świegotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała całutką historię o tym głupim Franku. Byłaby opowiedziała, jak to on tu niewiadomo z kąd nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeźna; jak te baby mówią, że go w czapliném gnieździe topielica powiła; jak, ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz „głupim“ był i tak się już został; jak do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki latem żył, a zimą z miłosierdzia ludzkiego. Byłaby może i to powiedziała, jakie to miłosierdzie gorzkie... gorzkie... gorzkie... Jak się dziewczyny z głupiego Franka śmiją, jak dzieci ze wsi czeredą za nim biegają, jaka zima długa i ciężka w szopie, a nie w izbie! Byłaby powiedziała, jakie słońce dobre i miłosierne, że wraca wiosną, jakby zapomniało czego, wraca i wygrzewa sitowia i kępy brzeźne, i budzi rybki pod wodą, i czerwieni po przylaskach jagody, i głupiego Franka ratuje. I jaka rzeka dobra i miłosierna, że głupiego Franka przygarnia, i jak niegdyś w czapliném gnieździe, tak go teraz po kępach i szuwarach tuli... I jaka ziemia dobra, dobra i miłosierna, że na tych półkach chłopskich, między gospodarskimi pełnymi kłosami i takie chude kłoski rodzi, które na podpłomyk dla nędzarza idą, na ten chlebek czarny, łzami obmywany, który, choć gorzki... gorzki... o! jak gorzki... duszę przecie trzyma w ciele, i dech żywota w piersiach trzyma, aby do pory, aby do pory...

Ona i to byłaby powiedziała może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak ręką chudą, czarną, głaszczce aksamitne palki trzciny i zielone wstążki tataraków; jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prosząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynéj piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem wodzie i powietrzu przybywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniło się, jakby rozsnutą w tysiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Obok sterczącej nieruchomie w oczeretach głowy, ukazała się teraz chuda, czarniawa ręka, dodając oczom zachrony. Ręka ta

drżała do samego ramienia; nie było w niej widać dobrej siły. A może chłód nocy i wilgotnego szuwaru w czólnie siedział w niej jeszcze.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rękę snop ognia, z którego porywając miliardy iskier, zaczęły biec fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony osłepiającem uderzeniem światła; tylko usta sterczącej w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakolysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwieniu, zniknęła nagle w pośród mieniących się nawskróś srebrem, zroszonych kiści mietlic i trzciny, której brunatne palki zapłonieny się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitniska, otrząsnął się, wyprostował, i wzięwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzduż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany.

Szmat starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniąłą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i także hajdawery, ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką w pasie, a u kostek sznurkiem związane, postowały z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

„Głupi“ na wsi niemal we wszystkich okolicach kraju tęp się szczególnie na pierwszy rzut oka odznacza, że bez czapki zimą i latem po drogach sobie chodzi, jak po własnej chacie.

Słońce go pali, deszcz moczy, wiatr suszy, mróz szczypie, a on jakoby Panu Bogu wymówić chciał tę nędzę swojej głupiej głowy w burzę i w pogodę, we dnie i w nocy, nosi ją pod niebem odkrytą, bezbronną, na ludzki śmiech podaną, zorzom i gwiazdom widną, i z nich też może biorącą nieraz takie nagłe błyski, takie daleko wstecz i naprzód sięgające światła, o których mądrym, w dostatnich baranich czapach schowanym głowom, ani się nie śniło.

Głowa „głupiego“ ze wsi, to studjum niezmiernie ciekawe. Jest to czasem głowa filozofa, czasem głowa poety, a zawsze głowa Łazarza.

W niej, jak w dziwacznym pryzmacie, odbija się cała nędza twardego chłopskiego życia, i wszystkie sny jego złote, naiwne, dzieciące niemal. Z tych rysów zagasyłych, z tych zwiędłych uśmiechów, z tych zmaconych źrenic, tryska nagle, niespodzianie, żywe źródło jakiejś prapiastowej, gdzieś złotemi żyłami chodzącej wskrós ziemi myśli, jakiegoś uczucia, wyblaskującego jutrzennem światłem dnia, o którym niewiadomo nawet, czy przyjdzie kiedy.

Głowa „głupiego“ zarasta najczęściej gęstwą lnianych, wypłowiałych włosów; rzekłbyś, kądziel to rusałczana, z której niewidzialna i samemu „głupiemu“ nieznana prządka snuje szarą, niezmiernie długą i spletaną, zagmatwaną nić zadumy nad rzeczami, które niewiedzieć jak do mózgu tego wpadły i pracują tam bezświadomie a nieutrudzenie, to wybuchając, jak płomień nagłe i silne, to leżąc ciche i nieporuszone, jako w roli ziarno leży siewne, na podziemiu pod skibę rzucone.

Głowa „głupiego“, z tą pracującą w niej na własny ład fantazyą, z tym nieuznaniem porządków świata i istnieniem poza ich karbami, — to retorta, przez którą myśl przechodzi z pospolitych głów rozsądnych do głowy genialnej.

Lud wiejski, mimo że się z „głupiego“ śmieje, instynktownie przecież otacza go poszanowaniem, zabobonnem niemal. „Głupi“, to u ludu tyleż prawie, co „mądry“, mądrzejszy może nawet od innych, tylko w inny sposób, tą mądrością, która nie jest z tego świata.

Czasem „głupi“ nie jest głupi; jest tylko nieszczęśliwy. Wiadomo, „głupich“ najwięcej „od rodu“, ale i to się znajduje po świecie, że chata komu ze wszystkiem do tła zgorzeje, albo mór gniazdo wybierze do ostatniej głowy, albo powódź rolę tak splucze, tak wymuli, jakby jej nie było; to taki nieraz między „głupich“ idzie, o nic dbania nijakiego nie ma, niczém głowy nie mitręży, tylko po świecie chodzi sobie luzem, poglądając po ziemi i po niebie, póki go tam śmierć nie ugasi kędy.

To, co indziej jest nerwami, melancholią, zniechęceniem, bluznierstwem, rozpaczą, — to wszystko jest tu „głupością“.

Czasem „głupi“ jest tak głupi, że nawet nie wie o „głupości“ swojej. To idyota, to durny. Takiego lud we wzgardzie ma, z bydlęciami go równa. Ale inszy chodzi po gościńcach wiejskich, jak apostoł, jak prorok, jak „opętany aniołem“. Taki „głupi“ ma w sobie coś żywiołowego. Z ziemią gada, z wodą gada, z wiatrem i z ogniem gada.

Niedołężny, głodny, obdarty, imponuje majestatem bezbronności swojej, swojej nieodpowiedzialności, bezpośredniem zetknięciem z palcem Bożym, który go już ot na taki żywot naznaczył.

Z pod gęstwiny lnianych swoich włosów, „głupi“ patrzy na świat to szerokiem, obłądnem, daleko poza granice wioski wybiegającym spojrzeniem; to w bok, to na stronę rzuca owe skośne błyski oczu, pełnych gryzącego szyderstwa, lub smętnej ironii; to wreszcie z głęboką melancholią i bezdennem pożądaniem nicości, wbija w ziemię szklistą, osłupiałą źrenicę, jakby patrzył we własny grób otwarty. Miewa on jeszcze niekiedy żywe, roztargnione, ruchliwe spojrzenia

dziecka, któremu od śmiechu do łez tak blisko, jak bliską jest załość wszelkiego wesela.

Takiem spojrzeniem poglądał w tej chwili głupi Franek na świat boży, idąc brzegiem Narwi. Na wschód, na słońce prawie szedł, głęboko w zroszonych trawach brodząc i uśmiechając się tej błękitnej pogodzie, co wokół dyszała świeżością zaranną.

Patrząc na jego pierś szczupłą, na wązkie, chłopięce biodra, na żywe i składne ruchy, wzięby go można za młode pacholę; kiedy się wszakże wiatr od rzeki ruszył i czoło mu z owęj gęstwy lnianych włosów odkrył, ukazywała się na niem żółtość i martwota, głęboko zmarszczkami zbrudzona, która się przez długie lata wżerać tam musiała.

Już to ogólnym typem „głupich“ jest, że niewiadomo, jakie im dać lata. Czasem wyrostek wygląda jak starzec; czasem stary, stary człowiek ma w sobie młotłość niespożytą, zgoła niepodlegającą wziędnieniu.

O takim mówią, że na niego „Święty Jan pojrzał“; jakoż wiadomo jest, że ewangelista ten, orlu przyrównany, orłową też młodość miał, na skałach prorokując, a dziewiczem ciałem chowając się wieczności.

Żyje to sobie i żyje, a lata mimo lecą, ledwo co nieco tykając takiej znaczonej głowy.

Bieda to z głodem trzyma i jakaś skrzydlatość duszna, która temu w żadną przygodę głęboką zabrnąć nie daje, tylko nad owym wartkim żywota pędem górą niesie, tak mało dopuszczając potrzeb, że żaden im brak nie dociska prawie.

Nędzą swoją i „głupością“ trzymał się i Franek na świecie. Jak dawno już żył, niewiedzieć; sam sobie lat wyrachować nie umiał. Raz powiadał, że pamięta Francuza, kiedy pod Serock szedł; drugi raz, że sam też dziecięcziem był, kiedy Herod niewiniątka mordować kazał; trzeci raz powiadał, jako się nie rodził wcale, tylko był i był „tak już sam ze siebie“.

Dzieci otwierały gęby, słuchając, baby kiwały głowami, chłopci się śmieli. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onęj ciemnej studni dobyć umiał, że za jego młodych lat też „głupi Franek“ po światu chodził. Może ten, może inszy, na to przysiądz nie przysięgał żaden, ale że był. Wiadomo, każdy czas ma swoich głupich, a takiej nędzoty nikt tu rejestrowo nie trzyma, nawet sam Pan Jezus w niebie.

Zartowały z Franka dziewczęta, że taki „topielczuk“ to się nie starzeje, bo go matka codzien troistą rosą myje. I prawda. Tylko że nie topielica go myła, ale ziemia-matka rosą swoją codzien myła

jego nędzną głowę, a i te obłoki niebieskie, i te łyzy własne. A było ich więcej jeszcze, niż tój rosy bożej.

Lubili Franka ludzie, choć podczas i mrukliwy był, i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawil, jakby z karty czytał, jedno do drugiego przykładając, jedno z drugiego ciągnąc. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawil, tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz go zaczął, choćby łyżkę do gęby niósł, albo w słomie gdzie na wyrkach zagrzebany leżał. Zaraz się zbierał, torbę przez plecy zwieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że „do matki“ idzie. Kija nie nosił nigdy; powiadał, że pies go żaden nie uszkodzi, bo on Świętego Łazarza patronem ma, o którym wiadomo, że mu psy nogi liżą.

„Od matki“ wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły, a koszula i hajdawery strzępami z niego leciały.

Mówią mu ludzie:

— Nie tóg matka cię wyprawiła we świat...

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyła tratwy nieść... tera tyli ziemi szmat obejść... Oj, nie letki jój żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędąc...

— Oj, głupi, głupi Franek!—mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy, baby, nie ja, kięj nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo!...—obruszyła się któraś.—Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przedła!..

Na to Franek wpadał w złość, w pierś kulakiem tłukł i zaklinał się na godzinę śmierci:

— Żeby tak dobrego skonania nie miał, jeśli lę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcej, jak na srebrnym wrzecionie modre nici przędzie? „Głupi Franek“. Widzita, jakie mądre! Mądrymi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku, albo i po miesiącu migoce... A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne.

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda!

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział!

— Hycel chłop!..

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz tój cichej, niestrudzonej prządki, która strugi sine na przęślicę wije, i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jój się wrzecziono jasnym srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec, brodząc tam po nich aż do twardej grudy. Niech jeno drzewo co nieco ożyło, niech brzezina pękać zaczęła, niech po błotach czajki wrzasły, on zaraz manatki zbiera, choćby o północy w bór idzie, a powiada, że go „ojciec“ woła. Szła wiosna, szło lato, szła jesień, a głupiego Franka ani zajrzeć.

Troszczyć się tam o niego i nie troszczył nikt. Każdy dość własnej biedy ma. Aż dopiero chłopcy, po chrust saneczkami jadący, spotykali głupiego, jak się do wsi wracał, zbiedzony, zdziczały, czarny, jak ta święta ziemia, żywicami oblepły, szyszek sosnowych pełno we włosach mający, bardziej jeszcze obszarpany, niż kiedy „od matki“ wracał.

— A i tak cię to „ojciec“ wypuścił od siebie, jak dziada?—pytają go chłopcy.

A Franek:

— Oj bieda i jemu, serdecznemu, bieda! Bieda i służba ciężka! Małoż to on mróweczek wyżywić musi? Mało ptactwa, mało wszelakiego nawietrznego roju? A tera żywice top, a tera grzybom kapelusze funduj, a tera jagodzie każdej wygodź, a tera kadzidło i mirę szykuj. Trzój królowie nie pytają, tylko dawaj i już! Dobrze to jegomości albo i organiście, że do kościoła raz tylko po godach zajrzą; ale po boru calutki rok chodzą, a brodami trzāsają, co z nich aż perły na ten mech lecą...

Chłopcy w śmiech.

— Ooo!.. Głupi! Głupi!.. Królowie ci ta zara po boru będą chodzić! Ale!..

A Franek na to:

— Bodajem ręce, nogi połamał, jeślim ich na własne oczy nie widział! Bodajem się tu z miejsca pod ziemię przepadł! Cóż to? Wódkę piję, tuman na oczach mam, żeby mi się w nich troiło?

To chłop jeden albo drugi do niego:

— I widziałeś króla?

A insi:

— Co będziesz z głupim gadał?

Ale Franek nie dał sobie odebrać słowa:

— Com nie miał widzieć? Bo to raz widziałem? Króla Balcera tom tak widział przed sobą, jak was, gospodarzu, widzę. Patrzę raz, słońko zachodzi, a tu cości ogromnego we złocie stoi. Myślę, dąb nie dąb. Podejdę, pojrzę—król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się, jako ten mech siwy; jedną ręką w bok się podparł, w drugiej berlica godna, parada taka, co strach,—zwyczajnie, królew-ska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia te piki, te lance, te różne bronie, dwór okrutnie wielki, siła i moc taka, że nieprzeliczona. Aż mi się świat zaćmił, jakem to obaczył.

Niedługo słucham, szepcą... Ten temu, ten owemu słówko po słówku oddaje, jeden do drugiego głowy nachyla, a zmawia się, a radzi... Oho! myślę ja sobie, będzie tu co nowego. Nic. Słońko zaszło, ono wojsko się między drzewa pochowało, król też; układłem się, śpię. Śpię ja sobie, świata bożego nie wiedzący, aż tu jak nie zahuczcy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zacznie się tłuc po onym boru, jak nie zacznie szumieć!..

— Niby co?—pyta chłop Franka.

— A cóżby, jak nie to wojsko! Dopierom zmiarkował, że się to tak z wieczora zmawiali na oną bataliję... To tak, powiedam wam, się bili, jakby najteższy wichur przeciw wichru szedł; a tak strzelali, jakby pioruny były; a te bronie to taki puszczały blask po boru, jak te najteższe błyskawice. A co strzelą, to w ogniu onym widzę, król Balcer stoi, w płaszczu ze szczerego złota, w złotój koronie na głowie i brodą trzęsie...

— Baj baju! Wichura była w boru i tyła!—rzecze chłop.

— A ino!—przywtarza drugi.

— Wojskoby to w boru siedziało!.. dodaje inny.

— Świecie! świecie!—woła na to Franek, uderzając w dłonie.— To wy grunty macie, chałupy macie, gospodarzami się opisujecie po wójtach, po urzędach, a tego nie wiecie, że Trzejkrólowe wojsko w boru je?

Oj naród, naród!.. A kiejże wy z téj ciemnoty na świat przejrzyta, kiej?.. Już i Pan Jezus po światu chodził, i apostoły chodziły, a wy nic. Jak te owce głupie!

I wodził po nich okiem pełném zdumienia, żalości i gniewu, jak po barbarzyńcach, którymby światła przychylić chciał, jak po zaślepieńcach, którychby nawrócić pragnął.

Chłopi się śmieli.

- Dzita!..
- Dzisz go!..
- Na głupich my u głupiego wyszli!

Ale pacholeta, co tam w podpasanych rzemieniach sukmanach za ojcami biegły u chrustu pomagać, szeroko otwierały oczy, a szerzej jeszcze usta i patrzyły w „głupiego“, jak w tęczę. A kiedy przyszła wiosna i pierwszy grzmot zahuczał na bór czarny jeszcze, śniły się chłopiętom okrutne wojska Trzykrólowe, ich wielkie błyskawicowe miecze, i król Balcer w złotym płaszczu i w złotej koronie, i niejedyn tam wyrostek ukradkiem z za węgla ku lasowi spoglądał, bo juści prawda, że się łomotali ogniście, jakoby wichur przeciw wichur szedł...

Czasem wszelako, ot tak „z dobra woli“, nagle tęskność do ludzi ogarniała Franka. Rzucał wtedy „ojca“ i „matkę“, i jak ot teraz, szedł, gdzie oczy nosły, niewiedzieć naco i poco. A tak się w tych drogach śpieszył, jakby kto najpilniej go czekał, albo mu jakowe wielkie dobro obiecał. Wiosną szczególnie, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo plugiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby pogarbiły pola, kiedy od wygona do wygona rozległo się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po kolejnych drogach, Franek rady sobie dać także nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał—za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi. Gdzie wiatr wiał, gdzie słońce było, gdzie głos ludzki leciał, gdzie mgła się kładła, gdzie oczy nosły, tam się puszczał.

To lada miętusem, w rowie uchwytanym i na patyku upieczonym, żyjąc, po miedzach, wskrós onych rozorów chodził, głęboko dysząc, jakoby się oną wilgocią i świeżością ziemi skrzepić chciał; a przyszła noc, to na byle grudce nędzną głowę sparłszy, między zagonami leżał, a po gwieździstym niebie cichemi oczyma wodził, do samego północkska drugi raz nie zasypiając, jakoby mu kto co powiedział właśnie, albo widowisko i cudo jakie przed nim czynił. Budził się po nocy takięj, zroszony, jak ten kamień polny, na miedzy siadał, kolana rękami obejmował i zadarłszy głowę patrzył jak wrona w słońce, póki go nie obsuszyło, ustami niemo ruszał, jakoby się z kim wysoko rozmawiał, albo temu błękitowi porannemu modlił. Napierał się nieraz chłopom do pluga, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. „Głupi“ się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać, ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która dala mu tam w ogrodzie motyką podziubać, to jęj tak dziękował, tak jęj kolana obejmował, jakby mu

kto miskę z najlepszym jadem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał. Szły deszcze ciepłe, bujne, to im się tylko jako ta wierzba uginał, nie się nie chroniąc, by też mógł; a tak się zapamiętywał onego perłowego, rześnego szmeru po młodej runi słuchając, że drugiby i gęśli mniej słuchał, kiedyby mu grały. Szła polem cisza szeroka, okólna; gaje nie wioną sobą, liść młody ledwie gdzie szepnie, nad ziemią skrzydłatość taka, taka lekkość, przejrzystość, że tylko te miedze za miedzami, łąki za łąkami powietrzem w oczach płyną, a Franek na wpośrodku lanu jak urzeczony staje i słucha, jakoby głosy do niego z ciszy onej mówiły, albo jakby gdzie na anioł pański dzwon bił.

— A i czego ty tak głupi słuchasz? — pytają go pastuchy, co się tam workami od chłodu naodziawszy, pod gruszą w „sitka“ grali.

To im zrazu nie odrzeknie, jakby nie do niego.

Aż kiedy mu się uprzykrzą, raz i drugi pytając,

— A nie słyszycie to, smyki—mówi—jak ziemia gada?

— Jakże to?—pytają pastuchy, a w kułak się śmieją, że to im niby z głupiego uciecha.—To ziemia gada?

A Franek ręką po powietrzu wodzi, jakoby co pokazywał w wielkiem oddaleniu, na gęsiarków onych nie patrzy, tylko oczy na onę błękitności trzyma.

— Wszyściusko co je, i co było, i co jeszcze za czasami będzie, wszyściusko to wie ogień, wiatery i ta ziemia. Ale że ziemia najmądrzejsza z tych trojga...

— Sitka!—woła cienkim głosikiem mały gęsiarek, rzuciwszy w górę miedziaka.

— Orzeł!—woła drugi.

Franek mówi dalej:

— Bo wiatr i ogień z krzyku są, a ziemia z cichości...

Mały Józek otwiera usta i szeroko wytrzeszcza niebieskie oczęta. Dziwi go to, że ziemia jest z cichości; on zawsze myślał, że jest z błota, albo z piasku.

Franek mówi dalej:

— Bo wiatr i ogień z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co ziemia od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.

Po dzieciach idzie dreszcz. Pastuch zatrzymuje w powietrzu rękę, w której miedziaka trząsał, żeby mu na orla padł, i z przelotnym strachem na Franka patrzy. Inni także podnoszą głowy.

— A co powiada?—pyta Józek.

Franek oczyma po dzieciach wodzi, a potem nagle utkwivszy wzrok bystry w zapatrzonym na niego gęsiarku, mówi silnym głosem:

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziółów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, uwolnienie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek—amen!

Najstarszy Michałek wybucha na to śmiechem, strach mija, pastuchy śmieją się głośno, hucznie. Jeden tylko Józek siedzi pod workiem swoim z szeroko otwartymi oczami i patrzy za Frankiem, idącym ku Bugajowej łące.

— Głupi! głupi! głupi! — wrzeszczą za nim chłopcy, jak wronięta.

— A wróc się, głupi, wróc! — krzyczy Michałek — zrobima cię wójtem, kiejżeś taki mądry!..

Franek idzie dalej, ni prędzój, ni wolniej, jakby nie do niego.

Wie on, że młodzi i starzy, ba, pastuchy nawet, wołają na niego „ty“. Głupiemu nikt nie „dwoi“.

„My“—to cząstka gromady, albo rodu, albo zbiorowego rozumu i mienia, to cząstka zbiorowego życia i zbiorowej siły. Ale „głupi“ stoi poza granicą rodu, mienia, pracy i siły. Od tego też jest głupi, żeby rozumu nie miał. On do siwego włosa, do grobowej deski w małości swojej trwa, rośnie najpierw, rośnie niby ta witka łożyny, potem się pochyla, pochyla, niby ten badyl płonny, ale nie dojrzewa nigdy.

Nie ma on też sobie za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich, oto i teraz, z wesołym okiem, z tęsknością jakąś, z przyjaciółstwem w duszy. Owszem śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Śpieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Nic innego przecież w rękę nie miał, tylko chaszczów trochę zielonych i marnego zielska, wskrós którego świeci kaczeniec żółty, lśniący, i srebrzą się gałązki wierzbowe z nawpół roztulonemi baškami, które „głupi“ po drodze łamie, iż to ku palmowej niedzieli się ma za dzionek czy za dwa. W powietrzu już nawet tu owdzie zalałają jałowcowe dymy, przy których gospodynie obwędzają kawał kiełbasy, albo boczek z wieprzka.

Z lubością wciąż Franek owe aromaty, a śniadą twarz jego rozjaśnia coraz szerszy uśmiech.

Naraz zepochmurniał. Z pośród lekkich wieszających się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać obielone, długim sznurem wyciągnięte domki, których niezwykła schludność, jako też i sposób budowania, zdradzały osadę niemiecką.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją nazwą położonym po drugiej stronie Narwi Gajom-Lachom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem swoich mieszkańców.

Franek nienawidził Niemców. Flisów nawet na rzece unikał dlatego, że w skarbówce na tratwie najczęściej Niemiec siedzi.

Nieraz też, stanąwszy na gościńcu, wołał:

— Uciekajta dzieci, miemiec idzie!

— A czegoż-to uciekać przed miemcem?—pyta go chłop który.

— A bo przed miemcem, jak przed złym wiatrem, niema lepszój rady, ino uciekanie.

— Miemiec a śniedz — powiadał,—zarówno naszemu chlebowi przywarę czynią; ale że go śniedz nie tyle uszkodzi.

Spotyka go raz proboszcz.

— Cóż ty głupi?—pyta.—Drwisz, słyszę, bajki prawisz, że to nie żydy umęczyły Pana Jezusa, tylko Niemcy. Zkądże to ty do takich rzeczy przychodzisz?

A Franek pilnie na księdza patrzy, a oczyma mruga, co zwykle czynił, kiedy go co niecierpliwiło.

Proboszcz odsapnął, bo tuszę miał piękną i męczył się mówieniem łatwo, a potem rzekł:

— To ci zapowiadam, żebyś mi takich bajek po wsiach nie puszczal! Rozumiesz? A na naukę do kościoła przychodź, żebyś nie żył jak to bydłę... Rozumiesz? Kto jak bydłę żyje, ten jak bydłę skończy... Rozumiesz?..

Franek uśmiechnął się, rzucił w bok skośne spojrzenie, i pocałował księdza w rękę, rzekł:

— Niech się ta jegomościulek nie frasują o głupiego! O głupim to ta sam Pan Bóg przenajświętszy radzi... Tyła, coby tych mądrych nauczać, o!.. A głupi to ta sobie sam z Panem Jezusem o tém o owém gada, to już ta o niego namniejszy kłopot.. Będzie on i tak wiedział, która dróżka do raju...

Rzucił ramionami ksiądz i obejrzał się, czy tój głupiej mowy kto nie słyszy; bo o parafian swoich dbał i zgorzenia żadnego nie dopuszczał. Ale co prawda, to i gniewać się bardzo nie mógł, bo cóż tam głupi mądrego wymyśli? Takiemu odpuścić trzeba, boć to samo nie wie, co czyni.

Zaczuwszy tedy Franek owe szwabskie dymy, skrzył w bok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Karczowany rok rocznie przez Niemców tarniak uparcie się gniazd swoich starodawnych trzymał i każdej wiosny ostre kły wypuszczał, grożąc stopie, co się tam ważyła bosa, a wzmagając się aż do grudy, kiedy go znów trzebić zaczęto. Ostreżyna też i kocierpą silnie zarastał, tak że się o każdy krok targać z niemi było potrzeba.

Darł się Franek środkiem onych chaszczów, jak dzik, spluwając tylko na strony z tego obrzydzenia, jakie miał do Niemców, o których powiadał, że kiedy ich dyabeł na widłach przenosił z ich tam kraju nad Narew, to po każdym Niemcu widły płukać musiał, aż wielka moc ryb wyzdychała z tego.

Zanim tedy wydobył się z tarniaka, pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce, a niejedna przygarść jego lnianych włosów została na gęstych głogach i targańcach.

Tak kiedy wóz z sianem w gąszcz leśny się weprze, tu owdzie za nim na krzaczach chwieją się źdźbła suche, które jako myto po drodze płacić musi zaczepnikom onym. Ale „głupi“ ani dbał o to, wielkimi krokami prac się naprzód, póki osady budowanej długim sznurkiem nie wyminął i nie zostawił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną pierśią technął, pojaśniał na twarzy i wesółem spojrzeniem po świecie powiół; zaraz też ku rzeczce skrzyłwszy, w miarki bród jej wstąpił i nogi „po Miemcach“ obmył, jak ów dyabeł widły.

Szedł teraz wolniej, zadzierając głowę do słońca, jak to czynią dzieci i ptaki. Ale nie szczęściło mu się w tej drodze.

Zaledwie minął bagnistą łączkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Osniolki nosi, kiedy spostrzegł kościastą białą szkapę starego Hamera, jak zdążała ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdlilo Franka na takie spotkanie. Chciał w bok kiedy zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociołek żelazny, co go też z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej lnu siwego płachtę tak wypchaną, żeby go dwie dobre prządki przez zimę nie sprzędły, wreszcie okrutną kłodę kapusty, która się tylko na strony chwiała w wąskich drążkach, a za nią, z przewieszonym łbem za rozworę i spletanemi powrózkiem nogami kmieciate ciele, które się uległo sześć niedziel temu, właśnie kiedy ostatni raz nocę u Łuków nocował.

„Głupi“ stanął i wytrzeszczył oczy, i osłupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczuł około serca jakąś ckliwość.

Wóz przeciągał mimo niego z wolna. Stary Hamer, trzymając fajkę w rękę, przy drabkach szedł i pieniądze wysypane z brudnego mieszka na dłoń liczył. Franka nie widział nawet może. Ten wszakże po dobytku owym, na wozie zebrany, pałającym wzrokiem wodził, szepcząc cicho:

— Patrzajtaż, co ta moc niemiecka dobra ludziom odjęła i ku sobie ciągnie...

I z najwyższym przerażeniem w osłupiałych oczach, nędzną głową trząśł, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi.

Dopiero kiedy cieleń, z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle bekło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żalność, taki ogień mściwy go przeniknął, że, porwawszy się z onego osłupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi wpadł, prosto przed chałupę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było jakby na jarmarku. Gasio, niewielki żółty pokurcz, z ostrym jak u lisa pyskiem i spiczastymi uszami, nie wiedział na kogo w pierw szczekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, na wznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na oglądającego ladę u siewkarni Niemca, który sam do siebie mamrotał a fajkę w zębach trzymał; czy na baby, które się z dziećmi u spódnic i u piersi zeszły, a stanawszy u płotu radziły; czy na dziewczkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na siemieniatkę, która mu się z rąk wyrwawszy, z wrzaskiem uciekała; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu za Niemcami z Olendrów zbiegły, wielkie, silne, kudłate i milczkiem węszące...

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza chaty. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, suchozłyły i silnej budowy, trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i, schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach od rajtuzów, najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tombakową de-wizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opastym brzuchu.

Dobijali targu. Chłop coraz głośniej krzyczał, a szamocąc się z byśkiem, jeden róg bydłęcia puścił i przez połę kamizeli rękę Niem-

cowi podawał; Niemiec głę odął, powieki w pół zasunął, brwi podniósł, i nie wyjmując rąk z hajdawerów, przecząco grubym karkiem kręcił; kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały „głupiego“. Ze świeżką tedy ciekawością rzuciły się ku niemu; a przytém wyglądał dzisiaj tak ucieśniej, tyle różnego zielska miał we włosach, taki był obszarpany, zziąjany, brudny.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesołe szczekanie pokurcza. On także zdawał się wołać: Głupi! głupi! głupi!

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopca za rękaw szarpnął, i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu! Łuko, Łukasz!... A to wam miemieć psia wiara skrzynię porwał, i cielę... złodziejska dusza... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwycił.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Chłop odwrócił się nagle.

— A ciszej, koltuny!—tupnął na dzieci—a pódziesz!...—krzyknął na Gasia, który oblatywał byśka, szczekając i za nogi go łapiąc, jakby się zapamiętał właśnie.

Franek chłopca za rękaw precz targał.

— Gospodarzu! Łuko!... — zaczął znów swoje — A to złodziej!...

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu nie wiadomo, co do łba strzelić może.

— Idź głupi!—oburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kulek, w piersi zakłęśnął się grzmotną i wielkim głosem zaklął:

— Bogdajem się z tego miejsca nie ruszył, i bogdajem nocy nie doczekał, żeli lżę, żelim go u Osmółki z wozem nie widział, złodzieja, a na wozie waszej skrzyni, kłody i cielaka! Bogdajem.

— Wściorności!—wybuchnął nagle Łuka, niewiadomo na byśka, czyli też na Franka. Baby zaczęły się przysuwać od płota, ten i ów obrócił ku mówiącemu głowę. Franek szeroko otwarte, pełne przeżalenia oczy w Łukę wbił, nie pojmując zgoła, dlaczego chłop wszystkiego nie ciska i złodzieja gonić nie leci. Zdawało mu się, że go nie rozumie chyba, nie wierzy mu. Z większą tedy jeszcze siłą grzmotnął się kulakiem w piersi.

— Porwał gospodarzu!... Porwał!... Żebym tak szczęśliwego skonania doczekał, jak złodziej mieciec porwał!...

Gotlib odwrócił głowę, splunął, i znów się o krok cofnął.

Na chłopą uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam sprzedałem! Otrząsnął się. Frankowi ręka opadła.

— Głupi! głupi! głupi!... — wołały dzieci, skacząc koło studni.

Frank patrzył na chłopą obłądnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartemi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochryplym, zmienionym:

— Wy, gospodarzu?... Wy jemu przedali?... Wy sami przedali?...

— Pssia... cie! — zaklął chłop, mocując się z byśkiem.

Frank znów go za rękaw pochwycił. Dyszał ciężko, oczy wysiadły mu na wierzch.

— Gadajta!... Gadajta!... Samiśta przedali? Gadajta!...

Następował na chłopą, targając go za rękaw coraz gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry!—huknął Łuka—A żebyś ty zmarniał! Chorobna duszo... — Zaklął w tejsze chwili na wyrwijącego się byska.

— A dummer Kerl!..—szepnął wzgardliwie Gotlib i ramionami rzucił.

— Co to z głupim gadać!—roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec niemca mądrą i polityczną okazać chciała. Nie były zresztą pewne, czy im samym sprzedawać co nie przyjdzie; ruszały tedy ramionami, poglądając z politowaniem i odwracając głowy.

W téj chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kozuchu i z biczyskiem w rękę, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko, i niemcom, żalującym i czasu, i koni, z Olendrów się najął. Chłop czerwony był jak burak, zsiadły, ospowaty, baranią czapę ze stroikiem z czoła zsunął, bo ze trzy litkupy miał we łbie i kurzyło mu się z czupryny, a język co nieco plątał. Bodniak, jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość jakąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrosnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy, rozkraczywszy się przed Frankiem, ręce w biodra wparł i, niebardzo pewnie na nogach stojąc, rzekł:

— A i nie wiesz to głupi, co tera chłopcy, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny, i téż ze ziemi...

Chwyciła go czkawka, więc urwał.

Franek słuchał jakby ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz,—ciągnął Bodniak—a idą głupi za morze...

— Za morze... — powtórzył Franek.

— Choć ta i suchoputna droga ponoć je, o trzy dni by nią człek ze Zagajnego zajechał... tyła, co o niej nie wiedzą...

— Nie wiedzą—powtórzył martwym głosem Franek.

— To ci tera het precz, licytacya... — mówił Bodniak, przełykając dręczącą go czkawkę—i targowica... nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę, czarniawym włosom zarosłą, grubemi żyłami zbrudzoną, i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórku. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku, i Niemca przy sieczkarni, i Fryca z kokoszą w ręku, i baby, i obce psy kudłate, i byśka, i grubego Gotliba.

Wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Wyglądał tak śmiesznie, że dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!..

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi. Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie sprzedajta, gospodarzu, pola!... Dlaboga, nie sprzedajta!.. Dlaboga rety, Maryo!...

Zaniósł się wielkim płaczem, i chwycił poję siermięgi gospodarza.

Chłop trząsał sobą, chcąc się uwolnić od niego, i kłął siarczyście.

— Nastąp pokrako!... Chorobna dusza!... A żeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsało jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem — Gospodyni!... Nie sprzedawajta miemcom chałupy! Dlaboga, rety! nie sprzedawajta chałupy!...

— Do cna ogłupiało chłopisko!—szeptały między sobą baby.

— Bo to nic?...

— Na zwiosnę takiemu najgorzziej...

— A odczepże się, odmienicze!—krzyczała kobieta—Owarjował, czy co! Adyć go weźta!—Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał

się, i wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się, lachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryo!... Rety!... Ludzie! Gospodarze!... Nie przedawajta się niemcom!... Dlaboga ludzie!... Nie przedawajta!...

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząśł przed głupią swoją głową, a po śniadłej twarzy leciały mu łzy, ciężkie, jasne, gorące.

— A dummer Kerl!—powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasyą zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawili się zbyt dobrze całą tą „komedya“, żeby się ruszać miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie, i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Daléj, sąsiedzie! Półzłotka przycyćcie i będzie zgoda z nami! Ja dziś do zgody, jak do wódki! U mnie tak! Dzień płaci... dzień traci. Daléj, panie Gotlib!... Zgoda!...

Mówił szybko, obficie, głośno, jakby chciał zagadać głupią mowę Franka.

Niemiec odchodził niby. Nie mógł on właściwie odejść, póki Bodniak stał, a z nim i furka jego, z której zwrócona łbem do dyszła szkapa wyciągała grubą, w bagnach sieczoną, trawę. Bodniakowi zaś nie spieszyło się wcale ze szwagrowego podwórka.

— No?... półzłotka! Jakże będzie?—powtarzał Łuka.—Kupujta, póki przedają!... No?... Jakże?... Co ta będzieta na głupiego patrzeć! Róbma zgodę... Daléj go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu sebnie, kiedy na nią słońce z wysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagła wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kulakiem wytarł, jak miał szeroką gębę, tak się szeroko roześmiał, a chwyciwszy chłopakowi, co tam wpodle stał, czapczątka ze łba, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Héj ha!... Kiéj przedawać, to przedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, popredamy het precz wszyściutko do czysta. — Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Niemcy nawet śmiać się zaczęli, zwłaszcza téż one rude wyrostki Gotlibowe, u wózka stojące! Łuka poczerwieniał i lypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spoj-

rzał na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały różne sprzęty, z drogi onej szafie ruszone, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek się schylił, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Panie miecie! Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba dobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarzkę sprzedajem, i ani my, ani dzieci po nas ziemi téj, tego pola, orać już nie będziemy! Kupujta lemiesz!... Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią, wołał:

— Héj!... Płachtę sprzedaję!... Patrzajta, co za płachta je!... Caluška, bieluška, na ołtarzu-by ją można kłaść pod ten chleb janielski! Oj bywał ci w niej chleb janielski, bywał, ano to ziarno boże pszeniczne a żytnie, co je gospodarz na tém polu siewał... Oj nie mało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Daléj, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie, w dzień Najświętszej Paniienki siewnej poświęcaną.

I terach śmiech buchnął, ale cichszy jakiś. Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jój fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni!—zawołał nagle Franek.

— A gdzie przėslica? Przędališta len, sprzedajta i przėslicę. Już wy na niej kądzieli przadać nie będziecie, ani onéj nici szaréj na wrzecionie przy łuczynie puszczać... Nie będziecie przędzy motać, parników zwijać, pasem rachować... Nie będziecie płótna tkąć, ani go na téj rosie porannéj bielić, ani z niego koszul dzieciom zrządzać... Co wam po tém? Daléj, gospodyni! Daléj... Dawajta przėslicę... Niech kupuj!

W małym podwórku Łuki robiło się coraz dziwniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na „głupiego“ patrzeć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle odezwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O... bocian!...

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą Łukowej stodółki i nad leżącą na niej, zeszlorocznym jeszcze szuwarem przytrzęsioną, broną, wzbijał się lotem szerokim pierwszy téj wiosny bocian.

— Bociék!...

— Wojtek!...

— Bocian!...—zaczęły wolać na różne głosy chłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekotał wesolo, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie!...

— Siądzie!... — odzywały się dziewczęce głosy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od „głupiego“. Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał nią szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptaku! — rzekł wreszcie — A i czegoż tu leciał bez morze, bez wielkie, na gwiazdach noclegujący, na zorzach się budzący, głodu zażywający, nawałności i wojen powietrznych i przestachów różnych bynajmniej się nie bojący?... Czegoż tu do Zagajnego leciał, jakoby ci też kto ślepią wybrał, drogi nie myląc, skrzydłom nie folgując, a onego wiatru wschodowego, od Narwi wiejącego, o Zagajnem pytając?

Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swoje hodował, i słońcu się radował, i ludzi cieszył, i odpoczynienie swoje miał.

Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... Miemce tu obsiadą, niemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi precz... za morze... za morze!...

Podniósł głos, oczy chłopów znów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib!—zawołał—panie miemieć, bliżej tu sam, bliżej!... Jeszcze się tu nie jedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie!

Widzita te jaskółki nad wodą? Widzita tę modrość niebieską?... Widzita ten krzyż nade drogą?... Widzita het one górki, one mogiłki nasze?

Daléj! Wszyściutko sprzedajem! Kupujta tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki.—Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potem, nad oną kupą domowizny przed chatą klękawszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy, jako wiatr wiosenny. Chłopi głowy odkryli, baby pokłękaly, a Franek mówił daléj:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!

...Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie!

...Od morskiej i wszelkiej nawałności, zachowaj nas, Panie!...

...O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł, i między ludźmi przeszedłszy, ku rzece się puścił.

MARYA KONOPNICKA.

HENRYK SCHLIEMANN

i

JEGO ODKRYCIA NAUKOWE.

.IV

Prawdziwość lokalnego tła Iliady potwierdzają przedewszystki^{em} wykopaliska Schliemanna. Wykazują one, że wyżyna Hissarlik była ongi, w wiekach, które wyprzedziły powstanie utworów Homerowych, siedzibą kultury znacznej. Na tej samej wyżynie, na której w historycznych czasach znajdowała się akropolia grecko-rzymskiego Ilionu, mieszkali już wiekami wpierw potężni i bogaci dynaści.

Schliemann odkopał na tej wyżynie nie mniej jak sześć warstw. Najwyższa, szósta, to znane nam miasto historyczne, grecko-rzymskie, za panowania królów lidyjskich założone. W świetnych czasach liczna się w niem mieściła ludność u stoku Akropolii, a na Akropolii wznosiły się wspaniałe budowle, zwłaszcza okazała świątynia Ateny, z której się przechowały liczne szczątki. Jedna z metop rzeźbionych przedstawia nam Heliosa z wieńcem promieni wokół głowy, jak kieruje czwórką swych dzielnych rumaków.

Pokłady niższe pochodzą z epoki przedgreckiej, t. j. przedhistorycznej. Piąty aż do trzeciego są spuścizną osad nędznych i nie mają wartości. Najwięcej zajęcia budzi drugie stratum, bo jeżeli gdzie, to tylko w tej warstwie można rozpoznać świętą Ilios. Warstwa ta wyraźnie się odłącza od pierwszej, t. j. od osady najda-

wniejszej, założonej na pierwotnym gruncie. Odsloniono ją tylko w części, aby nie zniszczyć nierównie cenniejszego pokładu drugiego. Była to osada mała (46 m. szer.), a mury jej złożone z nieobrobionych wapieniaków. Narzędzia, znalezione w pokładzie, mianowicie siekiery, noże i piły, wyrobione są z kamieni, jak silex, chalcedon, obsidian, jadeit, nephrit. Metalowych wyrobów znaleziono bardzo mało, żelaza wcale nie. Naczynia gliniane w przeważnej liczbie nie są przyozdobione żadną ornamentyką, a zaledwie w drobnej części wyrobione na kręgu garncarskim; barwa ich połyskująco czarna.

Gdy po upływie długiego szeregu lat, na miejscu najdawniejszej, opuszczonej osady, zakładano miasto drugie, zrównano teren i rozszerzono go znacznie, do 100 metrów szerokości. Na wyżynie wzniesiono zamczysko silnie obwarowane, Pergamos; dolne miasto, rozciągało się na południe, zachód i wschód od Akropolii. Z miasta dolnego zachowało się bardzo mało: nieznaczące szczątki muru, ślady wykucia w skale, niezliczone mnóstwo skorup. Tém więcéj zachowało się z budowli na zamkowej wyżynie. Najokazalszą jest pas muru, biegnący wokoło całego zamku, zbudowany w dwóch różnych okresach. Obydwa mury skonstruowano według tego samego sposobu i z tego samego materiału. Podstawa składa się z małych kamieni, gliną spojonych i wznosi się na zewnętrznej stronie pod kątem 45°, na wewnątrz spada prostopadle. Na równym poziomie téj podstawy, szerokiej u góry około 3 $\frac{1}{2}$ metra, wzniesiono mur właściwy, około 3 metrów szeroki, z cegieł surowych, wysuszonych na słońcu. W rogach poligonu, w odległości mniej więcéj 20 metrów, ustawione są wieżowe wysoki. Jak w Mikenach i w Tiryncie w niektórych ścianach, tak samo i w Troi wkładano wewnątrz muru, dla wzmocnienia go, belki z drzewa, które się naturalnie spaliły, pozostawiając próżne dziury, jakby kanały jakie; te się stały jednym z głównych powodów teoryi kapitana Böttichera.

W dawniejszym murze mieszczą się dwie bramy. Do pierwszej prowadziła brukowana droga; pierwotnie tylko jedno podwoje ją zamykały; późniéj przedłużono ściany bramy i założono drugie podwoje. Z bramy téj przechowały się fundamenta i niektóre szczegóły. Druga brama była daleko węższa; nad nią się wznosiła kolosalna wieża, wysuwająca się znacznie poprzód linią (dawniejszych) murów. Kiedy drugi, południowy pas murów zakładano, zamurowano tę bramę, a otworzono nieco dalej na wschód nową, szerszą nietylko od téj drugiey, lecz także i od owéj pierwszej.

Kto tą nową bramą wszedł na zamek, po kilku krokach stanął przed propylaion; składało się ono z bramy i kilku przytykających małych komnat. W odległości dziesięciu metrów od propylaion, znaj-

dują się dwa budynki, najrozleglejsze ze wszystkich, które odkopano na zamkowej górze. Jeden z nich, niestety, ucierpiał wiele zaraz w jednej z pierwszych kampanii Schliemanna, w skutek rowu, kopanego z południa ku północy celem odsłonięcia pierwszej osady. Główną część tego budynku stanowi długa sala (20 m. dług., 10 metr. szer.); przed nią mieści się hala kwadratowa, otwarta ku frontowi. Ściany są takie same, jak w wale fortecznym: fundamenta z kamieni, na nich wznoszą się mury z cegły suszonej na słońcu. Budynek ma formę świątyni *in antis*; uważali go też pierwotnie Dörpfeld i Schliemann za świątynię. Odkrycie zamków w Tiryncie i w Mikenach przekonało, że budynek służył do celów świeckich; prawdopodobnie było to domostwo księcia. W rozległej sali zachowała się część okrągłego ogniska, które, według Homera, było najświętszą częścią domu greckiego: salę zatem uważać możemy za t. zw. *megaron*. Pałac był pokryty dachem horyzontalnym z belek, na które glinę nałożono.

Drugi budynek, znacznie węższy, równolegle położony do tamtego pierwszego, składa się z dwóch hal i jednej sali długiej; wykonanie jego techniczne takie samo, jak budynku pierwszego. Ściany domostw nie były obrzucone wapnem, lecz tylko gliną; nie widać też śladów dekoracji ścian. Podłoga była zwykle z gliny; tu i owdzie natrafiano na żwir lub na żwir zmieszany z gliną.

Nie można nie zauważyć podobieństwa między dwoma głównymi budynkami a budynkami, jakie odsłoniono na argolskiej ziemi w Mikenach i w Tiryncie. Architekci więc z wielką pochopnością czynili wnioski o pokrewieństwie szczepów, na wybrzeżu azyatyckim i w Grecyi wschodniej zamieszkałych. Orzeczenie w tej sprawie niełatwe. Ale to przyznać trzeba, że opisy Homerowe mniej więcej się zgadzają z odkopanem Ilion

Przedmioty znalezione w drugim pokładzie, są w przeważnej liczbie pokrewne tym, które wydobyto z pierwszej warstwy.

Lanie metalów już się w drugiej osadzie widocznie rozpowszechniło; miedź mieszano z cyną. Z brązu wyrabiano igły, siekiery, noże i sztylety. Mieczów wogóle w dawniej Troi nie znaleziono. Niektóre wyroby, jak bransoleta złota i złote szpilki do włosów, wyszukane w r. 1878, uprzytomniają już kulturę mikeńską.

W drugim pokładzie znaleziono sławny skarb, ochrzczony przez Schliemanna mianem skarbu Pryama. W jednym srebrnym garnku mieściły się dwa wielkie dyademy, złożone z mnóstwa małych złotych łańcuszków; forma tych ozdób mogła archeologów wprawić w zdziwienie, gdyż podobnych na ziemiach helleńskich nigdzie nie znaleziono. Mieściły się nadto w garnku piękne naszyjniki—które Schliemann zestawiał z 8,700 małych złotych pierścieni, przedziura-

wionych pryzmatów, kostek i guzików—sześć złotych naramienników, oraz mnóstwo koleczyków różnego kształtu. Znaleziono prócz tego sztaby srebra, które zapewne służyły za przedmiot zamiany w obrocie kupieckim, garnki, kubki i flaszki ze złota i srebra (z tych najczęściej zajmujące są dwie wazy z przykrywadłami czapkowemi) wreszcie wazę i dwie misy z miedzi.

Wyroby z gliny mają zwykle szczególną wartość archeologiczną. Czém w geologii są muszle, tém w prehistoryi są garnki i skorupy z naczyń. Wyroby ze szlachetnych kruszców nie wyciskają na tym gruncie, który je ukrywał w swém wnętrzu, tej cechy cywilizacyjnej, którą go piętnują naczynia z materiału tak pospolitego, jak glina. To, co się znachodzi w wielkiej ilości, co jest powszednie i zwykle, wszędzie i zawsze najlepszą jest miarą przeciętnego stopnia kultury i jój rozległości.

Towar gliniany drugiej osady trojańskiej nie ma zalet szczególnych. Glina jest ordynaryjna, wypalenie niedokładne, ściany grube; naczynia po części nawet nie są na kręgu garncarskim zrobione. Ozdobę naczyń stanowią proste lub krzywe linie, wyryte w świeżej jeszcze glinie, i zagłębienia, palcem wciśnięte; malowniczej ornamentacyi ani nawet glazury naczynia te nie mają. Na niektórych mieszczą się znaki, które prof. Sayce z Oxfordu uważał za pismo Hittitów; są to niezawodnie tylko kółka i kreski, a nie znaki pisarskie. Oglądając się za podobnie prymitywną ceramiką w świecie greckim, znajdujemy ją w najpierwszej warstwie zamku tiryńskiego, w najdawniejszych grobach, odgrzebanych na wyspach Kykladach, i w najdawniejszych nekropoliach kypryjskich. Tam się też spotyka formy naczyń, podobne do tych, które w Troi odszukano. Zasób form trojańskich nie jest znaczny, ale jeden i ten sam kształt w różny sposób modyfikowano. Dominuje forma kuli; charakterystycznym jest dzbanek z szyją wąską i długą, do lania płynów nader przydatną, zwany przez niemieckich archeologów „Schnabelkanne“. Łączono też różnym sposobem kilka naczyń w jedno. Wreszcie usiłowano w naczynia wlać życie: najpierw tylko zaznaczono rylcem twarz ludzką, później plastycznie dorabiano oczy, nos, uszy, piersi, przykrywadła w formie czapek, a wreszcie i ramiona, któremi jedno naczynie trzyma drugie. Niektóre mają formę zwierzęcia: świni, kreta lub t. p. Być łatwo może, że t. zw. *idole*, z kamienia i kości, w znacznej przynajmniej części nie były niczém inném, jak kłębkami, które w podobny sposób, jak garnki i wazy, ożywiono wyryciem twarzy, włosów, ramion.

Wierność poetyczna nie jest fotograficzném odbiciem rzeczywistości. Zresztą Troja Homerowa w gruzach leżała, a my o tej stolicy, która dała popochop do tworzenia się mitów, i o jój kulturze,

więcej niezawodnie wiemy, aniżeli wiedzieli i wiedzieć mogli jónscy, nawet eolscy śpiewacy. Zlokalizowane w Troi i w Troadzie podania wypełniali i przyozdabiali rozmaicie. Przenosili stosunki, obyczaje, urzędzenia, kulturę swego czasu i swego kraju bezwiednie i ze świadomością do sławionych bohaterów i ich epoki. Nie jeden też pałac mogli widzieć — widzieli ich więcej. Który skopiowali? Ten — ów? Nie! żadnego z osobna; wiele, wszystkie mieli przed oczami i z nich budowali w poematach pałace książąt.

Schliemanna ludziła, powiedzieć moglibyśmy: zaślepiła poezya. Spodziewał się wskrzesić świat Homera, uprzytomnić sposób życia Pryama i jego synów, i ich skarby i zbroje. Przekonał się ostatecznie, że był w błędzie. Do tego, co wykopał w Troi, nie możemy przykładać miary innéj nad tę, którą nakazuje umiejętność, archeologia. Jeżeli ztąd i dla tekstu Homerowego wynika pożytek, tém lepiéj, ale Homer nie może być jedynym przewodnikiem.

Obraz kultury bohaterów Homerowych zyskał bezsprzecznie więcej przez świetne wyniki wykopalisk Schliemanna w Tiryncie i w Mikenach, zyskał zaś mniej, aniżeli w Troi, przez poszukiwania w innych miejscowościach, bardzo mało także przez poszukiwania w idyllicznój wysepce Odysseja, w skalistój Itace. Ludność jéj, choć niewątpliwie nie pochodząca wprost od Itakezyjczyków Homerowych, zachowała do dnia dzisiejszego niemal ten sam sposób życia i ten sam charakter, a pod wpływem tradycyi, przeniesionéj przez uczonych na wyspę, każdy zakątek, każdy niemal kamień łączy z nazwiskami sławnego bohatera i jego otoczenia. Pokazują dziś na wyspie i dwór Laërtesa, i groty Nimf, w których Ulisses przechował swoje skarby po powrocie do ojczyzny, i spotyka się tamże licznych Odyssejów i Telemachów, a niewiasty mają imię Penelopy. Mylnie jednak twierdził znakomity filolog niemiecki Hercher, że niéma zgola żadnéj zgodności między epopeją o przygodach jónskiego herosa a rzeczywistością. W opisach Odyssei przebija znajomość terenu mniej lub więcej dokładna. Gell który na początku tego wieku badał Itakę, zaszkodził sprawie, gdy najdrobniejszą wzmiankę Odyssei brał dosłownie. Za nim poszedł Schliemann, a po części i baron Warsberg w swych „Krajobrazach Odyssei“ i w pięknie ilustrowaném dziele o Itace.

Schliemann się chlubił, że odsłonił Homerowe miasto i zamek książęcy na górze *Aetos*, rozdzielającéj Itakę na dwie nierówne części. Miasto Homerowe było wszakże położone nierównie bliżéj morza. A na plateau *Aëtosu*, do którego prowadzi półgodzienna stroma droga, niéma miejsca ani dla miasta, ani nawet dla pałacu. Odkryte przez Schliemanna fundamenta murów i wieży szczątki pochodzą z jakiegoś obwarowania starodawnego, które zapewne mieszkańcom slu-

żyło za schronienie w chwilach niebezpieczeństwa. Słuszniej może przenosi młody archeolog niemiecki, Reichs, miasto Homerowe na północno-zachodnie wybrzeże, nad małą zatokę *Polis*, gdzie także odkryto ślady znacznej osady—począwszy od wybrzeża aż do wsi *Stavros*. Homerowego portu *Phorkys* szukać musimy w zatoce *Molo*, i to prawdopodobnie w tej części, która według miasteczka dzisiejszego nosi nazwę zatoki *Vathy*. Na samém południu umieszczają źródło *Arethuse* (dzisiaj *Perapegade* nazwane) i skałę *Kruka* i pastwiska *Eumajosa*. Mimo to, nie jest dostatecznie wytlómaczoném, jakim sposobem stać się mogło, że fantastyczne podania ruchbliwego, licznego i możnego szczepu Jończyków zostały zlokalizowane na małej i nie urodzajnej wysepce Itace, która w historii nigdy żadnej roli nie odgrywała.

V.

W r. 1878 na wiosnę przybyłem w liczniejszym towarzystwie parowcem z Aten do Nauplii. Ztąd wyruszyliśmy w dalszą drogę, lądową, aby zwiedzić właściwą *Argeię*, równinę 3 — 4 mil szeroką i tyleż długą, otwartą tylko ku stronie południowej, ku morzu, a dobrze zasłonią górami z trzech stron innych. W tej równinie, którą rzeka *Inachos* niemal środkiem przerywa, założono w przedhistorycznych czasach miasta: Nauplia, Tiryns, Argos, Mikeny, Mideia.

Tiryns położony jest w odległości zaledwo pół mili od morza, na grzbiecie wapiennym, 300 metrów długim i 100 metrów szerokim, a wznoszącym się zaledwo do 22 metrów ponad powierzchnią morza; była to ongi skalista wysepka, która sterczała z zatoki argolskiej. Krótki pobyt wystarczył nam w Tirynsie, bo jeszcze gruzy i kamienie w wielkim bezładzie zapełniały zamczysko, i dopiero w sześć lat później odsłonił Schliemann w najwyższej części akropolii pałac książy.

Z Tiryntu wyruszyliśmy do Argos, położonego u stóp potężnej Larisy, która w geograficzném i militarném znaczeniu stanowi właściwe centrum równiny; major Steffen zapewnia, że jest to pozycja nadzwyczaj silna i obronna. Podanie przenosi też do Argos pierwszy punkt zborny Pelasgów, siedzibę mitycznego króla Foroneusa; Danaos miał zbudować zamek larisejski. Jeżeli mimo tego dominującego stanowiska Larisy, Tiryns i zwłaszcza Mikeny wzrosły do wielkiej potęgi, stało się to niezawodnie wbrew woli i ze szkodą miasta Argos, a nieprzyjaźń ta znalazła także wyraz i w podaniu.

Mikeny są wysunięte najwięcej na północ; Homer mówi trafnie, że leżą w najdalszym zakątku konie żywiącego Argosu. Wyżyna zamkowa, trójkąt nieregularny (którego szczyt najwyższy dochodzi do 277 metrów) mieści się między dwiema wysokimi górami: g. *Szara* i g. *Eliasa*, od których ją oddzielają głębokie parowy. Ród odważnych a wojowniczych żeglarzy założył Tiryns i Mikeny, posuwając się z Nauplii dalej ku północy. W górach oddzielających Mikeny od Istmosu Korynckiego, skonstatował Steffen cały system obwarowań i dróg kyclopskich, które miały utrwalić komunikację z Koryntem i zatokami korynecką i sarońską. Otóż ta pozycja umożliwiała Mikeonom działalność w dwóch kierunkach: ku Istmosowi i ku równinie i zatoce argolskiej, i zapewniła im przewagę. Położenie to wyzyskano: Mikeny przeistoczono w wielką pozycję obronną.

Kiedy do Miken zawitaliśmy, przebywał tam jeszcze archeolog grecki, Stamatakis, który pełnił obowiązki komisarza rządowego podczas poszukiwań Schliemanna, a następnie kontynuował je z polecenia archeologicznego towarzystwa ateńskiego. Jego uprzejmości wiele zawdzięczaliśmy podczas kilkudniowych studyów; lepszego Cicerone nie można było sobie życzyć.

VI.

Trzy działy budownictwa reprezentowane są w Mikenach i Tirynście: 1) budowle forteczne, 2) grobowce, 3) pałace. Świątyni nie było ani tu, ani w Troi; widocznie w tej epoce nie w zamkniętych komnatach, lecz pod gołym niebem ludność cześć bogom składała.

Mury miały przedewszystkiemi osłonić władcę, zabezpieczyć jego rezydencję. Najpierw więc akropolię obwarowano i to silnie, później dopiero i słabiej miasto dolne. Tak się rzecz miała w Troi, nie inaczej w Tirynście i w Mikenach. Obwarowanie dolnego miasta mikeńskiego uwidoczni się dość dokładnie. Pierścień zaś murów, biegnący wokół akropolii, zachował się niemal w zupełności i w dobrym stanie. I w Tirynście utrzymał się niezłe wał forteczny, choć nie w pierwotnej wysokości. Obie te cytadele wzbudzały już w starożytności podziw, tirynckiej zwłaszcza nie uważano za dzieło architektów śmiertelnych, lecz za dzieło istot nadziemskich, za dzieło olbrzymich i gwałtownych Kyclopów. Według tych Kyclopów nazwano kyclopskim ten sposób konstrukcyi murów, który spotykamy w Mikenach i w Tirynście, i w innych miejscowościach płaszczyny argolskiej. W pierścieniu mikeńskim odróżniają trojaki styl budowli poligonalnej: albo kładziono nieociosane bryły jedną na drugą, a tyl-

ko tu i owdzie bryły nieco obrobione, i luki wypełniano mniejszemi kamieniami; albo kładziono przeważnie czworokątne bryły; albo wreszcie mur składano z ciosów wielokątnych i tak je przystosowywano, że wierzchnie nadawały się do dolnych. Całe zamczysko mikenckie zostało mniej więcej w jednym czasie obwarowane. W stylu trzecim dokonano w późniejszych czasach napraw i wzmocnień.

Mur tirynecki jest zbudowany w ten sam sposób: bryły kolosalne, jeszcze większych rozmiarów niżli w Mikenach kładzione są jedna na drugą; mało która jest ociosana; między bryłami umieszczono glinę dla lepszego spojenia. Znajdują się tu glazy o 3 met. długości a 7 m. szerokości.

Mury i budowle takie, jak tiryneckie i mikenckie, mogły powstać jeno w tych czasach, kiedy książęce rody posiadały niepospolite środki, a siłą poddanych rozporządzały według swój woli. Podziwiać trzeba architektów, jak sobie radę dać umieli przy wylamywaniu, transporcie, umieszczeniu tak wielkich głazów. W pałacu tiryneckim spotykamy się z głazem, ważącym przeszło 20,000 klgr. Głównym narzędziem tych budowniczych była dźwignia, czas głównym pomocnikiem.

Do wnętrza akropolii mikenckiej — i tak samo do tiryneckiej — wiodły dwie bramy; w Mikenach jedna niska i wązka na północy, druga wielka, w północno-zachodnim kącie, tam, gdzie wyżyna zaczyna się zwolna pochylać ku równinie argiwijkiej. Ta druga, to sławna *Lwia brama*, nazwana tak według znaniej rzeźby, która jest górą umieszczona. Składa się ta brama z trzech ogromnych głazów: na dwóch węgarach, nieco pochylonych ku sobie, spoczywa kamień trzeci, a po nad nim architekci, widocznie w tym celu, aby go zbyt ciężnie nie obciążać, zostawili lukę, w kształcie trójkąta. Tę lukę atoli zakryto płytą, stosunkowo cienką, rzeźbioną po jednej, zewnętrznej stronie. Dwa lwy, czy też lwice, stoją naprzeciwko siebie; przednie łapy oparły na bazie gładkiej kolumny, przyozdobionej oryginalnym kapitelem. Rzeźba ta była do niedawna zagadką; nie przebyta przepaść, zdawało się, oddziela ją od innych pomników sztuki greckiej. Przepaść tę wypełniły już różne odkrycia. Podobne obrazy lwów, obok kolumny umieszczonych, znaleziono w Menidhi, niedaleko Aten, i we Frygii. Zatem za herb Miken uważać lwów nie możemy, a i symbolicznego znaczenia rzeźby trudno nam się domyślić.

Przeszedłszy przez Lwią bramę, stajemy na dolnym tarasie. W głębi tego obwodu poczynił Schliemann swoje wiekopomne odkrycia, i tutaj najświetniej się uwydatnił jego dar śledzenia.

Schliemann rozumiał w ten sposób słowa Pauzania, że tutaj muszą się mieścić groby Agamemnona, Elektry i innych. Mimo że mu szczęście posłużyło, nie mogę Schliemannowi przyznać słuszności.

Pauzanasz nie widział tych grobów, które Schliemann odkrył; były one oddawna zasypane.

W każdym razie Schliemann miał szczęśliwą rękę.

Usunąwszy gruzy, nagromadzone po za Lwią bramą, napotkał w odległości 17 metrów od niej niskie obejście, czyli kanał, biegnący w kształcie koła, o średnicy mniej więcej 20 metrów. Kanał ten stanowił dwa, 1 metr od siebie odstające, równoległe szeregi płyt kamiennych, 1½ metra wysokich, dobrze obrobionych i ściśle ze sobą spojonych. Płyty stały pierwotnie prostopadle na skalistym gruncie wyżyny, a gdzie tego była potrzeba — na podmurowaniu; dopiero gruz, walący się z wyższego zamku, spowodował pochylenie się płyt. Z takich samych płyt, co boczne ściany, składało się i wierzchnie nakrycie kanału, a część tych przykrywań i po dziś dzień jest na miejscu.

Kopiąc dalej wewnątrz tego obejścia, napotkał Schliemann płyty z kamienia wapiennego, prostopadle stojące i poziomo leżące, jedne rzeźbione, inne nie rzeźbione. Utwierdziły go one w domyśle, że znajdują się tu groby, i niebawem je odszukał — on sam pięć wykopał; archeologiczne towarzystwo jeszcze szósty odkryło.

Są to groby, a raczej komory, w skale wykute, nie równo głębokie, ani też równo obszerne, a rozstawione mniej więcej w 2 szeregach. Ściany były wyłożone kamieniami różnej wielkości, spód posypany jeszcze krzemykami, i dopiero na tych krzemykach spoczywały trupy. Było ich razem siedmnaście, w poszczególnych grobach po jednym do pięciu — mężczyźni, niewiasty i dzieci. Zdaje się, że groby mężczyzn (II i V), były oznaczone tablicami rzeźbionymi, kobiety zaś i mieszane nie rzeźbionymi.

Że w obrębie akropolii chowano nieboszczyków, raziło to niektórych badaczy, ale dziwnym nie jest w owych dawnych czasach, kiedy panowały pojęcia religijne, zupełnie odmienne od tych, które znamy z czasów historycznych. W grobach znaleziono popiół, ale trupów, zdaje się, ogień nawet nie dotknął. Nie podobna więc uznać choćby częściowego spalenia ciał, albo palenia *pro forma*, jak to niektórzy przypuszczali, między nimi i Schliemann. Znakomity archeolog niemiecki, Helbig, i niektórzy inni, słusznie się domyślają, że po pochowaniu nieboszczyków, składano w grobach palne ofiary, a popiół gorący sypano na trupy. Jest także prawdopodobnym, że ciała balsamowano.

W grobach widać było wielki nieład: kosztowności obok płyt gruzów; niektóre ciała leżały całkiem nie połudzku skurczone. Schliemann, uważając tę zawartość grobów za pierwotną, nie mógł wierzyć, żeby częściej otwierano groby, w ten sposób zapełnione.

Przypomniął sobie także tradycję o Klitemnestrze i Egiście, którzy Agamemnona zabili. Zatem jego zdanie było to: że odrazu pochowano ciała, przynajmniej w każdym grobie z osobna, że je pogrzebano niestaranie, bez czci i szacunku. Gladstone jeszcze dalej na ten temat fantazyował. Jak w wielu wypadkach, tak i w niniejszym, Dörpfeld zagadkę rozwiązał—a to na podstawie ustnej relacji Schliemanna o pewnym szczególe. Groby były zamykane i otwierane według życzenia, zakrywano je bowiem płytami, które spoczywały na jednej lub dwóch belkach, wsuniętych końcami w pudła brązowe, które znaleziono w grobach. Belki z czasem zgniły, płyty się zapadły, a ziemia i gruz dostały się także do grobowców i spowodowały tam takie spustoszenie. Naturalnie nie nastąpiło to rychłej, jak wtedy, kiedy przestrzeń, objęta wierzchniem obejściem, już była całą ziemią nakryta, aż do wysokości kanału. Obejście zaś nie powstało równocześnie z grobami, lecz znacznie później, kiedy już groby były zamknięte, bo zachodzi na groby, a miało je widocznie obronić od zniszczenia. Pomylił się Schliemann, twierdząc, że to koło było agorą mikeńską, a kryte obejście służyło radnym za siedzenie. Agora, jak u Feaków według opisu Homera, tak i w Mikenach, znajdowała się niezawodnie w dolnym mieście, a nie na wyżynie zamkowej.

Towarzystwo archeologiczne odkryło w latach 1887 i 1888 w dolnym mieście całą nekropolię, 52 grobowce, podzielone na grupy—wspanialsze, lub mniej okazałe, bogaciej zaopatrzone w narzędzia ze słoniowej kości i drogich metalów, lub biedniej wyposażone figurkami z gliny. Jest to widocznie cmentarzysko ludowe; każda gmina, lub raczej dzielnica, miała swój osobny cmentarz i to w obrębie miasta. Rzecz więc zrozumiała, że i ród najpierwszy, ród książęcy, na swoim własnym terytorium, na wyżynie zamkowej, gdzie rezydował, chował książąt i innych członków rodu.

Ale po pewnym czasie już książętom nie podobały się skromne pudła grobowe. Stawiali sobie wspaniałe grobowce, a dla tych nie było miejsca na wyżynie zamkowej; stawiali je zatem w mieście dolnym.

Na gruncie mikeńskim odszukano siedm kopulistych gmachów — *tholoi*—z tych najslawniejsze i najlepiej zachowane są dwa: mianowicie wspaniały gmach, zwany *skarbcem Atrousza* lub też *grobem Agamemnona*, oczyszczony i dokładnie zbadany już w r. 1878, z polecenia towarzystwa archeologicznego, przez pana Stamatakisa; drugi nieco rychłej, ale tylko w części odkopany przez panią Schliemann. Prócz tego znaleziono aż do tej chwili jeszcze sześć innych takich samych budynków na ziemi greckiej; z tych najwspanialszym jest *skarbiec Miniasza* w Orchomenos, oczyszczony i zbadany przez Schliemanna.

Skarbiec Atreusza składa się z dwóch części: z wejścia, czyli kurytarza, i gmachu właściwego. Brama, prowadząca do właściwego tholosu, podobna jest do Lwiej bramy. Ogromne węgory pochylają się także nieco ku sobie, a na nich spoczywa znowu olbrzymi kamień, po nad którym jest luka w kształcie trójkąta; luka ta może była kiedy wypełniona płytą. Po obydwóch stronach bramy stały półkolumny z ciemno szarego alabastru. Ale nie tylko odrzwia, lecz cała fasada była bogato dekorowana. Odszukana część jednego kapitelu przypomina kapitel na rzeźbie lwiej bramy.

Tholos sam jest kopulistem sklepieniem w kształcie ściętego ostrokręgu. Na linii koła o 15 m. średnicy wznosi się jeden pierścień z wielkich, misternie ociosanych i szczelnie złożonych, kamieni prostokątnych, po nad tym pierścieniem drugi, węższy, i tak coraz węższe, wogóle pierścieni 33; na samym szczycie ogromny kamień zakrywa całe sklepienie. Z zewnętrznej strony nasypało na kręgi wielką ilość kamieni różnego kształtu i wielkości, a następnie ziemię, w kształcie pochyłego wzgórza. Kamienie i ziemia ciężarem swym utrzymują pierścienie kamienne kopulistego gmachu *in situ*. Ściany wewnętrzne przyozdobione były płytami bronzowymi, które w pewnych odstępach symetrycznie przymocowywano za pomocą bronzowych gwoździ. Z tej pierwszej sklepionej izby wchodzi się do komory ciemnej, niskiej, wykutej w skale, w kształcie nieregularnego trójkąta.

Znaczenia tych budynków już starożytni nie znali. Nazywali je skarbcami. W nowszych czasach pojawiły się nowe nazwy. Dzisiaj nie może być już różnicy zdań. Są to grobowce familijne, późniejsze od grobów na tarasie zamkowym.

VII.

Wspaniałe grobowce kazały się domyślać, że książęta rezydowali w wielkich i przepychem napełnionych pałacach. Lecz aż do niedawna nigdzie nie odszukano ich śladów. Tém silniejsze wrażenie sprawiło odsłonięcie domu anaktów na tiryneckiej warowni w r. 1884. Dzieło to stanowić zawsze będzie jeden z głównych tytułów sławy i chwały Schliemana.

Za Schliemana przykładem pospieszyło towarzystwo archeologiczne ateńskie, i w r. 1886 odkryło na szczycie zamku mikeńskiego dawny pałac królów mikeńskich; pałac ten, tak co do zarysu, jak co do budowli samej, najzupełniej się zgadza z tiryneckim. Wystarczy zatem, jeżeli się przypatrzymy pałacowi tiryneckiemu, który jest najokazalszy i najlepiej się zachował.

Dwa były wejścia do wnętrza zamku: jedno wąskie, wyłącznie dla pieszych przeznaczone od strony zachodniej; drugie, główne, od strony wschodniej, dla wozów i koni urządzone, mimo to dość strome.

Wszedłszy tą szerszą drogą w obręb cytadeli między dwiema wieżami, z których jedna wznosi się jeszcze do wysokości przeszło 7 metrów, i dotarłszy nią aż na najwyższy punkt wyżyny, stajemy w pierwszym dziedzińcu, a zwracając się ku wschodowi, przybywamy niebawem do wielkich propylei, które się składają z przedniego i tylnego westybulu, i przyozdobione są dwiema kolumnami *in antis*.

Przeszedłszy przez tę bramę wchodzimy do drugiego dziedzińca. W północno-zachodnim jego kącie położone są drugie, mniejsze propylee.

Przez podwoje propylei wchodzimy wreszcie do trzeciego, głównego dziedzińca pałacu, do dziedzińca mieszkania mężczyzn. Wszystkie cztery jego ściany otoczone są portykami.

Do ściany północnej przytyka mieszkanie, przeznaczone dla mężczyzn, a to w ten sposób, że bezpośrednio łączy się duży westybul, utworzony przez dwie kolumny *in antis* i dwie parastady. Z tego przedsionka prowadzi troje podwoi do rozległego przedpokoju, a z przedpokoju wchodzimy szerokimi drzwiami do wielkiej głównej sali, czyli do właściwego megaronu. W środku megaronu znajdowało się okrągłe ognisko; wielkie koło na posadzce w środku sali oznacza niezawodnie miejsce tego ogniska. Otaczały ognisko cztery słupy, podtrzymując prawdopodobnie bazylikę z otworami; temi otworami wiskało się światło i dym się ulatniał.

Z przedpokoju prowadzą małe drzwi, umieszczone w zachodniej ścianie, do kompleksu izb, połączonych kurytarzami; z tych izb najwięcej nas może zająć łazienka; jej podłoga składa się z jednego odłamu *breccia*, dobrze wygładzonego, który waży przeszło 20,000 kgr. Ponieważ łazienka połączona jest drzwiami z przedpokojem, przypuszczać wolno, że przybysza najpierw tutaj w łazience kąpano i olejkami smarowano; potem dopiero prowadzono go do przedpokoju i stąd wpuszczano do sali głównej, do megaronu króla.

Bezpośrednio do oddziału dla mężczyzn przytyka na wschód drugi oddział, składający się również z dziedzińca i pokoiów; niezawodnie było to *gynekeion*, czyli mieszkanie kobiet. Nie było jednak bezpośredniej komunikacji między obydwoma oddziałami. *Gynekeion* miało także swój osobny dziedziniec, otoczony również portykami. W głównej sali, czyli megaronie, odkryto ślady ogniska w kształcie czworoboku. Kurytarzami przejść było stąd można do szeregu mniejszych i większych komnat, które służyły prawdopodobnie w części za zbrojownię i skarbcę. Z jednej izby prowadziły, jak się zdaje, wschody na wyższe piętro, lub na dach pałacu.

Fundamenta pałacu składają wielkie bryły; mury wyższe aż do jednego metra wysokości składają kamienie mniejsze, zespojone gliną, następnie cegły suszone na słońcu. Dach pałacu tiryneckiego był zapewne płaski; składał się z belek obok siebie umieszczonych, na które kładziono pokład wapna.

Wszystkie mury wewnętrzne były obrzucone najpierw gliną, następnie wapnem, a tynk ten dobrze wygładzono i przyozdobiono malaturami, wykonanemi al fresco w kolorach: niebieskim, czerwonym, żółtym, białym i czarnym; koloru zielonego, zdaje się, nie znano. Te same kolory wraz z zielonym zdarzają się na egipskich ściennych malaturach.

Malowany tynk poodpadał ze ścian; kawałki pomieszały się z gruzem, ale właśnie gruz uchronił niektóre przynajmniej malatury od zupełnego zniszczenia, gdyż powstrzymywał przeciekanie wody. Jedyną komnatą, w której znaleziono malowany tynk jeszcze na ścianie, jest wielka sala niewieścia. Przekonać się tutaj więc można naocznie, że malatury nie zakrywały całych ścian, lecz tylko dolne, a może i górne fryzy.

Przeważna ich część—o ile się zachowały—przedstawia rozmaite ornamenta: rozety, kwiaty, linie spiralne i różne kombinacye linii; między niemi motywa, które do dnia dzisiejszego zastosowanie znajdują, jako motywa tapet. Zdarzają się też kawałki jakiegoś skrzydatego zwierzęcia, nogi wołu i t. p. Najciekawszą figuralną malaturę ukazuje nam fragment, złożony starannie przez Schliemanna i jego towarzyszków ze siedmiu kawałków (przedstawiony na tabl. XII Schliemannowskiego dzieła o Tiryncie). Szczątki te przedstawiają tęgiego buhaja w profilu, w pędzie szalonym ku stronie lewej. Rogi zwierzęcia sięgają w górze aż do brzegu fryzu. Łeb niesie on do góry, pysk jego zamknięty; szal i dzikość wyraził malarz w oku, wielkiem, okrągłym. Na grzbiecie byka klęczy jakiś mężczyzna jedną, prawą nogą, ale tak, że tylko kolano i palce dotykają grzbietu zwierzęcia, drugą nogę cofnął w tył tak wysoko, że piętą niemal brzegu fryzu dosięga. Rysunek jest zręczny, formy zaś ciała takie, jakie na wszystkich archaicznych wazach bardzo dawnego pochodzenia: nogi są zbyt cienkie, głowa, w proporcji do grzbietu, zbyt krótka.

Najprawdopodobniej przedstawia malatura poskramiacza byków, który popisuje się zręcznością we wskakiwaniu na grzbiet byka, podczas gdy ten w największym jest pędzie. Niektórzy archeologowie przypisywali wprawdzie obrazowi mitologiczne znaczenie; ale najświeższe przypadkowe odkrycia podobnych obrazów i rzeźb w sławnej Amyklei w pobliżu Sparty i w Mikenach potwierdziły interpretacyą dawną.

VIII.

Schliemann wzruszył spokój zamczyska mikeńskiego i książąt tam pogrzebanych. Spoczywali zapomnieni, nieznanymi. Nagle świat ujrzał ich przepych i potęgę—to, czém się otaczali za życia i po śmierci—i ze zdumieniem spostrzegł, że w tak dawnych wiekach wysoka kultura ożywiała argolską krainę.

Nie łatwą jest rzeczą dać treściwy przegląd mnóstwa przedmiotów, które Schliemann wygrzebał w Mikenach i w Tiryncie.

Obfitą i zajmującą jest zdobycz naczyń i innych wyrobów z gliny. Należą one przeważnie do klasy tej, którą nazwano właśnie mikeńską, dlatego, że w Mikenach najświetniejsze jej okazy się pojawiły—nazwano także naturalistyczną według sposobu dekoracji. Widzimy zatem na wazach mikeńskich przedewszystkiem ornamenta, złożone z linii spiralnych, fantastyczne przeobrażenia wzorów ze świata roślinnego i zwierzęcego, wreszcie zwierzęce figury w wierném naśladowaniu natury. Wobec tego rodzaju ustępują liczebnie naczynia z dekoracją t. zw. geometryczną, która w archeologii od niejakiego czasu nosi nazwę *Dipylonu*, a nosi z tej przyczyny, ponieważ naczynia, znalezione w Atenach, w grobach przy podwójnej bramie (*Dipylon*), przyozdobione są właśnie tą ornamentyką. Styl *Dipylonu* pojawił się w Grecyi mniej więcej przy schyłku drugiego tysiąca lat przed Chr. i wyrugował ostatecznie tak rozpowszechnioną dekoracją mikeńską.

Wielki przedział rozdziela najpiękniejsze naczynia mikeńskie od mniej udatnych; różnią się między sobą pod względem kształtności i pod względem technicznego wykończenia. Jedne są wyrobione z wolnej ręki, przeważna jednak część na kręgu garncarskim. Na jednych ozdoby są nałożone farbami bez połysku, inne mają dekorację połyskującą, jakby glazurową w kolorze brunatnym. Uczniowie niemieccy, Furtwängler i Löschcke, zajęli się z polecenia niemieckiego instytutu archeologicznego zebraniem i opracowaniem materiału dla wielkiej publikacji naczyń krajów morza śródziemnego z epoki przedhelleńskiej, i poświęcili temu zadaniu niemało trudu i czasu. Ich tedy zdaniem, na wazach bez połysku zdarzają się tylko ornamenta linijne: zatem proste linie, cieńsze i grubsze, jakby pasy, koła, półkola, wężownice i t. d.; natomiast na wazach, mających farbę pokostową, znaleźli wyłącznie przedmioty natury, osobliwie takie, które wpadały w oko mieszkańcom wybrzeża morskiego, jako to: fale morskie, ryby, polipy, korale, ślimaki, muszle, wreszcie trawy i inne ro-

sliny wodne, liście epichu i gałązki drzew, drzewo palmowe i kwiat lili. Niektóre z tych składników wcześniej wymarły, inne zaś, jak polip, nautilus, niektóre rodzaje ślimaka, palma, stały się płodnym elementami ornamentyki.

Ornamenta na tle bez połysku uważają niemal za powszechną własność wszystkich szczepów indoeuropejskich; malowanie połyskującymi farbami za wynalazek Greków: mikeńskie wazy unaoczniają nam początki tego ważnego wynalazku i dalszy trwały jego rozwój. Można już dziś nawet określić jego stadya: uwydatniają się one w coraz misterniejszemu wykonaniu technicznemu, delikatniejszej glinie, piękniejszej glazurze, różnaitości barw. Rozszerza się także koło wizerunków: wchodzą w nie ptaki, ludzie i czworonożne zwierzęta; nigdzie jednak nie widać gryfów, sfinksów, lwów albo kwiecica papyrusu.

Wątpliwą jest rzeczą, czy naczynia mikeńskie, nawet dawniejsze, są fabrykatem miejscowym. Wazy mikeńskiego *genre*, zwłaszcza drugiego rodzaju, rozsiane są po całym przestworze dawnego świata greckiego i nawet w dalszych stronach, a zastanawia zgodność ich, nie tylko w stylu, dekoracyi, lecz także w formach i nawet w glinie. Dotychczas nie odszukano miejsca fabryki, i nie jest prawdopodobnym, aby wszystkie się rozchodziły z jednej miejscowości. Wyrabiano je zapewne w kilku osadach na wyspach morza egejskiego, a może w części w Argolidzie, i rozsyłano, jak inny towar kupiecki, w okolice bliższe i dalsze.

Plastyczne wyroby z gliny — ludzie i zwierzęta — są nieudatne, niemal wstrętne. W pomalowanych pstro figurkach z terakoty, w których Schliemann upatrywał boginię Herę o krowich oczach, postać ludzka ledwo jest zaznaczona. Takie same jednak odszukano w najdawniejszych warstwach na zamku w Atenach, i one zatem były artykułem handlowym.

W samych *grobach* mikeńskich znaleziono mało naczyń glinianych, natomiast wielką ilość waz i kubków złotych o pięknych kształtach; niektóre z nich nie mają prawie żadnych ozdób, inne zaś przystrojone są w bogate, młotkiem wykute ozdoby linearne i z dziedziny świata roślinnego lub zwierzęcego. Mieściły się też w grobach naczynia z innych kruszców, w jednym np. 32 kotły z miedzi, nadto 20 srebrnych waz i dzbanków.

Pod względem artystycznym pierwsze miejsce należy się niezliczonym wyrobom ze złota. Na wyżynie mikeńskiej odkryto tysiące blaszek, małych okrągłych tarczy, gwiazd, krzyży, liści, których przeznaczenia nawet w części nie znamy. Spora ich liczba przyszyta była do szat nieboszczyków. Liście złote nakrywały rękojeści mieczów lub guziki. Niektóre ozdoby rozrzucono może na to tylko po

grobach, aby pokryć całkiem ciała umarłych. Wszystkie te blaszki i gwiazdy wykuto młotkiem lub wyduszono na formach z kamienia, czyli na t. zw. *matrycach*. Najwięcej rozpowszechnioną, niemal zasadniczą formą dekoracyi jest linia spiralna w najrozmaitszych odmianach; zdarzają się jednakowoż i rośliny, i postacie zwierząt. Te same motywa: koła, ślimacznice, liście, rozety, gałązki wawrzynu i t. d. powracają i na pięknych dyademach ze złota, które zdobiły skronie pogrzebanych niewiast, na dużych blachach, które przykrywały piersi nieboszczyków, na pasach również ze złotej blachy, do których były przymocowane miecze, na innych pasach, któremi owijano ramiona mężczyzn, i na różnych szczegółach, które służyły do stroju damskiego. Właśnie z ozdób złotych przeniesiono te ornamenta do naczyń z terakoty; przy tém zaś przeniesieniu, pomnożeniu i nowém ugrupowaniu, szwank one poniosły.

Zauważono zresztą już dawno, że w mikeńskich wyrobach—nieliczne wyjątki pominąwszy—niższe formy organicznego życia lepiej są wyobrażone, aniżeli wyższe. Ryby są lepiej wykonane, aniżeli ptaki, ptaki lepiej, aniżeli czworonożne zwierzęta; najgorzej wypadły próby wyobrażenia ludzi.

Sześć masek złotych, które znaleziono w dwóch grobach, przykre na widzu sprawiają wrażenie, témbardziej, że ciężar narzuconych gruzów mocno je pogniół i w części do niepoznania zespecif. Każda maska inaczej wygląda. Są to więc niezawodnie portrety, wykonane podług odcisków, ale portrety nieudatne. Miały one uwiecznić oblicza nieboszczyków, a zarazem zniszczyć przykry wyraz śmierci i nadać umarłym urok wyższych niejako istot. Używanie masek sepulkralnych sięga tak co do czasu, jak co do przestrzeni poza granice cywilizowanego świata starożytności i należy do tych obrzędów, które świadczą wyraźnie o jedności rodu ludzkiego.

Na grobowych tablicach (stelai) powtarzają się również ornamenta ozdób złotych; w obrazach zwierząt i ludzi, które są na nich wyrzeźbione, ujawnia się atoli szczególna niezręczność, zupełny brak ekonomii artystycznej. Nie są to wcale wykończone obrazy, lecz tylko zarysy; niekształtne figury i ornamenta nie są modelowane, lecz jeno zaznaczone dłutem. Płyty te wyprzedziły znacznie rzeźbę nad Lwią bramą.

Niewątpliwie słuszném było zdziwienie niektórych archeologów, że tak nieharmonijnie rozwijały się w świecie mikeńskim, w tym samym czasie, różne kierunki poczucia piękna. Nie należy jednak zapominać, że epoka kultury mikeńskiej obejmowała wieki, że w obrazie tym, który się roztacza przed naszymi oczami, złączone są razem przypadkowo wyroby, w różnych warunkach i czasach wytworzone.

Pamiętać i o tém trzeba, że jedne przedmioty przybywały z dalekiej obczyzny, inne na miejscu wyrabiano. Płyty grobowe rzeźbili niezawodnie w samych Mikenach miejscowi kamieniarze. Za wzór im służyły misterne rzeźby na mieczach. Z pomiędzy mnóstwa bronzowych mieczy, które włożono nieboszczykom do grobów, ośm było przyozdobionych różnemi wizerunkami. Rzeźby te wykonano na osobnych cieniutkich płytach ze złota lub bronzu, a płyty przykładano do obydwóch stron ostrza. Obrazy rzeźbione przedstawiają się nawet w różnych barwach: na jednym np. miejscu lwy i nagie części ciała ludzkiego wyłożone są złotem, twarze srebrem, inne podrzędne części, jak znaki na tarczach i ozdoby na szatach, jakąś masą czarną.

Jeżeli te miecze są obcego pochodzenia, w takim razie z tego samego źródła przywieziono do Miken i inne pięknie rzeźbione przedmioty, zwłaszcza niektóre ozdoby niewiast, jako to: trzy t. zw. wysuwki złote, należące niezawodnie do naszyjnika, niektóre pierścienie i przyrzęta rzeźbione.

Ozdób niewieścich pełno w grobach mikeńskich. Jest tam spora ilość pierścieni, są piękne szpilki do włosów, są kolczyki i bransolety różnego rodzaju i różnej wartości. Naszyjniki księżniczek mikeńskich składały się nietylko ze złotych ozdób, lecz także z drogiej klejnotów, z gemm i pereł, i kamieni, jak achat, onyx, lapis ollaris, ametyst.

Pod względem techniki przewyższa wszystkie przedmioty zbioru Schliemannowskiego głowa wołu z lanego srebra. Udatnym wyrobem jest także waza w kształcie jelenia o jednym rogu, wyrobiona z aliażu srebra i ołowiu. Przywieziono je bezwątpienia z obczyzny, jak wiele innych przedmiotów. Z Fenicyi np. pochodzą złote obrazki kobiety z gołębiami na głowie i na ramionach — zapewne bogini Astarty, niemniej trzy ołtarzyki z gołębiami na dachach fasady, która ma uprzytomniać świątynię tejże bogini w Pafos.

IX.

Domysł a wiedza, zaiste to dwie różne rzeczy — powiedział już poeta grecki.

Domysłów, przypuszczeń, kombinacji o odkryciach Schliemanna wiele uczyniono i nie zabraknie ich w przyszłości. Ale pewności, wiedzy — mało. Rezultat sumiennych i pilnych porównań i badań jeszcze nie jest znaczny. Nie udało się dotychczas wbić potrzebnej liczby palów w stały grunt historii, celem wytyczenia granic i opłocenia terytorium dawniej cywilizacji mikeńsko-helleńskij. Rozliczne

szczególony już sę wyjaśnione, ale nie składają jeszcze całości: jeszcze niepodobna oznaczyć stanowczo i z naukową ścisłością pochodzenia tej kultury, nazwać ich twórców i reprezentantów, określić jej rozległości.

To wszakże pewna, że sztuka i kultura świata Homerowego różni się i późniejszą jest nietylko od trojańskich dwóch warstw najniższych, lecz także od przedmiotów, wydobytych w Mikenach, Tiryncie i Orchomenos. Nader silnie uwydatnia się to przeciwieństwo, tak silnie, że pierwotnie zupełnie nie dostrzegano istniejącego w niektórych względach podobieństwa i związku.

Epepea nie wymienia grobowców: ani owych prostych komór, ani wspaniałych *tholoi*. Ciała palą u Homera na stosie i chowają popioły; w Mikenach nieboszczyków nawet balsamowano, tak jak w Egipcie, zapewne w tém przekonaniu, że życie duszy przywiązane jest do dalszego utrzymania się ciała. Wielka różnica objawia się w ubraniu: w mikeńskich figuralnych przedstawieniach mężczyźni sę zwykle nadzy, a nigdy nie mają ani pancerza, ani przyłbicy, ani nagonic, które sę charakterystyczną częścią ubrania bohaterów Homerowych.

Żelazo pojawiło się w Mikenach dopiero przy samym schyłku okresu całego; także i u Homera jest to jeszcze towar drogi, lecz znają jego eksploatacyę, jest ono już przedmiotem obrotu handlowego i widocznie bronz wypiera. Fibule dopiero w roku 1888 na gruncie mikeńskim znaleziono; sę one tam rzadkością, w Troi niema ich wcale. U Homera powszechnym jest zwyczaj noszenia szat, spiętych za pomocą fibuli.

W pierwszych latach po odkryciu zabytków trojańskich i mikeńskich wszystko się tam wydawało niegreckiem: style i ornamentyka, kształty zwierząt i ludzi, oznaki i symbole, ubiór i grzebanie ciał. Wystąpił tedy uczony archeolog, Köhler, w r. 1878 z twierdzeniem, że w grobach mikeńskich mieściły się ciała księząt karyjskich, że wszystkie w mikeńskiej akropolii odkryte sprzęty należały do Karyjczyków i ich były wyrobem. Karyjczycy i pokrewne im szczepy przemieszkowały w XII i XI wieku na południowych wyspach Archipelagu, oraz na wschodnich wybrzeżach Peloponezu i Attyki. Teoryę Köhlera podjęli na nowo przed czterema laty młodzi archeolodowie Dümmler i Studniczka.

Mniejsza o nazwę, ale czy rzeczywiście tak obcą jest Homero-wi kultura mikeńska?

Homer sławi potęgę i bogactwo Troi i Miken i Miniaszowego Orchomenosu; czyż właśnie nie tam Schliemann odkrył centra wielkiej potęgi i przepychu władców?

Niektóre Homerowe zbroje i naczynia najlepiej możemy odtworzyć z zabytków mikeńskich; między nimi znajdujemy wzór kubka Nestorowego, a dla obrazów tarczy Achillesa również nigdzie lepszych nie znajdujemy analogii, jak w niektórych wyrobach mikeńskich. Homer zna kolosalne mury i warownie i opisuje bramy i wieże, których w epoce po wędrówkach już w Grecyi nie było. I wnętrza zamków opisuje zgodnie z mikeńską kulturą; ściany pałacu Alkinoja obite są spiżem, jak ściany mikeńskiego „skarbcu“.

Homerowe poemata nie reprezentują jednolitej kultury. Nawet język tych utworów nosi piętno wiekowych przemian. Żaden szczepek nigdy nim nie mówił. Różne narzecza pozostawiły w nim niezatarte ślady. Jest on więc oddalony od języka ludowego Jonów, aniżeli np. język tragiczków od gwary ludu ateńskiego. Tak samo rzecz się ma z techniką wierszową, z epitetami. Różne epoki zlewają się tu razem i mieszają w całość: nowe rzeczy stają równorzędnie obok starszych.

W kulturze i sztuce, którą nam poemata odzwierciedlają, nie mógł nie pozostać śladu ten przewrót stosunków greckich, który nazywamy *wędrówkami doryckimi*, i stan rzeczy, który się wskutek tych gminoruchów wytworzył w azyatyckich dzielnicach Eolów i Jonów.

Gminoruchy te powstrzymały nagle i zniszczyły kulturę, która się wytworzyła była na wyspach i na wschodnich wybrzeżach kontynentu greckiego. Tiryns i Mikeny upadły, a przynajmniej zepchnięte zostały do rzędu państw drugorzędnych, poddać się musiały nowemu porządkowi rzeczy, w którym réj wiodło doryckie Argos, i jeszcze przez kilka wieków wlokły żywot nędzny, jako osady bez znaczenia. I Troja upadła, została pognębiona wcześniej, aniżeli Mikeny, upadła już wtedy, kiedy zaledwie weszła w związek z mikeńską kulturą. Została zburzona, spalona, jak świadczą ślady pożaru na wszystkich niemal przedmiotach drugiego pokładu.

Kłęska musiała nastąpić nagle; inaczej nie byłyby się przechowały tak liczne kosztowności. A po spaleniu już się osada nie mogła pokrzepić i wzmocnić; zastygł ruch, gdy tymczasem na kontynencie, w Mikenach i Tiryncie, dalej jeszcze w tym samym duchu rozwijały się rzemiosła, techniczne zręczności i urządzenia społeczne.

Powstanie podań trojańskich łączy zwykle z kolonizacją Eolów na wybrzeżu północnym Azyi Mniejszej. Ale być także może, że powstały one wcześniej, zaraz z chwilą upadku Troi, i że upadek ten sprowadziły rody książęce i szczepy z wysp i wschodnich wybrzeży kontynentu, gdzie kwitła kultura mikeńska, a nie Senici azyatyccy, jak twierdził Müllenhoff.

Terytoryum kultury mikeńskiej było bardzo rozległe. Stwierdzono ją na całym wybrzeżu wschodniego Peloponezu, w lakońskiej i argolskiej krainie, i dalej na północy w Attyce, w Beocyi, i nawet w Tessalii, na wszystkich wyspach Archipelagu, aż na południe do Krety i Rodos; także na wybrzeżu azyatyckim widnieją coraz więcej jej ślady. Czas jej panowania przenieść należy na drugie millenium przed nar. Chrystusa. Bliższe określenia jeszcze są niepewne; nie pomylimy się znacznie, umieszczając ją w epoce od r. 1400 do 1000, zatem w tej epoce, w której umieścić trzeba Homerowych Achajów. Ale nazwą ogólną narodu, który posiadał tę kulturę, nie była nazwa Achajów. Nawet Homer wymienia obok nich wiele innych szczepów: Jonów, Minyjczyków, Karów i innych.

Grecką, we właściwem tego słowa znaczeniu, kultura mikeńska nie była. Zanadto się ona różni od tej, którą znamy z historycznych wieków, i zanadto wyraźnie występują elementa obce. Widać elementa i wpływy egipskie, widać górno-azyatyckie, widać fenickie i zwłaszcza też lidyjskie i frygijskie, widać je w wyrobach i w budowlach. Jedni z uczonych te, inni inne wpływy silniej zaznaczają.

Z drugiej znów strony nie można tej kulturze odmówić oryginalności; śledzić w niej można genetyczny rozwój i postęp: w ceramice, w architekturze, w rzeźbie. Adler i inni architekci słusznie zwrócili uwagę na tę okoliczność, że ani wyspy, ani syryjsko-fenickie wybrzeże, ani wogóle azyatyckie krainy nie mogą się pochlubić budynkami, któreby rywalizować zdołały z pałacem tiryńckim lub mikeńskimi *tholoi*, co się tyczy rozkładu i organizmu budowli. Nawet Ernest Curtius to przyznaje, chociaż jest jednym z twórców i najgorliwszych zwolenników wpływów fenickich.

Nie była więc kultura mikeńska jednolita, pierwotna, niezmieszana. Wyrosła z różnych impulsów i składników, i w ciągu kilkowiekowego okresu zlała się w całość.

Najświetniej ona reprezentowana w Mikenach, gdzie rządili władcy potężni i bogaci. W Mikenach wszakże nie powstała, została przeniesiona z obczyzny. Skąd zaś wyszła? gdzież jej początki? Któryż naród zaszczerpił ją na argolskiej ziemi?

Może w Karyi wyrosła? Prawdopodobniejszém jest, że wyspa Kreta jest jej kolebką, ale nie ona sama; także inne kraje i szczepy dorzuciły część swoją.

Historja donosi nam o rozległym i silnym państwie Minosa na Krecie. Może później przesunęło się centrum jego z Krety do Miken. W każdym razie wolno przypuszczać, że w pewnym okresie nastąpiło polityczne zjednoczenie różnych szczepów, między niemi Karów i Achajów. Równomierne rozszerzenie się kultury po tak rozległym

terytorium usprawiedliwia wniosek, że nietylko przypadkowo i dobrowolnie stykały się i porozumiewały z sobą narody, w obrębie tej kultury pozostające, lecz, że związek ich był ściślejszy, trwalszy, silniejszy.

Do niedawna znany nam był tylko krótki okres historii greckiej. Wiadomości źródłowe, historyczne nie sięgają nawet do wędrowek doryckich. Naród grecki przedstawiał się od samego początku, odkąd wystąpił na widowni świata, już w pełni rozwoju, w posiadaniu oryginalnej kultury i cywilizacji. Początki i pierwiastki tej oświaty pokryte były grubą zasłoną, i zdawało się przez czas długi, że nikt tych ciemności rozświecić nie zdoła.

Badania literacko-historyczne o powstaniu Homerowych podań i kompozycji poematów rzuciły niejedną promyk światła w tę tajemniczą przeszłość, lecz poszukiwania te nie mogły wystarczać. Potrzebowały uzupełnienia i potwierdzenia. Uzupełnić je mogły, oprócz studyów lingwistycznych, przedewszystkiem zabytki i pomniki dawnej przeszłości.

Opatrzność w swęj niezrównanej mądrości i przezorności trzymała przez wieki w ukryciu skarby wielkie. Dawniejsze pokolenia aż do początku, może nawet aż do połowy tego wieku, nie byłyby tych zabytków należycie wyzyskały, nie byłyby ich nawet w ten sposób z ziemi wydobyły, jak tego interes nauki wymaga. Obecnie dzień niemal każdy wzbogaca nasze muzea. W miejsce podróży i przypadkowych odkryć wstąpiły wyprawy naukowe i odkopywania miast, cmentarzysk i świątyń. Zdumiewające odkrycia zaprzatają umysły z tej i z tamtej strony oceanu. Dyletantyzm wyrugowała systematyczna, umiejętna praca. Wynurzają się z głębi ziemi zagrzebane pomniki, zmartwychpowstają artyści zapomniani, pojawiają się nieznanne kultury. Odgrzebane zabytki przemawiają do nas i świadczą tak samo o przeszłości, jak pomniki literackie. Tylko mowa ich jest inna od mowy pomników literackich; i trzeba osobnej wprawy, osobnej nauki, aby ją rozumieć. Znajomość tej mowy coraz więcej się rozszerza i staje się dokładniejszą, i dlatego też coraz gruntowniej staje się nasza znajomość przeszłości starożytnych narodów.

Schliemannowskie zdobycze w Itace, Troi, Mikenach, Orchomenos i Tiryncie są bogatą skarbnicą, są wielkiem zbiorowem dzieł wiadomości o najdawniejszym okresie dziejów Hellady. Schliemann dostarczył materiału historycznego, którego nikt nie przypuszczał. Schliemann cofnął w głąb o wieki całe, o wieków siedm lub więcej, historję nie-

tylko greckiego narodu, lecz historię cywilizacji europejskiej. Schliemann przedewszystkiēm pobudził swym przykładem do umiejētnych poszukiwań w głębi ziemi helleńskiej, do wykopalisk tēj miary, co olimpijskie, pergameńskie, delijskie i ateńskie.

Niech mu będzie za to cześć i sława!

LUDWIK ŒWIKLIŃSKI.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów w Marcu 1891 r.

Faktem pierwszorzędnej doniosłości w naszych stosunkach politycznych zaznaczył się koniec Stycznia — ustąpieniem p. Dunajewskiego z posady ministra skarbu, przeszło dziesięć lat zajmowanėj.

Rozdwojenie pomiędzy Czechami, składającymi część większości parlamentarnėj w izbie deputowanych rady państwa, w toku akcyi ugodowėj w sejmie czeskim, prowadzonėj między Niemcami a Staroczechami, bez udziału zaś Młodoczechów, doszło do tego stopnia, iż nie można było spodziewać się, że Młodoczesi, którzy zyskali na popularności i na liczbie mandatów przez dalej sięgające żądania, będą nadal zaliczeni w skład większości parlamentarnėj, i tak już niezbyt silnej liczebnie. Skoro w takiem położeniu hr. Taaffe postanowił szukać oparcia u umiarkowańszych żywiołów z dotychczasowėj opozycyi, t. j. lewicy niemieckiej, która użyczyła już mu była udziału swego do akcyi ugodowėj w Czechach, jasnym było, że dr Dunajewski, który w swoim czasie nie brał udziału w konferencyach, poprzedzających akcyę ugodową, nie mógł dłużej pozostać w ministeryum. Dr Dunajewski ustąpił, kiedy w kwestyi zasadniczej, jaką drogą pójść nadal w wewnętrznej polityce państwa, decyzya wypadła nie podług

jego rady, a ustąpił, co nie każdemu jest danem, właśnie w chwili, kiedy w kierownictwie sprawami skarbowymi doszedł do szczytu powodzenia. Regulacja podatku gruntowego, stworzenie potężnej sieci kolei państwowych, zniesienie rogatek akcyzowych między Wiedniem a jego przedmieściami, nadewszystko zaś znakomite podniesienie dochodów państwa za pomocą ceł i podatków spożywczych i usunięcie chronicznego deficytu, pomimo znacznego wzrostu wydatków, zwłaszcza wojskowych, oto najgłówniejsze rezultaty działalności p. Dunajewskiego, jako ministra skarbu, której nie odmawiają zasłużonego uznania liczni przeciwnicy jego, a z małemi wyjątkami nawet nienawistne mu dzienniki lewicy niemieckiej.

P. Dunajewski jednak, prócz tego, że z pomiędzy austriackich ministrów skarbu był jednym z najdzielniejszych, a z pewnością najszczęśliwszym, był jeszcze wybitnym mężem politycznym, był jedynym, który w ministeryum hr. Taaffego przedstawiał jasno określone i stanowcze przekonania polityczne i nadawał temu ministeryum wyraźną barwę w kierunku, sprzyjającym samorządowi krajów koronnych i narodowościom słowiańskim. W Galicyi miano kilkakrotnie ciężki żal do p. Dunajewskiego, mianowicie z powodu podatku od nafty i dwukrotnego, ostatnim razem nader znacznego, podwyższenia podatku od wódki. Ministrowi skarbu łatwiej, niż komu innemu, na takie żale zasłużyć, a dłużej zostają one w pamięci, niż przysługi dodatnie, np. ta, którą p. Dunajewski zaznaczył początek swego ministerstwa, kiedy to zniżył blisko o milion projektowaną dla Galicyi kwotę nowego podatku gruntowego, nadmiernie wyśrubowaną przez poprzednika. Mimo to, w kraju opinia publiczna bez różnicy odcieni, pominąwszy tylko całkiem odosobnione głosy radykalne, oceniła należycie, jakiem było polityczne znaczenie d-ra Dunajewskiego dla kraju i dla dążeń autonomicznych w państwie, i ile pod tym względem kraj stracił na jego ustąpieniu. Zarazem poczytano mu to za zasługę, iż ustąpił, obstając przy zasadach politycznych, których bronił zawsze, jako poseł i jako minister, i zyskał tém nowy powód do uznania i szacunku, nawet u przeciwników.

Ustąpienie p. Dunajewskiego oznacza, nikt o tém nie wątpi, zmianę programu rządowego w polityce wewnętrznej, lecz jaki ma być ten program, na jakich stronnictwach, czy też odcieniach parlamentarnych, rząd myśli teraz opierać się stale, lub czasowo, pozostaje dotąd niepewnym i wyjaśni się chyba dopiero po otwarciu rady państwa w pierwszej połowie Kwietnia. Owa niepewność co do dalszego kierunku polityki wewnętrznej potęguje się przez to, że, jak to już przewidywano od dłuższego czasu, stronnictwo lewicy niemieckiej wychodzi obecnie z wyborów do rady państwa, uszczuplone prze-

dewszystkiem na rzecz antysemitów i partyi klerykalnej, zatém liczebnie mniej zdolne do udziału w rządzie, niż przedtém, podczas gdy dotychczasowa zbiorowa większość (prawica) osłabioną będzie przez ubytek Staroczechów niemal zupełny i przez niepewne, dzisiejszemu rządowi jednak raczej przeciwne, polityczne stanowisko partyi młodoczeskiej, która zajęła ich miejsce. W takiem położeniu szczególnie ważna rola przypadnie posłom polskim i ruskim, którzy, o ile wnosić trzeba z dotychczasowych oświadczeń, w sprawach ogólnej polityki iść będą łącznie, a stanowić będą wraz z głosami, które z Bukowiny i ze Szląska do nich się przyłączą, zastęp, liczący co najmniej sześćdziesiąt i sześć głosów. O tém, iżby ten zastęp wprost wszedł w sojusz z lewicą niemiecką, niema mowy, pomijając nawet okoliczność, że sojusz taki nie stanowiłby większości; natomiast najprawdopodobniejszém jest porozumienie z frakcją autonomiczną hr. Hohenwarta i z konserwatywnymi posłami większej własności, a niewykluczoném traktowanie tych połączonych grup z lewicą, celem utworzenia na razie pewnego porozumienia czasowego, któreby mogło prowadzić skutecznie pracę nad zaspokojeniem najważniejszych potrzeb państwowych i społecznych, nie tykając sporów narodowościowych.

Wybory do rady państwa, które pod wpływem opisanego tu położenia politycznego odbyły się w Galicyi z początkiem Marca, poprzedzone były okresem agitacyi wyborczej bardzo krótkim, w porównaniu z wyborami dawniejszemi. Jest to zwłaszcza w naszych stosunkach korzystném, gdyż im dłużej trwa agitacya wyborcza, tém więcej nastrocza się sposobności do rozdziału i waśni pomiędzy tymi których zgodna praca około miejscowych celów społecznych jest niezbędnie potrzebną, i tém więcej zamacają się wyobrażenia o znaczeniu owych walk u tych, którzy nie dorosli jeszcze umysłowo do zrozumienia politycznych różnic i haseł.

Nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły akcji wyborczej i rozbierać różnice poglądów, które były podstawą do grupowania się wyborców. O ile te różnice nie miały cechy narodowej, nie były one wogóle zasadnicze, chociaż za takie chciano je wydawać. W szczególności nie można przyznać, żeby o kwestyę zasadniczą chodziło tym, którzy wywieszali w walce wyborczej sztandar demokracji, gdyż w państwie, w którym podstawą urzędzeń publicznych jest równość obowiązków i praw dla wszystkich, sztandar ten jest prostym anachronizmem. Uważam za nierównie ważniejsze wskazać pokrótce na znaczące objawy, które agitacya wyborcza wyprowadziła na widownię z głębi społeczeństwa, gdzie urabiają się zwolna przyszłe kierunki życia społecznego.

Pierwszym takim objawem, odpowiadającym niewątpliwie usposobieniu najszerzych warstw naszego społeczeństwa, jest złagodnienie sporów narodowych w obrębie naszej prowincyi, na co obecne wybory w niejednym względzie dostarczyły dowodów. Ze względu na to, że to dopiero początki odmiennego stanu rzeczy, nie byłoby może stosownem więcej dziś nad tém się rozpisywać. Dalszym faktem znaczącym jest wzrastające pośród ludności wiejskiej, mianowicie w zachodniej części kraju, zrozumienie spraw publicznych i zainteresowanie się temi sprawami. Jest to owoc nieustających usiłowań urzędowych i prywatnych na polu oświaty ludowej, od lat już blisko dwudziestu na coraz rozleglejszą skalę podejmowanych, a zarazem owoc praktyki życia publicznego w samorządzie gminnym i powiatowym. Tém ważniejszym staje się dziś zadaniem dbać o to, aby ta ludność, której nauka czytania i pisania otwiera wrota do życia umysłowego, a tém samém do szerszego i bardziej świadomego rzeczy udziału w życiu publicznem, otrzymywała, w zastosowanej do jej potrzeb literaturze peryodycznej i książkowej, pokarm zdrowy, na zasadach religijno-moralnych oparty, któryby prowadził tę ludność do coraz jaśniejszego zrozumienia spraw publicznych. Niemniej ważnem jest téż, aby ludzie z klas wykształconych, żyjący wśród ludności wiejskiej w miasteczkach i po wsiach, nie wytaczali przed nią swoich politycznych i łączących się z nimi osobistych zatargów i nie podkopywali nawzajem wpływu, którego jedynie w interesie wspólnych zadań publicznego dobra używać powinni. Niestety, w tym ostatnim kierunku niejednokrotnie u nas grzeszono właśnie przy agitacyi wyborczej, a przedewszystkiem ze strony tych, którzy demokrację i postęp wyłącznie dla siebie reklamują, a zadania społeczne, nad którymi od ćwierci wieku pracują wszystkie odcienie bez różnicy, tak w sejmie, jak w delegacyi galicyjskiej do rady państwa, ogłosili za swój specjalny program. Dodać jednak trzeba, że usiłowania, z tej strony podejmowane, nie odniosły skutku. Będą one wszakże przestrogą dla tych, którzy z ludem w ciągłej żyją styczności, że to życie nakłada na nich obowiązki społeczne, które w czasach wolnych od akcji politycznej usilnie i wytrwale a rozumnie spełniać trzeba.

Jeszcze jedną charakterystyczną cechą obecnych wyborów wypada mi podnieść. Ruch antysemitki, który w kilku krajach austriackich, szczególnie zaś w samym Wiedniu, trafił na grunt wielce sprzyjający i tak bujnie się na nim rozwinął, iż w czasach obecnych wyborów stanowił tam niemal wyłączne tło walki wyborczej i dostarczył znacznej liczby posłów, przyznających się do tego kierunku, znalazł tym razem pewien odgłos i w Galicyi. Kraj nasz, liczący przeszło 11% ludności żydowskiej, uchronił się był dotąd od wyznaniowego

i społecznego antysemityzmu, a chociaż Galicya pierwsza dała pochop do nowszego ruchu w ustawodawstwie na polu walki przeciw lichwie i rozpajaniu ludności, i wydane dla niej, na wniosek sejmu galicyjskiego, ustawy z r. 1877 stały się wzorem dla innych krajów, to unikano starannie nadania tej walce cechy wyznaniowej, względnie rasowej. Zwalczano wyzyskiwanie, bez względu na to, od kogo ono wychodziło. Przy wyborach do rad gminnych, w których do roku 1869 istniały ograniczenia dla żydów w tym względzie, że naczelnik gminy i przynajmniej połowa radnych musieli być wyznania chrześcijańskiego, agitacja nieraz przybierała cechę wyznaniową, jednak były to przemijające objawy lokalnego znaczenia; natomiast zaś wybory do sejmu, w którym na 151 członków zasiada tylko czterech żydów, i wybory do rady państwa, w których zasiadało dotąd trzech żydów na 63 posłów z Galicyi, nie wykazywały nigdy ani śladu agitacji antyżydowskiej. Przy obecnych wyborach do rady państwa wystąpiły w pięciu okręgach miejskich (okręgów miejskich jest ogółem jedenaście) kandydatury żydowskie, jednakże tylko w jednym okręgu, który składają miasta Kołomyja, Śniatyn i Buczacz, przyszło do bardzo zaciętej, z naruszeniem porządku publicznego połączonej, walki na tle wyznaniowym między zwolennikami dotychczasowego posła, rabina starowiercy, Blocha z Florisdorfu pod Wiedniem, który został wybrany, a kandydatem połączonych chrześcijan, hr. Edmundem Starzeńskim, który o kilkadziesiąt głosów mniej uzyskał. Także w okręgu miejskim Tarnów-Bochnia, w walce między dr. Rechowskim, dotychczasowym posłem, który ponownie został wybrany, a dr. Goldhamerem, wystąpiła, choć w nierównie łagodniejszym stopniu, cecha wyznaniowa. W obu wypadkach tylko niewłaściwe zachowanie się ludności żydowskiej stało się powodem, że walka wyborcza ową cechę przybrała i niema powodu obawiać się, żeby wskutek tych wypadków zaczął się u nas rozszerzać antysemityzm, jaki widzimy w niektórych krajach austriackich; wszakże wypadki te winny służyć za przestrożę i za wskazówkę, że antysemityzm mógłby znaleźć przystęp, zwłaszcza do ludności rzemieślniczej, że zatem z całą usilnością należy wpływać na podniesienie mas żydowskich pod względem moralności i oświaty, w czem upatruję środek zapewne najskuteczniejszy, bo uchylający punkt wyjścia agitacji antysemitycznej.

Nad tym przedmiotem obradowała w roku zeszłym konferencya, z inicjatywy wybitniejszych osobistości wyznania żydowskiego zwołana przez byłego marszałka krajowego, hr. Jana Tarnowskiego. W tym też kierunku ma działać fundacya barona Hirscha, celem utrzymywania szkół rolniczych i przemysłowych dla żydów w Galicyi, do których-to szkół także i chrześcijanie w $\frac{1}{4}$ będą mieli przy-

stęp. Do tego przedmiotu zastrzegam sobie powrócić jeszcze innym razem.

Z innych spraw publicznych chcę wspomnieć o pracach nad poprawą stanu nauki w naszych szkołach średnich. Kiedy lat temu dwadzieścia trzy, język niemiecki, jako wykładowy, usunięty został z gimnazyów i szkół realnych w Galicyi (z wyjątkiem jednego gimnazjum we Lwowie i gimnazjum w Brodach), pozostawiono w nich system nauczania nietkniętym, a książki polskie i ruskie, jakie wprowadzono, były bądź tłumaczeniami z niemieckiego, bądź ułożonemi na wzór podręczników niemieckich. Potrzebę przystosowania sposobu nauczania i książek szkolnych do odmiennych warunków i potrzeb społeczeństwa podnoszono kilkakrotnie w sejmie krajowym, a Akademia umiejętności przeprowadziła, temu blisko lat dziesięć, rozległe studia nad reformą nauki w szkołach średnich, przy udziale licznych współpracowników z po-za jej grona. Jednakże trudności kompetencyjne i brak inicjatywy w kołach decydujących wstrzymywały od podjęcia akcji urzędowej na tém polu. Dopiero za obecnego namiestnika, hr. Badeniego, który nadzwyczaj żywo interesuje się wszystkimi sprawami szkolnemi, rozpoczęły się prace nad ułożeniem nowych podręczników i zmianą planów nauki, któremi-to pracami kieruje od jesieni wice-prezydent rady szkolnej krajowej, dr. Bobrzyński. Przy udziale profesorów obu uniwersytetów krajowych i najlepszych sił z grona nauczycieli szkół średnich, powołanych w tym celu z całego kraju, odbywają się narady nad planami nauki i nad ułożeniem podręczników, po kolei dla wszystkich przedmiotów nauki. Praca ta, bez rozgłosu, ale wytrwale prowadzona i umiejętnie kierowana, stanie się podstawą dla dalszego rozwoju naszych szkół średnich, a tém samém dla podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia w naszém społeczeństwie, z równoczesném przystosowaniem do jego szczegółowych stosunków i potrzeb.

Uniwersytet lwowski w niedługim czasie doczeka się uzupełnienia przez otwarcie wydziału lekarskiego. W najbliższym już czasie wyjdzie cesarskie postanowienie, które zarządzi stopniowe zaprowadzenie tego wydziału, po wybudowaniu, niezbędnych zaraz z początku, zakładów dla anatomii i fizjologii. Wykłady z tych przedmiotów, tudzież z higieny, odbywają się już od paru lat na uniwersytecie, przyłączone tymczasowo do wydziału filozoficznego; jednakże, dla braku odpowiednich zakładów i pracowni, nie mogą być szerzej rozwinięte, tak, jak tego dla studyum medycznego potrzeba. Zaprowadzenie wydziału lekarskiego we Lwowie ułatwioném będzie przez ofiarność miasta Lwowa, które zobowiązało się dać ze swjej strony na ten cel 30,000 zlr. w gotówce i obszerny grunt miejski, a gdy ten grunt

okazał się nieprzydatnym, postanowiło na zakupno gruntu dać jeszcze 20,000 zł. Również i kraj znaczniejsze ponieśie ofiary, albowiem wydział krajowy postanowił przedstawić sejmowi wniosek rozszerzenia domu dla położnic, którego budowa niebawem się rozpocznie, tak, aby można w nim pomieścić klinikę ginekologiczną, tudzież dalszy wniosek przyjęcia na fundusz krajowy połowy kosztów budowy dwóch klinik, t. j. kliniki chorób wewnętrznych i chirurgicznej. Wyniesie to razem około ćwierć miliona złr., nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że sejm wniosek ten uchwali i złoży nowy dowód, że konkretne propozycje pożytecznych wydatków inwestycyjnych mogą zawsze liczyć na przyjęcie, pomimo znacznego obciążenia budżetu krajowego. Budowy klinik nie opóźnią otwarcia wydziału lekarskiego, ponieważ kliniki potrzebne są dopiero dla ostatnich lat studyum medycznego. Wydział krajowy zgodził się nadto na wszelkie ułatwienia przy określaniu stosunku kliniki i prosektoryum do szpitala krajowego.

Uniwersytet lwowski, którego dotychczasowe pomieszczenie jest nader niedostateczne, zyska w tym roku piękny gmach, przeznaczony na instytut chemiczny i instytut mineralogiczny. Gmach ten, wzniesiony na gruncie ogrodu botanicznego, w jesieni zostanie oddany do użytku, wskutek czego w budynku głównym wygodniej pomieszczą się inne instytuty naukowe i wykłady.

Piszac obecnie o uniwersytecie lwowskim, niepodobna nie wspomnieć o jego nekrologii, w ostatnich czasach niestety zbyt obfitęj. Od Grudnia roku zeszłego stracił uniwersytet przez śmierć jednego profesora emerytowanego, d-ra Maurycego Kabata, i trzech profesorów czynnych: rektora urzędującego w tym roku, d-ra Tomasza Stanckiego, profesora d-ra Aleksandra Ogonowskiego i prof. d-ra Ksawerego Liskego.

Kabat był jednym z najznakomitszych i najbardziej szanowanych adwokatów lwowskich, który już w starszym wieku objął katedrę procedury cywilnej przy sposobności zaprowadzenia wykładów w języku polskim, a pomimo, że krok ten był z jego strony znaczną ofiarą pod każdym względem, oddał się przyjętemu obowiązkowi z zapałem i obok wykładów także pracami naukowemi zaznaczył swoją działalność. Brał też udział w życiu politycznym, posługając przez szereg lat na sejm i do rady państwa, gdzie należał do najbliższych zwolenników Ziemiałkowskiego.

Drugi z rzędu pracownik, Ogonowski, Rusin, wykładał prawo cywilne w języku ruskim. Ceniony przez wszystkich, którzy go znali, dla zalet charakteru i wytrwałej pracy, której owocem są dwie obszerniejsze prace w języku niemieckim, zmarły, jakkolwiek cichego i skromnego usposobienia, zajmował wybitne miejsce wśród ruskiego

społeczeństwa, jako prezes, lub wydziałowy licznych stowarzyszeń i zakładów. W najnowszym zwrocie, jaki nastąpił w stosunku obu narodowości krajowych, żywy i dodatni miał udział, jednakże choroba sercowa kępowała już jego działalność i nie dozwoliła mu wystąpić na arenie politycznej.

Rektor Stanecki, profesor fizyki experimentalnej, był przez długie lata nauczycielem gimnazyum, cenionym przez uczniów, kolegów i przełożonych. Powołany został na katedrę uniwersytecką zbyt późno, ażeby mógł na niej zaznaczyć swoją działalność pracami naukowymi, do których usposabiały go wrodzone zdolności i szczerą miłość nauki.

U.

NOWY FENOMEN LITERACKI.

(MAURYCY MAETERLINCK I DEKADENTYZM SYMBOLICZNY).

Nietylko u nas, ale i tam, gdzie to zjawisko powstało — we Francji—nie wiadano nic do niedawna o „dekadentach“. Jak o wolnomularzach, podawano sobie wieści o tym spisku literackim, podziemnym i nie szukającym rozgłosu, o tój kuźni, z której wyjść miały zbroje rycerzy nowego Odrodzenia. Ale oto wyszedł już z ukrycia pierwszy legion, liczniejszy niż można było się spodziewać; wystąpiło po za granicami Francji wojsko posiłkowe belgijskie i stanął na jego czele Maurycy Maeterlinck, którego nazwisko rozniosła po Europie fanfara dziennikarska ¹⁾. Rozgłos ten jest rzeczywiście wypadkiem w rozwoju dekadentyzmu. Sekta francuska zamykała się dotychczas w tak tajemniczej wyłączności, drukowała tak mało egzemplarzy swych produkcji, że pisać o niej, i to po za granicami Francji — nie było warto. Zgrupowani około paru pism peryodycznych ²⁾, zasklepieni w swych haszyszowo-literackich klubach, dekadenci dla własnego

¹⁾ Pierwsze hasło pod koniec roku przeszłego dał Oktawiusz Mirbau, który odrazu zrównał Maeterlincka z Szekspirem. Ogłaszały ten wynalazek liczne dzienniki francuzkie i niemieckie, między innymi „Neue Freie Presse“. Wstrzemięzliwość nieco echa odbiły się i w naszych pismach codziennych i tygodniowych.

²⁾ „Décadent“, „Chat Noir“, „Scapin“.

tylko użytku wyrabiali wiersze. Kiedy jednak ferment ten przeniknął do Belgii i namnożył tam adeptów, kiedy z pomiędzy tych ostatnich nazwisko Maeterlincka wtargnęło na widownię europejską, podawane z redakcyi do redakcyi, jako fenomenalne i pierwszorzędne, cały kierunek zwraca na siebie uwagę, przybiera znaczenie i rozmiary szkoły. Już i dekadenci francuscy dopominają się o swe zasługi dla literatury, a rozgłos ich i liczba dzieł coraz bardziej rośnie ¹⁾).

Biorąc więc za główny przedmiot niniejszego obrazu Maurycego Maeterlincka, postaramy się również wykazać na nim ogólne cechy całej szkoły, a więc doprowadzić czytelnika do źródeł tego prądu, zapoznać z mało u nas czytany poprzednikiem i naczelnymi przedstawicielami dekadentyzmu we Francyi.

I.

Poprzednikiem tym jest poeta, przez całe bractwo dekadentów za rodzonego uznany ojca—Karol Baudelaire. Rzeczywiście, bez obeznania się z utworami Baudelaire'a niepodobna prawie zrozumieć najnowszych dekadentów-symbolistów, którzy podzielili między sobą i strwonili poczęści bogatą spuściznę wspólnego rodzica.

Tłumacz Edgara Poe, autor „Kwiatów grzechu“ i „Sztucznych rajów“—streszcza w sobie cały ruch literacki, zwany „dekadentyzmem“, ruch, urodzony z gorączki, trawiącej starą cywilizację, chorobliwy już w dziełach Baudelaire'a, a wyrodzony w potworne często kalectwa u jego naśladowców. Poeta ten odłączył się stanowczo i bez wahania prawie od wszelkich szkół literackich, przed nim lub spólcześnie z nim kwitnących: nie jest on realistą w szkolnym tego słowa znaczeniu, ani romantykiem, choć ma pewne z romantykami analogie; przynosi oryginalne na sztukę piśmienniczą poglądy i mimowolnie tworzy szkołę. *Mimowolnie*, bo szkoła, która dopiero po jego śmierci (w r. 1867) zaczęła się na niego powoływać,—jest tylko dalekim echem jego filozofii i estetyki. To też dekadentyzm Baudelaire'a odróżnić należy od nowszych teorii tegoż nazwiska.

¹⁾ Ostatnie wiadomości głoszą nawet o zamiarze założenia *teatru symbolicznego* w Paryżu. Paweł Verlaine jest inicjatorem, a w Kwietniu r. b. dane będą pierwsze przedstawienie próbne. Parę aktów Verlaine'a i Maeterlincka, wiersze Moréasa, Mallarmégo i Du Plessys mają zapelnąć program („Figaro“ 31 Marca 1891).

Baudelaire nie wierzy w przyszłość cywilizacji, a w każdym razie nic go nie obchodzi postęp ani szczęście ludzkości; sądzi natomiast, że w starym, walącym się, a jednak przepysznym gmachu naszego świata, wytworny sybaryta literacki może jeszcze mieszkać wspaniale i prawdziwie wyprawiać sobie ucztę. Jak w świecie zmysłowym szukał nerwowych upojeń w haszyszu i opium ¹⁾, tak w literaturze kochał kwiaty o silnej woni, podlewane krwią zepsutą i odychające zatrutem powietrzem.

Pessimista do szpiku kości, nie przypuszczał on, żeby człowiek dobrym się urodził, dostrzegał owszem pierwiastek przewrotności na dnie dusz pozornie najczystszych, a przewrotność tę uważał za nieodłączny przymiot natury ludzkiej, która, według niego, lubuje się w grzechu dla samej rozkoszy przeciwnienia się prawu, bez względu nawet na rozkosz zmysłową i korzyść osobistą. Biograf Baudelaire'a i kolega z „haszyszowego klubu“ ²⁾ Teofil Gautier, zaznacza w autorze „Kwiatów grzechu“, obok pesymizmu, jakąś nienawiść do złości i brzydoty ludzkiej, jakieś „smaganie przewrotności w sobie i w innych“;—trudno jednak dopatrzeć się tych cech w utworach Baudelaire'a, którego ulubionym polem obserwacji są właśnie wszystkie kapryśne instynkty, nerwowe żądze i zboczenia ludzkiej natury. Będąc sam chorobliwym wytworem cywilizacji, B. ani się tego zapiera, ani walczy ze swą dziedziczną czy nabytą chorobą; stwierdza raczej w sobie wszystkie jej objawy z pewną smutną lubością, czasem z demoniczną furją.

Natura to niejednolita: aspiracje idealne znajdziemy w niej obok rozhukaną zmysłowości, miłość rycersko-romantyczną obok wyrafinowanej rozpusty, a nawet przez cyniczne zwątpienie przebija często religijny nastrój, i „w uśpionym zwierzęciu anioł się przebudza“ ³⁾.

Rozmówiony w oryginalności naturalnej i sztucznej, poeta ten szuka wyjątków i dziwactw w naturze ludzkiej; wynajduje także styl swój odrębny.

„Naiwność nie jest bynajmniej cechą XIX-go wieku—mówi Teofil Gautier.—Wiek ten potrzebuje do oddania swych myśli, marzeń i żądań—mowy bardziej złożonej, niż język, zwany klasycznym. Lite-

¹⁾ Dzieło jego „Les paradis artificiels“ osnuwane jest na wrażeniach, wywołanych przez użycie haszyszu.

²⁾ „Le club des haschichins à l'hôtel Pimodan“.

³⁾ Baudelaire w wierszu p. t. „L'aube spirituelle“:

„Quand chez les débauchés l'aube blanche et vermeille
Entre en société de l'Idéal rongeur,
Par l'opération d'un mystère vengeur
Dans la brute assoupie un Ange se réveille“.

ratura podobna jest do dnia: ma ranek, południe, wieczór i noc. Nie sprzecząc się o to, czy mamy przekładać jutrzeńkę nad zmrok, należy malować godzinę obecną, nakładając na paletę wszystkie barwy, potrzebne do oddania efektów, które nam godzina ta przynosi... Piewca „Kwiatów grzechu“ kochał się w tém, co niewłaściwie nazywają stylem dekadencyi, a styl ten nie czém inném jest, tylko sztuką, która doszła do najwyższego stopnia dojrzałości, wygrzanéj pochyłemi promieniami słońc, zachodzących nad podstarzałemi cywilizacyami. Styl ten oryginalny, zawily, kunsztowny, pełen odcieni, wyszukany, rozszerzający ciągle granice mowy, zapożycza wyrażen ze wszystkich słowników technicznych, bierze barwy ze wszystkich palet, a nuty ze wszystkich instrumentów, usiłuje oddać myśli nawet niemożliwe do wysłowienia i kształty o zarysach mglistych i nieokreślonych, wysłuchuje subtelných zwierzeń newrozy, wyznań podstarzałej namiętności, która w rozpustę się przeradza, i dziwaczných przywidzeń, graniczących z szaleństwem. Ten styl dekadencyi jest ostatnim wyrazem Słowa, zmuszonego wszystko wypowiedzieć, wysiłonego do ostateczności. Przychodzi tu na myśl ów język wschodniego państwa rzymskiego, pocentkowany zielonościami rozkładu i już trochę cuchnący (*marbrée déjà des verdeurs de la décomposition et comme faisandée*), owa wyrafinowana wytworność szkoły byzantyjskiej, ostatniej formy sztuki greckiej, rozplywającej się w zgniliznie. A jednak taką winna być nieuchronnie mowa ludów i cywilizacyi, u których sztuczne życie zastąpiło naturalne i wyrobiło w człowieku nieznanne mu dotąd potrzeby“¹⁾.

Wymowna ta definicya, wypowiedziana już w r. 1868, określa bardzo trafnie styl Baudelaire'a, a dla nas jest tém ciekawszą, że zawróciła w głowie wszystkim epigonom ciemnego poety, którzy chwycili się owego wynalazku formy i stosować go zaczęli według miary swoich talentów. Pogoń za oryginalnością, za nowém wrażeniem—jest jedną z twórczych pobudek Baudelaire'a; niemają też nagrodą dla autora „Kwiatów grzechu“ była zapewne pochwała Wiktora Hugo: „Uposażyłeś niebo sztuki grobowym jakimś promieniem; stworzyłeś *dreszcz nowy!*“

Obok tych niebezpiecznych poglądów na świat i sztukę, znajdziemy jednak u Baudelaire'a wyższe aspiracye, równie w niektórych utworach poetyckich, jak i w teoretycznych rozprawach. Kochając „sztukę dla sztuki“, B. nie posuwa się jednak do krańcowego rozwinięcia téj zasady estetycznej. Za twórczą pobudkę uważa on wewnętrzną potrzebę tworzenia. Nie idzie za tém, żeby

1) T. Gautier—życiorys Baudelaire'a.

poezya nie miała wartości moralizującej przez wzniesienie człowieka nad poziom pospolitych potrzeb—owszem—tak działa każde wielkie dzieło sztuki; jeżeli jednak poeta założy sobie cel moralny, przez to samo zmniejszy siłę swą poetycką i nadweręży wartość dzieła sztuki. Poezya nie może identyfikować się z nauką i moralnością. Postawiwszy tym sposobem poezycę na stanowisku niezależnym, B. daje jęj za jedyny przedmiot piękno, piękno życiowe, którego pojęcie dzieli między sobą najzapalczywiej rozmaite szkoły literackie. Tutaj (w teorii szczególnie) skłania się B. wyraźnie ku idealizowaniu natury. „Przedziwne to, nieśmiertelne przecucie piękna,—mówi on,—każe nam uważać ziemię i jęj zjawiska jako podobieństwo Nieba (une correspondance du Ciel). Nienasycone pragnienie tego, co jest ponad nami, co przesłonięte jest życiem — to najlepszy dowód naszej nieśmiertelności. Za pomocą poezyi i muzyki, przez przezrocza poezyi i muzyki dostrzega dusza wspaniałości, znajdujących się po za grobem. A kiedy wyborny poemat lży nam z oczu wyciska, lży te nie są dowodem nadmiaru rozkoszy, są przedewszystkiem świadectwem tęsknoty podrażnionej, porywów nerwowych natury, skazanej na niedoskonalności, a która chciałaby osiąść już na ziemi raj objawiony. A więc zasadą poezyi jest, mówiąc poprostu i ściśle, dążność człowieka do wyższego piękna i t. d..“

Takie pojęcie teorii nie zawsze odpowiada charakterowi poezyi Baudelaire'a, która często zanurza się w gorączkowe wizye. a czasem w absolutną brzydotę. Choćbyśmy nawet próbowali wytłómaczyć to zjawisko pociągiem magnetycznym, jaki wywiera wyrafinowane zepsucie na natury bardzo wrażliwe,—pozostanie zawsze pewien rozdźwięk w dziele tego poety, który pierwszy swój zbiór wierszy tak trafnym oznaczył mianem: „Spleen et Idéal“.

„Kwiaty grzechu“, „Sztuczne raje“ haszyszowe, „Spleen i ideał!“ Cały prawie poeta streszczony jest w wybornych tych nagłówkach na dzieła, których szczegółowy rozbiór nie leży w zakresie naszego obrazu. Jeżeli jednak szkicowy ten zarys nie odtwarza całkowitej poetyckiej fizyognomii Baudelaire'a, wystarczy do odcieniowania wielkiego poety od rzeszy jego potomków.

Cóż Baudelaire winien, że kilkudziesięciu młodych poetów podążyło za nim i po ciemnych jego drogach błądzi teraz, często w bok się rzucając na wązkie i niedostępne dla sztuki ścieżki? Autor „Kwiatów grzechu“ o prozelitów się nie starał, a za swych późniejszych naśladowców nie może odpowiadać. To tylko pewna, że przekazując swą spuściznę literaturze, dał ją też w ręce i literatom, a ci nie przyczynili się bynajmniej do okolenia aureolą nazwiska mistrza.

Nader powierzchownie pojęli Baudelaire'a dekadenci-symboliści ¹⁾, z których żaden dotychczas nie dorósł go talentem. Znaleźli oni tylko punkt oparcia w chorobliwej, ale jasno sformułowanej, filozofii i estetyce, przyjęli je *in verba magistri*, jako odpowiednie swym upodobaniom, a postarali się głównie o danie nowego *wyrazu* swym mglistym aspiracyom poetycznym.

Najrozmaitsze powstały próby odrodzenia poezyi przez dekadentyzm symboliczny, a usiłowania te krążą głównie około wynalazku nowej formy dla oddania lirycznego nastroju, na który tylko Niemcy posiadają odpowiednią nazwę: „*Stimmung*“.

Kiedy poeta opisze noc księżycową wyrazistym wierszem, da nam przez to samo dokładny obraz, a, mówiąc właściwiej, obudzi intelektualne pojęcie podobnej nocy. Temu sposobowi opisowemu przychodzi w pomoc czysto liryczny sposób wywoływania wrażeń, nastrojów, stanów duszy, jakie noc księżycowa zwykła z sobą przynosić. Poeta może wspomnieć jednem tylko słowem o nocy i o księżycu, a natomiast szeregiem zdań, obrazów i akcesoryów analogicznych spotęgować wrażenie i obudzić w słuchaczu fizyczny prawie, nocny i księżycowy nastrój. Wtedy słowa i okresy nabierają przenośnego, symbolicznego znaczenia i działają niejako pośrednio na umysł słuchacza.

Z drobnego przykładu możnaby tę poezję „nastrojową“ rozwinąć i wykazać jej pierwiastki w największych dziełach sztuki. Znajdziemy ją w niektórych scenach „Hamleta“, równie jak w lirycznych wierszach Słowackiego i Heinego; możemy nawet, subtylizując nieco, dojść do teoryi, że ta „nastrojowość“ nieodłączna jest od istoty liryki. Ale daleko jeszcze ztąd do twierdzenia, jakoby ta cecha stanowiła jedyną wartość i istotę poezyi. A przecież takiem się wydaje ogólnie zdanie nowej szkoły, wzorującej się na dziełach Baudelaire'a, który już tę strunę naprężył do krańcowych wysileń. Gdzież jest granica, do której dojść wolno? na to pytanie odpowie ten chyba, kto jasno wytknie linię graniczną między kolorytem a bezładną jaskrawością, między subtelnością a zawilocią, między geniuszem a szaleństwem.

Nad wynalezieniem najodpowiedniejszej formy poezyi „nastrojowej“ pracuje cała szkoła dekadentów. Jest to formalny konkurs, z którego wyszły już liczne, przez adeptów uwieńczone, pomysły. Naj-

¹⁾ Zwali się oni zrazu „*décadents*“, „*déliquescents*“, później „*symbolistes*“. Tytułu „*incohérents*“ nie wszyscy chcą przyjąć, również jak przydomku „*poètes maudits*“. Mimo liczne indywidualne odmiany, zwać ich będziemy ogólnie „*dekadentami*“, dla braku ustalonej i lepiej charakteryzującej nazwy.

większém uznaniem u dekadentów cieszy się następująca estetyczna teoria René Ghila, zawarta w dziełku p. t. „*Traktat o Słowie*“:

„Dla stworzenia dzieła sztuki jednolitego i brzemienneho symbolami, w jedną poezję instrumentalną, gdzie nutami są słowa, połączyć i zmieszać poezye: wymowną, plastyczną, malarską i muzykalną, a wszystkie jak się zdarzy: oto moje marzenie!“¹⁾

Sztuka nie jest, według tój teorii, odtwarzaniem ani przetwarzaniem natury; winna tylko za pomocą *symbolów* wywoływać wrażenia i „stany duszy“, a sposobem do osiągnięcia tego celu jest tak zwana *instrumentacja poetycka*. Ta zaś polega na wyszukaniu odpowiedniości między głoskami a barwami, między barwami a dźwiękami instrumentów muzycznych, między temi ostatnimi wreszcie, a uczuciami i „stanami duszy“. Wszystkie te rozmaite i z odrębnych szeregów wzięte pojęcia brać należy jedne zamiast drugich, według chwilowego natchnienia, dla wywołania symbolicznych obrazów i efektów stylowych. Rodzą się ztąd wcale niespodziewane zestawienia pojęć. Naprzykład samogłoski wywołują tak regularnie wrażenia pewnych kolorów, że A jest zawsze czarne, E białe, I błękitne, O czerwone, a U żółte; barwne zaś te litery odpowiadają po kolei dźwiękom: organów, arf, skrzypiec, trąb i fletów²⁾.

Że teoria ta nie jest odosebnionym pomysłem R. Ghila, dowodzi sonet kolegi jego i współwyznawcy, Artura Rimbaud, p. t.

SAMOGŁOSKI.

A czarne, E białe, I czerwone, U zielone, O błękitne, samogłoski,
Powiem ja kiedyś wasze skryte pochodzenie.

A—czarny kosmaty gorset much błyszczących,
Które brzęczą wokoło srogich smrodliwości,

Zatoki cieniów; E—prostota tumanów, namiotów,
Strzały lodowców dumnych, króle białe, dreszcze baldaszków;
I—purpura, krew plwana, śmiech ust pięknych
W gniewie albo w pokutném upojeniu;

U—cykle, boskie drgania zielonego morza,
Spokój pastwisk usianych bydłem, spokój zmarszczek,
Które alchemia kładzie na badaczów czola;

1) René Ghil—„*Traité du Verbe*“.—Paris 1887 str. 36: „Pour une oeuvre une et de symboles grosse, en une Poésie instrumentale, où sont des mots les notes, unir et perdre les poésies eloquente, plastique, picturale et musicale, toutes encore au hasard: c'est mon rêve“.

2) Tamże—str. 44.

O—najwyższa fanfara, pełna dziwnych zgrzytów,
 Milczenia, przenikane przez Światy, Anioły;
 O—omega—Jéj Oczn promień fioletowy! ¹⁾.

Zostawiając nie rozstrzygniętą kwestyę, kto właściwiej zabarwia samogłoski—(bo może czytelnik zauważył, że Ghil uważa O za czerwone, podczas gdy Rimbaud *objaśnia* tegoż O błękitność),—nie wahamy się zaliczyć prozy Ghila i teoretycznego sonetu Rimbauda do téj saméj kategorii zbroczeń nerwowo-umysłowych. Poeta jaskrawiej tylko jeszcze uwydatnia wartość wynalazku estetyka-dekadenta.

W dziełku Ghila spotykamy się także z typowym okazem prozy dekadentów, którzy, między innymi reformatorskimi zachciankami, mają téż sobie za posłannictwo gruntowne przerobienie francuskiego języka. Wyżej przytoczony ustęp może już dać wyobrażenie, o ile język ten odbiega od znanych prawideł francuskiej składni: jakieś zamięrowanie do nieautentycznego archaizmu, z uśiłowaniem zwięzłości połączone, każe autorowi budować zdania na wywrót, opuszczać podmioty i orzeczenia, wytwarzać nowe wyrazy, a unikać najdosadniejszych i właściwych. Tego literackiego „Volapückeru“ uczyć się dopiero potrzeba, tak jak naprzód należy poznać teorię estetyczną, lo-

¹⁾ Oczywiście ten zbiór wyrazów, mających się zlewać w jakąś analogiczną harmonię, po polsku nie ma sensu. Może jednak teoria „instrumentacji poetyckiej” stosuje się tylko do języka francuzkiego?—prosimy zatem o sprawdzenie jéj na tekście oryginalnym:

VOYELLES.

A noir, E blanc, I rouge, U vert, O bleu, voyelles,
 Je dirai quelque jour vos naissances latentes.

A, noir corset velu de mouches éclatantes
 Qui bombillent autour des puanteurs cruelles,

Golfes d'ombre; E, candeur des vapeurs et des tentes,
 Lances des glaciers fiers, rois blancs, frissons d'ombelles;
 I—pourpre, sang craché, rire des lèvres belles
 Dans la colère ou les ivresses pénitentes;

U, cycles, vibrations divins des mers virides,
 Paix des pâtis semés d'animaux, paix des rides
 Que l'alchimie imprime aux grands fronts studieux;

O, suprême Clairon plein de strideurs étranges,
 Silences traversés des Mondes et des Anges;
 O — l'Oméga, rayon violet de Ses Yeux!

gikę specjalną i inne maksymy sekty dekadentów, zanim się dojdzie do częściowego zrozumienia ich utworów.

Poszukiwania nowych form językowych i stylowych rozwinięte już zostały w rozmaitych kierunkach. Każdy niemal dekadent dorzuca do wspólnej skarbnicy jakiś mniej lub więcej przez współbraci ceniony i naśladowany przyczynek do reformy języka. *Jan Moréas* w świeżo wydanym (r. 1891) zbiorze wierszy p. t. „*Nawrotny pielgrzym*“ (*le Pèlerin passionné*) próbuje wznowić język i składnię XV i XVI wieku, dodając przytém różne własne nowotwory i techniczne wyrazy nowożytnie ¹⁾. *Marya Krysińska*, Polka pisząca po francusku, wynajduje w swych „*Malowniczych rytmach*“ ²⁾ nową rzekomo harmonię białych wierszy, której zastosowanie znaleźć można nawet w lirycznych utworach Verlaine'a i Maeterlincka. Wszystkie te innowacje przyjmowane bywają zwykle aplauzem w gronie współwyznawców, których téż łączy między sobą godne lepszej sprawy braterstwo.

W istocie trudno znaleźć książkę, napisaną przez dekadenta, w którejby nie było powoływań się na powagę jakiegoś nieznanego kolegi po piórze, albo poprostu wzajemnych uwielbień.

Wyżej cytowany autor „*Traktatu o Słowie*“ przypisuje naprzykład każdy rozdział swój książki jednemu z pokrewnych sobie poetów, uosabiających niejako pewne zalety artystyczne w najwyższym stopniu potęgi. Rozdział pierwszy „*l'Unité*“ poświęcony jest nawet nie poecie, ale jego fikcyi poetyckiej: „*Faunowi Stefana Mallarmé*“—za co znów wdzięczny Mallarmé pisze Ghilowi panegiryczny wstęp do „*Traktatu o Słowie*“.

Podobnie Paweł Verlaine wydaje książkę apologetyczną o sześciu „*potępionych poetach*“ ³⁾, nader ciekawy zbiór krótkich biografii, cytaty wybranych i pochwał, które wydają się pisanymi na przekór

¹⁾ Jan Moréas, autor słynnych „*Cantilènes*“ (1886 r.).

²⁾ „*Rythmes pittoresques Mirages-Symboles-Femmes-Contes—Résurrections*“.
Paris—Alph. Lemerre 1890.—J. H. Rosny objaśnia w przedmowie do tomu, że pani Krysińska była pierwszą, która „stworzyła nową muzykalność słowa nie śpiewanego”. Białe jej wiersze, wydawane już od r. 1882 w dzienniku „*l'Événement*” i „*Chat noir*”, a obecnie w tom zebrane, nie zachowując rytmu, ani rymu, odznaczają się jednak śpiewną jakąś nieregularną prozodyą. Liczne dzienniki francuskie („*La Presse*”, „*Chat noir*”, „*l'Événement*”, „*l'Éclair*”, „*Observateur Français*” etc.) dały pochlebne, a niektóre nawet entuzjastyczne recenzje o „*Malowniczych rytmach*”.

³⁾ Paul Verlaine „*Les poètes maudits*” Paris L. Vanier 1888. (Tristan Corbière, Arthur Rimbaud, Stéphane Mallarmé, Marceline Desborde-Valmore, Villiers de l'Isle-Adam, Pauvre Lelian).

wszelkim pojęciom rozsądku i smaku. Oto np. jego zdanie o Arturze Rimbaud:

„Mieliśmy szczęście znać Artura Rimbaud. Dzisiaj, chociaż okoliczności nas dzielią, nie zbraknie nigdy głębokiego naszego uwielbienia dla jego geniuszu i charakteru“.

Za wzór stylu i czystości języka stawiając ów znany nam sonet Rimbauda o „samogłoskach“, o którym pozwoliliśmy sobie być wcale innego zdania,—mówi dalej:

„Drwiący i z cicha uszczypliwy (goguenard et pince-sans-rire) jest A. Rimbaud w najwyższym stopniu, pozostając zawsze wielkim poetą, jakim Bóg go stworzył. Na dowód „l'Oraison du soir“ i „les Assis“, przed którymi paść chyba tylko na kolana!“

Cóż to za „Modlitwa wieczorna“? jacy „Siedzący“, przed którymi aż klękać trzeba? Trudna na to odpowiedź czytelnikowi naszemu, bo obu tych utworów, należących już nie do zakazanych owoców, ale do brudów literatury, przytoczyć niepodobna. Wrażenia opiętego bursza, satyryczna wycieczka przeciw bibliotekarzowi, który odmówił młodzikowi jakiejś pornograficznej książki — oto treść tych wierszy wyuzdanych. Gdyby przynajmniej do innej jakiej okazji zachował Verlaine swoje dytyramby, które przestają być oburzającymi i nie są nawet śmieszne; wskazują raczej na symptomata obłędu u autora, zarówno jak u krytyka.

Sekta ta literacka używa też czasem braterskiej biesiady, jako wyrazu czci dla żyjących mistrzów ¹⁾. Ma także i kult umarłych, duchów pokrewnych w przeszłości, jakby jakichś *di manes et familiares* dekadentyzmu.

Z gorliwością nieprawych potomków poszukują dekadenci przodków, a odnalazszy ślady filiacji, domniemanym ojcom nabożne palą kadzidła. Już to od Baudelaire'a wszyscy oni wywodzą się w prostą linię, na mocy powierzchownego podobieństwa. Drzewo genealogiczne sięga jednak dalej, w odległe wieki: Ghil cieszy się, że już w XVIII, a nawet XVII wieku, P. Mersenne (1588 — 1648) i Boiste (1765 — 1824) przypisywali pewne stałe własności samogłoskom. Wreszcie Maurycy Maeterlinck wynalazł najodleglejszego antenata symbolistów w osobie Jana Ruysbroecka, ekstazyka flamandzkiego z XIV wieku.

Połączeni w bractwo wzajemnej adoracji, odszczepieni reakcyjnie od innych szkół literackich, a przedewszystkiem od kierunku naturalistycznego, zamknięci zrazu w tajemniczej wyłączności, a obecnie

¹⁾ Np. uczta wydana dla Jana Moréas po ukazaniu się „Namiętnego pielgrzyma“, albo głośny bankiet dekadentów, któremu przewodniczyli obecni koryfeusze: Verlaine i Mallarmé.

nawołujący coraz głośniej do reformy poezyi, mają dekadenci francuscy wszelkie pozory uorganizowanej jakiejś sekty. Każdy niemal członek tej korporacyi piastuje jakąś godność lub funkcję specjalną. Jest brat od archaizowania, jest siostra od białych wierszy, są śpiewacy i teoretyczni obrońcy, są wreszcie mistrzowie, którzy streszczają poniekąd całego ducha sekty, jak dzisiejsi przywódcy: *Paweł Verlaine* i *Stefan Mallarmé*.

Oprócz wielu apologicznych biografii, których daliśmy próbkę wyżej, Verlaine wzbogacił już literaturę dziewięciu tomami poezyi lirycznych. Śpiewak często przyjemny, dekadent z upodobania, w stylu zwykle prosty i jasny, nie troszczy się on o jakieś moralne, albo estetyczne uzasadnienie swój twórczości. Zdawałoby się, że człowiek ten, pozbawiony wszelkich zasad, zarówno sztuki, jak moralności, ten dziwaczny eklektyk, musi pozostać bez wpływu. A jednak mnogością utworów swoich, udatnem naśladowaniem Baudelaire'a, zręcznem przyswajaniem sobie wszystkich nowych pomysłów retorycznych i gorącą obroną współbraci dekadentów, do których wyraźnie sam się zalicza, zyskał on sobie mir i zachowanie w Paryżu, a nawet większy od innych współczesnych wywarł wpływ na dekadentyzm symboliczny belgijski. Dziwny zamęt panuje w tej dość jednak zimnej głowie. Naprzykład w zbiorze wierszy, zatytułowanym „*Mądrość*“ („*Sagesse*“) czytamy następujące zdania, skreślone w r. 1880:

„Autor tej książki nie zawsze myślał tak, jak dzisiaj. Błądził on długo we współczesnym zepsuciu, biorąc w niem swój udział grzechu i niewiadomości. Od tego czasu smutki bardzo zasłużone ostrzegły go i Bóg dał mu łaskę pojęcia tego ostrzeżenia. Uchylił on czoła przed długo zapoznanym Ołtarzem, czei Wszech-Dobroć i wzywa Wszech-Potęgi, jako posłuszny syn Kościoła, zasługą pośledni, ale pełen dobrej woli... W pierwszej młodości, lat temu 10 lub 12, ogłosił autor wiersze sceptyczne i żałośnie lekkie. Spodziewa się jednak, że w niniejszych żaden rozdzwięk nie zgorszy subtelnego katolickiego ucha: byłoby to jego najdroższą chwałą, jako też najwznioslejszą nadzieją“.

Tom ten jest rzeczywiście złożony z samych wierszowanych wyznań skruszonego grzesznika i z hymnów religijnych. Pod względem wartości poetycznej nie są to oczywiście psalmy dawidowe, jednak utwór ten, zbudowany na wielkiej moralnej podstawie, robi wrażenie pewnej gotyckiej, trochę zimnej, trochę ze starych wzorów kopiowanej, struktury. Moglibyśmy w szczerąść tej książki uwierzyć gdybyśmy nie znali innych dzieł Verlaine'a. Darowawszy autorowi dawniejsze jego „żałośnie lekkie“ wiersze, których się odrzeka (może zbiorku p. t. „*Fetes galantes*“), nie rozumiemy, jak można

z „*Mądrością*“ wydać „*Równoległe*“¹⁾ inny tom wierszy z r. 1889, nacechowany potworną zmysłowością. Widocznie pokusa była zbyt ponętna i poeta do niej wrócił, ale nam przynajmniej niech będzie wolno nie brać na seryo filozoficznych zasad Verlaine'a, który ma na zawołanie już to namaszczenie religijne, już to apetyty pornograficzne.

Przypuścić chyba należy, że autor ten, wpatrzony w pojedyncze cechy dzieł Baudelaire'a, jak np. w jego tęsknotę za ideałem i zmysłowość, porobił w każdym z tych rodzajów osobne książki i, bogatą duszę poety „*Kwiatów grzechu*“ rozłożywszy w teoretycznej retorcie na grube czynniki, dał się tylko ulotnić subtelnym pierwiastkom twórczości i poezji. Chociaż więc i w wyżej cytowanych i w innych tomach Verlaine'a²⁾ odnajdą się tu i ówdzie śpiewne i wyraziste liryczne dźwięki, autor ten przedstawia jednak pomiędzy dekadentami *nieharmonijny* odcień, który dał powód do przezwiska „*incohérent*“, stosowanego niekiedy do całej szkoły.

Inną zupełnie odmianę mamy w wodzu symbolistów, Stefanie Mallarmé. Jego tłómaczenia Edgara Poe, wiersze wydane z godną podziwu bezinteresownością tylko w paruset fotolitografowanych egzemplarzach, nie zyskały mu takiego rozgłosu, jak krótki poemat, zatytułowany „*Popołudnie Fauna*“ (*l'Après-midi d'un faune*), który ukazał się w r. 1887. Ta dziwaczna kreacya wyniosła odrazu Stefana Mallarmé na naczelne stanowisko pomiędzy symbolistami we Francji. Niema w tym utworze żadnych prawie konturów, więc, żeby go dać tu poznać, wypadaloby albo przytoczyć go w całości, albo zaznaczyć kilka plam nieokreślonych. Skwar letniego popołudnia, ochłodzony nieco leśnym cieniem; próżnowanie jakieś — zmysłowość niezadowolona; — wyobraźnia nasuwa lubieżne obrazy — pogoń za niemi — zawód — lenistwo senne; — rozkosz upojenia winem. — Tak chyba streścić można ten poemat, który da się tylko odczuć niewyraźnie, ale nie zrozumieć. Bo, że fauna szuka nimf, dawniej kiedyś widzianych, a nie znalazłszy, usypia, ssąc winogrona, to nie treść żadna, to nic nie znaczy. Nie myślimy także, aby całość miała jakieś przenośne znaczenie, jest to raczej jedna z najjaskrawszych prób owego impresyonizmu literackiego, owęj poezji „*nastrojowej*“, czy symbolicznej, na którą choruje cała szkoła. Stylista nieposledni, Mallarmé pociąga słuchacza dźwięczną swoją rymowaną mową i często da nam strofę śliczną, czasem sonet jaki (np. „*Placet*“ pisany do księżnej X.) kunsztowny, a zupełnie jasny. Ztąd wnosić można, że gdyby mistrz raczył częściej

1) „*Parallèlement*“, Paris, L. Vanier, 1889.

2) „*Poèmes saturniens*“, „*Jadis et naguère*“, „*Amour*“ (wszystkie wydane u L. Vanier).

zrozumiałe przemawiać do gminu, byłby, co najmniej, dobrym rymopisem. Nie śmiemy nazwać kapłana symbolizmu operetkowym augurem, a jednak jego szczerłość wydaje się podejrzaną. Jest może szczypta mistyfikacji w jego dziwacznych natchnieniach, którym umie on, skoro zechce, nadać kształty wyraźne i wytworne.

Wiele-by jeszcze można przesunąć przed oczyma czytelników ekscentrycznych fizygnomii paryskiego klubu dekadentów ¹⁾, ale do Belgii pójdziemy szukać najwspanialszego okazu, który, mimo swe odmiany indywidualne i lokalne, wyrósł przecie bezpośrednio ze szczerpu, przeniesionego z cieplarni paryskich. Dekadentyzm francuski trafił tu na grunt cięższy. Teorye i posłannictwo swoje reformatorskie traktują Francuzi z właściwą sobie pogodą humoru, z zapalczywością, która czasem blagą trąci, nawet newroza ich jest weselszą. Sumienny i smutny flamand inaczej pojął ten sam zasadniczy kierunek, rozwija teoryę, szerzej ją stosuje i tworzy dzieła ponure, niezdrowe, ale potężniejsze. Maurycy Maeterlinck wprowadza dekadentyzm symboliczny z liryki do dramatu, prozę swą poświęca teoretycznej obronie nowej estetyki, a rad przytém się powołuje na mistrzów, o których była mowa, nie zaś na swych kolegów belgijskich ²⁾.

¹⁾ Oprócz wyżej cytowanych, do tejże grupy należą jeszcze poeci: *Jules Laforgue*, *Stuart Merrill*, *Charles Vignier*, *Noël Loumo*, *Anatole Baju*, i wielu innych.

Odróżnić należy poetów dotkniętych, ale nie zupełnie strawionych manią dekadentyzmu, jak *Maurycy Rollinat*, który swemi ementarnemi obrazami przypomina raczej *Edgara Poe*, albo *Jan Richepin*, skłaniający się ku symbolizmowi, ale przede-wszystkiem szukający efektów w brutalności wyrażeni i pomysłów. Inną także odmianę dekadenta mamy w powieściopisarzu *Joséphin Peladan*. Cykl jego powieści pod ogólnym tytułem „*La décadence latine*“ przedstawia upadek spólczesnej rasy łacińskiej, a raczej najwykwintniejszych jej sfer w Paryżu. Psychofizyolog ten i idealista zarazem, malując „najwyższe zepsucie“, płacze nad dekadencją społeczną; z dekadentyzmem literackim wiąże go symbolizm i wyszukanie stylowe, ale umysł to filozoficzny, zdrowszy, tylko w swych obserwacyach skłonny do przesady.

Jak Baudelaire'a niepodobna zaliczać do dekadentów, skoro tém samém mianem oznaczamy terazniejszych symbolistów, tak też niesłusznem jest wprowadzanie nazwisk Teofila Gautier i braci Goncourt do tej grupy. Niektóre tylko literacko-krytyczne wskazówki tych znakomitych pisarzów nadały się do użytku dekadentyzmu.

²⁾ Jest to znów cały zastęp wyznawców Baudelaire'a, zgrupowany około pisma „*La jeune Belgique*“. Kwintessencya dzieł tych poetów wydana w książce p. t. „*Parnasse de la jeune Belgique*“ (r. 1887). Są to: *Maurycy Warlomont* (*Max Waller*), *Iwan Gilkin*, *Karol van Lerbeghe*, *Grzegorz Le Roy* i inni.

II.

Nie ubliżając prześwietnej palestrze wszelkich czasów i krajów, zauważyć jednak można, że powołanie adwokata rzadko się godzi z powołaniem poety. Obok zalet twórczych i poetyckich, Maeterlinck ma temperament adwokata. Wziął on w klientelę estetyczne recepty dekadentów-symbolistów, broni ich, uzasadnia ich prawo do życia. Tendencya, nie społeczna jakaś, ani filozoficzna, ale szkolno-literacka, tak wyraźnie przegląda przez jego prozę i wiersze, że niepodobna uwierzyć, aby hasło „sztuka dla sztuki“, wyznawane w teorii przez wszystkich stronników nowego kierunku, było u Maeterlincka szczerą zasadą.

Schlebiając wymaganiom przeżytej i zgorączkowanej części społeczeństwa, a może idąc za wewnętrznym swoim popędem, Maeterlinck pragnie zadziwić świat czémś niebywałém, stworzyć oryginalną roszkosc literacką, któraby zapewniła czytelnikom nieznanne wrażenia, a autorowi odrębne w literaturze stanowisko. Nic więc dziwnego, że trzyma się on dekadentyzmu symbolicznego, jako najodpowiedniejszego do tych celów kierunku, ale chce go opanować, ująć w system i ogłosić, jako środek uniwersalny dla odrodzenia sztuki.

Nie zadziwi nas zbiór poezyi lirycznych, zatytułowany „*Cieplarnie*“¹⁾. Oswoili nas już dekadenci francuscy z temi muzykalno-malarskimi wierszami, w których „*Stimmung*“ zabija sens, bo przez symbole najsmieliej dobrane myśl zaledwie przegląda. Otwórzmy jednak książkę.

CIEPLARNIA.

O cieplarnio pośrodku lasów!
Twe podwoje na wieki zwarte!
I tyle jest rzeczy pod twą kopułą!
I pod duszą moją analogiczną!

Myśli księżniczki, która głód cierpi,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka dęta pod oknami nieuleczalnych.

Idźcie w zakątki najcieplejsze!
Jakby kobieta omdlała w dzień zniwa,

¹⁾ M. Maeterlinck „*Serres chaudes*“ — Bruxelles, P. Lacomblez, 1890.

Pocztylioni weszli w podwórze szpitalne;
Zdala przechodzi strzelec łosiów, dzisiaj chorych dozorca.

Patrzcie przy świetle księżyca!
(O, nie tu nie jest na swém miejscu!)
Jakby waryatka przed sędziami,
Wojenny okręt o wzdętych żaglach na kanale,
Nocne ptaki na liliach,
Hasło pogrzebu o południu,
(Tam, pod temi dzwonami!)
Przystanek chorych śród łąki,
Zapach eteru w dzień słoneczny.

Boże mój! Boże! kiedyż przyjdą deszcze
I wiatr, i śniegi do cieplarni! ¹⁾

¹⁾ Oryginał przytaczamy. Może jest jakiś niepochwytny dla nas koncert samogłosek we francuskim teście:

SERRE CIAUDE.

O serre au milieu des forêts!
Et vos portes à jamais closes!
Et tout ce qu'il y a sous votre coupole!
Et sous mon âme en vos analogies!

Les pensées d'une princesse qui a faim,
L'ennui d'un matelot dans le désert,
Une musique de cuivre aux fenêtres des incurables.

Allez aux angles les plus tièdes!
On dirait une femme évanouie un jour de moisson,
Il y a des postillons dans la cour de l'hospice;
Au loin, passe un chasseur d'éclans, devenu infirmier.

Examinez au clair de lune!
(Oh rien n'y est à sa place!)
On dirait une folle devant les juges,
Un navire de guerre à pleines voiles sur un canal,
Des oiseaux de nuit sur des lys,
Un glas vers midi,
(Là-bas sous ces cloches!)
Une étape de malades dans la prairie,
Une odeur d'ether un jour de soleil.

Mon Dieu! mon Dieu! quand aurons-nous la pluie,
Et la neige et le vent dans la serre!

Po tym wierszu, położonym na czele tomu, tłómaczy się przynajmniej bezpośrednio za nim idąca „Modlitwa“:

Miej litość nad nieobecnością
 Moją u progu mych zamiarów!
 Dusza ma biała od niemocy
 I od białego próżnowania. ¹⁾

Rzeczywiście tylko próżniactwo myśli, połączone z anormalnym stanem nerwów, może wydać takie wiersze. Niema tu mowy o wywołaniu nastroju w czytelniku, skoro autor daje nie pomyslane i na wrażenie obliczone obrazy, ale dźwięki tylko i słowa, które mu przeszły przez gorączkowo rozmarzoną głowę, a których wzajemny stosunek nie da się odtworzyć. Żadnego szkieletu, ani cienia rysunku w tym obrazie, zostawiającym przykre wrażenie nieodgadnionej, bezładnej pstrokacizny. Maeterlinck posunął się tu do ostatnich krańców symbolistyki, którą możnaby nazwać *luźną*, gdyż nici analogiczne są zerwane i niemożliwe często do nawiązania. Symbol, używany od wieków w sztuce dla zmysłowego uplastycznienia uczuć i idei, ma tam tylko wartość artystyczną, gdzie się tłómaczy łatwo i potęguje wrażenie dzieła sztuki; w przeciwnym razie mąci je tylko i utrudnia.

Ażeby zobaczyć wyraźnie różnicę między właściwą a luźną symbolistyką, dość porównać jaki wiersz Baudelaire'a z wierszem Maeterlincka. W wierszu naprzykład, zatytułowanym „*Latarnie morskie*“ (*Les phares*), Baudelaire tak charakteryzuje głównych malarzy świata:

„Rubens, fleuve d'oubli, jardin de la paresse,
 Oreiller de chair fraîche où l'on ne peut aimer,
 Mais où la vie afflue et s'agite sans cesse,
 Comme l'air dans le ciel et la mer dans la mer;

Léonard de Vinci, miroir profond et sombre,
 Où des anges charmants, avec un doux souris
 Tout chargé de mystère, apparaissent à l'ombre
 Des glaciers et des pins qui ferment leur pays;

.

¹⁾ „Ayez pitié de mon absence
 Au seuil de mes intentions!
 Mon âme est pâle d'impuissance
 Et de blanches inactions“.

Michel-Auge, lieu vague où l'on voit des Hercules
 Se mêler à des Christs, et se lever tout droits
 Des fantômes puissants qui dans les crépuscules
 Déchirent leur suaire en étirant leurs doigts;

.
 Delacroix, lac de sang hanté de mauvais anges,
 Ombragé par un bois de sapins toujours vert,
 Où, sous un ciel chagrin, des fanfares étranges
 Passent, comme un soupir étouffé de Weber;
 etc.

Symbole są tu wyszukane, analogie dalekie, ale zwłaszcza dla tych, którzy znają wskazanych mistrzów malarstwa, nietylko zrozumiały, lecz i dobrze oddające wrażenie dzieł tych malarzy. Baudelaire, chociaż ugania się tu nieco za oryginalnością, myśli jednak porządnie i myśl swą i wrażenie przekazuje jasno czytelnikowi.

Gdybyśmy teraz z przytoczonego wiersza wykreślili wszystkie imiona własne, otrzymalibyśmy istny utwór najnowszego dekadent-symbolisty; zamiast w galerii obrazów, znaleźlibyśmy się w jakiejś orgii kolorów, dźwięków i kształtów, zrozumiałej dla tego, kto znał poprzedni ich stosunek, ale chaotycznej dla niewtajemniczonych. Podobnie dla ocenienia lirycznych poezji Maeterlincka, trzeba by chyba naprzód autora wypytać, o czem w każdym wierszu chciał właściwie mówić.

Są znowu między „cieplarnianemi“ strofami i takie, które usuwają możliwość wszelkiej myśli, mając jedynie na celu muzykę słowa; naprzykład wiersz p. t.

ENNUI.

Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui,
 Les paons blancs ont fui l'ennui du réveil;
 Je vois les paons blancs, les paons d'aujourd'hui,
 Les paons en allés pendant mon sommeil,
 Les paons nonchalants, les paons d'aujourd'hui
 Atteindre indolents l'étang sans soleil,
 J'entends les paons blancs, les paons de l'ennui
 Attendre indolents les temps sans soleil.

Tu już Maeterlinck o sens się nie troszczy, tworzy raczej przyczynek do „instrumentacji poetyckiej“ R. Ghila, wykazując może,

że nosowe dźwięki *an, aon, en, ein*, mają specyjalność malowania powolności, nudów, ospałości...? Bo jakże inaczej zrozumieć to sennie łązenie białych pawi?

Kilka typowych kwiatów wybranych z lirycznych „Cieplarni“ Maeterlincka wystarcza do zrozumienia, że autor zastosował tu do ostatnich granic teoryje R. Ghila, Rimbauda i innych. Indywidualność belgijskiego symbolisty słabo się tu jeszcze rysuje. Dopiero po przeczytaniu całego tomu, widzimy jasno manierę autora w tych rytmach nieregularnych, w uporczywych powtórzeniach. Ale w teoretycznej prozie Maeterlinck'a należy szukać objaśnień jego poetyckich utworów, do których rzeczywiście trzeba dodawać komentarz.

III.

Jan Ruysbroeck, flamandzki pustelnik z XIV-go wieku, którego Bossuet uważa podobno za poprzednika kwietyzmu, nastreczył Maeterlinckowi przedmiot do wyczerpującego studyum nad wartością, starożytnością i przyszłością symbolizmu ¹⁾. Pustelnik z Groenedahl zostawił kilkanaście dzieł treści religijnej. Wnosząc z długich cytat, nie są to ani traktaty teologiczne, ani exegezy Pisma Świętego, nie mają też nic wspólnego ze scholastyką. „Księga dwunastu mniszek“, „Zwierciadło zbawienia wiecznego“, „Kamień iskrzący“, „Księga siedmiu pałaców“, „Ozdoba wesel duchowych“ i inne — są albo ekstatycznymi rozbiorami nastroju religijnego, albo wskazówkami, jak kontemplować należy i kierować ekstazą. Nie przesądzając wartości dzieł Ruysbroecka, posłuchajmy tylko mówiącego o nim Maeterlincka. Zestawia on pokilkakroć flamandzkiego ekstatyka z dekadentem Verlaine'em, w czem już widoczna estetyczna tendencya zarysuje się natychmiast zupełnie wyraźnie.

„We wszystkich swych dziełach jest Ruysbroeck prześladowany oczywistością uniwersalnego symbolizmu. Zdaje się on twierdzić, jak nie wiem już który filozof angielski, że wszystko, co widzimy, nie istnieje samo przez się i że materya istnieje tylko duchowo“... „Uderza nas również jego subtelność artystyczna, którą okrasza swe emblemata, i godne podziwu zamięlowanie do pewnych efektów barw i obrazów. Zobacz między innymi wytłómaczenie kwiatów duchowych na okryciu ołtarza“.

¹⁾ „Ruysbroeck l'Admirable“ par M. Maeterlinck („Revue générale“, Octobre et Novembre, 1889).

Poszukajmy tych kwiatów duchowych w księdze, zwanéj „Le Tabernacle spirituel“. Oto są:

„Na tych czterech zasłonach, różniących się barwą, rozkazał Pan Beseleelowi i Ooliabowi utkać i wyhaftować na wierzchu, igłą, wiele ozdób. Podobnie wola nasza posłuszna i rozum nasz położą na tych czterech barwach rozmaite ozdoby cnót. Na białej barwie niewinności położymy róże czerwone, opierając się zawsze wszystkiemu co jest złe. Zachowujemy tym sposobem czystość i krzyżujemy naturę naszą — i są to właśnie róże czerwone, słodko pachnące i bardzo piękne na téj barwie białej. Wyhaftujemy jeszcze na niewinności słoneczniki, które znaczą posłuszeństwo“, (z powodu że obracają się za słońcem) i t. d. (str. 475).

Cała ta księga Ruysbroecka składa się z szeregu symbolicznych komentarzy. Prawdziwy to skarb dla krytyka-dekadenta.

„Stół ofiarny szczerozłoty, mówi np. R. w tém samém dziele — jest symbolem rozkoszującej się miłości (l'amour jouissant), bo jest początkiem i końcem wszelkiego dobra i wszelkiego miłosierdzia. Jest on wyższy nad złotą koronę, t. j. nad pocałunek miłosny (l'embrassement amoureux), między Bogiem a nami, bo miłość rozkoszująca się jest ponad wszystkim i jest bez miary i bez dna, i jest ponad wszystkimi praktykami miłosnemi, — a ta miłość rozkoszująca się, czyli złota pokrywa (couverture d'or), ma dwa wymiary i pół na długość. Pierwszy wymiar znaczy“, .. i t. d.

Następują całe serye ryb symbolicznych, drogich kamieni, porównywanych do Chrystusa, „dlatego, że są błękitne“ lub „dlatego że są zielone“ — nie chodzi nam jednak o średniowiecznego pustelnika, który, w prostocie ducha i w dobrej wierze spisując swoje hallucynacje, nie spodziewał się, że go wezmą za autorytet dla szkoły literackiej przy schyłku XIX-go wieku:

„Nie wiem, czy przeceniam wspaniałość tego dzieła, mówi Maeterlinck, ale uważam je za jedno z tych tak rzadkich po wszystkie czasy, wynikłych z głębin duszy (de l'âme de l'âme), urodzonych z bezpośredniego wejrzenia w istotę prawdy, jakby z nowego najpoufalszego zetknięcia z rzeczywistością, (d'un contact nouveau et comme de muqueuse à muqueuse avec la réalité), z dziewiczej intuicji po przez mgły formuł, pozorów, rzeczy zasłyszanych, które odróżniają talent od geniuszu“ (str. 664).

Idą dalej bardzo ciekawe uwagi Maeterlincka o pojęciu autorstwa i o stylu:

„Autor *szczerzy*, to jest taki, który czerpie bezpośrednio z istoty rzeczy, a nie żyje wyłącznie nowemi tylko kombinacyami pozorów, nie jest nigdy ciemny, bo zawsze sam siebie rozumie i sięga dalej, niż

mówi. Ale musi wydawać się ciemnym, ponieważ istnieje tylko o tyle, o ile *niespodziewanego* coś przynosi“.

„Ruysbroeck miał w użyciu ten sposób wysłowienia, prawie pierwotny, w którym słowa są rzeczywiście lampami po za ideami, podczas gdy u nas idee mają oświecać słowa; dla tego też skłaniam się do przypuszczenia, że każdy język myśli zawsze lepiej od człowieka, który go używa, i jest tylko chwilowem jego sercem“ (str. 470).

„Trzeba się także liczyć z tym światem nieznanym, na który te zdania musiały rzucać światło przez podwójne, biedne, rogowe szyby naszych słów i myśli. Słowa, jak już zauważyliśmy, zostały wynalezione do pospolitych użytków życiowych, — i nędzne są, trwożne i zdziwione, jak włączęgi około tronu, gdy od czasu do czasu jakaś królewska dusza poprowadzi je gdzieindziej. A z drugiej strony myśl jest — że kiedy dokładnym obrazem tego, co ją zrodziło, i nie jest-że zawsze cieniem walki, podobnej do walki Jakóba z aniołem? Biada nam — ktoś to powiedział — jeżeli nie mamy w sobie nic więcej nad to, co możemy wyrazić i pokazać“ ... „Niektóre wyrażenia Ruysbroeck'a pływają, jak przezroczyste sople lodowe na bezbarwnem morzu milczenia, a jednak istnieją — i to wystarcza“ (str. 665).

Cierpliwości wreszcie braknie do słuchania takich teorii! A jednak wysłuchać ich trzeba było, bo Maeterlinck nie dwuznacznie stawia Ruysbroeck'a za wzór swojej szkole literackiej, skoro pod sam koniec studyum tak pogląd swój reasumuje:

„Szczęściem jest dla nas, że mieliśmy takiego człowieka; i od kąd go poznałem, sztuka nasza nie wydaje mi się zawieszoną w próżni. Dał on nam grunt pod nogi (il nous a donné des racines). Miał język światłości w ustach. Jest on może największym z tych poetów, o których mówi Goethe, że, siedząc przy warsztacie czasu, tkają Bogu suknię, dzięki której dostrzegamy go chwilami“.

Tak więc w dyplomie szlachectwa dekadentyzmu symbolicznego znalazł Maeterlinck godne naśladowania zasługi praocjów: uniwersalny symbolizm, tajemniczą moc wyrazów, mających oddawać nastroje chorobliwej hallucynacji. Trzeba teraz hallucynację przenieść na grunt społeczny i dowieść, jak ważną rolę w życiu, a więc i w poezji, odgrywają sny i przecucia. Taką rozprawę znajdujemy w dziełku p. t.: „*Onirologie*“¹⁾.

Jest to opowiadanie (zapewne prawdziwe?), o dwóch epizodach z życia autora, związanych dziwną nicią analogiczną. M. nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy stracił ojca, agenta dyplomatycznego

¹⁾ „*Onirologie*“ nouvelle par M. Maeterlinck, („*Revue générale*“, Juin, 1889).

na wyspie Jawie: pozostawał wówczas w Holandyi, w Utrechcie, z matką, która umarła w parę miesięcy po śmierci męża. Po przejściu nieznanych nam kolei, sierota dostał się do Ameryki do jakiegoś przytuliska sierot w Salem. Tam go znajdujemy, w wieku lat 18-u, smutnego, nędznego fizycznie, już wówczas oddającego się zgubnemu zażywaniu opium. Przyjacielem jego był niejaki Walter, a w domu ciotki tego przyjaciela poznał „kochankę pierwszych dni“, Annę. Opowiada nam właśnie autor o jednym z wieczorów, spędzonych w tym domu:

Po zażyciu opium i po herbacie, wyszedł na przechadzkę z Anną w głąb lasu odwiecznego, „tak starego, że mieli w nim zwyczaj mówić po cichu“. Nic się tam nie działo, tylko drzewa szumiały dziwnie, jakieś źródło było kryształowe, a Anna upuściła w tę krynicę złotą obrączkę, którą potem z dziwnym dreszczem, może z przeczuciem złowrogiem, wydobyla z wody. Kiedy wracali, światła dalekiego miasta gasły szybko. Młodzieniec, powróciwszy do domu, zaczął czytać poemat Tomasa Hood'a: „Hero i Leander“, w którym bohater zstępuje do głębin morza po swą ukochaną — i przy czytaniu zasnął. Zdało mu się nagle, że tonie w wodzie, ograniczonej ciasnemi i wysokimi murami, jakby w studnię jakąś zapada się coraz głębiej i głębiej, „przez nieskończone przezrocza, pośród wysilków nieruchomości, stanowiących jedną z mąk właściwych snom, a nie dających się porównać do niczego w życiu, kierowaném wolą“.

„Byłem w tej chwili, ciągnie dalej, dość bliski śmierci i muszę tu wytłomaczyć bardzo starannie jedno z najdziwniejszych zjawisk snu mojego“. Czy pod wpływem reminiscencyi pewnej bajki o zwierciadle, które staje przed oczyma tonącego i odbija w jednej chwili całe jego przeszłe życie, czy dlatego, że wizya taka nieodłączna jest od śmierci przez utonięcie, — „uczulem wrażenie tego zwierciadła, a że umysł śniącego zbliżony jest bardzo do umysłu małego dziecka, niezdolnego do abstrakcyi, u którego każda idea przeradza się w obraz, a każda myśl w czyn przechodzi, — odrazu poczułem w ręku owo zwierciadło i zacząłem pilnie w nie się wpatrywać“.

„Tutaj chciałbym wyrazić moje zdziwienie z powodu nieprawdopodobieństwa wizyi, — *gdyż zwierciadło było prawie puste*, a przecież mogłoby być pełne smutnych wypadków“... Było w niem tylko trochę barw niewyraźnych, dziecinne jakiś rysunki i otwarta rączka dziecka. A przecież powinnyby tam być wiele rzeczy nieznanych, a może *uprzednich* (antérieures).

Po tém wrażeniu, tonący, rzuciwszy okiem na otwór studni, ujrzał na *burzliwem niebie* twarz kobiecą, której rysy niewyraźne miały coś pośredniego między twarzą Anny, a inną jakąś, którą tylko

we śnie mógłby sobie przypomnieć. Usłyszał przytém krzyk, „prawdziwy dźwięk senny“, nie działający na ucho, gdyż sen jest zawsze niemy. Po bardzo subtelnym spostrzeżeniu nad dźwiękami, słyszanymi przez sen, — opowiada dalej autor, że został wydobyty ze studni ruchem ręki, podobnym do giestu, którym Anna wydobyla ze źródła pierścionek — i znalazł się na ziemi, w podróży przez dziwny krajobraz podmiejski; uderzyły go szczególnie dwa wiatraki, jeden bez skrzydeł, rzędy świateł wzdłuż kanałów i burzliwe niebo.

Maeterlinck nazajutrz po tym śnie dziwnym, pisał do Anny, która wyjechała właśnie tego samego dnia z Salem i nie miała już nigdy powrócić; list ten, oddany autorowi po śmierci Anny, przytoczony jest w noweli; opis snu jest treściwszy, a różni się tylko dodanymi szczegółami, że przez sen widziana kobieta zmieniła rysy na starsze i zawołała: „dziecko jest w studni“, i że po wydobyciu z wody, autor znalazł się w jakimś zupełnie mu nieznanem mieście.

Tu następuje rozwiązanie zagadkowego znaczenia noweli.

Po dojściu do pełnoletności, M. dowiedział się, że jest Holendrem i spadkobiercą dość znacznego majątku. Między papierami rodziców, które mu przesłano, znalazł się list, istotnie zadziwiający. List ten, pisany przez matkę do ojca autora, z Utrechtu na wyspę Jawę, podaje następujące szczegóły: Mały Maeterlinck, mający podówczas 4 miesiące i dni dziewięć, wpadł do studni, o czém zawiadomiła matkę starsza jakaś krewna, wołając: „dziecko jest w studni“. Matka pobiegła i wydobyla syna z wody.

Maeterlinck, prześladowany szczególną analogią snu młodzieńczego z wypadkiem, zaszłym w pierwszych dniach życia, o którym on nie mógł, jak twierdzi, mieć żadnej wiadomości w Ameryce, zaczął poszukiwać gorliwie dowodów i faktów, dotyczących się tej analogii. Oprócz zestawień listów, dat i zeznań, odnalazł dom matki w Utrechcie, odnalazł owe dwa młyny, z których jeden bez skrzydeł wyszukał nawet w gazetach wiadomość, że w dzień, kiedy on wpadł do studni, wyjątkowa burza szalała w pobliżu Utrechtu na morzu, a więc i niebo nad studnią mogło być „burzliwe“.

Dla wyjaśnienia jakichś jeszcze wątpliwości, zwraca się autor z prośbą o dokumenta do czytelników, którzy „oddadzą tym sposobem usługę nowej nauce (bo nie można wiedzieć, do jakich odkryć doprowadziłaby ewolucja tej specjalnej własności pamięci, w zastosowaniu do okresu embryonicznego, a może i przedembryonicznego), a razem oddadzą usługę niespokojnemu duchowi, który poświęcił życie swe rozwiązaniu tych zadań“. Na tém koniec i podpis autora.

Opowiadanie zajmujące treścią i obfitością subtelnym spostrzeżeń nad snami; gdyby tylko przez zdrowego człowieka było podane!

Ale nie zapominajmy, że mamy z dekadentem-symbolistą do czynienia, z teoretykiem estetycznym, który wyprowadzi z niego wnioski *sui generis*, jak przytoczone już zakończenie noweli, albo takie np. zdania: „śniący człowiek używa już rzeczywiście tego odkrycia, oczekiwanego dopiero na jawie, a które wkrótce uczyni zbytecznymi *dość dziecinne wynalazki telegrafu i telefonu*. Chcę tu mówić o obcowaniu duchów i o wzajemnym przenikaniu się umysłów, które możnaby nazywać „*Telepsychią*“; ta pozwoliłaby w danym razie jednej duszy obcować dowolnie z inną, istniejącą gdziekolwiek w czasie i przestrzeni, gdy odkryte zostaną spójnie, łączące nas tajemnie, których magnetyzm i telepatya nawiązują pierwsze rozproszone nici“.

Ta pogarda dla teorii pozytywnej i doświadczalnej, nad którą ma górować nowa marzycielska hipoteza, jest jedną z cech charakterystycznych Maeterlincka i dekadentów w ogóle. Czytamy dalej w innym miejscu:

„A więc wtedy, tej nocy październikowej, (kiedy rzeczywiście wpadł w studnię), obcowałem bezpośrednio z Niewidzialnym i Niedocieczonym i dusza moja stała się odtąd bladą i chorą, i podległą wszelkim niepokojom i trwogom. Nie będę dzisiaj próbował żadnych wyjaśnień: zaliczam ten fenomen do rzędu tych, których stałe prawa kiedyś zostaną odkryte. Tymczasem nie chcę o nich wiedzieć, jak nie wiem nic o niezliczonych tajemnicach przecucia, albo dlaczego śmierć, gdy raz weszła do domu, powraca nieodzownie wkrótce potem. Tomasz de Quincey twierdzi, że *rozum jest podrzędną własnością umysłu ludzkiego*, a mnie się zdaje, że nie trzeba mu dowierzać, zwłaszcza w tych strefach wypadków. Zresztą może lepiej zbytnio nad tem nie zastanawiać się, aby czasem nie rozkiełzać białych rumaków szaleństwa w dziedzinie, którą sławny jeden medyk nazywa dziwacznie: „le grand territoire de la substance grise“.

Nerwowa inpotencja chorąg myśli wypelza na jaw z tego prawie strasznego wyznania. Poddawać się wrażeniom, nie opanowawszy ich myślą, kombinować wedle przypadku, bez współdziałania woli i rozumu, tej „*podrzędnej własności umysłu ludzkiego*“, — taki sposób myślenia, jak i twórczości artystycznej, może rzeczywiście przez klub dekadentów zaprowadzić do szpitala waryatów.

Przytoczone tu uwagi zarówno ze studium o Ruysbroeck'u, jak z noweli „Oniologie“, nie wszystkie i nie wyraźnie stosują się do sztuki piśmienniczej. Zobaczymy jednak, jak szerokie zastosowanie znajdują niektóre z nich w dramatycznych utworach Maeterlincka.

IV.

Teoretyczna znajomość techniki i szkoły, do której artysta należy, nie jest wcale niezbędna czytelnikom do odczucia jego dzieła; w przeciwnym bowiem razie doszlibyśmy do wniosku, że sztuka nie ma ogólnoludzkiego znaczenia, ani wpływu, lecz jest dla specjalistów tylko i dla cechowych braci przeznaczona. Im bardziej wytrzymuje dzieło sztuki techniczną krytykę wszystkich szkół, tém jest zapewne większe i donioślejsze, ale każdy ogólnie wykształcony człowiek, a nie fachowy literat, ma dlatego prawo sądu o sztuce, że ona dla niego ostatecznie powinna być tworzona. Technika może być sztuczna i trudna, ale tryumfem jęj jest wyrazistość, stanowiąca główną jęj wartość. Taką wyrazistością, tém jasnym przekazaniem myśli i uczuć autora czytelnikowi, nie odznacza się bynajmniej głośny dramat Maeterlincka „*La Princesse Maleine*“. Aby dzieło to zrozumieć, trzeba koniecznie znać estetyczną teorię i sposoby autora — i dopiero erudycya pozwala orientować się w dziwnym tym utworze, złożonym z 5-u aktów w 24-ch odsłonach ¹⁾.

Wątpimy, aby blade i częściowe odbicia lady Macbeth, Hamleta, mamki Julii, Snu nocy letniej — skłoniły p. Mirbau do nazwania „nowym Szekspirem“ autora „Księżniczki Maleny“, — bo zresztą wszystkie, przez Szekspira stworzone lub stosowane, zasady i tradycye sztuki dramatycznej, zostały tu przez belgijskiego reformatora wzgardzone. Pierwiastek walki wewnętrznej, rozterki uczuć, wierzeń i namiętności, stanowiący dotychczas rdzeń dramatu, psychologiczna konsekwencya charakterów, wyrazistość akcji i celowość każdej sceny, każdego niemal słowa, — wszystko to w „Księżniczce Malenie“ uznane zostało za zbyteczne. Położono natomiast nacisk na symbolistykę przyrody, na przenośne znaczenie ludzkich słów i działań, głównie zaś na oryginalnie zupełnie pomyślaną formę scenicznego dialogu.

Dzieło to, pozbawione prawie wewnętrznej spójni myślowej, da się raczej opowiedzieć, niż systematycznie streścić.

Rzecz dzieje się w zamierzchłej przeszłości bez wskazówek na epokę, gdyż postacie nie są historyczne. Hjalmar, król jednej dzielnicy Holandyi, przyjechał do Marcellusa, króla drugiej dzielnicy i władcy na Harlingen — na zaręczyny syna swego, księcia Hjalmara,

¹⁾ M. Maeterlinck. „*La princesse Maleine*“, drame en 5 actes. Bruxelles. Paul Lacomblez. 1890.

z córką Marcellusa — Maleną. Jednak przy bankiecie król Hjalmar, zmysłowy i dziki starzec, obraził żonę Marcellusa, skąd wielkie powstało oburzenie, zakończone wojną. Zburzono Harlingen, zabito króla i królowę, a Malena z mamką ocalała tylko dlatego, że zamurowana została uprzednio przez ojca w wieży za uporczywą odmowę zerwania swych zaręczyn. O zburzeniu Harlingen dowiadujemy się ze sceny, w której mamka, odwaliwszy kamień z muru więziennego, opowiada księżniczce o spustoszeniu, dostrzeżonem przez otwór w ścianie.

Pożegnawszy na wieki królewską parę w Harlingen, z którą okoliczności nie pozwoliły nam się zaznajomić, przenosimy się na resztę akcji do Ysselmondy, rezydencji króla Hjalmara. Tu zjawia się najczarniejszy charakter — Anna, królowa Jutlandu, wygnana ze swego dziedzictwa. Przybyła ona do Ysselmondy zapewne dla szukania pomocy zbrojnej i opętała wdziękami swemi starego króla; przytém jednak prześladuje młodego Hjalmara wyznaniem dzikiej swęj dla niego miłości, pomimo, że już go zaręczyła z własną swą córką, Uglyaną. Oczywiście, dla zawiązania jakiegokolwiek akcji, potrzebne jest przybycie Maleny, która téż, pod przebraniem służącej księżniczki Uglyany, dostaje się do zamku. To zmartwychwstanie dawniej narzeczonej księcia Hjalmara musi wywołać nienawiść królowej Anny, krzyżując jęj wszystkie zamiary. Oto dramatyczny zawiązek gotowy. Nie doczekamy się jednak wcale jego rozwoju w jakąś walkę wewnętrzną w duszy królowej. Zauważmy również sztuczną naiwność w założeniu dramatu: wszystkie plany i zamiary Anny istnieją tu tylko dla uzasadnienia jęj nienawiści do Maleny, gdyż między sobą są poczęści niezgodne (np. miłość dla księcia Hjalmara i plan ożenienia go ze swą córką); nie można téż wcale się domyślić, jaka jest główna pobudka działania Anny: czy żądza wydartej władzy królewskiej, (o której nikt ani razu nawet ubocznie nie wspomina), czy zazdrość starszej kobiety do młodziej, czy chęć opanowania wszystkiego i wszystkich? Autor, unikający starannie monologów, a w dyalogach zajmujący się symbolizowaniem i stylowem nowatorstwem, nie daje nam na te wątpliwości żadnej odpowiedzi. Przypuściwszy jednak, że główną cechą charakteru Anny jest pragnienie potęgi przez panowanie nad mężczyzną, wykonawcą ślepym jęj woli — że jest ona jakąś daleką krewną lady Macbeth, z którą ją łączą powierzchowne analogie, poszukajmy chyba w innych działających osobach wyraźniejszych dramatycznych pierwiastków, idąc w dalszym ciągu za rozwojem akcji.

Książe Hjalmar urządził wieczorną schadzkę w parku z Uglyaną, ale Malena wyzyskuje tę sposobność, przychodząc na oznaczone

miejsce zamiast Uglyany. Tu nareszcie będziemy mogli poznać tytułową bohaterkę, która dotąd uporcezywemi tylko wyrażała się monosylabami, lub powtarzała za mamką wykrzykniki; tu także ujawni się zapewne, co to za człowiek ten książę Hjalmar, który chodził dotąd po scenie w hamletowym płaszczu z przyjacielem Angusem, skazanym na słuchanie uwag księcia o trwodze, jaką w nim budzi Anna, o nieokreślonych przecuciach nieszczęścia, a zwłaszcza o burzliwej pogodzie. Oto ta scena spotkania kochanków, jedna z najciekawszych w dramacie:

LAS W PARKU.

Hjalmar. Kazała mi czekać przy wodotrysku. Chcę ją wreszcie ujrzyć wieczorem... chcę się przekonać, czy noc nie da jej do myślenia. Miałaż-by ona trochę milczenia w sercu? Nigdy las ten jesienny nie wydał mi się dziwniejszym, jak dziś wieczór; nigdy ciemniejszym, jak dziś wieczór; przy jakimś-że świetle zobaczymy się? Rąk swoich nie dostrzegam! Ale cóż to za błyski wokoło mnie? Wszystkie puszczyki parku tu się zleciały. Precz stąd! precz stąd! na cmentarz! do umarłych! (rzuca na nie ziemią). Czy proszą was na noce ślubne? Otóż mam teraz ręce jak grabarz. O, nie często tu będę wracał. Słuchajmy—idzie! Czy to wiatr? O, jak liście teraz padają wokoło mnie! Oto drzewo, które zupełnie się obnażyło! A jak te chmury miotają się na księżyc! Ależ to liście wierzby płaczącej, które mi na ręce padają! O, źle się tu wybrałem! Nigdy ten las dziwniejszym mi się nie wydał, jak dziś wieczór! Nigdy tyle wróżb nie widział, jak dziś wieczór! Otóż i ona.

(Wchodzi księżniczka Malena).

Malena. Gdzie jesteś, panie?

Hjalmar. Tutaj.

Malena. Gdzież nareszcie? Nie widzę.

Hjalmar. Tutaj, przy wodotrysku. Zobaczymy się przy świetle wody. Jest tu dziwnie dzisiaj.

M. Tak, boję się... a, znalazłam cię.

H. Dlaczego drzysz?

M. Nie drzę.

H. Nie widzę Cię. Chodź tutaj; tu jaśniej, i przechył trochę głowę ku niebu. Dziwną jesteś dziś wieczór! Zdawałoby się, że serce moje rozwarło się dziś wieczór... Ależ zdaje mi się, że do prawdy jesteś piękna! Ależ jesteś dziwnie piękna, Uglyano!... Jest coś wokoło ciebie dziś wieczór... Chodźmy gdzieindziej, do światła! Pójdź!

M. Nic jeszcze.

H. Uglyano! Uglyano!

(Całuje ją; w tej chwili wodotrysk, poruszony wiatrem, chyli się i spada na nich).

M. Oh! cóżeś uczynił?

H. To wodotrysk.

M. Oh! Oh!

H. To wiatr!

M. Boję się.

H. Nie myśl już o tém; odejdzmy dalej. Nie myślmy już o tém.
Ah! ah! ah! cały jestem mokry.

M. Ktoś tu płacze koło nas.

H. Ktoś płacze?

M. Boję się.

H. Ale czyż nie słyszysz, że to wiatr?

M. Ale co znaczą wszystkie te oczy na drzewach?

H. Gdzie znowu? Ach, to puszczyki powróciły (Rzuca ziemią)

Precz stąd!

Scena ta trwa bez końca, pełna przepowiedni nieszczęść. Ziemia, którą księżę rzuca na puszczyki, spada na księżniczkę; błyska się między drzewami, kret porusza ziemię pod stopami Maleny. Dalej idą epizody, których pominąć nie możemy. Styl i sposób obrazowania dochodzą tu do chorobliwości.

Malena. Czy są mury naokoło parku?

Hjalmar. Tak jest; są mury i rowy naokoło parku.

M. I nikt wejść nie może?

H. Nie; ale jest wiele rzeczy, które wchodzą, nie pytając (qui entrent malgré tout).

M. Krew mi się z nosa rzuciła.

H. Krew ci się z nosa rzuciła?

M. Tak; gdzie moja chustka?

H. Chodźmy do wody.

M. Oh, suknia moja cała już we krwi!

H. Uglyano! Uglyano! czy już koniec?

M. Tak — (Milczenie).

H. O czém marzysz?

M. Smutna jestem!

H. Smutna? o czém marzysz, Uglyano.

M. Marzę o księżniczce Malenie.

H. O kim?

M. Marzę o księżniczce Malenie.

H. Znasz księżniczkę Malenę?

M. Jam jest księżniczka Malena.

H. Co?

M. Jam jest księżniczka Malena.

H. Nie jesteś Uglyaną?

M. Jestem księżniczką Maleną.

H. Jesteś księżniczką Maleną! Jesteś księżniczką Maleną!

Ależ ona umarła!

M. Jam jest księżniczka Malena.

(Tutaj księżyc przechodzi między drzewami i oświeca Malenę).

H. Oh! Malena! Ale skąd przychodzisz? jak tutaj doszłaś?

Ależ jak tutaj doszłaś!

M. Nie wiem.

H. Mój Boże! mój Boże! mój Boże! mój Boże! — Zkąd ja się dzisiaj wyrwałem! I jaki kamień podniosłaś dzisiejszej nocy! Boże mój, Boże! z jakiegoż grobu powstałem dziś wieczór! Maleno! Maleno! cóż teraz zrobimy? Maleno!... Zdaje mi się, że w niebie jestem aż po serce!...

M. O, ja także!

(Tutaj wodotrysk dziwnie szlocha i zamiera).

Oboje (odwracając się). Oh!

M. Co się stało? co tam się stało?

H. Nie płacz; nie bój się. To wodotrysk.

M. Co tu się dzieje? Co tu się stanie? Chcę ztąd pójść! chcę ztąd pójść! Chcę ztąd pójść!

H. Nie płacz!

M. Chcę stąd pójść!

H. Zamarł — idźmy gdzieindziej. — (Odchodzi).

Na tém koniec sceny i drugiego aktu.

W trzecim sytuacja zaostrza się. Księżę wprowadza już Malenę do zamku, jako narzeczoną. Królowa daje księżniczce truciznę, ale lekarz dworski, przewidując zbrodnię, przyrządza niewinną jakąś miksturę, która działa tylko osłabiająco. Księżę przechadza się w dalszym ciągu po scenie, to z Angusem, to z Maleną. Zarysowuje się tu wyraźniej jedynie postać starego króla. Zbrodnicza kochanka opanowała go zupełnie; wtajemniczony w jej knowania, miotany wyrzutami sumienia, Hjalmar, pod wpływem późnej zmysłowości, zaczyna tracić zupełnie wolę i zbliżać się do szaleństwa, na którym też skończy. Jest to jedyna osoba w dramacie, logicznie pojęta; nawet hallucynacje i upatrywanie wszędzie złowrogich znaków tłómaczą się w ustach starego Hjalmara, lepiej uplastyczniają skrajnie rozdrażniony stan jego nerwów i sumienia. Nie brak i w tym

akcie symbolicznych zdarzeń: wariat kopie dół w ogrodzie, błędne ogniki prowadzą na cmentarz i t. d.

Ale dopiero z początkiem aktu czwartego zaczyna się tryumf „nastrojowego“ symbolizmu, kiedy autor wprowadza stanowczo do akcji burzę i inne zjawiska przyrody. Jak coś żyjącego i niezbędnego, coś, czem wszystkie działające osoby są zajęte, czemu nawet zdają się podlegać. Teraz już czytelnik nie potrzebuje śledzić rozwoju charakterów, z których jedne pozostaną zupełnie bierne (Malena, książę) a o drugich nic więcej się nie dowie, jak to, co z kilku grubych rysów uprzednich poznał lub odgadł. Akt ten poświęcony jest cały zabójstwu Maleny. Anna, znudzona powolnym działaniem niewinnej trucizny, oddala księcia i mamkę od księżniczki, wchodzi z królem do jej sypialni i dusi ją tasiemką, zarzuconą na szyję. Scena ta odbywa się przed widzem, nieskończenie długa, wstrętna, z akompaniamentem jęków króla i najdziwniejszych epizodów symbolicznych. Dla dopełnienia charakterystyki Maleny, daje jej autor do wypowiedzenia monolog przed śmiercią: bojąc się coraz bardziej, woła ona rozpaczliwie wiernego swego psa, Plutona, który właśnie, wbrew psiej naturze, wynosi się z pokoju, a dopiero po dopełnieniu morderstwa drapie do drzwi. Mocno to zastanawia mamkę i księcia Hjalmara, po kilkakrotnie przychodzących słuchać pode drzwiami, jak się ma księżniczka. On, tak wrażliwy na przecucia, tym razem nic nie rozumie i nie wchodzi do pokoju.

A tymczasem natura rozszalała gra w dalszym ciągu swój koncert analogiczny. Na początku aktu piątego, gawieź, zebrana na cmentarzu (przed pałacem i podczas burzy?), patrzy na zaćmienie księżycy, widzi jak piorun stręca krzyż z kaplicy; łabędzie odlatują wszystkie, oprócz jednego, który pada krwawy pod oknem księżniczki Maleny. W sali zaś pałacowej dworzanie czekają na króla. Wchodzi król z Anną i księciem; stary Hjalmar w obłędzie, siwy zupełnie, z krwią na białych włosach. Mają się wszyscy udać do kaplicy — nie idą jednak, tylko pytają króla na wyścigi, co mu jest; król się zdradza każdym słowem, a Anna go strofuje; — do dziwów natury przybywają jeszcze przywidzenia starca, i scena ta trwa długo, fałszywie groźna, niezgrabna, komiczna prawie. Zbliża się wreszcie pożądany koniec. Mamka z księciem Hjalmarem, po długich jeszcze certacyach i domysłach, co robi pies pode drzwiami księżniczki, decydują się wejść do zakłętgo pokoju. Zbrodnia wykryta, alarm, stary król wpada z królową Anną i wyznaje głośno, kto zabił Malenę. Książę Hjalmar przebija sztyletem naprzód Annę, potem siebie samego. Król dostaje już na dobre obłądu, a raczej dziecinnieje, bo, wprowadzony z pokoju przez mamkę, prosi ją o sałatę na śniadanie.

Ktoś mówi „Jedna jeszcze noc taka, a posiwiejemy wszyscy!“ i na finał krajobraz rozchmurza się trochę: „Wychodzą wszyscy, oprócz siedmiu mniszek, które intonują Miserere, przenosząc trupy na posłanie. Dzwony milkną. Słychać na dworze śpiew słowików. Kogut wskakuje na ramę okna i pieje“. Koniec.

Zdaje się nam, żeśmy we właściwych miejscach dostatecznie wskazali, że autorowi „Księżniczki Maleny“ nie chodziło bynajmniej o psychologiczne motywy, stanowiące dotychczas istotę dramaturgii. Maeterlinck, będąc z temperamentu lirykiem tendencyjnym i wizjonerem-symbolistą, zbudował dramat jedynie dla dania wyrazu swym subiektywnym poglądom na sztukę i na tajemne obcowanie przyrody z człowiekiem. Przez każdą z osób działających w tym dramacie przegląda melancholiczny sierota z przytuliska w Salem¹⁾, badacz ekstatyków średniowiecznych, człowiek, który zmysłowemi wrażeniami chce tłómaczyć i zastąpić czynniki intelektualne. Dekadenta - kolorysty mało znać w stylu tego utworu; niema tu pomieszania barw i dźwięków, ani zawilości, cechującej np. „Cieplarnie“, a nawet prozę Maeterlinck'a w studium nad Ruysbroeckiem.

Za to jest inny wynalazek stylistyczny, zupełnie odmienny. Jest to ów język dziwnie pospolity, sztucznie prosty, pełen powtarzań, wykrzykników i zdań urywanych, którego próbkę daliśmy w wyżej przytoczonej scenie. Widocznie uznał autor styl taki za stosowny do dramatu, a że pisze zawsze w celu postawienia nowego wzoru piśmienniczego, więc i tutaj, jak na zawołanie, zmienił zupełnie naturę swego stylu. Ciekawe pod tym względem wzmianki znajdujemy już w studium o Ruysbroecku: Maeterlinck zauważył u flamandzkiego pustelnika „częste powtarzania, właściwe każdej literaturze pierwotnej“ (str. 455) oraz „dziwny nacisk na niektóre słowa pospolite, za pomocą którego uwydatnić można nieznaną, a czasem straszne tych słów pozory“ (str. 667). Zwrot ten do pierwotności nie jest odosobnioną tutaj zachcianką Maeterlincka, łączy się on z charakterystyczną cechą dekadentyzmu, o której wspomnimy poniżej.

Jeżeli w jakim rodzaju sztuki piśmienniczej, to w dramacie niezbędna jest barwność i dobitność wyrażań, bo jakże inaczej zrozumieemy człowieka w fikcy scenicznej, jeżeli nie ze słów jego, skoro sama forma dramatu wyklucza możliwość przeciągania akcji, zwracania się w przeszłość i objaśnień od autora. Maeterlinck zaś, który wprawdzie inaczej pojmuje istotę dramatu, używa ciągle tej roz-

¹⁾ Proszę zauważyć podobieństwo sceny Hjalmara z Maleną przy fontannie z osobistém wspomnieniem rozmowy autora z Anną w nowelli „Oniologie“.

wlekłej, pospolitej a jednak nie naturalnej formy dialogu, która nużąco działa na nerwy czytelnika uporczywą jednostajnością i wywołuje wrażenia przykrości zamiast grozy, rozdrażnienia zamiast estetycznej rozkoszy.

W chwilach jednak stanowczych czuje i on potrzebę gorętszych i dosadniejszych wyrażeń, ale jakże ubogim ich zapasem rozporządza! Już to piekło, przedsionki piekła, bruki piekielne—zdarzają się do przesytu; za przykład zaś urozmaicenia zwrotów mowy niech posłuży następujące zestawienie:

Hjalmar (akt I sc. 6) „Zdaje mi się, że w niebie jestem aż po serce“.

Lekarz (w akcie III sc. 4) ...wchodzą oni w nędzę aż po wargi...

Król (w akcie V sc. ostatnia). Otom jest w nieszczęściu aż po uszy.

Król (tamże). Jestem w piekle po same oczy!...

A jednak całe to nowatorstwo stylowe, całe pojęcie dramatu bez pojedynczych odrębności charakterów, zawarte w ogólnych rysach ciężącego nad akcją przecucia nieszczęść i grozy, potęgowanej przez analogiczne wpływy przyrody—wszystko to zmierza do jednego celu. Cel to wszakże szkolny, a nie artystyczny.

„Księżniczka Malena“ jest próbą reformy dramatu na podstawie symbolicznego liryzmu, próbą, naszym zdaniem, nieudatną, skoro do zrozumienia jej tak wielu potrzeba teoretycznych komentarzy, próbą niewłaściwie także chwaloną. Trzeba się było wstrzymać z pochwałami do ukazania się ostatniego tomu Maeterlincka, złożonego z dwóch dramatycznych obrazków p. t. „*Nieproszony gość*“ (*l'Intruse*) i „*Ślepi*“ (*les Aveugles*)¹⁾.

Oba te utwory nie są właściwie dramatyczne, są przedewszystkiém „nastrojowe“.

Pierwszy („*L'intruse*“) cały stworzony jest dla oddania groźnego przecucia zbliżającej się śmierci. Obok pokoju choręj położnicy, zgromadzona na scenie rodzina oczekuje siostry miłosierdzia, która dzisiaj wieczorem przyjść obiecała. Późno już — przez drzwi otwarte widać ogród w blasku księżyca... Ktoś idzie, słyhać kroki w ogrodzie, słowiki zamilkły, łabędzie się trwożą. Ślepy dziadek niepokoi się, a synowie i wnuczki tłómaczą mu te zjawiska, jak mogą. Coraz jednak dziwniejsze powstają znaki i gwary: słyhać dźwięk ostrzenia kosy—czyżby ogrodnik kosił ogród w nocy?—lepiejby drzwi od ogrodu

¹⁾ Tytuł ogólny: M. Maeterlinck. „*Les Aveugles*“ Bruxelles. P. Lacomblez, 1890.

zamknąć, ale drzwi zamknąć się nie dają.. Idzie ktoś nareszcie, idzie najwyraźniej,—tylko wchodzi jakby od podziemia; dzwonią na służącą, więc po schodach kroki słyhać,—tylko że kroki te jakby podwójne. Tutaj zaczyna staruszek gorączkowo pytać: co się dzieje? kto tam czeka za drzwiami? kto usiadł przy stole? dlaczego gasną lampy? Niepokój udziela się wreszcie całemu zgromadzeniu, dotąd krytycznie usposobionemu względem przeczuć starca. Coraz straszniej, coraz ciemniej, północ bije i gwary dziwne dolatują z sąsiednich pokoi¹⁾.

„Słyhać nagle płacz przeraźliwy, na prawo, w pokoju dziecka: i jęk ten trwa, stopniowany w swęj grozie, aż do końca sceny.

Ojciec. Słuchajcie! dziecko!

Wuj. Nigdy dotąd nie płakało!

Ojciec. Chodźmy zobaczyć!

Wuj. Światła! światła!

W tęg chwili słyhać pośpieszne i głuche bieganie w pokoju na lewo — potem cisza śmiertelna. Wszyscy słuchają z niemém przerażeniem, aż drzwi sąsiedniego pokoju otwierają się zwolna, światło z nich wdziera się na scenę, a siostra miłosierdzia ukazuje się na progu w czarnym swym stroju i skłania głowę, czyniąc znak krzyża, dla oznajmienia, że chora umarła. Zrozumieli i, po chwili wahania i przestachu, wchodzą w milczeniu do pokoju umarłej, podczas gdy Wuj przed drzwiami usuwa się grzecznie, przepuszczając naprzód trzy panienki. Ślepy, który sam pozostał, wstaje i rzuca się po omacku naokoło stołu, w ciemności.

Dziadek. Dokąd idziecie? dokąd? zostawiły mnie samego!“

Kto nie czytał, uprzytomni sobie ten obraz z podanego streszczenia, uprzytomni tęg łatwiej, gdy dodamy, że autor zastosował i tutaj swoje dziwaczne, pełne sztucznej prostoty, rozmowy, bardziej jednak wyraziste, niż dyalogi z „księżniczki Maleny“, bo zmierzające widocznie i logicznie do jednego celu. Ale, kto nie czytał całości, nie zdoła pojąć, do jakiego przykrego rozstroju nerwów może doprowadzić chorobliwa fikcja literacka. Jeżeli kto przeczyta utwór ten głośno i wieczorem, ręczyć można, że choćby się nie bał strachów ani śmierci, dojdzie do stanu podniecenia, jaki naprzykład wywołuje zła muzyka, obowiązkowo przez dłuższy przeciąg czasu słuchana. To krzyżowanie się krótkich pytań i odpowiedzi, ta mnogość gwarów, niewytłómaczonych niby, a tak przezroczystych w swém symboliczném znaczeniu, ta pewność przyjscia „nieproszonego gościa“, odgadnięta odrazu z tytułu i kilku pierwszych zdań, — to powolne, spazmatyczne konanie akcji, która od samego początku ciągle się koń-

¹⁾ Odtąd cytujemy dosłownie całe zakończenie:

czy—wszystko to dręczy czytelnika niewymownie. Tylko wrażenie piekielnych monologów Edgara Poe można porównać do tej kaźni, od której mrowie przebiega. A choć mrowie to nie ma, zdaniem naszym, wiele podobieństwa ze szlachetnym estetycznym dreszczem,—można jednak przyznać tryumf nielada autorowi, który tak zgnębić potrafił czytelnika.

Temat podobny, transponowany tylko na dalszą od rzeczywistości, a jednak dźwięczną i przejmującą nutę, znajdujemy w „Ślepych”, których nie wahały się nazwać jedynym dziełem sztuki w dotychczasowej twórczości Maeterlincka. Od formy dramatycznej odbiegł tu już autor tak daleko, że dyalogowany tekst poprzedził długim opisem wstępnym: ustawia niby tylko aktorów i dekoracje, ale w istocie kreśli już tło do poematu. Bo tak raczej nazwałoby można ten utwór, którego bohaterem jest przedewszystkiem nędza i niedola ludzka, uosobiona przez ślepotę.

Dwanaścioro ślepych różnej płci i wieku wyszło ze szpitala, pod wodzą starego księdza, na daleką przechadzkę nad brzeg morza—do nieznaną częśći wyspy, na której szpital się znajduje. Widzimy ich w odwiecznym jakimś lesie siedzących około księdza, który umarł nagle. Jedyne więc światło tych niezaradnych nędzarzy zgasło, jedyny kierownik w tej dzikiej puszczy zasnął na wieki,—ale ślepi nie wiedzą jeszcze o swój ostatecznej niedoli, myślą, że ksiądz odszedł tylko, powróci i odprowadzi ich do domu.

Tak się obraz ten zaczyna i nic się w nim nie zmienia, oprócz rosnącego z każdą chwilą niepokoju nędzarzy. Bo oto miarkują po głodzie i chłodzie, że dzień jesienny się skończył, a zimna noc zapadła. Nocne ptaki, z łopotem przeciągając, jęczą; wiatr z północy coraz groźniejszy powstaje i morze grzmieć zaczyna coraz bliżej i bliżej—słychać już falę szeleszczącą nieopodal w pokrywających ziemię liściach. Zbliżają się wreszcie jakieś pośpieszne kroki i wszyscy na ten szmer zbawczy wyteżają ucho. To tylko pies, który śladem poszedł, dopada do jednego ze ślepych; może ich wyprowadzi? Wstają wszyscy, trzymając się za ręce, ale pies, doszedłszy do umarłego księdza, zatrzymuje się. Zwolna, po omacku odkrywają ślepi, że trup pomiędzy nimi siedzi, i teraz zamęt rozpaczy ogarnia całą tę rzeszę skazańców. Chcą jeszcze uchronić się od niechybnej zatury; może zakonnice wyszukają ich w tym lesie? ale zakonnice nie opuszczają nigdy szpitala; stary lekarz umarł niedawno; żeby choć stróż latarni morskiej ich dojrzał! ale on nie schodzi ztamtąd nigdy.

A tymczasem morze ryczy, mróz ścina ziemię i członki ślepych, a wiatr północny śniegiem zaczyna smagać.

Jedna z kobiet, waryatka, ma dziecko przy piersi; to dziecko widzi — więc je chwyta inna kobieta i podnosi, miarkując w którą stronę dziecko głowę zwróci. Zwraca ono głowę tam, zkad znów słychać kroki jakieś, zrazu ciche, szeleszczące coraz wyraźniej po zwiedłych, zamarzłych liściach. Już są blisko, już weszły pomiędzy ślepych. „Kto jesteś?” — pyta młoda kobieta. — Milczenie — a najstarszy ślepiec, który poznał strasznego gościa, woła:

„Miej litość nad nami!”

I do tych słów ostatnich nic dodawać nie trzeba. Czy głód zamęczy, czy mróz wytępi, czy morze pochłonie tę rzeszę nędznych, a pragnących życia i światła — to obojętne, — ale widzimy, że śmierć stanęła pośrodku nich i teraz włada nad nimi nieubłagana i niechybna, czujemy, że jest bólem nawet dla najbardziej zboleiałych, że, kończąc mękę życia, jest sama męką najsrozsza.

Myśl tę czy uczucie wrażeń nam poeta jasno i przejmująco — chce się nam płakać nad całą tą gromadą skazaną, nad nędzą ludzką, nad sobą samymi.

I to jest poezja, ciemna i straszna, ale prawdziwa, a wywołana temi samymi sposobami, których używał autor przy tworzeniu „Księżniczki Maleny”. Tylko sposoby te logiczniej pomiarkowane, wydoskonalone i — co najgłówniejsza — stosownie są użyte. Symbole nie rażą nas w tych oderwanych krainach wyobraźni, zwłaszcza, że są przezroczyste i do jednego zmierzają celu, a właściwie nawet cały utwór jest jednym symbolem, któremu się wszystkie zdarzenia pojedyncze podporządkowują. Powtórzenia wstrzeźliwiej użyte, jednostajność stylu i akcyi, — tłómaczą się jednakowem wszystkich osób cierpieniem i niedołęztwem, jedną myślą i grozą, która nad niemi panuje. Wspólne kalectwo czyni ślepych z konieczności podobnymi, zwłaszcza w tém wyjątkowem położeniu. Mimo to, autor starał się, dla urozmaicenia treści, zabarwić indywidualnie pojedyncze postacie, choć nie mogło to być jednem z głównych zadań tego symbolicznego obrazu: inne tu dostrzegamy pojęcia i pragnienia u młodych i starych ślepych, u kobiet i u mężczyzn, u ślepych od urodzenia i ociemniałych.

Takie nawet psychofizyologiczne odcienie wprowadza autor do swych „Ślepych”. Odnajdujemy tu zalety, których ledwo dopatrzeć się było można w „Księżniczce Malenie”, albo w „Cieplarniach”, odnajdujemy i to wrażenie i nastrój, za którym gonią dekadenci, lepiej objaśniony tém jednem krótkim dziełem sztuki, niż rozprawami lub utworami pseudo-poetyckimi, w których reforma sztuki samą sztukę zabija.

Znając zkadınąd dziwaczne poglądy autora „Oniologii“, nie możemy się wstrzymać od pewnych posądzeń, zwłaszcza, gdy przypomnimy sobie wyżej cytowane słowa tegoż autora, który do fenomenów niewyjaśnionych, a jednak oczywistych, zalicza i ten, „że śmierć, gdy raz weszła do domu, powraca nieodzownie wkrótce potem“ (p. wyżej str. 108). Mieliz-by „Ślepi“, w których śmierć zabiera najprzód jedną ofiarę, a potem wraca po resztę, służyć za ilustrację do tego dziwaczного spostrzeżenia?

Tymczasem są jednak najlepszym dziełem Maeterlincka i niezaprzeczoną dowodem jego talentu, który może zwraca się od szkolno-adwokackiej ku prawdziwie poetyckiej twórczości. Ale niepokoją nas znów tytuły dzieł, przygotowanych do druku: Wydanie „Ozdoby wesel duchowych Ruysbroecka“, „Mała antologia poetów łacińskich z epoki dekadencji“, „Notaty o prerafaelitach“ — — Nazwy te same zapowiadają nową serię teoretycznych apologii, potrzebnych do udostojnienia kierunku literackiego, którego Maeterlinck jest najwymowniejszym rzecznikiem.

Jakieś ciemności, smutek i rozczarowanie ogarniają nas po bliższym wejrzeniu w ten kierunek literacki. Jest w nim jakby szamotanie się z nieuleczalną chorobą, pogoń za czems nowym i zbawczym, co nie przyjdzie. Niemoc ujawnia się w każdym ekscentrycznym porywie tej szkoły, która, zajmując się głównie sposobami poetyckiego obrazowania, nie posiada w sobie wewnętrzznego zapasu siły twórczej.

Trochę reakcyi przeciw naturalizmowi, pogoń za oryginalnością, mgliste poczucie, że wszystko, co istnieje, jest tylko przenośnią i symbolem, jakieś niewyraźne aspiracye ku nadzmysłowemu sferom zagnały dekadentów-symbolistów w ciemność i zawilość.

Nie zdawszy sobie dostatecznie sprawy, dokąd chcą skierować poezję, dekadenci schlebiają swym instyktom próżnowania myślą i, mimo idealistycznych zachcianek, poddają się zmysłowemu wrażeniom zabarwiania dźwięków, przeczuć sennych, haszyszowych wizyi, podnosząc wrażenia te do godności czynników intelektualnych. Nie chcemy bynajmniej wyłączać działania przyrody na człowieka z dziedziny poezyi; można jednak zauważyć tu pewną charakterystyczną jednostronność całej szkoły; Maeterlincka naprzykład pochłania prawie wyłącznie badanie i malowanie refleksów przyrody na umysłową naturę człowieka.

Upodobanie w dziwacznych i wyjątkowych wrażeniach zmysłów trudno na pozór pogodzić ze zwrotem do religijności, bardzo wyra-

znym np. u Verlaine'a i u Maeterlincka. Co jednak zaczerpnęli oni z religii? nie zasady jakieś filozoficzne lub moralne (filozofia mało obchodzi dekadentów, ani leży na dnie ich estetyki lub obserwacji życiowej); lubują się raczej w objawach niezdrowej rokoszy ekstazy, która niejednego doprowadziła już do manii i szaleństwa. Jak wiadomo, stan psychiczny, zwany przez alienistów „manią religijną“, obchodzi się bez wszelkiego poczucia moralności, jest zatem wręcz przeciwny istocie religii. Ekstatyczne wycieczki dekadentów są tylko poszukiwaniem nowej zmysłowej rokoszy i uwłaczają pojęciu religii, stawiając ją w rzędzie podniecających nerwy sposobów; zażywają jęj dekadenci dla odmiany, zamiast haszyszu lub opium. Niektóre chorobliwe plody średniowiecznej literatury mistycznej znęciły też tych newropatów swą wybujałą symbolistyką; dość tu przypomnieć studium o Ruysbroecku. Do religijności zwracają dekadentów inne jeszcze wstręty i upodobania: wstręt do naturalizmu i pozytywizmu, więc podnoszenie wielu odrzuconych przez te szkoły pierwiastków; upodobanie zaś tak dziwne i paradoksalne, że bez komentarza zrozumiane być nie może.

Jest to ten pociąg, jaki cała szkoła czuje do pierwotności, do naiwności pewnej, charakterystycznej w epoce, poprzedzającej humanizm i renesans. Natury te zawile i chore lubują się w prostocie ducha średniowiecznych mnichów, w naiwności malarzy prerafaelitów, w stylu i języku z przed roku 1550. Mieniając się pierwszą falangą urojonego odrodzenia, chcieliby dekadenci odzyskać sztucznie trochę tej pierwotnej świeżości, która cechowała przed czterema wiekami artystów i pisarzy, poprzedników rzeczywistego Odrodzenia. Znęcił ich nastrój, wiejący z obrazów Fra-Angelica, Sandra Boticelli lub Hansa Memlinga, znęciła nieudana szczerość uczucia i prostota sposobów, któremi te ciche i skupione w sobie dusze przekazują widzowi swój nadziemski prawie urok. Jeżeli jednak „Stimmung“ polega na poetycznym dostrajaniu widza lub słuchacza do lepszego odczucia stanu duszy artysty, jeżeli wyrazistość i urok dzieła sztuki poniekąd od tej „nastrojowości“ zależy, to chodzi tu jednak i o rodzaj nastroju, o estetyczną wartość tego „stanu duszy“, którym poeta chce się z nami podzielić.

I tutaj dekadenci w swęj instynktowej, a nie bardzo wyrozumowanej, pogoni za przedrenesansową pierwotnością, zapominają o swém pochodzeniu, zapominają, że, zrodzeni z nerwowej choroby wieku, nie są zdolni oswobodzić się od fatalnego dziedzictwa. Baudelaire pannał jeszcze nad swą chorobą, znał ją i zwalczał, w karby myśli i sztuki ją ujmował. Potomstwo jego już tyle siły nie posiada. Pró-
znując myślą i poddając się bez krytyki swym chorobliwym zmysło-

wym upodobaniom, zakaziło ono swą twórczość. Z newrozy poetów urodziła się poezya newrozy.

Świeże badania medyków nad nędzą nerwową naszego stulecia stwierdziły i odróżniły liczne odmiany chorób, między którymi odnajdziemy wiele cech naszych dekadentów. Naprzykład mania zabarwiania dźwięków, tak zwana *audition colorée*. Jeżeli nauka zauważyła w niektórych indywiduach szczególną tę własność, że dźwięki wywołują u nich jednocześnie wrażenia kolorów, jeżeli można sądzić z pewną podstawą, że zmysły wzroku i słuchu dopełniają się i potęgają wzajemnie—to tenże fenomen znany jest i psychiatrom, jako rodzaj choroby. Mielśmy przykład na sonecie Artura Rimbaud i dziełku Ghila, jak daleko zaprowadzić może stosowanie tej wyjątkowej własności zmysłów do poezyi, zwłaszcza, kiedy od dźwięków do kolorów, a od tychże do najróżnorodniejszych pojęć konkretnych lub oderwanych pójdzie autor szukać analogii. Jak każde zboczenie nerwowe, tak i to od wieków zapewne istnieje w zarodku, ale nie zawsze przekonywają nas poszukiwania, czynione po mniej lub więcej starożytnych autorach w celu podkreślenia w ich dziełach zabarwionych dźwięków lub pojęć. Sławne, a lubiane przez dekadentów, wyrażenie Wergilego „*per amica silentia lunae*“¹⁾ tłumaczy się jasno każdemu, nieobdarzonemu specjalnym zmysłem „barwnego słuchania“, każdemu, który nie ma splątanych w mózgu nerwów słuchu z nerwami wzroku, jak to o p. Rimbaud i jemu podobnych wnioskuje doktor Monin²⁾. Nie potrzeba także dowodzić, że często spotykane w literaturze „blekitne modlitwy“, „szare tony“, „barwne wyrazy“ są przenośniami myślowymi, a nie fizycznymi wrażeniami. Ta jednak teoria fizyko-estetyczna zajmuje bardzo poważne miejsce między wynalazkami nowej szkoły i służy poczęści za uzasadnienie jej symbolistyki. Upatryć-by w tém można jakiś pseudo-naukowy modernizm, echę postawienia estetyki na podstawie doświadczalnej nauki nowożytnej. Przypomnijmy tu „Telepsychią“, odkrytą przez Maeterlincka.

W dyagnozie opiofagów, morfinofagów, haszyszowców, maniaków religijnych, melancholików, monomanów, prześladowanych przez pewne słowa i powtórzenia, odnaleźlibyśmy podobnie różne przywidzenia i zachcianki dekadentów — tak dalece, że czasem zadawaliśmy sobie pytanie, czy nie lepiej studyum to literackie sprowadzić wyraźnie na pole psychiatrii i z Parnasu zejść do szpitala? Ale nie, dekadentyzm graniczy tylko z psychozą i talent takiego np. Maeterlincka wznosi się czasem do artystycznej twórczości, choć zwykle sennie tylko i na-

¹⁾ „przez kochaną księżycową ciszę“.

²⁾ Dr E. Monin. „Les misères nerveuses“, Paris, P. Ollendorff, 1890.

wpół-świadomie ulega nerwowej gorączce, aż do cofnięcia się autora przed własnymi myślami, „z obawy, aby nie rozkładać białych rumaków szaleństwa“. Przebłyśki talentu pojedynczych autorów nie uszlachetniają jednak całego ich kierunku literackiego, bo czémże ostatecznie zasłużył się, co wniósł nowego do literatury europejskiej dekadentyzm symboliczny?

Sensualizm, zmysłowe uzasadnienie wrażeń intelektualnych, estetyka, budowana z okrucichów teorii Baudelaire'a, apoteoza newrozynie nowe to, ani ponętne kierunki zasadnicze. Natomiast liczne pomysły do nowej formy poezji, których tu powtarzać już nie będziemy. Bojąc się wogóle prostoty, uwłaczającej niby sztuce, mają zawsze dekadenci na zawołanie kunsztowną jakąś oryginalność stylową. Są oni w ciągłej pogoni za „Słowem“, o którym piszą traktaty, cześć mają dla wyrazów, „które istnieją i to wystarcza“, i za reformę poetyckiego języka spodziewają się zapewne laurów u potomności.

Piękna to zaiste i owocna praca—przynieść ojczystej mowie rozwój i wydoskonalenie, ale po owocach dopiero poznaje się mistrzów słowa, którzy mają prawo tak mówić o sobie:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potém z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potém w promieniach ją ukazać złotą,
Potém nadętą dawnych przodków pychą,
Potém ją utkać Arachny robotą,
Potém ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on by to zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumił,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,

Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potém-by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze...

.

Zdaje się, że mając u siebie takie wzory języka i obrazowania poetyckiego, możemy spokojnie patrzeć na reformatorskie zachcianki francuskich dekadentów. Zdaje się także, że źródło to mętne w wielki prąd nie urośnie i mącić nie przyjdzie czystszych wód naszych, a może i tam, gdzie powstało, wsiąknie w jałowy piasek i grunt miazmatyczny, z którego się sący.

JÓZEF WEYSSENIHOFF.

MAŻ I PAN.*)

OPOWIADANIE.

Nazajutrz pani Felicja nie pokazała się już Traczewskiemu w szlafroczku; zaraz zrana włożyła suknię.

Kazała też przenieść Władzia z łóżeczkiem z sypialni swojej do przyległego pokoju.

Żeby uprzedzić wszelkie domysły, sama, nie pytana o to, zaczęła tłumaczyć Traczewskiemu, dlaczego przeniosła malca.

Mówiła tedy, że w tym pokoju więcej powietrza i światła, bo mebli w nim znacznie mniej, niż w sypialni, i drzewa ogrodowe nie zasłaniają okien.

Rzeczywiście mebli było tam mniej, ale też i pokój był mniejszy; drzewa zakrywały okna sypialni, ale tylko w lecie.

Jednym słowem, tłumaczenie było bardzo niezręczne i mogło właśnie dać pole do różnych domysłów.

Traczewski słuchał, kiwał głową, potakując niby, ale chował przytém oczy.

Przed obiadem pani Felicja była bardzo zajęta.

Wszystko tam opierało się o nią.

Przyszedł ekonom, potem zjawił się jakiś żydek, kupiec na groch; trzeba było pogadać z jednym i z drugim, trzeba było zajrzeć tu i ówdzie.

*) Dokończenie. Zob. Zeszyt za miesiąc marzec r. b.

Parę godzin przeszło jak nic.

Musiała wreszcie napisać list do męża i odesłać mu konie.

Pan Roman lubił udawać czulego i troskliwego ojca. Gniewałby się bardzo, gdyby furman nie przywiózł wiadomości o Władziu. Narzekałby potem ciągle i wyrzucałby żonie co chwila, że lekceważy sobie jego spokój.

Pani Felicja posyłała mu zwykle szczegółowe raporty przy każdej sposobności; teraz także opisała dokładnie wszystko, co zaszło w domu od czasu, jak pan Roman wyjechał, a na uspokojenie dodała, że Władzio jest tak jak zdrow i jutro wstanie już z łózka.

Uprawszy się z tém wszystkiém, pozbywszy się kupca na groch, ekonoma i korespondencyi, która była dla niej prawdziwą pańszczyzną, powróciła do Władzia.

Nie zastała Traczewskiego.

Był tu przed chwilą, czytał coś Władziowi, ale położył książkę i wyszedł spiesznie, skoro tylko usłyszał kręki pani Felicji.

Unikał jęj wyraźnie.

„Pan Czesław zły, mamusiu“ — powiedział jęj Władzio, czując instynktem, że pan Czesław nie ten, co zawsze.

Przy obiedzie zamienili kilka słów zaledwie.

Pan Czesław nie był zły, nie miał przecież za co, ani na kogo się gniewać, ale był smutny, zamysłony, roztargniony. Chwilami twarz jego przybierała wyraz jakiegoś skupienia i wysilenia myśli. W spojrzeniu nie było zwykłej śmiałości i pogody.

Sciemniało się już, kiedy wstali od stołu.

Władzio zaczął czegoś marudzić, a wkrótce potem zasnął. Pani Felicja usiadła tam koło niego, z szydełkową robotą, taką, co to daje się robić nawet po ciemku, Traczewski został sam w jadalni.

Stał w oknie, patrzył przed siebie i myślał. Myśli rwały mu się wciąż i błąkały. Patrzył na smutny wiejski krajobraz zimowy, a tęsknota zabójcza ogarniała go. Dwór, zaryty w śnieg, po okna prawie, cichy, pusty, jakby odcięty od świata, robił wrażenie grobu. Zdawało mu się, że przyszedł tu pogrzcbać własne serce.

Mrok padł szybko, nagle, jak to bywa często w zimie, zwłaszcza, kiedy zanoszą się na odwilż. Zatarły się wszystkie kontury, wszystko dokoła zlało się w jedną ciemno-szarą wstęgę, opasującą dwór raz wraz zwięzającym się pierścieniem.

Wrony obsiadły drzewa w ogrodzie, podhywały się, krążyły i opadały znowu, upatrując sobie miejsca na nocleg, a krakały głośno, jakby się naradzały.

Wszystko to było smutne i rzucało smutek w duszę.

— Jak ja tego nie lubię! — odezwała się pani Felicja półgłosem.

— Czego?—zapytał Traczewski, jakby obudzony ze snu, odwracając się od okna.

Pani Felicja drgnęła. Zapomniała, że Traczewski jest tam. Nie myślała zaczynać rozmowy, mówiła do siebie, jak się to mówi nieraz.

— Ptactwa tego nie lubię... nie lubię tego krakania!— odpowiedziała.

Miała nerwy zmęczone i czulsze niż zwykle, więc nie dziw, że to ją razilo.

Traczewski postąpił ku drzwiom.

— Czy Władzio śpi?— zapytał.

— Śpi— odpowiedziała pani Felicja. Spojrzała na malca, zobaczyła, że zsunął z siebie koldrę i okryła go.

— Dziwi mnie to nawet, że śpi tak mocno i tak długo—dorzuciła po chwili.

Traczewski nie opatrzył się nawet, jak dwie godziny przemknęły, tak się zadumał.

— Niema w tém nic dziwnego—odparł, zatrzymując się na progu.— Znudziło go to leżenie; śpi z nudów!

Przystąpił potem bliżej i odezwał się głosem drżącym nieco:

— Chciałbym z panią pomówić!

Słowa te przeraziły poprostu panią Felicję. Serce uderzyło jej mocniej.

— Przejdźmy tam na chwilę—dodał Traczewski, wskazując pokój jadalny lekkim skinieniem głowy.

Poszła, nie ochłonawszy jeszcze z pierwszego wrażenia.

Traczewski prosił, żeby usiadła i sam usiadł obok. Był wzruszony, ale udawał spokój, jak mógł, wpadł nawet zrazu w jakiś ton żartobliwy, niby wesoly.

— Ponieważ, dzięki Bogu, Władzio nam wyzdrowiał, więc lekarz nadworny nie potrzebny już... — zaczął i urwał nagle.

Nie mógł dłużej tak mówić, skończył głosem, w którym były łzy.

— Muszę uciekać ztąd, chociaż żal mi pani i Władzia... Nie mogę zostać tu... nie mogę!

Pani Felicja słyszała wyraźnie każde słowo, ale nie rozumiała rzeczywistego znaczenia tych słów.

— Dlaczego?— szepnęła, nie wiedząc co mówi, machinalnie prawie.

Miała w głowie jakąś dziwną gmatwaninę, której nie mogła rozwikłać tak odrazu.

Trwało to tylko chwilkę, jedno mgnienie oka. Wnet myśl jaśniejsza błysła w tym chaosie.

Pani Felicya zaczęła rozumieć.

Zrozumiała, że to nie był wybryk, kaprys, fantazyja, że luźne zewnętrzne przyczyny nie wywołały tego postanowienia.

Tylko co pytała Traczewskiego, dlaczego musi uciekać, dlaczego nie może zostać, a teraz żalowała, że rzuciła to pytanie.

Traczewski zwlekał z odpowiedzią.

— Nie mogę zostać tu — odpowiedział nareszcie — bo zagryzłbym się na śmierć, albo... udusiłbym go... To, jak amen w pacierzu!

Była to mowa dosadna.

Pani Felicya spojrzała na niego ze zdumieniem i ze strachem.

— Postanowiłem sobie rozmówić się z panią dzisiaj otwarcie — ciągnął dalej... — Gdybym teraz milczał i krył się z tém, co myślę i czuję, nie darowałbym sobie tego nigdy... całe życie mógłbym żalować. Mam to przekonanie, że pani nie obrażę... Mogę tylko siebie ośmieszyć, ale mniejsza o to! Nietylko serce... sumienie także każe mi mówić...

Zniżył głos znowu prawie do szeptu.

— Zdawało mi się, że mam dla pani tylko wielką życzliwość i przyjaźń... wczoraj spostrzegłem, że panią... Kocham...

Ciemno było już, więc Traczewski nie widział, jak biała, delikatna twarzyczka pani Felicyi pokraśniała nagle.

„Wczoraj, wczoraj!“ — powtórzyła pani Felicya za nim w duchu

Wieczór wczorajszy stanął jęj przed oczami, jak gdyby w jedném mgnieniu oka cały ten wieczór na nowo przeżyła. Wczoraj ona téż opatrzyła się, że go pokochała...

Czuła i rozumiała, że Traczewski ma słusność, że trzeba się rozstać, że tu niema innej rady, a żal ścisłał jęj serce niemiłosierdzie. Rozpacz jakaś straszna brała ją na myśl, że znowu zostanie tu sama.

— Po co mi pan to mówisz? — szepnęła i zakryła sobie twarz rękami, zżymając się jak w dreszczach.

— Gdybyś pani była szczęśliwą, a przynajmniej nie tak bardzo pokrzywdzoną — mówił Traczewski spokojnie na pozór — i gdybym ja, tak, jak teraz, pokochał panią, nie wydałbym się z tą moją nieszczęsną miłością, starałbym się zapomnieć... zapomniałbym zapewne, prędzej czy później, bo na świecie niema nic wiecznego, a czas zacierá wszystko... Teraz, gdzie się obróć, wszędzie ściagać mnie będzie wspomnienie tego dziwnego, potwornego męczeństwa, na które pani jesteś skazaną, Bóg wie za co... Wiem, że pani nigdy, przenigdy nie zdołasz wydobyć się z téj okropnej niewoli...

— Panie Czesławie, nie męcz mię pan, mięj litość! — westchnęła.

Traczewski zachwiał się nieco w swoim postanowieniu, czuł, że ją rani boleśnie każdym słowem niemal.

Spojrzał na nią i lzy zakręciły mu się w oczach.

Siedziała odrzucona w tył, wsparta głową o ścianę, nie odrywając rąk od oczu, złamana, przygnębiona.

Traczewski słyszał jój oddech przyśpieszony, a ciężki zarazem. Wahał się, nie śmiał mówić, a chciał wypowiedzieć wszystko.

— Wiem, że panią to boli—zaczął znowu miękko, tkliwie—ale niech mi pani wybaczy!... Życie dałbym z rozkoszą, gdybym mógł życiem mojem szczęście i spokój pani okupić... Panią trzeba gwałtem wyrwać! Trzeba potargać te pęta, w których pani marniejesz! Pani bo masz dziwne pojęcie o swoich obowiązkach... Niema, rozumie pani, niema takiego prawa na świecie, któreby skazać mogło niewinną istotę na wieczne, nieustające tortury... Ludzie rozwodzą się! Wiem, że to trudno, że do tego potrzeba sposobów, których pani nie zechcesz się chwycić, ale jest przecież separacya...

Traczewski zapalał się coraz więcej, głos jego brzmiał silniej.

Pani Felicya rzuciła się nagle, oderwała ręce od oczu i splotła je jakimś desperackim ruchem.

Ostatnie słowa Traczewskiego obudziły ją z odrętwienia, w które zapadła.

— Dziecko-by mi zabrał — podchwyciła żywo. — Dziecka-by mi nie oddał! Mówił mi to! Niby żartem, mówił mi to już nieraz... „Możesz sobie iść z Bogiem, ja ciebie nie potrzebuję, ale Władzia ci nie dam, bo syn do ojca należy“... Mówił mi to!

Łzy wielkie, jak ziarnka grochu, posypały się jój z oczu.

— Syn należy do ojca!—powtórzyła zdławionym jakimś głosem. Traczewskiemu krew biła w skroniach, jak młotami.

„Podły, nikczemny zwierz“—powiedział sobie w duchu, bezwiednie zaciskając zęby i pięści.

— To do niego podobne—odezwał się.—Nie oddałby dziecka, to więcej, niż pewne... ale sprzedałby!..

Pani Felicya wpatrywała się w niego szeroko rozwartemi oczami.

— Sprzedałby—mówił Traczewski z najwyższą pogardą dla tego człowieka, którego nienawidził całym sercem. — Co on wart bez majątku? Czyż on umie zapracować na kawałek suchego chleba? Wszak tu wszystko pani! Rzucić mu w oczy połowę tego majątku, a chociażby i cały, i kupić sobie wolność, spokój, może nawet szczęście... to więcej warte! On sprzeda!.. Wszystko sprzeda! Sprzeda panią, dziecko, sumienie... duszę!

— Ah! Przestań pan na Boga! — jęknęła pani Felicya z płaczem.

W tej chwili Władzio rzucił się na łóżku, odwrócił się, zobaczył, że niema nikogo w pokoju, i głośno zawołał: mamó!

Zerwała się i pobiegła na ten głos.

Malec pociągał się, przecierał oczy i oglądał się dokola.

— Czego chcesz, kochanku? — pytała pani Felicya, pochyliwszy się nad nim.

— Kole mnie tu. Nie mogę oddychać — skarżył się Władzio.

W jednej chwili zapomniała o wszystkim, widziała tylko skrzywioną twarzyczkę dziecka, słyszała tylko jego skargę.

— Panie Czesławie! — zawołała i zaraz zwróciła się znowu do Władzia i dopytywała się, gdzie go kole, czy bardzo kole, kiedy kłuc zaczęło.

— Tu, tu i tu — odpowiedział malec, pokazując rączką swoje wąskie, słabo rozwinięte piersi i chude łopatki, a potem sam zadawał jej pytania jedno po drugim:

— Czemu świecy niema? Gdzie pan Czesław? Gdzie mamusia była?...

Pan Czesław stał już przy jego łódeczku, ale stał w głowach, więc Władzio nie mógł widzieć go. Przechylił się przez poręcz łóżka i pocałował malca całkiem niespodziewanie.

Malec zaśmiał się najpierw, a później skrzywił się i drgnął.

— Kole!...

Traczewski obszedł łódeczko dokoła i przysiadł na krawędzi.

— Pan Czesław nie gniewa się już? — pytał Władzio.

— Nie! Skąd-że ci przyszło do głowy, że pan Czesław się gniewa? Nie gniewa się i nie gniewał się — odpowiedziała pani Felicya.

Traczewski podniósł go tymczasem i zaczął osłuchiwać.

Słyszał znowu w piersi małego ten szmer podejrzany, który go tak przestraszył wówczas, w nocy. Teraz szmer ten wydał mu się jeszcze wyraźniejszym i groźniejszym. Pukał i słuchał i pukał znowu.

— Zawsze lepiej posłać po doktora — rzekł, podnosząc się. Na twarzy jego malował się wielki niepokój; szczęściem pani Felicya nie mogła tego dojrzieć w pomroce.

— Zdaje się, że niema nic strasznego, ale kto wie — mówił Traczewski — może to się zbierało, zbierało i zebrało nareszcie... Już sam przebieg taki powolny, łagodny, dowodzi, że nie może być nic niebezpiecznego.

To rozumowanie miało wszelkie pozory słuszności i mogło uspokoić potrosze panią Felicyę.

Traczewski poszedł na folwark wybrać jakie lepsze konie i sprytniejszego parobka. Pani Felicya kazała podać światło i przygotowy-

wała tymczasem te lekarstwa domowe, które już poprzednio niby trochę pomogły Władziowi.

Zaraz się pokazało, co to małe chłopię znaczyło w domu. Nie potrzeba było tam nikogo napędzać, każdy sam się pilnował, każdy rad był dopomóc w czémś, dogodzić małemu i ulżyć pani Felicji.

Furman, który wykręcał się tak od jazdy, stanowił wyjątek, może dlatego, że to był sługa pana Romana i faworyt, zresztą cała służba kochała panią i przepadała za paniczem. Ekonom sam zaprzęgał konie; parobek, któremu kazano jechać po doktora, nie skończył wieczery, rzucił łyżkę i za chwilę był już gotów do drogi; dziewczęta garderobiane uwijały się jak nigdy, kucharz przyszedł zapytać panią Felicję, czy nie każe czasem ugotować rosolu z kury, żeby panicz miał na każde zawołanie czém się posilić; gospodyni, której się zdawało, że każda choroba przychodzi z uroku, czekała długo w kredensie na panią Felicję, żeby doradzić środek, wypróbowany z praktyki znachorskiej, mianowicie spędzenie uroku za pomocą węgla rozżarzonych, spuszczonego na wodę; Marcin postawił samowar na wszelki wypadek, dmuchał, dorzucał węgla i laził po całym domu, podsłuchiwał pode drzwiami, zaglądał do pokoju, w którym Władzio leżał, wdychał i zażywał tabakę zawzięcie raz po raz, co było u niego niezawodną oznaką wielkiego zaniepokojenia.

Traczewski, wracając z folwarku, spotkał Marcina na dziedzińcu pod oknami. Stary wojował z Trusiem.

„Wody, wody na psa!“ — porykiwał i uganiał się za nim z patykiem.

— Co to pan Marcin upatrzył sobie do Trusia? — zapytał Traczewski.

Marcin zaniechał gonitwy, rzucił patyk i westchnął głośno.

— Co biedne psisko zawiniło panu Marcinowi?

— Eh, niechaj go cholera! — zaklął stary i splunął.

— Otóż masz! — zaśmiał się Traczewski.

Truś nie bał się widać ani Marcina, ani wody, ani tego patyka, bo podszedł, stanął pomiędzy nimi i poglądał to na jednego, to na drugiego, jak gdyby wiedział, że to o nim mowa.

— Źle, kochany panie dobrodzieju! — rzekł Marcin.

— Abo co?

— A to; że to ścierwo włóczy się pod oknami... Pysk ci w niebo wyceluje i skamli.

— Może wilki czuje! — rzekł Traczewski i przywołał Trusia do siebie.

— Biedny pies, biedny! — mówił, głaszcząc go po łbie i po grzbiecie. — Pędzą psa, biją psa...

A Truś łeb nastawiał i przysuwał się do Traczewskiego, widocznie wdzięczny za opiekę.

— Jakie on tam wilki czuje—mówił tymczasem Marcin.—Gdzie to teraz wilki! W odwilż wilk nie ma już tej śmiałości, do wsi nie podejdzie. To jest źle, proszę pana... Czemu on jucha wczora nie czuł wilków, abo onegdaj?... Źle jest!...

— Bóg wie, co się Marcinowi roi—odparł Traczewski, domyśliwszy się wreszcie, skąd się to bierze ta zawziętość starego na Trusia.—Głupi przesąd! To nawet nie wypada, żeby pan Marcin, taki człowiek rozumny i wiekowy, mówił o takich bzdurstwach.

Jednak dreszcz zimny przeszedł mu po całym ciele, od stóp do głów.

— Wziąć psa do sieni i zamknąć, żeby nie włóczył się pod oknami. Anuż panią przestraszy! — dorzucił wnet.

— A bo on się da? Toć ganiem tu za bestyą i ganiem, i ani weź go przepędzić stąd... To czort nie pies!

— Wezmę ja go do swego pokoju; tam psisko położy się i będzie sobie spał do rana.

— O to, to! — ucieszył się Marcin.

Traczewski poszedł naprzód i wołał psa, ale wołał napróżno.

Truś nie ruszył się z miejsca; słyszał przecież, jak Traczewski naradzał się z Marcinem, więc przewąchał zdradę i stracił wszelkie zaufanie. Przysiadł, patrzył na nich obojętnie, ziewał, oblizywał się i ani myślał ustąpić ze stanowiska, na którym tyle lat wytrwał.

Marcin nie poradził groźbą, a Traczewski nic nie wskórał prośbą, tylko zawrócili psu głowę tak, że w czas obcych ludzi nie poczuł. Opatrzył się, zaczął szczekać i pobiegł do bramy wówczas dopiero, kiedy już jakieś sanki wsunęły się na dziedziniec.

Traczewski i Marcin myśleli zrazu, że to pan Roman wraca, bo z daleka i po ciemku trudno było coś rozpoznać; Traczewski wspominał już nawet dyabła. Niebawem przekonali się, że to był ktoś obcy. Byli bardzo ciekawi, kogo też Bóg sprowadza tak niespodziewanie i tak nie w porę. Każdy gość był tu w tej chwili co najmniej niepożądanym.

Konie były małe, saneczki takie, że dwie osoby ledwie nieledwie mogły się w nich zmieścić. Sunęło się to powoli, noga za nogą.

— Co za licho? — mruknął Traczewski.

Sanki dowlokły się nareszcie i stanęły przed gankiem.

Na przodzie siedział chłop w kozuchu i w siermiędze, zgięty we czworo, z tyłu jakaś jejmość.

Jejmość, owinięta chustkami jak mumia, siedziała wysoko i niewygodnie na kufrze, czy też na tłomoku, który całe sanie zajmował.

— Bida jakaś — zdecydował Marcin, przypatrzawszy się temu. Sanie stały już chwilę przed gankiem, a ta pani nie ruszała się z rusztowania, na którym siedziała, i nie odzywała się, tylko obróciła się twarzą do Traczewskiego i Marcina i wyraźnie czekała, aż który z nich przyjdzie do niej. Była w tym charakterystyczna nieśmiałość gościa, który, jadąc do kogoś, wie naprzód, że ten ktoś nie będzie mu rad.

Marcin podszedł i stanął tuż obok, ale nie odzywał się.

Jejmość wydobyła głowę z chustek, przechyliła się nieco, wsparłszy się na rękę, i przyglądała się Marciniowi.

— A, proszę! — zaczęła piskliwym głosem. — Czy państwo są w domu?

— Pana niema — odpowiedział Marcin sucho, jak lokaje umieją mówić do ludzi, których sobie lekceważą.

-- Niema! A kiedyż pan wróci?

— Kto to może wiedzieć! Nasz pan jak pojedzie, to sam nie wie, kiedy wróci.

— Aa!

Mogło to oznaczać zdziwienie, mogło też oznaczać pewne zadowolenie.

— A pani jest?

— Pani jest, ale niby...

— Może śpi? — zapytała, przerywając. Nie obliczyła się widać z czasem, bo nawet na wsi w tej porze jeszcze spać nie chodzą.

— Gdzie zaś śpi — podchwycił Marcin. — Pani dzisiaj pewno całuską noc oka nie zmrúży. Pani zmartwiona taka, że strach! Panicz u nas słabuje; trzeci dzień jak chory. Wczora było niby lepiej, a teraz znowu gorzej się zrobiło; tylko co posłaliśmy po doktora.

Stary myślał, że w ten sposób pozbędzie się nieproszonego gościa i dlatego wysypał te wszystkie wiadomości odrazu, jak z rękawa.

— Cóż to małemu? — zapytała.

Marcin ramionami wzruszył.

— No, no — ozwała się po krótkiej przerwie. — Źle trafiłam, nie szczęśliwie trafiłam! Ale może Bóg da, że to przejdzie!

Zsunęła się ostrożnie i pomaleńku wysiadła z sani. Marcin nie pomagał jęj.

„Niech sobie wyłazi, co mnie do tego“ — myślał, patrząc na nią obojętnym okiem.

— Tędy się wchodzi? Czy tu otwarto? — pytała, pokazując drzwi ręką, zatopioną w olbrzymiej mufce, jakie wówczas noszono.

— Tędy, tędy! — mruknął Marcin, otwierając drzwi z widoczną niechęcią.

Nie wiedziała, kto jest Marcin, nie wiedziała, jak mówić do niego i wahała się chwilkę.

— Proszę z łaski swojej powiedzieć pani, że przyjechała panna Lucyna, siostra pana...

— Nu, niech pani idzie dalej, tam dalej *świci* się — rzekł na to Marcin i poszedł naprzód.

„Taka ci *śiupryza*“ — myślał sobie — „mało było jednego, drugie dyabli przynieśli! Już jak tylko siostra panowa, to musi być nic dobrego“.

Stary nie lubił pana Romana i każdej rzeczy, która jego była, i każdego, kto mu bliższym był; nie lubił butów pana Romana, złościł się i klął na czem świat stoi, czyszcząc je, nie lubił futra, burki, surdutów paryskich i wszystkiego, jednem słowem, co do niego należało; nie dziwnego, że patrzył na siostrę jego, jak pies na kota.

Tam dalej w małym przechodnim pokoiku było już światło. Panna Lucyna została tam i zaczęła rozbierać się, a Marcin poszedł zaawiadomić o jej przybyciu panią Felicję.

Pani Felicja widziała siostrę męża raz w życiu na swoim weselu; zapomniała nawet, jak ona wygląda, nie poznałaby jej, gdyby nie była uprzedzoną.

Zalała ręce, kiedy Marcin oznajmił jej, że panna Lucyna przyjechała.

Do wszystkiego brakowało jeszcze takiego gościa.

— Co ja z nią zrobię? — pytała Marcina, nie mogąc na razie ukryć swego zakłopotania.

Marcin ramionami wzruszył i mrucał sobie coś pod nosem.

Panna Lucyna pochwyciła bratową w ramiona, ścisła ją i całowała długo i czule.

— Nic się bratowa nie zmieniła, nic a nic nie zestarzała, zawsze taka milusia, taki cukierek, jak wówczas, kiedy bratowa była jeszcze panienczką — mówiła, chociaż przy skąpém oświetleniu nie mogła widzieć, czy pani Felicja zmieniła się.

Pani Felicja nie przywykła do komplementów; te słodycze razily ją.

— Podobno małe chory? I cóż mu jest? Pewno się zaziębił, bo teraz wszędzie dzieci chorują z przeziębienia... Aura taka, zima w tym roku niegodziwa... Ja tak zięblam, takie mam dreszcze... Taka droga z moim zdrowiem, to wielkie ryzyko, szczególnie, że ja ciągle choruję na serce... Najmniejsza fatyga, najmniejsza irytacja, zaraz humory uderzają do głowy i dostają takiego silnego bicia serca, że pojęcie przechodzi! zdaje mi się, że umieram...

— Niech-że siostra pozwoli dalej, zaraz będzie herbata, siostra się rozgrzeje — wtrąciła pani Felicja.

Panna Lucyna zdjęła z siebie ostatnie dwie chusteczki i przeszła do jadalni.

— A gdzież malutki?—pytała, idąc. — Niech-że mi bratowa pokaże go! Do kogo też podobny? do Romcia, czy do bratowej?

Mówiła, widać, byle mówić, bo nie czekała na odpowiedź i nie dała nawet odpowiedzieć sobie. Zaraz zwróciła się do Marcina:

— Proszę z łaski swojej kazać zdjąć mój kuferek, tylko ostrożnie, tak, żeby nie przewracać, bo tam na wierzchu są różne drobiazgi, które mogą się potłuc. Pojęcie przechodzi, jaką ja miałam drogę! drugi dzień jadę. Wczoraj dostałam takiej migreny, że już nie mogłam dalej jechać i konie były zmęczone, więc chłop uparł się nocować! W karczmie, w okropnej żydowskiej karczmie, musiałam nocować... Z okien wiało tak, że co miałam, to pozawieszałam i pozatykałam szpary... To mi najwięcej zaszkodziło, bo dla mnie najmniejsze zaziębienie jest zabójcze...

Był to pytel niustający, niezmordowany pytel, którego prawie niepodobna było zatrzymać na chwilę.

— Słabowita ta pani, siostra naszego pana, mówi, że ją wszystko boli, a tylko jeden język co ma najzdrowszy—mówił potem Marcin Traczewskiemu — ale mnie się widzi, że ona tym językiem życie obrzydzi naszej pani do reszty. Już kiedy ją tu lichy przyniosło po nocy takimi saneczkami, to nie bez kozery... jeszcze i z kufrem takim, jak stodoła!...

Traczewski nie pokazywał się, dopóki go nie zawołali na wieczerzę.

Panna Lucyna pytała już bratową o niego, bo widziała go na dziedzińcu.

— Dla pana to musi być wielka przyjemność uczyć takie dziecko — zaczęła, jak tylko pani Felicja przedstawiła jej Traczewskiego.—To taki aniołek, takie musi być dobre dziecko! A taki śliczny! Podobny do Romcia, jak dwie krople wody.

— Zapewne dlatego taki śliczny—wtrącił Traczewski złośliwie.

Panna Lucyna nie poznała się na tém i wnet podchwyciła:

— Rzeczywiście Romcio był śliczny! Nie wiem, jak teraz wygląda, bo dawno już nie widziałam go...

— Zawsze ładny i bardzo miły — przerwał jej Traczewski tym samym tonem.

— Już to panowie macie ten przywilej—westchnęła panna Lucyna— że lat na was nie znać! Ja jestem o całe dziesięć lat młodszą od Romcia, a ręczę, że on lepiej ode mnie wygląda.

Sądząc z wyglądu, trudno było zgadnąć, kto z nich dwojga był starszy, ale od pierwszego wejrzenia można było poznać, że to rozeństwo.

Podobieństwo było uderzające. Panna Lucyna miała te charakterystyczne ostre rysy, miała to zimne, przeszywające spojrzenie. Różnili się za to nieco usposobieniem: pan Roman był milczący, skupiony, mruk, a panna Lucyna rozmowna, tak rozmowna, że mogła, jak Marcin się wyraził, życie obrzydzić ludziom swoim językiem.

To, co mówiła, nie trzymało się jakoś jedno drugiego, nie miało najczęściej poprostu zdrowego sensu; ale panna Lucyna mówiła ciągle, snuła to wciąż, niby nic z kądzieli, rwała, nawiązywała i ciągnęła bez końca.

Lubiła zajmować ludzi sobą i najwięcej mówiła o sobie, lubiła też wtrącać się do wszystkiego.

W parę godzin dała się już poznać z tej strony.

Podczas wieczery pani Felicja musiała kilka razy wstać i dowiedzieć się do Władzia, a panna Lucyna zrywała się także za każdym razem i szła za nią.

Ciągle coś radziła i ciągle miała coś do zarzucenia.

— Trzeba okryć tego aniołka, okryć ciepło, bardzo ciepło, żeby się spocił — radziła, nie widząc, jak ten aniołek jest okryty, byle tylko coś poradzić.

— Muszę też zobaczyć u siebie w kufrze... zdaje mi się, że ja tam mam receptę na proszki! — mówiła, powróciwszy od Władzia.

— Cóż Władziowi pomoże recepta? — zapytał Traczewski.

— Ależ panie, cudowne proszki! W zeszłym roku o mały włos, że nie umarłam... Było to coś podobnego, gorączka i dreszcze, i kolki w piersiach... nasz poczciwy doktor Kopestycki zapisał mi te proszki, i jak ręką ujął.

Chciała przewracać wszystko w kufrze i szukać tej cudownej recepty, a w Traczewskiego wmawiała, że to dla niego, jako dla medyka, powinno być bardzo ciekawe.

— Pan zaraz zobaczy, co tam jest w tych proszkach, i zapamięta pan sobie, bo to, panie, doktor Kopestycki jest sławny na całą gubernię... tacy, co to już na śmierć *zdekradowani*, jadą do niego...

Niežnośna była, jedném słowem, a szczególnie w takich warunkach, jakie tu zastała.

Godziny wlokły się powoli, zatrute niepokojem wzrastającym wciąż; doktor nie przyjeżdżał, a z Władziem było coraz gorzej i gorzej. Objawy zewnętrzne występowały coraz wyraźniej; około północy pogorszenie było bardzo widoczne i wogóle stan był już nie tylko niepokojący, ale groźny.

Panna Lucyna radziła, żeby natychmiast zaofiarować Władzia do Świętej Anny. Przytaczała świeży przykład:

— Sewerka, siostra cioteczna moja, straciła dwoje dzieci na szkarlatynę w jesieni, trzecie zaofiarowała do Świętej Anny i wyszło!

Z tego wysnuła długie opowiadanie, które skończyła wówczas dopiero, kiedy ją sen zmógł. Nie chciała się położyć, ale zdrzemnęła się w krześle, siedząc.

— Zdaje mi się, że od tego przybytku nieraz panią głowa zaboli — odezwał się Traczewski półgłosem.

Pani Felicya wzruszyła ramionami.

— Trzeba przecierpieć kilka dni — odpowiedziała, oglądając się na siostrę i upewniwszy się, że ta drzemie i nie może słyszeć tej rozmowy.

Nie przyszło jej dotąd na myśl, że panna Lucyna nie przyjechała w odwiedziny na kilka dni, ale miała zamiar zamieszkać u brata.

Traczewski domyślił się tego odrazu.

— Tu nie na kilka dni się zanosi — rzekł, a zaraz potem dodał, zapominając się: — Zostawić ich tu i uciekać!

Pani Felicya spojrzała na niego prawie z wyrzutem i odwróciła się.

Nie czas było mówić o tém przy łóżeczku chorego dziecka.

Spojrzenie pani Felicyi było wymowne, nie potrzeba było słów.

Traczewski zrozumiał, umilkł i spuścił oczy. Wstyd mu było, że się zapomniał i obraził majestat miłości macierzyńskiej.

Ale stało się. Przypomniał pani Felicyi rozmowę wieczorną, odświeżył wrażenia, które strach o Władzia zatarł na razie. Myśl taka, przywołana nie w porę, nie daje się potem odegnąć, powraca wciąż, uparta, natrętna. Strach o dziecię spętał jej myśli; jedna wzmianka pobieżna rozkiełznała je.

Pani Felicya przypomniła sobie wszystko, co Traczewski mówił, jak gdyby teraz wszystko to powtórzył słowo w słowo. Słowa te płynęły z serca, trafiły wprost w serce i budziły ją do jakiegoś nowego życia, o jakimś wpierv nie marzyła.

„Czy to możebne, czy to podobne do prawdy? A może Bóg mnie skarże za to?“ — zapytywała się w duchu; oglądała się z trwożą dokoła i zatrzymywała wzrok na dziecku, jak gdyby chciała się przekonać, czy w tej chwili wolno jej myśleć o sobie.

„Bóg dobry, Bóg sprawiedliwy“ — myślała pochwili — „Bóg karać mnie nie będzie za to, że pragnę zaznać, jeżeli nie szczęścia, to przynajmniej spokoju na tym świecie... Bóg nie broni przecież szukać szczęścia i spokoju... Może to taka właśnie wola Boża“.

Przyszły jęj na myśl ostatnie słowa Traczewskiego, śmiałe, brutalne: „On sprzeda, wszystko sprzeda“—wzdrygnęła się zrazu, a potem zaczęła rozważać te słowa. Czula w nich prawdę.

„Żebyż tylko Władzio wyzdrowiał, wyzdrowiał!“ — modliła się w duchu.

Traczewski siedział zamysłony z pochyloną głową i nie patrzył na nią, panna Lucyna drzemała w najlepsze, sapiąc głośno i pochrapując, Władzio był spokojniejszy nieco; nic nie przerywało pani Felicji tych rojeń, rojeń więźnia, któremu świta nadzieja wyrwania się z pod rygła.

Przerwało je dopiero nad ranem pukanie do drzwi, ruch i rozmowa w sieni. Marcin otwierał drzwi doktorowi i rozmawiał z nim. Poczciwy starowina przesiedział całą noc w sieni, czekał na doktora i trzymał tam Trusia, żeby nie wałęsał się pod oknami i nie wył, jak miał ochotę.

Lekarz, oczekiwany z taką niecierpliwością, przybył nareszcie, a z nim wraz przybyła nadzieja i otucha.

Pani Felicja wybiegła czempredzėj na spotkanie.

— Nie mogłam się doczekać pana—mówiła, witając go.

Doktor znał ją od dziecka prawie i sprzyjał jęj szczerze.

— Cóż tam, cóż tam takiego strasznego?—pytał niby.—Znamy się oddawna, kochana pani, niejedną beczkę soli zjedliśmy już! Ja wiem, że pani potrafi zrobić z muszki kuropatwę, kiedy chodzi o Władzia!

Pocałował ją w rękę i usiadł.

— Niech-no się ogrzeję trochę, to zobaczymy!

Tarł sobie ręce, żeby prędzėj się rozgrzać, bo mu spieszno było, bo sam był niespokojny.

Ten człowiek był jakby stworzony na lekarza. Od pierwszego wejrzenia budził zaufanie, pociągał i jednał sobie ludzi. Miał twarz rozumną i poczciwą, miał humor spokojny, równy, który orzeźwia upadających na duchu.

Wypytał panią Felicję, jak to się zaczęło i co na razie robiła, ogrzał się i poszedł do Władzia.

Na wsi trudno o lekarza, ale za to lekarz, jak przyjedzie, to siedzi tak długo, jak może, lub też, jak potrzeba koniecznie. Tak to bywa zwykle, cóż dopiero, kiedy lekarz jest przyjacielem i widzi, że jest potrzebnym.

Tu nie mogło być nawet mowy o powrocie.

Doktor wziął się do Władzia energicznie, zrobił wszystko, co można było zrobić, potem napisał jeszcze kilka recept i kazał posłać z niemi natychmiast umysłnego. Szepnął na ucho Traczewskiemu,

żeby postaniec konia nie żałował. Widział niebezpieczeństwo, ale nie wydał się z tém. Uśmiechał się, żartował, na chwilę nie stracił spokoju i pewności siebie.

— Przyznam się, że mnie strach wziął, jak zobaczyłam takie długie recepty— odezwała się panna Lucyna, pochwycawszy pierwszą sposobność do rozmowy.

Za długo już milczała; milczenie męczyło ją, chociaż często powtarzała, że nie może dużo mówić, bo dostaje bicia serca.

— Słuchać nie mogę, jak to biedactwo oddycha... jak mu tam gra w piersiach; słabo mi się robi.

— Pani dobrodziejka nerwowa! — wtrącił doktor i spojrzał na nią, przymrużywszy oczy.

— Już to prawda, że ja mam nerwy, jak pajęczyna— odpowiedziała, biorąc to na seryo.—Ja patrzę na bratową i wydziwić się nie mogę, że ona jest zdolna słuchać tego i czekać cierpliwie. Ja bym już ziemię i niebo poruszyła! A serce, to moje największe utra-pienie...

— Jak zwykle u niewiast — zażartował doktor.

Pierwszy raz widział pannę Lucynę, ale prędko poznał się na niej. Żart ten zraził nieco pannę Lucynę, nie zupełnie jednak. Nie przestała jeszcze mówić o sobie, a raczej o swoim sercu.

— Teraz naprzykład—ciągnęła dalej—jak pan konsyliarz przyjechał, to już zrobiło na mnie pewne wrażenie... już nie mogę się uspokoić... Serce to mi tak bije, bije mocno i przestaje. . już tam jest nie tak, jak potrzeba.

— A w głowie? — zagadnął doktor z miną drwiącą.

— W głowie mam tylko szum—odpowiedziała, nie poznając się na tém.

Z ręką na sercu postąpiła kilka kroków.

— Ot, niech pan konsyliarz sam zobaczy, jaki to anormalny ruch...

Doktor roześmiał się.

— Niestety, pani dobrodziejko, medycyna nie ma żadnych środków na choroby serca, a szczególnie na choroby serca panińskiego...

Zwrócił się do pani Felicji:

— Każ mi pani dać szklanekę herbaty i dajcie mi przespać się jaką godzinkę! Tłukłem się całą noc i jestem zmęczony, co się zowie. Tem obraził na siebie pannę Lucynę.

— Nie mam jakoś przekonania do tego doktora—mówiła potem.—Traktuje chorobę lekko, zbywa żartami, błaznuje... Z Władziem jest źle. Ja na miejscu bratowej przedewszystkiem dałabym wiedzieć bratu!... Jakby Romcio był w domu, to-by się to robiło inaczej.

— Zapewne— wdał się Traczewski— Władzio dostałby w skórę i wyzdrowiałby bez doktora.

Rzuciła mu za to spojrzenie złośliwe.

— Pan nie łaskaw na brata— rzekła z przekąsem.— Bardzo mnie to dziwi! Romcio posłałby może po Kopestyckiego. On dziwnie szczęśliwie leczy dzieci. Gdyby tu był Kopestycki, to ja byłabym spokojna o Władzia.

Wieczorem doktor wziął Traczewskiego na stronę.

— Trzeba dać znać ojcu, bo nie dobrze jest— powiedział krótko i wyraźnie.

Posłaniec konny wyruszył zaraz na noc w świat, na cztery wiatry, szukać pana Romana.

Straszna była ta noc, a po niej przyszedł dzień straszniejszy jeszcze.

Świece dopalały się już, a żółte blaski ich topniały w białawém świtanii, skupiały się coraz więcej i coraz więcej raziły oczy. Cienie rozplywały się i nikły powoli, a światło dzienne, jednostajne, równe, kładło się w koło i wydobywało z pomroki szczegóły nieładu, który zapanował w tych kilku pokojach od wczoraj.

Nieład był uderzający. Tu i owdzie stały faszki z lekarstwami i wały się różnobarwne papierowe kapturki, zdarte z nich ręką niecierpliwą i rzucone w pośpiechu, sprzęty powysuwane z miejsc swoich, zawalone różnemi rzeczami, które ktoś wydobył, widać szukając czegoś innego, i cisnął, szklanki, łyżki z resztkami mikstur, garnuszki, które, Bóg wie jak, dostały się z kuchni do pokojów, na stole do kart wielka miska z piaskiem, w którym tarzały się grube, opite pijawki, bielizna krwią poplamiona i zabawki, któremi Władzio bawił się jeszcze w południe...

Okropne, smutne pobojobwisko.

Nikt tego nie sprzątał, nikt nie dbał o to, nikt tego nie widział nawet, chociaż, co żyło, to się uwijało tu, w tych trzech pokojach. Oczy wszystkich były zwrócone na bladą, ściągniętą, wychudłą z dnia na dzień i zmęczoną twarzyczkę małego i wszystkim zachodziły łzami.

Malec nie spał całą noc, nad ranem dopiero zaczął usypiać, ale budził się co chwila; nie skarżył się, nie odzywał się prawie, dyszał ciężko, z wysiłkiem, a spojrzenie miał takie, że serce się krajało od tego. Był nawpół tylko przytomny, a od czasu do czasu zapadał w zupełną nieświadomość.

— Mamo! — szepnął, ocknąwszy się.

Szepnął tylko tak cichutko, że ledwie ustami poruszył, ale pani Felicja posłyszała, czy odgadła, czy też przeczuła. Przybiegła, cała drżąca, gotowa życie oddać na jego zawołanie.

— Czego chcesz, moja dziecińo? — pytała.

Władzio nie odpowiadał. Leżał nawznak, odkrył się i skubał jedną rączką koldrę. Twarz jego przy białej koszulce wydawała się żółtą, jak воск; wzrok błakał się po pokoju.

— Ciggiem skubie i skubie — mówiła gospodyni, patrząc na to przez drzwi sypialni, i potrząsała głową smutnie, bo wiedziała, że to bardzo zły znak.

Pani Felicja powtórzyła pytanie kilka razy naprózno. Władzio milczał; oczy jego robiły się jakieś dziwne, zachodziły mgłą.

— Władziu, aniołku, duszyczko, kochanie moje, co ci jest? — mówiła pani Felicja.

Wpiła się ustami w jego usta i nagle rzuciła się jak szalona...

Przeraziła ją dziwna oporność tych ust, które zawsze umiały całować tak słodko, a teraz nie lgnęły do jej ust, poczuła jakiś chłód straszny, który zmroził ją całą odrazu, od stóp do głów.

— Ratunku! — krzyknęła. — Ratunku! Weźcie moją duszę!.. Boże, litości, litości... miłosierdzia, mi-ło-sierdzia!

Załamala ręce i ścisła je tak mocno, że posiniały i pobielały. Krzyk zmienił się w ryk jakiś dziki, zwierzęcy.

— Miłosierdzia, Boże! Miłosierdzia!

Zachwiała się na nogach.

Traczewski podbiegł, objął ją ramieniem i podtrzymał.

Czuła widać przy sobie człowieka, który rozumiał ją i z nią razem cierpiał, bo odwróciła się, zarzuciła mu ręce na ramiona i twarzą przypadła do piersi jego.

Patrzył na to doktor i Marcin, patrzyły dziewczęta garderobiane i gospodyni, i nikt nie widział w tém nic zdrożnego.

Tylko panna Lucyna zgorszyła się. Wytrzeszczyła oczy na bratowę.

„Czy to widziane rzeczy, żeby się tak zapomnieć“ — mówiła do siebie półgłosem, nie mając do kogo mówić.

Takie pogwałcenie konwenansów wydało się jej potworném i obrzyło ją.

„Brat bo także dziwak, żeby zostawiać tak żonę młodą i ładną sam na sam z młodym obcym mężczyzną“ — myślała sobie.

Mogła myśleć o tém w takiej chwili.

* * *

A tymczasem posłaniec gonił za panem Romanem od dworu do dworu, po świeżych śladach. Znalazł go dopiero w piątym, i to w takim wesolym dworze, w którym bawiono się ciągle, bez względu

na to, czy karnawał, czy post. Tyle tylko, że nie tańczono w post, ale gości zawsze huk, gra wysoka, gospodarz, szlachcic starzej daty, gościnnie i serdeczny, choć do rany przyłóż, pleć piękna licznie i godnie reprezentowana.

Tam pan Roman zatrzymał się; tam znalazł go wreszcie posłaniec.

Posłaniec przyjechał z gębą tylko, bo Traczewski nie chciał pisać, przyjechał z wieczora i zastał pana Romana przy zielonym stoliku.

— No, przecież na noc nie pojedziesz—mówił mu gospodarz domu.—W nocy to cię jeszcze wilki zjedzą. W dodatku zanosi się na porządną zadymkę. Przenocujesz i pojedziesz sobie z Bogiem jutro, po dniu. Ja wiem, jak to kobiety umieją przesadzać! Malca głowa zabolala; może się zaziębił, może zjadł coś niezdrowego; zaraz gwałt! Twoja pani rozkochana w jedynaku, to ma duszę na ramieniu... Dobrze zrobiła, że dała ci wiedzieć, ale może tam niema nic straszne-go... Ja głowę-bym dał za to, że to bagatela...

Pan Roman rwał się niby, chciał jechać; odradzano mu i perswadowano. Skończyło się na tém, że zgrał pułę, przenocował i wyjechał dopiero nazajutrz po śniadaniu.

Przed zachodem był już w domu.

Wpadł, jak zwykle, z wielkim halasem i krzykiem. Marcin nawiął mu się najpierw.

— Jakże tam Władzio, zdrowszy? — zapytał pan Roman.

Marcin słyszał, ale udawał, że nie słyszy, ściągał z niego szubę i milczał.

— Czegoż milczysz, stary osłe?—zaczął pan Roman po swojemu.

Marcin milczał wciąż; ot poprostu nie chciał mówić o tém, rzucił tylko panu spojrzenie, nienawiści pełne.

Kroczewicz rozebrał się i poszedł dalej.

Dziwném wydało mu się to, że żona nie wyszła do niego; wyuczył ją przecież tak, że zrywała się z łóżka, o północy nawet, i biegła drzwi otwierać, uprzedzając służbę.

Pan Roman kręcił nosem i zaczynał się dąsać. W jadalni spotkał siostrę. Była to dla niego niespodzianka taka, że zapomniał języka w gębie, jak to mówią. Korespondował z nią i w każdym liście powtarzał jęj, żeby nie ważyła się przyjeżdżać. Tymczasem przyjechała, wbrew woli jego, jakby na złość jemu, przyjechała.

Panna Lucyna miała widać zamiar powitać go ciepło, już nawet wyciągnęła do niego ramiona i dobyła najśłodsze go głosu:

— Romeciu!

— Ah! — przerwał pan Roman.—Czemuż zawdzięczam taką przyjemność... taką rozkosz? Zkądżeż to siostrzyczka najdroższa się tu wzięła?

Było w tém tyle sarkazmu, tyle złośliwości! Panna Lucyna nie spodziewała się wprawdzie serdecznego przyjęcia, ale nie spodziewała się téż i takiego.

— Okrutny jesteś, Romciu!—westchnęła—ale ja przebaczam ci!

— Dziękuję!—zaśmiał się pan Roman. — Wiesz, że twoje przebaczenie to mi tak potrzebne, jak dziura w moście!

— Przebaczam ci, bo ręka boska dotknęła cię—skończyła, wznosząc oczy w górę. — Może cię Pan Bóg karze za moje upokorzenia i za twoje okrucieństwo, za to, że nie miałeś nigdy serca dla rodziny i pomiałaś nami wszystkimi.

W pierwszej potyczce z siostrą pan Roman zapomniał o Władziu. Siostra przypomniała mu, a przypomniała w sposób podnoszący grozę.

Już to miał do czynienia z przeciwnikiem kutym na cztery nogi; walka była co najmniej równa.

Pan Roman załapał oczami; nie rozumiał jeszcze dobrze.

— Pan Bóg zabrał ci dziecko! Może to i lepiej? Kto wie, możebyś ty nie potrafił być dobrym ojcem, tak, jak nie umiałeś być dobrym synem, ani bratem! Bóg wie, co robi!

Wsiadła na niego, a czując, że ma nad nim pewną przewagę, sypała grad pocisków, nie ustając ani na chwilę. Wywracała oczy, wdychała, dobierała stosowne intonacje po mistrzowsku.

— Co to ma znaczyć? — zapytał pan Roman, oszołomiony tém.

— Co ma znaczyć! — powtórzyła i oczy utkwiała w sufit, potem zakryła sobie twarz rękami, udając, że płacze, a z pod rąk przeglądała na brata.

— Gdzież Fela? — krzyknął pan Roman, jak gdyby chciał pociągnąć żonę natychmiast do odpowiedzialności za to, co tu zaszło.

Panna Lucyna wzruszyła ramionami.

— Abo ja wiem! Musi być tam... Z tym, tym... jakżeż on się wabi? Z tym guwernerem!...

Zmieniła ton nagle; zrobiła się czułą i słodką.

— Mój Romciu — mówiła, potrząsając głową, jakby z ubolewaniem.—Tak się gniewasz za to, że przyjechałam bez twego pozwolenia, a jednak może-by to lepiej było, żeby tu był ktoś z Felą... jakaś osoba poważniejsza... Fela młoda, przystojna... Ja tam nic nie przepowiadam, ale tak mi się zdaje, że z tego wykluje się jakies zmartwienie, coś niedobrego...

Pan Roman zmarszczył brwi, popatrzył na siostrę przez chwilę i poszedł szukać żony.

Zastał ją w sypialni samą, splakaną, znekąną, zrozpaczoną i nawet teraz nie miał dla niej litości.

— Rychło wczas dałaś mi znać — powiedział jój. — Gdybym ja był w domu, byłby tu inny ratunek...

Dwa dni zabrały przygotowania do pogrzebu i sam pogrzeb, zaraz potem pan Roman pozbył się Traczewskiego z domu.

— Wielkie nieszczęście spadło na nas, srogi cios — powiedział Traczewskiemu ze zwykłą arrogancją, zaprawioną na dobitkę sarkazmem, kładąc przed nim na stole paczkę assygnatek. — Mnie pan nie będziesz uczył, żony mojej témbardziej... Płacę za cały czas podług umowy i sądzę, że pan nie będziesz miał do mnie pretensyi... Jest to *force majeure!*...

Traczewski odliczył sobie tyle tylko, ile mu się należało rzezywićie, resztę odsunął od siebie ze wstrętem.

— Nie wymagam i nie przyjmuję żadnych gratyfikacyi — odpowiedział, a kiedy to mówił, takie płomienie były mu z oczu, że pan Roman spokorniał zaraz.

Przed wyjazdem Traczewski nie śmiał mówić z panią Felicją. Świeży grób był między nimi; rozdzielił ich. Żegnając panią Felicję, Traczewski dusił się od łez, ale musiał zachować pozory. W drodze beczał jak dziecko, a co się nazłościł na siebie, na pana Romana, na świat cały, na prawa ludzkie, przesady, zwyczaje i obyczaje, Bogu tylko wiadomo...

Jeżeli dawniej dom był dla pani Felicji czysćcem, to teraz stał się piekłem, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zdawało się jój, że ze światła zapadła nagle w jakąś ciemność okropną, nieprzejrzaną, w jakąś noc bez końca, że gdzieś za sobą zostawiła wszelką nadzieję. Życie stało się męką nie do wytrzymania. Chodziła po świecie, a myślą i sercem była w grobie, w tym grobie, który odrazu pochłonał wszystkie jój roskosze i wszystkie nadzieje, a nawet wiarę w sprawiedliwość i miłosierdzie boże.

Zobojętniała na wszystko i dla wszystkich; nie miała ani łez, ani uśmiechów, ani gniewu, ani nienawiści, ani miłości, ani przyjaźni, ani nic zgoła; płakała tylko, wspominając stracone szczęście; uśmiechała się tylko do tych swoich wspomnień. Zebrała razem wszystko, co zostało po Władziu: ubranie, zbawki, książki i zeszyty, zapisane koszlawami jeszcze literami, wpatrywała się w to całemi godzinami, widziała Władzia, słyszała jego głos i śmiech dźwięczny, zalewała się łzami, a jednak grzebała wciąż i grzebała w pamięci. Tylko w tym bólu znajdowała jeszcze nieco roskoszy. Czasem przypominała sobie rozmowę z Traczewskim, jak sen. Wówczas jakiś dziwny lęk opanowywał ją. Coraz częściej przypominała to sobie i coraz wyraźniej, potem zaczęła rozważać; wreszcie, dowiedziawszy się trafem, że pan Czesław powrócił do Kijowa, bo nie znalazł na razie in-

něj kondycyi, napisała do niego. Namysłała się długo i napisała list długi. Zakończyła prośbą, błaganiem raczěj, żeby raz na zawsze zapomniał o niej.

Marcin wysłał ten list tak, że nikt o tém nie wiedział.

Od téj chwili pani Felicya zaczęła wspominać pana Czesława bez obawy; wspominała razem dziecko najukochańsze i człowieka, który ją szczerze pokochał.

Tyle tylko chwil jaśniejszych miała w życiu, co z nimi...

Jak pan Roman odczuł ten srogi cios, Bóg raczy wiedzieć, dość, że oplakiwał Władzia bardzo głośno. Zmienił system postępowania o tyle tylko, że nie szwędał się jak dawniej i więcej przesiadywał w domu. Był to skutek bezpośredni insynuacyi, które panna Lucyna rzuciła, od niechcienia niby. Pan Roman przestraszył się tego widma, które siostra pokazała mu chyłkiem. Zmiarkował odrazu w lot, że zeszedłby na dziady, gdyby żona chciała wyemancypować się. Nie stało Władzia, więc nie miał już tego postrachu na żonę i sam zaczął się bać. Pilnował tedy żony, ale rościł sobie do niej nowe pretensye za to właśnie, że go nabawiła tego strachu, za to, że musiał swoje przyzwyczajenia naginać do nowych warunków, i dręczył ją po dawnemu, a może i gorzěj jeszcze. „Zachciało się jěj romansów, widzisz ją“ — mówił sobie w duchu i kipiał ze złości, i szukał sposobów na to, żeby się zabezpieczyć raz na zawsze. Wprawdzie wpięrw już oplątał żonę i kazał jěj podpisać różne dokumenty, z mocy których mógł majątkiem jěj rozporządzać podług swego upodobania; ale to nie wystarczało mu. Był sposób dobry, mianowicie: sprzedać majątek i wziąć do ręki gotówkę, ale, żeby to zrobić, trzeba było wpięrw oczyścić majątek zupełnie z długów, więc trzeba było poczekać jeszcze kilka lat.

.....

Pan Roman wyczekał cierpliwie, potem sprzedał majątek żony i stał się panem położenia. Przeniósł się na mieszkanie do Warszawy, bo potrzebował ciągłej, niestającej kuracyi. Wprawdzie powtarzał wciąż, że mu życie obrzydło, ale bał się śmierci i leczył się bardzo gorliwie, nawet do wód wyjeżdżał kilka razy, jak już nie mógł się wykręcić od tego. Pomimo téj troskliwości o własne zdrowie, zapadał coraz częściej. Żył wygodnie, ale bardzo skromnie, sobie nie wiele pozwalał, a żonie poprostu skąpił, pożyczał pieniądze i dorabiał a dorabiał, ciułał i ciułał.

Bał się tylko śmierci i niewypłacalności swoich dłużników, zresztą nie dbał o nikogo i o nic na świecie; żeby się świat do góry nogami wywrócił, patrzyłby na to obojętnie, byle tylko sam przytém utrzymał się na nogach.

Mijał tak rok po roku, aż wreszcie minął cały dziesięć lat od czasu, jak Władzia nie stało.

Czas chyżo mknął nad dolą i niedolą ludzką, niósł jednym pociechę, a drugim utrapienia, co komu było sądzone; panu Romanowi przyniósł niespodziankę nielada.

Zdarzyło się coś nadzwyczajnego, coś, czego pan Roman pojąć nie mógł, co mu się w głowie nie mieściło.

Pani Felicja wyszła z domu zaraz po obiedzie, a o siódmym wieczorem jeszcze nie wróciła. Służąca podała samowar; panna Lucyna, której, mówiąc w nawiasie, pan Roman nie mógł się pozbyć z domu w żaden sposób, siedziała już na swoim miejscu, chociaż zwykle zjawiała się ostatnia, a pani Felicji nie było. Powinna była wrócić przed siódmą, przygotować wszystko i punkt o siódmym zawołać pana Romana; taki porządek zaprowadził pan Roman w domu od dawien dawna, tak się to robiło zawsze; tylko z tym warunkiem wolno jej było z domu wychodzić, że na czas niechybnie powróci.

— Gdzie u diabła ona się zawieruszyła? Gdzie ona się włoczy?—powtarzał pan Roman, zrazu zaciekawiony tylko, później zniecierpliwiony i prawie niespokojny.

Zrazu mówił zwyczajnym głosem, potem coraz głośniejszym, w końcu krzyczał już, rzucał nożem i widelcem, tłukł pięściami w stół.

— To prawda!—potakiwała panna Lucyna—kto to widział tak siedzieć do późnej nocy!

Wówczas tylko spierała się z bratem, kiedy chodziło o jej własną skórę, kiedy chodziło o kogoś, była potulną i słodką nad wyraz i potakiwała mu.

Ósma biła.

— Nalewaj herbatę!—krzyknął pan Roman.

Panna Lucyna wzięła się do roboty, ale ręce jej się trzęsły ze strachu.

Przeczuwała wielką burzę i bała się, że sama coś przytęm oberwie.

„Co też to Romcio robi, jak Fela wróci“—przemysliwała, widząc wielkie rozdrażnienie pana Romana.

Pani Felicja powróciła w pół godziny potem. Weszła przez kuchnię i poszła wprost do swego pokoju.

Pan Roman nie ruszył się od stołu; czekał, aż sama stawi się na sąd.

— Ciekawy jestem! Ciekawy jestem!—mrucał, szczerząc czarne spróchniałe zęby ze złości, jak wilk.

Nareszcie pani Felicja ukazała się. Była jakoś ożywiona, swobodna, prawie wesola. Prowadziła za rączkę dziecko czteroletnie

może. Był to chłopaczek jak malowany, złotowłosy, biały, z oczyma dużemi, błękitnemi. Szedł, opierając się, i chował się za panią Felicję, był widocznie dziki trochę i nieoswojony z otoczeniem, w którym się znalazł.

— Gdzieżeś to laziła? — zapytał pan Roman.

— Byłam na Kruczej — odpowiedziała z takim spokojem, jak gdyby nic a nic nie zawiniła, jak gdyby jej wolno było rządzić się według upodobania.

Pan Roman oniemiał ze zdziwienia.

— Czegożeś siedziała tam tak długo? Dziewiąta godzina! Ja tu czekam z herbatą, a ona włóczy się, czort wie gdzie! Tego jeszcze brakowało, żebym na ciebie czekał o głodzie...

— Mogłeś jeść, któż ci bronił?

Chłopak wystraszony cofnął się i schował za nią.

— Nie bój się — mówiła do niego z pieśczołą. — Nie bój się, dziadzio nie zrobi ci nic! Idź, pocałuj dziadzia w rączkę.

Przyprowadziła malca bliżej.

— Co to za bachor? — zagadnął pan Roman, broniąc się i odpychając go od siebie.

— Później ci powiem — odparła.

Miarka się przebrała widać. Pan Roman wybuchnął.

— Tylko ty, uważasz, nie wyprawiaj ze mną żadnych komedii! — wrzasnął i uderzył pięścią w stół.

Malec rozplakał się ze strachu.

— Czy to nie może człowieka porwać pasya ostateczna! — wrzeszczał pan Roman. — Polazła lichu wie gdzie i po co, siedziała tam do nocy...

— Spóźniłam się trochę, bo tak się złożyło — tłumaczyła się pani Felicja łagodnie, cichutko, jak zwykle, ale, bądź co bądź, znacznie śmielej.

— Zkąd-że wzięłaś tego bachora? — nalegał pan Roman.

— Biedactwo! Matka chora w szpitalu. Troje zostało takiego drobiazgu, to ludzie rozebrali... ten najstarszy...

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem.

Spojrzał wielkimi oczyma na nią, potem na siostrę i znowu na nią.

— Cóż ty myślisz robić z nim?

— Wezmę za swoje.

— Co! — krzyknął.

Złość dławiała go, słowa więzły mu w gardle, tak, że przez chwilę nie mógł mówić. Potem wybuchnął śmiechem, złym, wstrętnym śmiechem człowieka, co zwykł deptać i poniewierać.

— Wiesz, że to kapitalne — zaczął po chwili, uśmiewając się dowoli — moje własne, rodzone dziecko zabiłaś przez swoje niedbalstwo, przez swoje niedołęztwo... a teraz sprowadzasz mi tu do domu jakiegoś... jakiegoś podrzutka... jakiegoś przybłądę... jakies śmiecie z ulicy! Co ty sobie myślisz?

Skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na żonę natarczywie.

— Nie przypominaj mi Władzia i nie wyrzucaj mi niedbalstwa! — przerwała. — Zbyt często wspominasz to! Powinieneś raczej starać się, żebym ja zapomniała.

— Zapewne! — podchwycił z sarkazmem — ty chciałabyś zapomnieć, ale ja nie dam ci zapomnieć! Nie dam, nie dam, nie dam Zabiłaś mi dziecko! ja tobie tego nie daruję! Gdyby Władzio żył, to ja wiedziałbym dla kogo pracuję, a tak nie wiem; rozumiesz? nie wiem! Zmarnowałaś mi życie przez niedbalstwo...

Udawał rozrzewnienie umyślnie, żeby jęj zrobić przykrość.

— Nie dałaś mi wiedzieć wczas, bo co innego miałaś w głowie... Gdybym ja tam był, to Władzio może-by żył...

Westchnął z głębi piersi i wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem dlaczego to zrobiłaś! — dorzucił z wyraźnym sarkazmem.

— Co to, to racja — wtrąciła panna Lucyna. — Ja odrazu mówiłam, że trzeba dać znać Romciowi! Wszystko się robiło tak, że pożał się Boże, bo bratowa nie posłuchała mnie! Ten doktor nie poznał się i tak leczył, jak dwóch z trzeciego kpi. Taki to doktor, jak z kłaków batog!

Nie mogła darować temu doktorowi i nie mogła wytrzymać, żeby mu łutki nie przypiąć.

— Co ty sobie myślisz? — zaczął pan Roman, nie zważając bynajmniej na to, co siostra mówiła i przerywając jęj w tej chwili właśnie, kiedy zabrała się do doktora. — Myślisz, że ja będę pracował na jakiegoś znajdę... że ja będę to karmił i poił, i ubierał?

Roześmiał się na całe gardło.

— To się grubo mylisz! Nie pozwolę na to i basta! Zabierz mi to jutro z domu i odprowadź tam, skąd go wzięłaś!

Malec płakał tymczasem, a pani Felicja napróżno usiłowała uspokoić go. Co przycichł, to zaczynał znowu, drażniony wciąż rzucając się i krzykiem pana Romana.

— Potrzebne mi te piski! Pamiętaj sobie, żeby mi śladu tego jutro nie było!

— Ależ Romanie, proszę cię... — zaczęła pani Felicja.

— Co tam prosisz, prosisz! — fuknął. — Miałem dziecko własne, swoje i nie mam... nie chcę żadnego znajdy! Mój dom nie jest przytuliskiem, rozumiesz?

Pani Felicya nie odpowiadała na to, ale tymczasem zajęła się dzieckiem. Zawiązała mu serwetę na szyję, nalala herbaty, studziła ją, drobila bułkę. Robiła to z najzimniejszą krwią. Już niejedna taka burza huczała nad jej głową i przemknęła; pani Felicya oswoiła się z tém.

Spokój jej złościł pana Romana najwięcej.

— Wynieś mi go zaraz tam do kuchni! Nie potrzebuję tu tego karmnika! — krzyknął z tém swoim grubiaństwem, które obrażało samo przez się.

Malec rozbeczał się na nowo, jak gdyby przeczuł, że to idzie o niego.

— Nie bój się, mój malutki, nie bój się, dziadzio nie na ciebie się gniewa — szeptała pani Felicya, odgarniając mu z czoła włosy, spadające w długich, złotych zwojach.

Pan Roman zerwał się, wielkimi krokami podszedł do malca, pochwycił go jedną ręką pod ramię i wyniósł tak do kuchni, jak grat jakiś. Trząśnięcie się całe ze złości.

— Tekla! Zaraz mi odprowadzisz tego smarkacza na Kruczą!

Drżącą ręką wydobył z kieszeni kilka sztuk drobnej monety i rzucił je na stół przed panną Lucyną.

— Weź doróżkę i odwieź go zaraz! Nie róbcie mi jakiegoś przytulku z mego domu!

Bóg wie skąd wzięła się pani Felicyi taka odwaga w tej chwili, dość, że pierwszy raz w życiu postawiła się mężowi.

Łagodnie, ze spokojem niezmaconym i z godnością, ale stanowczo, odpowiedziała na to brutalne znalezienie się męża:

— Proszę nie szarpać i nie straszyć dziecka. Ja mogę razem z nim wyjść z domu, który jest także moim domem; gotowa jestem iść pracować na chleb dla siebie i dla niego, zostawić tobie majątek, który jest moim...

— Ah! To twój dom, to twój majątek! No, no, no! Twój majątek... twój majątek! No proszę, to twój majątek! — bełkotał pan Roman, powtarzając w kółko jedne i te same wyrazy, bo sam nie wiedział, co mówić.— Aż teraz dopiero przypomniała sobie! Cha, cha, cha! Patrzcież państwo, jaka pracowita! pójdzie pracować na chleb dla siebie i dla cudzego jakiegoś śmierdziucha! Trzeba było nie romansować z belfrem i więcej dbać o własne dziecko! Ty, ty, ty! Nie dałaś mi znać, nie chciałaś, żebym ci przeszkodził w romansach!

Rzucił jej srogą obelgę bez litości, z taką bezczelnością.

— Ah! To twój majątek! Poczekaj, ja ci pokażę, czyj to majątek... Poczekaj, ja ciebie nauczę, ja ci pokażę, ja ci pokażę...

I tak syczał przez zęby zaciśnięte i zbierał pudelka z tytoniem, fajki i różne drobiazgi, które miał zwyczaj rozkładać koło siebie, kiedy zasiadał do herbaty.

Zebrał to wszystko drżącemi rękami i wyszedł z pokoju; jeszcze raz po raz powtórzył kilkakrotnie:—Ja ci pokażę—trzasnęła drzwiami i poszedł do swego pokoju.

— Co to bratowej po tém — ubolewała panna Lucyna. — Czy to się godziło tak irytować Romcia? Rozchoruje się jeszcze!

Załamywała ręce i wzruszała ramionami na znak, że boleje nad tém, co się stało, i nie rozumie uporu bratowej.

Długo świeciło się w pokoju pana Romana.

Pan Roman chodził, otwierał szuflady i skrytki różne, wywlekał jakieś papiery, układał i coś liczył, i coś potem pisał, mazał, darł i pisał znowu.

Służąca poszła tam, żeby zapalić w piecu, to ją napędził do wszystkich dyabłów i siedział dalej w pokoju, wyiębionym już nieco, przez całą dobę prawie. Zawziął się na żonę tak, że zapomniał o sobie; gotował jój krzywdę jakąś pono, a sobie najpierw zaszkodził.

Nazajutrz nie mógł się zwlec z łóżka! Panna Lucyna dowiadywała się do niego, pytała nawet, czy nie każe posłać po doktora, ale nie chciał ani mówić z nią. Od czasu do czasu dzwonił na służbę i kazał sobie podawać różne rzeczy. Pod wieczór pogorszyło mu się znacznie, był coraz więcej osłabiony, chwilami tracił nawet przytomność.

Panie nie śmiały się pokazać, posyłały tylko służącą, ale nie kładły się już spać i czekały, co to z tego będzie.

Po północy już służąca zajrzała do pana Romana i wróciła jakas przestraszona.

— Proszę pani—mówiła—pan leży i oczy otworzył, i nic nie rozumie, tylko czegoś chrapie i dycha tak śmiesznie!...

Pobiegły tam obie, a pani Felicyna wyprawiała ją zaraz po doktora.

Dziewczyna była, co prawda, niezbyt zaradna, ale cóż było robić? nie było tam zresztą nikogo.

Tymczasem panna Lucyna poszła do swego pokoju i niebawem powróciła z wielką zapaloną gromnicą, z pękiem szkaplerzy i różańców, niewątpliwie pochodzących z miejsc słynących cudami, z wielką książką do nabożeństwa. Cała w bieli, wysoka, szczupła, z tą swoją twarzą kościstą, wychudłą, żółtą jak wosk gromnicy, z oczami wznieśnionemi w górę, wyglądała jak pokutnica z procesyi rzymskich. Ukłękła przy łóżku pana Romana w nogach i zaczęła odmawiać głośno modlitwę do Przemienienia Pańskiego.

Głos jej ponury jakiś wstrząsał do głębi, nie koił, lecz raczej drażnił.

Zaczynała pełnym donośnym głosem, a kończyła jękiem:

„Jakoś przemienił wieczną noc ślepego i światłem dzienném go obdarzył... Tak przemień boleść i niedolę naszą!“

„Jakoś przemienił niemoc dziewczeczki, córki książęcia...“

„Jakoś przemienił trwogę Apostołów twoich, uspakajając nawałnicę morską...“

„Jakoś przemienił choroby i nędze tylu kalekom, tylu trędowatym, którzy za dotknięciem twój wszechmocnój ręki zdrowie otrzymywali...“

„Tak przemień boleść i niedolę naszą!“

Skończywszy modlitwę, zaczęła litanję:

„Kyrye eleyson, Chryste eleyson, Kyrye eleyson!“

„Jezu usłysz nas, Jezu wysłuchaj nas!“ — zabrzmiało w ciszy nocnej.

Pan Roman oprzytomniał nieco, patrzył na nią i patrzył i nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co widział. Ta gromnica płonąca, ta głośna modlitwa przypomniła mu śmierć, śmierć, której się tak bał. Patrzył wciąż, chciał się podnieść, chciał przemówić i nie mógł zrazu.

— Czego ty chcesz ode mnie! — odezwał się wreszcie, wielkim wysiłkiem dobywając głosu.

Panna Lucyna modliła się wciąż:

„Od gniewu twego“.

„Od ducha nieczystego“.

„Od śmierci wiecznej“.

„Przez tajemnicę świętego wcielenia twego—Wybaw nas Jezu!“

Pan Roman uczył zimny dreszcz na całym ciele; podniósł się trochę i jeszcze patrzył, a w oczach miał wielką trwogę.

— Precz, precz ty dyablico! — wrzasnął i opadł na poduszki, zmęczony tym wysiłkiem.

Wzruszenie wywołało natychmiastowe pogorszenie. Panna Lucyna źle mu się przysłużyła swoją modlitwą. Wyszła, nie skończywszy litanii, zmartwiona bardzo zachowaniem się brata.

W małą godzinkę potem Tekla powróciła z doktorem.

Poszła najpierw do doktora, który leczył pana Romana zwykle, ale nie zastała go, więc wracając, pytała po drodze i tak trafiła do innego.

Panna Lucyna uciekła czémprędzej, bo była w negliżu; pani Felicya zaprowadziła doktora zaraz do męża. Doktor przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko pana Romana. Spojrzał na niego

uważnie z bliska, jak patrzy lekarze, którym twarz chorego daje czasem pewne wskazówki, i odwrócił się wnet. Chciał zobaczyć panią Felicję, na którą nie patrzył prawie przedtém. Pani Felicji nie było tam, wyszła z pokoju męża, nie chcąc przeszkadzać. Patrzył znowu na pana Romana i potrząsał głową.

Był wyraźnie zdziwiony i wzruszony.

Po chwili dopiero zaczął badać chorego. Zbadał puls, zbadał serce, pochylił się nieco, żeby chory mógł go lepiej słyszeć.

— Czy boli co? — zapytał.

Pan Roman nie odpowiadał, tylko wbił w doktora oczy rozżalone, niespokojne, wystraszone jakieś. Porwał się nagle i chwycił doktora za rękę; chciał widać coś mówić, ale nie mógł; chciał go odepchnąć, ale nie miał siły. Ruszał ustami i ścisnął rękę doktora swojemi długimi kościstymi palcami, jak kleszczami.

Poznał tego człowieka, chciał go odepchnąć, wypędzić; ale coś mu spętało ręce i odjęło mowę. Za to przytomność powróciła. Widział wszystko, słyszał, rozumiał, pamiętał.

Puścił rękę doktora, ale wciąż patrzył na niego

„Poco on tu przyszedł? Skąd on się wziął?“ — myślał. — „Przyszedł mnie ratować! Kto go tu sprowadził?“

Słyszał wyraźnie głos żony z drugiego pokoju. Pani Felicja rozmawiała z panną Lucyną; mówiły o nim.

Nie spuszczał z oka doktora, a myślał tymczasem o żonie. Przypomnił sobie wszystko, dzień po dniu, poczynawszy od owego balu, na którym poznał ją. Skarby całego świata gotów-by był oddać w tej chwili, żeby mógł odzyskać mowę a stracić pamięć.

Straszny musiał być ten porachunek z własnem sumieniem, bo na twarzy pana Romana wyrzył się ból okrutny.

— Czy boli co? — pytał znowu doktor, sądząc, że to cierpienie ciała takim kurczem twarz jego ściąga.

Ale to duch cierpiał; serce bolało. Na ten ból nie było niestety żadnego lekarstwa.

Gdyby pan Roman mógł przemówić, wezwałby żonę, tarzałby się w prochu u nóg jej, błagałby o przebaczenie krzywd, które teraz liczył i liczył i zliczyć nie zdołał; gdyby mógł zwléc się z łóżka, sięgnąłby tam, do tej szuflady, w której onegdaj w nocy zamknął swój testament, spisany w przystępie wyuzdanéj, dzikiéj złości, poszarpał-by w strzępy ten papier stokroć przekłéty.

Niemy był i jakby przykuty do łóżka, nie mógł ani głosu dobyć, ani ruszyć się. A tymczasem żal szarpał bez litości serce, co nie znało dotąd ani miłości, ani litości i było jak glaz nieczule i zimne.

Widział grób otwarty przed sobą i wiedział, że teraz jeszcze jedną krzywdę jęj zgotował.

Trwoga bezmierna, rozpacz szalona miotają duchem.

Zebrał wszystkie siły, podniósł się jeszcze raz, wyciągnął rękę, wskazując biurko, ruszał głową, jak jąkała, kiedy chce koniecznie wymówić słowo, na którym utknął. Ręka trzęsła się, jak liść od wichru; oczy nabiegły mu krwią.

Nagle ciemność jakaś straszna otoczyła go ze wszystkich stron; zbliżała się i chłonęła wszystko w siebie. Coraz to mniej było światła; coraz mniej widział; wszystko nikoło... Znikły drzwi i ściany, znikaly sprzęty jeden po drugim... Ot już tylko twarz doktora widział przed sobą... i ta twarz znikła... Jeszcze trochę światła zostało w jego oczach... jakieś błyskawice, jakieś cętki, gwiazdki... i te zgasły...

Zaciął usta i powalił się, jak kłoda.

Doktor nie miał co tu robić, wyszedł po chwili do salki przyległej, gdzie pani Felicya czekała na niego.

Spotkali się oko w oko i poznali się dopiero teraz. Zmienili się oboje bardzo; nie lata, ale ciężką walkę znać było na nich. Pani Felicya zwiędła przedwcześnie, Traczewskiemu zawczasu też zmarzeczki zorały czoło.

— Dziwny traf sprowadza mnie w takiej chwili właśnie—rzekł Traczewski.

— To prawda — potwierdziła pani Felicya z westchnieniem.

— Skończyło się nareszcie!

— Umarł!—krzyknęła i załamała ręce.

Czuła, że mimowoli przyczyniła się do tego, widziała tylko własną winę, zapomniała wszystko, przebaczyła wszystko i żałowała tego człowieka, który był dla niej biczem bożym.

Łzy zakręciły się jęj w oczach.

— Zapóźno... — zaczął Traczewski.

— Tak, zapóźno — potwierdziła — nie chciał za nic lekarza...

— Nie to chciałem powiedzieć — przerwał jęj pan Czesław, ale nie wytłómaczył się wyraźniej.

Machnął ręką.

— Niech mu Bóg przebaczy!

Panna Lucyna słuchała tej rozmowy, stojąc we drzwiach uchylonych nieco.

— Umarł, Romcio umarł! — wrzasnęła, zapaliła gromnicę i pobiegła czémprędzej modlić się przy trupie...

Na wyraźne żądanie panny Lucyny wezwała pani Felicya potem urzędnika i świadków.

Testament znalazł się zaraz, lecz zawiódł oczekiwania panny Lucyny. Pan Roman wyzuł żonę ze wszystkiego, to tylko zostawił, czego nie mógł wydrzeć, dlatego, że prawo ogranicza nieco samowolę; cały majątek przeznaczył na cele dobroczynne, siostrze rzucił marne okruchy.

Pani Felicya nie narzekała jednak, żyła z téj odrobiny i chowała sierotę.

W Traczewskim miała opiekuna i serdecznego przyjaciela.

Pan Czesław był już żonaty od kilku lat...

S. M. ROGUSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wypisy polskie, dla klas wyższych gimnazjalnych i realnych. Część I, ułożona przez Stanisława Tarnowskiego i Józefa Wójcika. Lwów, 1890.

Mamy przed sobą piękną książkę, oprawną, in 8-vo maj., o 767 str. (współ z X str. przedmowy i spisu rzeczy), odbitą pięknym, czystym drukiem, i to wszystko za cenę nader umiarkowaną, bo za 1 złr. 75 ct. Przedmowa wyjaśnia cel wydawnictwa i zarazem genezę jego: jest to dzieło, przeznaczone do użytku młodzieży szkolnej i jest owocem prac komisji do książek elementarnych, przez galicyjską radę szkolną utworzonej. Brak dobrych podręczników szkolnych w ogólności, a głównie podręczników do nauki języka i literatury polskiej, wywołał istnienie tej komisji.

Pierwszą tedy czynnością jej było ułożenie podręcznika do literatury: rzeczona komisja ułożyła ogólny plan dzieła, wymieniła pisarzy, mających wejść do Wypisów, oraz ustępy z ich dzieł, rozstrzygając to wszystko kolegialnie większością głosów; uchwaliła nadto właściwe „Wypisy“ połączyć z historyczną charakterystyką okresów, oraz z życiorysami pisarzy poszczególnych.

Wykonanie tak uplanowanego dzieła, (co do tomu pierwszego), wzięli na siebie hr. Stan Tarnowski i p. J. Wójcik, „którzy każdą część „Wypisów“, kiedy już była gotowa do druku, poddawali pod sąd i uchwałę komisji“.

Tak starannie obmyślany plan i jego wykonanie, tém bardziej obiecywały zjawienie się dzieła wysokiej wartości naukowej i pedagogicznej, że do składu komisji weszli: oprócz autorów „Wypisów“, dr. Wł. Zajączkowski, dr. T. Gertsman, ks. Bazyli Ilnicki, Bol. Baranowski, dr. Z. Samolewicz, dr. Ludwik German; a jako biegli w przedmiocie: dr. R. Pilat, prof. uniw., oraz Fr. Próchnicki i Bol. Szomek, prof. gimnazjalni, — tak liczne przeto grono specjalistów i pedagogów mogło się zdobyć na książkę niepospolitej wartości.

Zobaczmy, o ile skutek odpowiedział oczekiwaniom?

W mowie będące „Wypisy“, nazwaćby można *metodyczną historią literatury*; cel piękny, odpowiadający współczesnym wymaganiom dydaktycznym, ale niezmiernie trudny do wykonania wobec niedość jeszcze ustalonych poglądów w nauce literatury, co do zakresu, celu, a nawet środków, do celu wiodących. Niniejsze „Wypisy“ głównie są niezadawalniające pod względem wyboru środków, do nauczania literatury skierowanych.

Sama myśl połączenia w jedném dziele teorii, czy historii, z wypisami literackimi, nową wcale nie jest: pierwsze w tym rodzaju dzieło, obejmujące historię prozy polskiej, ułożył jeszcze w r. 1838, Popliński. Dzieło to jeszcze i dziś wartości swojej całkiem nie straciło, a za dowód może posłużyć, że w rozbieganych przez nas „Wypisach“ czytamy ustęp z mowy abdykacyjnej Jana Kazimierza, wyjęty z tej książki, (patrz str. 269). Z kolei potem 1840 idzie, tak zwana, „Historia literatury polskiej w zarysach“, K. Wł. Wójcickiego. Pomimo rażących wadliwości tego dzieła, w chaotycznym układzie planu jego, a głównie w pominięciu wszystkich naszych łacińsko-polskich pisarzy, książka ta przez wiele lat była u nas popularna, z powodu głównie wypisów, dodawanych do każdego z ważniejszych pisarzy. Po upływie lat kilkunastu, wydane zostały we Lwowie (zbiorowo), cztery tomy „Wypisów polskich, dla użytku klas wyższych w C. K. szkołach gimnazjalnych“, z których tom I zawierał gramatykę staropolską, opracowaną przez prof. H. Sucheckiego, oraz literaturę staropolską, t. II — literaturę zygmuntofską, t. III — wiek XVII i Stanisławowski okres, a ostatni olbrzymi tom — literaturę wieku XIX. I nakoniec w r. 1885—1887, wyszła „Złota przędza“, pod redakcją Piotra Chmielowskiego i kilku współpracowników. To ostatnie dzieło, bardzo starannie uwzględniające wyniki badań naszej krytyki literackiej ostatnich czasów, miało specjalne swoje zadanie, nie tyle bowiem przeznaczone było do użytku szkolnego, jak raczej do użytku w domach prywatnych, zastąpić mając podręczną biblioteczkę literatury krajowej.

Jak widzimy tedy, obecne „Wypisy“ są piątym z kolei dziełem ¹⁾, zawierającym materiał literatury, łącznie z historyczno-estetyczną twórczością literacką.

Nazwaliśmy je *metodycznymi* dla tego, że w układzie książki głównie przewodniczyła myśl: ile i co czytać można i należy? jako też z powodu wyjaśnień lingwistycznych i rzeczowych, oraz słowniczka wyrazów archaicznych, na końcu książki umieszczonych.

Spójrzmy teraz, co nam przynosi nowa ta praca, zwracając przedewszystkiém uwagę na część historyczno-krytyczną, (opracowaną przez hr. Tarnowskiego), bo ta jest niejako duszą, ożywiającą całą materiał literacki.

Jeżeli literatura, jak sam hr. T. przyznaje, jest nauką „potrzebną i ważną“, to wykład jej elementarny szczególniejszego nabiera znaczenia w szkołach, może daleko większego, niż w studiach uniwersyteckich. Każdej nauki wykład elementarny nie jest łatwy, a témbardziej literatury, jako nauki nowój, której granice nie są ostatecznie określone. Otóż, przy powyższych warunkach, jedynie dobrym jest taki kurs elementarny, który spoczywa na istotnych podstawach ściśle naukowych, wyraźnie uwydatnionych, w formie tylko swojej ma być uproszczony, udostępniony dla mniej rozwiniętych, a raczej dla rozwijających się dopiero umysłów, a ztąd wypływa wniosek, że tylko prawdziwy specjalista może napisać dobrą książkę elementarną.

Niestety, nie o wszystkich dziełach naszych, dziejom literatury poświęconych, powiedzieć to można: nie odpowiadają warunkom elementarnym nietylko takie książki, jak: T. L. Rycharskiego, Leona Rogalskiego, które od początku do końca obciążone są balastem kompilacyjnym, ale i takie, jak Lewestama lub Sowińskiego, których autorowie, mając dostateczną podstawę naukową i estetyczno-krytyczną, mogliby ułożyć porządną książkę, ale, nie chcąc zadawać sobie wielkiego trudu, kilku czy kilkunastu zaledwo pisarzy opracowali samodzielnie, posilkując się co do innych przeróbką cudzych dzieł. Nie mając nigdy w ręku dzieła, o którym wzmiankują, pisarze tacy wydają wyroki sumaryczne, zawarte w mdłych ogólnikach, które nikogo i niczego nauczyć nie mogą. Ogólniki te, niekiedy rażącemi błędami przepełnione, plondrują przez cały szereg dzieł, aż dopiero później, okolicznościowo, któremuś specjaliście sprawdzić je wypadnie. Roboty tego rodzaju zdyskredytowały u nas w ostatnich czasach naukę

¹⁾ Nie wspominamy tu o dziele Mecherzyńskiego, bo w niem Wypisy wydane były osobno.

literatury, a w szkolnictwie wprowadziły zamęt, który przez długi przeciąg czasu poprawiać wypadnie.

Zarys literatury p. T. znakomicie się wyróżnia z pośród mnóstwa owych pism: p. T. ma przedewszystkiem talent przedstawiania charakterystyk, — jakoż większa ich część, czy to ogólniejszych, czy pisarzy pojedynczych, jest wyjątkowo udatna, z plastyką literacką zarysowana. Nadto, tam nawet, gdzie p. T. najogólniejszy rzuca rys, znać wynik pracy samodzielnej, znać źródłowość, z pierwszej ręki czerpaną, — nie kompiluje, nie trawestuje zdań cudzych, ale po swojemu rzecz oświecla i ocenia. Myśl ta stosuje się nietylko do takich pisarzy, jak Kochanowski, jak politycy polscy XVI w, o których pisał poprzednio autor wyczerpujące monografie, — ale i do bardzo wielu innych. A jako dowód prawdziwości słów moich, dość przytoczyć to, co mówi o A. M. Fredrze. Można niekiedy nie podzielać zdań i sądów jego, ale uszanować należy niezachwiane przekonanie autora i gorliwość źródłowego badacza.

A mimo to wszystkim, o ile sam autor sumienne robił studia, o tyle, zdaje się, całkiem zapomniał, że pisze nie dla specjalistów, ale dla młodzieży, która dopiero po raz pierwszy ma poznawać początkowe zasady nauki; i styl autora, jak na książkę elementarną, jest zanadto kunsztowny, i w biegu myśli niekiedy żywołem polemicznym zabarwiony, a co może najważniejsza: autor wcale nie pamięta o *dokładności bibliograficznej*, która dla elementarnej nauki literatury jest tém, czém chronologia dla historii, — bez jednej czy bez drugiej nauka staje się fantazyjną opowieścią, w której uczeń gruntu nie znajdzie, nie będzie umiał odszukać tego, co mu będzie potrzebne, p. T. bowiem wyjątkowo tylko cytuje rok wydania, a wszystkie prawie tytuły dzieł są zmodernizowane lub skrócone; czyli, że pod tym względem uczeń spotyka te same niedokładności, jakie znajdują się w dziełach Syrokomli, Bartoszewicza lub Spasowicza.

Rzecz to zresztą nie tak trudna do uzupełnienia potrzebnymi szczegółami, bylebyśmy tę odrobinę bibliografii dla literatury elementarnej raz przecie uznać chcieli.

Ważniejszą ujemną stronę dzieła, nad powyższe pomijanie bibliografii, widzimy w tém, że autor *nie uwzględnia historii języka* i niewymiernie uwzględnia *historję oświaty*, a to tak dalece, że cały układ książki nie jest wolny od wyraźnych sprzeczności.

Co do historii języka, to chcąc mieć przybliżone pojęcie o tém lekceważeniu, z jakim autor te dzieje traktuje, dość wspomnieć, że niema nigdzie, ani w przeglądach okresów, ani w wypisach, ani nawet w alfabetycznym spisie autorów, choćby z imienia wspomnianego, nietylko Zaborowskiego, ale nawet J. Parkosza, owego pierwszego

twórcy języka polskiego, o którym przecież powiadają historycy literatury, że pierwszy ze Słowian po Hussie zaczął uprawiać teorię języka ojczystego. To zupełne zapomnienie o dziejach języka, w całym przeciągu czasów piastowskich i dalszych aż do końca XV w., widzimy w całym ustępie, zatytułowanym: „Początki piśmiennictwa polskiego“.

W książce, poświęconej badaniom języka i literatury, zaprawdę, jest wielce niespodziewaném takie zdanie hr. T.: „piśmiennictwo polskie musi się *zapewne* (!) pomału przygotowywać i wyrabiać przez kazania, przez przekłady ewangelii lub psalmów, wreszcie przez potoczne używanie języka i pierwsze w nim pisane wiersze“ (str. 5).

Zdaje mi się, że jeżeli młodzież ma naprawdę czegoś się nauczyć, a nie wyręczać się ogólnikami tylko, to zamiast wyrazu „zapewne“, należy postawić szereg naukowo zgrupowanych, lubo elementarnie, dostępne wyłuszczonych, faktów językowych, wyjaśniających to „powolne wyrabianie się“. Zdziwienie pod tym względem czytelnika jest tém większe, że autor przemilcza o rozwoju języka w tej właśnie chwili, kiedy ostatniemi czasy wydała sama Akademia Umiejętności tak wiele zabytków, nie licząc innych prywatnych wydawnictw... P. T. z całych dziejów staropolszczyzny pozwala uczniom dowiedzieć się (i to tylko w nagich tytułach): o „Kodeksie Floryańskim“, „Biblii ks. Zofii“, o „Modlitwach Wacława“ i „J. Gałce z Dobczyna“ (str. 6).

Nad to nic... aż do Zygmuntowskich czasów! Jakto? Więc uczeń nie ma słyszeć nawet o „Pieśni Bogarodzica“, która widnieje przez cały przeciąg naszych dziejów, która z początku jest hymnem narodowym i bojowo-rycerskim marszem, a potem, jako najszacowniejszy skarb umysłowy, ukazuje się w epoce druku na czele najznakomitszych dzieł prawniczych, oratorskich, poetyckich, począwszy od Statutu Łaskiego, aż do Śpiewów historycznych Niemcewicza?...

Wiemy o tém, że pedagogzy galicyjscy widzą jakieś nadzwyczajne trudności w umiejętném zastosowaniu zasad dawnego języka polskiego odpowiednio do poziomu wiedzy ucznia gimnazjalnego. Zdaniem naszym, jest w tém zbyt szkolarska drobiazgowość i przesada, — bo jeżeli nie można uczniowi klasy V-tjej uprzystępnąć najkardynalniejszych zasad staropolszczyzny, to możeby się to dało zrobić choć w klasie VIII-jej; ale *gdzieś* przecie zrobić należy, gdyż nie każdy uczeń wstępuje na wydział filologiczny uniwersytetu i nie każdy słucha kursu gramatyki porównawczej, — a że oświecony człowiek wiedzieć przecie powinien, co się działo w literaturze naszej przed wiekiem XVI-ym, to chyba kwestyi nie podlega. Wykład najkardynalniejszych form staropolszczyzny nie stanowi jakiegoś zadania her-

kulesowego, zrobić to mógłby np. p. Kalina lub kto inny, specjalnie studyjający dzieje języka polskiego. Zresztą, dokładności językowej, dokładności współczesnej pisowni, naprózno byśmy i w samych „Wypisach“ szukali;—a sam wybór ustępów dowodzi, że autorom wcale nie chodziło o rozwój języka, ale jedynie o treść i estetyczną wartość utworów. Na dowód dość przytoczyć choćby Kochanowskiego: nie wymieniono tu ani jednego z pierwotnych utworów śpiewaka Czarnoleskiego, takich np. jak; „Wróżki“, „O Lechu i Czechu“ i in.

Niekrytyczne i niedostateczne uwzględnienie historii oświaty wpływa z dwu, w istocie najzawilszych i dostatecznie nie rozjaśnionych dotąd, kwestyi w literaturze, to jest: jaki jest stosunek literatury właściwej (pięknej) do nauki, oraz jaki jest stosunek łaciny, używanej przez Polaków do wyrażenia myśli swoich, do języka polskiego. Co do pierwszej kwestyi, to już na podstawie własnych słów hr. T. powinniśmy brać pod uwagę pewną część piśmiennictwa ściśle dydaktycznego; na stronicy bowiem pierwszej mówi autor, że w literaturze „daje się poznać dokładnie usposobienie, *sposób myślenia i stopień oświaty* narodu“. A jakże poznać zdołamy to „myślenie“ i ten „stopień oświaty“, jeżeli jednostronnie będziemy mieli zwrócone oko na literaturę piękną? na sielanki, treny, satyry, powieści, na dramata czy krasomówstwo? Zresztą, przecież historia, przecież polityka, są to także „*nauki*“, a te ostatnie są przecie zamieszczone w rozbieganych przez nas „Wypisach“? Wspomniane nadto gdzieniegdzie i prawodawstwo (w przeglądach), ale niekrytycznie: jest np. wspomniane dzieło Ostroroga, oraz Volumina legum, a niema takich kapitalnych rzeczy, jak Statut wiślicki, Statut litewski, Konstytucye, prawa i przywileje koronne i t. d., z których każde ma niemałe znaczenie w dziejach oświaty, a ostatnie i w dziejach języka. Nie mówię już o zakresie innych nauk, jak rozprawy językowe, filozoficzne, przyrodnicze—wszystkie one są usunięte z książki, nawet tak skromne, jak zamieszczane w dotychczasowych „Wypisach“ wyjątki Etyki Arystotelesowej Sebastjana Petrycego, jak Ziemięrodztwo Karpat Staszica, Teorya jestestw organicznych Śniadeckiego i in.

Ciekawą przeto niezmiernie jest rzeczą dla krytyka (a zarazem i dla nauczyciela, który podług tej książki wykład prowadzić będzie): jaka w tém wszystkiem myśl przewodniczyła komisyi i autorom „Wypisów“?

Zdaje mi się, że odgadnąć ją możemy, rozpatrując zawartość i wymierność zamieszczonych w książce ustępów prozaicznych. Otóż z trzydziestu blisko pisarzy prozaicznych, najwięcej spotykamy tu mówców i polityków. Mówcy: (Skarga, Birkowski, Młodzianowski, J. Olszewski, Mijakowski, J. Ossoliński, Jan Kazimierz, J. Sobieski,

A. M. Fredro, Jan Śniadecki); politycy: (Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, Starowolski, J. S. Jabłonowski, St. Leszczyński, St. Kornarski, S. Staszic, H. Kołłątaj). Potem idą pisarze pamiętników: (Górnicki, Żółkiewski, Pasek, Kitowicz, Koźmian); potem trzej historycy właściwi: Kromer, J. Bielski, Naruszewicz i wreszcie jeden ustęp o języku polskim Jana Śniadeckiego, jeden z encyklopedyi B. Chmielowskiego i nakoniec jeden, o którym trudno powiedzieć, czy on należy do poezyi, czy do prozy, do historii, czy do teologii: jest to „Matka świętych“ p. Fl. Jaroszewicza.

Statystyka ta jest sama przez się wielce charakterystyczną, większego zaś znaczenia nabierze, skoro spojrzymy na zawartość ustępów. Nie mówiąc o gałęziach wiedzy ludzkiej, zaledwo tolerowanych i przedstawionych tu w jednym „egzemplarzu“, zwraca na siebie uwagę historia, owa „magistra vitae“, tak starannie zwykle pielęgnowana w szkolnictwie. Ponieważ pisarze pamiętników, jako wydający sądy indywidualne, często sprzeczne z prawdą, do kategorii historii właściwej zaliczonymi być nie mogą, bo umysł młodzieńczy, zamiast rozjaśnienia prawdy, niekiedy na rozdrożu wprowadzać mogą, pozostają tedy w całej naszej literaturze, od jej początku do r. 1822, tylko trzej przedstawiciele dziejznawstwa. Czy to nie za mało? Jest tu wprawdzie i Niemcewicz, ale jako poeta (Śpiewy historyczne, elegie, bajki, komedye, powieści). Naruszewicz figuruje w prozie, jako autor Życiorysu i memoriału do Stanisława Augusta,—właściwie historycznych, dwóch najważniejszych dzieł jego wcale tu niema. Kromera rekomenduje tu (na jednej karcie) Marcin Błażowski; wreszcie niema tu nawet pierwszego właściwego historyka, po polsku piszącego, gdyż pod napisem „Bielscy“, czytamy tylko króciutkie życiorysiki Marcina i Joachima, a wcale nie widzimy wyjątków z „Kroniki czyli historii świata“, tylko ustęp z „Kroniki polskiej“, to jest ową apologiczną robotę pocziwego zkadinał syna, który żywo bronił pamięci ojca, że „zawždy był katolikiem“..

Przy takiem ubóstwie skarbów naszych historycznych, szczególniejszego nabiera blasku ów hojny poczet polityków i krasomówców: miałooby to wszystko znaczyć, że w tym jedynie kierunku kształcić mamy młode nasze pokolenie?

Ponieważ historia literatury jakiegoś narodu jest obrazem rozwoju nietylko języka, ale i myśli jego, ztąd też myśli te, o ile one są wyrazem ducha narodowego i panujących w pewnym czasie wyobrażeń, mają prawo należenia do dziejów oświaty, a więc i do piśmiennictwa, chociażby były w obcym języku wypowiedane. Jakkolwiek ogólnie na tę kwestyę się zapatrując, skierować się ona może do wszystkich języków cudzoziemskich; to jednak przeważnie pod

tym względem zwracamy uwagę na język łaciński, który przez wiele wieków uważany był za jedyny powszechny środek wypowiedzania myśli i uczuć. Komisya lwowska myśli tej nie dała prawa obywatelstwa i starannie usunęła prawie wszystko, cokolwiek Polacy po łacinie wypowiadali. Zrobiła to oczywiście z powodu współczesnego pojmowania nauki literatury w szkołach średnich, zasadzającego się głównie na czytaniu i poznawaniu języka ojczystego w historycznym jego rozwoju. Widzimy tedy w obecnej książce, w wyjątkach dzieł drukowanych od r. 1548 aż do końca „Wypisów“, to jest do Brodzińskiego włącznie, niejaką sprzeczność z tém, co czytamy w ustępie „Początki piśmiennictwa polskiego“: tam rozwój staropolszczyzny zupełnie był zapomniany; tu jednostronnie i wyłącznie wzięty za podstawę. Tam uczeń nie ma żadnej możności przekonania się, jakie były szczeble w rozwoju form i wogóle organizmu języka, — tutaj zaś umysł jego nie obejmuje całości oświaty, a autorów, którzy pisali zarówno po polsku, jak i po łacinie, w dziwnym jakimś, połowicznym napotyka zarysie. Nadto plan, ułożony przez komisję lwowską, stoi w sprzeczności z samym sobą. Znajdujemy wszak w układzie autorów i takich, którzy pisali po łacinie: Modrzewski, Kromer? Na zarzut ten odpowiedzieć można, że obaj *wyjątkowo* zamieszczeni zostali dlatego jedynie, że obaj mieli współcześnie żyjących i współczesnym piszących językiem tłumaczy, a więc krytyczna zasada językowa nie tu na wartości swój nie traci. Bardzo dobrze! ale w takim razie, słuchając praw logiki, zamiast Kromera i Modrzewskiego, powinny stać imiona: Cyprian Bazylik i Marcin Błażowski, bo język do tych pisarzy należy.

Co więc, jeżeli przyjmujemy zasadę, uprawniającą przekłady współczesne, to nie widzimy dobrej racji stosowania jej tylko do dwu powyższych pisarzy. Dlaczegoż, pytam się, pominięci współcześni tłumacze innych, bardzo głośnych pisarzy literatury naszej, — a mamy ich przecież? Hr. T. np. sam wspomina o przekładzie „Cassus Joseph“ Szymonowicza, dokonany w r. 1597. Jeżeli tedy komisya lwowska, wierna zasadzie swojej, nie chciała dać przekładu jednego z najznakomitszych utworów tego poety — „Joël Propheta“, dlatego, że ten nie był współczesnym; to może chociaż z roboty Gosławskiego dałoby się skorzystać, byle uczeń dowiedział się coś przecie, oprócz sielanek i Lutni rokoszańskiej, że Szymonowicz, ów poeta laureatus, głośny był w swoim czasie w całej Europie. Albo znowu Sarbiewski! ta nasza gwiazda poetycka, chluba poezji polsko-łacińskiej w XVII, wyrzucony jest całkowicie z „Wypisów“ tak, że uczeń, kilka lat poświęcając na naukę literatury, nic o nim się nie dowiaduje z tej książki, pomimo że mamy przecie *współczesny* prze-

kład Samuela ze Skrzypny Twardowskiego niektórych Ód Sarbiewskiego.

Wspomniane wyżej niewymierne uwzględnianie historii oświaty widoczne jest w innych jeszcze ustępach dzieła. Gwar życia umysłowego, jaki tak rozgłośnie brzmiał u nas na początku XVI wieku, dziwne blado tu wygląda! Nic nie czytamy ani o pierwszych drukach polskich, ani o licznych przekładach biblii na język polski, ani o dysputantach akatolickich, wyrabiających giętkość językową, ani o licznych szkołach akatolickich,—a w ogólnym obrazie w. XVI nie wspomniano dokładnie, że mieliśmy wówczas cztery uniwersytety i potrojoną (w stosunku do w. XV) liczbę zakładów średnich, czyli że oświata, względnie do zaludnienia kraju, nigdy ani przedtem, ani potem nie dosięgła takiego stopnia rozwoju;—otóż cała ta nasza ruchliwość społeczna, polityczna i literacka, wygląda tutaj tak mdło, że nie daje wcale uczniowi dokładnego o prawdzie wyobrażenia.

Działanie znowu duchowieństwa, zakonnego przedewszystkiem także tu pominięto, niema nawet ani słówka o Benedyktynach, tych pierwszych, gorliwych krzewicielach chrześcijańskiej kultury naszej. Wspomniani są ci tylko, których na żaden sposób pominąć nie można, to jest Pijarowie, a przedewszystkiem Jezuitci. To też powiedziano to wszystko, co o istotnych zasługach zakonu tego w w. XVI i na początku XVII powiedzieć można i należy; ale, niestety, starannie pominięto wszystko, cokolwiek ujemną stronę ich działalności odsłaniać mogło; a tak druga połowa w. XVII i cały XVIII musiały być z tego powodu tendencyjnie zabarwione. Jest np. dokładnie wskazana data, kiedy Hozyusz sprowadził Jezuitów do kraju i gdzie ich osadził; a w przeglądzie okresu Stanisławowskiego nic nie wspomniano o bulli papieżkiej „*Dominus ac redemptor*“... Tymczasem kasata zakonu Jezuitów była dla historii oświaty naszej tak doniosłym faktem, jakiego nigdy nie mieliśmy w ciągu naszych dziejów. Wprawdzie milionowa fortuna Jezuitów w znacznej części rozszarpaną została przez złą wolę niektórych zgangrenowanych naszych możnowładców, ale i to, co pozostało, było jeszcze znakomitym zasobem do podźwignienia oświaty naszej z upadku i postawienia jej na stanowisku prawdziwie europejskiem. Pomimo tak olbrzymią doniosłość faktów, idących po r. 1773, hr. T. nie uważa za potrzebę wspomnieć nawet, choćby z imienia, o działalności „Komisji Edukacyjnej“, oraz o takich przynajmniej dobroczyńcach oświaty, jak Chreptowicz, Potocki i Piramowicz... Jest natomiast wspomnienie o towarzystwie do ksiąg elementarnych, lubo ono było tylko małą odróślą działań w sprawie organizacyi naszej oświaty, ogniskującej się w Komisji Edukacyjnej.

Nie stanowi również zalety „Wypisów“, jako książki elementarnej, i podział na okresy. Czytamy tutaj takie podziały: Okres I od r. 1548 do 1600; okres II: 1600—1648; III: 1648—1696; IV: 1697—1763; V: 1764—1795; VI: 1800—1822.

Mówiliśmy wyżej, że hr. T. z wielkim talentem wskazywać umie charakterystykę okresów,—ale myśl ta stosuje się do życia politycznego i w ogólności do życia społecznego narodu; natomiast fakta literackie, jakie w tym razie głównie za podstawę służyć powinny, niedość są uwydatnione, a niekiedy wprost naciągane, a przynajmniej autor dat powyższych rozwoju oświaty i twórczości literackiej nie usprawiedliwił. I dlatego-to może, oprócz okresu VI, który nazywał „przejsciowym“, nie umiał dać nazwy drobiazgowym podziałom swoim, omawiając je wprost historycznym mianem. I w istocie! okres drugi niczem się nie różni od okresu pierwszego: téż same tam były podstawy twórczości, ten sam humanizm, téż ideały literackie i społeczne, z wyjątkiem Starowolskiego, który do następnego okresu odniesiony być powinien. Okres IV jest dalszym ciągiem okresu III, bo tu i tam leżało wspólne znamię upadku moralnego i obywatelskiego, upadku czystości językowej i wyobrażeń literackich, a jeżeli były jakie wyjątki pod względem czystości i naturalności stylu (Morzdyn, Pasek, Drużbacka), to właśnie dlatego, że to były wyjątki stanowisko ich ogólnéj barwy wieku wcale nie zmienia.

Najdziwniej tu wygląda okres IV. Któż go bowiem wyobraża? Oto, odrzuciwszy pisarzy broszur politycznych (Jabłonowskiego i Leszczyńskiego), postawiwszy na właściwém miejscu, t. j. w epoce Stanisławowskiej, Konarskiego i W. Rzewuskiego,—nadmieniwszy przytém, że Elż. Drużbacka charakteryzować epoki (1697—1763) téj nie może, pozostają trzej wyobraziciele (!) okresu IV: ks. Floryan Jaroszewicz ze swoją „Matką Świętych“, ks. Ben. Chmielowski ze swoją „Akademią wszelkiej scijencyi pełną“ i w końcu ksiądz Baka, przedewszystkiem ks. Baka! ze swoją „śmiercią niechybną, wszystkim pospolitą...“ Z taką trójką literacką uczeń chyba daleko nie zajedzie...

Owe tedy arcydrobne, mniej więcej pięćdziesięcioletnie podziały, nie usprawiedliwione są ani „dążnościami i kierunkami“, ani „zmianami w treści i formie“ literackiej, ani „wpływami, jakie wywierała na społeczeństwo“ twórczość naszych pisarzy, o czém wszystkiém, jako o rzeczach koniecznych do obrazu literatury, na początku książki nadmienia hr. T.; a co więcej, podziały owe nie dają możności zaprowadzenia ładu wewnętrznego, jaki nieodzownie na dnie książki elementarnej spoczywać powinien. Przedmowa głosi, że uczniowie często nie mają pojęcia, „do jakiej połowy wieku który pisarz nale-

ży“; może tedy owe półwiekowe okresy „wymyślone“ są po to jedynie, by zaradzić zlemu, jakie się w szkolnictwie uwydatniło? Jeżeli tak, to mnie się zdaje, że komisya lwowska i samiz autorowie „Wypisów“ celu swego nie osiągną, bo zamiast mnemonicznego ułatwienia okresy owe zagmatwiają tylko zwykłe normalne działanie pamięci. Uczeń bowiem przedewszystkiem pamiętać będzie daty okresów i działalność literacką pisarzy poszczególnych do nich będzie stosował. Tymczasem cóż tu widzimy? Oto okres pierwszy kończy się na roku 1600, a zamieszczeni są w nim pisarze, którzy żyją i tworzą po owym roku: Klonowicz lat 8, Grochowski lat 12, a nawet Skarga (o którym przecie sam hr. T. mówi, że po r. 1609 napisał „Wzywianie do pokuty“, a wr. 1611 powiedział ostatnie kazanie dziękczynne), całym tuzinem lat życia swego zagmatwać może pamięć ucznia, który, na podstawie podziału okresów, życie Skargi zamknie na wieku XVI. W okresie drugim znowu K. Miaskowski niewłaściwie przyszedł na świat, bo pozwolił sobie żyć (no! i pisać) przeszło lat pięćdziesiąt w okresie pierwszym... Stan. Żółkiewski prawie tyleż lat. Ale co może najbardziej rażące, to Szymonowicz, ów laureat europejskiej sławy, ów Szymonowicz, o którym sam hr. T. mówi, że „jest ostatnim wielkim uczonym złotego wieku“, „a rodzajem i stopniem wykształcenia należący do epoki humanizmu“,—mimo to wszystko wyrzucony został z okresu pierwszego „złotego“, nie wiadomo, dla jakiej racyi? A co do chronologii, to i on pozwolił sobie żyć *w swoim* okresie lat 43 i t. d. Nie można się dziwić, jeżeli uczeń, wobec téj płataniny lat życia pisarzy w stosunku do dat okresów, nie będzie i teraz wiedział, „do której połowy wieku który pisarz należał“.

Te są, podług naszego zdania, ważniejsze usterki rozbieranego przez nas dzieła; zresztą „Wypisy“ mają i swoje strony dodatnie, o których przemilczać nie myślę. Uczeń skorzystać może i z życiorysów, pisanych umiejętnie, a niekiedy obrazowo, i z owych charakterystyk historycznych, zwłaszcza przy uzupełnieniu ich przez nauczyciela,—a przedewszystkiem materiał do czytania i rozbioru jest tu obfity i w znacznej części nowy, a dobrze wybrany.

Do takich np. nowych, niez użytkowanych ustępów zaliczyłbym: wyjątki z dzieł Piotra Zbylitowskiego, Stanisława Żółkiewskiego, Piotra Kochanowskiego (Orland), Tom. Młodzianowskiego, A. Morsztyna (Psyche), J. Olszewskiego, Wacława Rzewuskiego, Ign. Krasieckiego (O narożnej kamienicy), Ad. Naruszewicza (Memoryał), Kaj. Koźmiana (Pamiętniki), Kazimierza Brodzińskiego (Wstęp do literatury) i inne. Można wprawdzie zarzucić, że, z wyjątkiem drobnych gatunków poetycznych, wszystkie ustępy są kawałkowane, nie dające za-

dnego pojęcia o całości, układzie i wartości całego dzieła; ale pojmujemy te cząstkowe ustępy w ten sposób, że one są przeznaczone do obrabiania w szkole, gdzie nauczyciel sam może do pewnego stopnia rzecz zaokrąglić,—na domową zaś lekturę nauczyciel przeznacza odczytywanie znakomitszych dzieł całkowitych, które następnie w klasie oświetła krytycznie.

Niezmiernie ważnem ułatwieniem, zarówno dla nauczyciela, jak dla ucznia, są dodane na końcu dzieła objaśnienia językowe i rzeczowe, oraz słowniczek wyrazów archaicznych.

Nie zapominamy w końcu nadmienić, że niemałą zaletę, jak na książkę elementarną, stanowi wielce staranna korekta, gdyż bardzo mało spotykamy takich błędów, jaki znajdujemy na str. 109, gdzie mowa o tém, że Kochanowski po raz pierwszy wydał „Treny“ w roku 1850.

ANTONI BĄDZKIEWICZ.

Wincenty Kosiakiewicz. *Przy budowie kolei*, powieść. Warszawa 1891. Nakład Gebethnera i Wolffa.—**Teodor Jeske-Choiński.** *Na straconym posterunku*, dramat współczesny w 5 aktach. Warszawa, nakładem „Niwy” 1891.

Zapadły kącik partykularza; gromadka ludzi powszednich, związanych z sobą węzłami prowincjonalnych stosunków; uczucia grające w umiarkowanym tempie i rozwijające się w spokojnych rytmach; dużo pogodnego słońca, rozlanego wśród prostych krajobrazów; uśmiech nie schodzący prawie z oblicza ludzi, za przykładem pogody, która stale rozjaśnia fizyognomię natury—i chwilowe zamieszanie w tym małym światku, wywołane wtargnięciem cywilizacji w postaci lokomotywy, grupującej koło siebie namiętności niezbyt gwałtowne, interesa zgoła nie drapieżne, aspiracye niebardzo dalekonośne—oto treść książki p. Wincentego Kosiakiewicza p. t. „Przy budowie kolei“.

Znane już szerszym kołom czytelników właściwości talentu autora „Literatury mojej żony“, akcentują się w nowej powieści jeszcze wyraźniej. Kosiakiewicz patrzy uważnie, widzi dobrze, rysuje bez zarzutu, a maluje z tą obojętnością na wrażenia barw, która go od początku zawodu pisarskiego cechowała. Linie więc go interesują, aniżeli koloryt i światłocien; często nie dba o wypukłość ani o pogłębienia. Zdaje się, że gdyby był snyczerzem, uprawiałby specjal-

nie plaskorzeźbę; w malarstwie zwróciłby się do *aqua tinty*; literaturę wyobraża sobie zapewne jako artyzm ołówkowy, w którym plastyka polega na kombinacji odcieni szarych z popielatemi. Wiele wprawdzie dokazać można ołówkiem: wie o tém każdy, kto choć raz w życiu widział Grottgera; ale Grottger był poeta—Kosiakiewicz jest artystą szarego koloru, kombinującym efekta spokojnie, bez sercowych uniesień, przy pomocy zmysłu, który w mózgu ma swoje siedlisko.

Ten zmysł wyrobiła w pisarzu potrosze nowa poetyka literacka, zrodzona z zabobonnej trwogi przed wszystkiém, coby romantyzm przypominać mogło, w znacznej zaś części modna filozofia życiowa, złagodzona chłodnym temperamentem. Nie będąc optymistą szczerym, Kosiakiewicz lęka się barwy jasnej, kolorytu żywego; nie jest zaś dość namiętym pesymistą, żeby widział czarno; rzuca więc na szare tło rzeczywistości popielate cienie lekkiego zwątpienia i z tych dwóch obojętnych kolorów kombinuje sobie całą paletę, stopniując gamę bladeści z wirtuozowstwem, które istotnie na miano artyzmu zasługuje. Czasem na tę paletę padnie promień uczucia i niby błysk słoneczny wywoła barwy tam, gdzie zdawały się nie istnieć. Wtedy malowidło nabiera kolorytu, drgającego w oświetleniu poezyi. Ale, jak gdyby bał się takich chwil, Kosiakiewicz powraca do swego przyćmionego rysunku ze skwapliwością, którą aż bierze ochota komentować.

Komentarz może nie będzie zupełnie prawdziwym — nie przeszkodzi mu to jednak być prawdopodobnym; a w krytyce, która, zapuszczając się w psychologię autora, nie może mieć pretensyi do absolutnej, niezachwianej prawdy, prawdopodobieństwo wystarczy, tak jak dostatecznym jest w każdej pracy twórczej, nie mogącej oprzeć się na bezwzględnej prawdzie, której nikt z cudzej duszy nie wyłowi.

Przyпускаjąc tedy, że Kosiakiewicz równie spokojnie czyta książki, jak patrzy na życie—w takim razie mogło go zastanowić przy czytaniu powieści „Zwierzę w człowieku“: do jakich dziwolągów dojść może pisarz, jedynie dzięki nieokielznanemu temperamentowi, wtedy nawet, kiedy sobie zakłada odtwarzać życie i tylko życie, prawdę i tylko prawdę.

Zola i Kosiakiewicz malują analogiczne światy, pokrewne sobie stosunki: skądże więc u dziejopisa Rougon-Maquartów ta chodząca na szczydłach „kolosalność“, „potworność“, dlaczego ludzie, rzeczy i wypadki mają tę fizyognomię ponurą, fatalistyczną, naznaczoną piętnem jeżeli nie wzniosłej tragedyi, to przynajmniej czarnego melodramatu? czém się to dzieje, że owo „zwierzę“, nabłakawszy się w różnych kształtach i postaciach wśród labiryntu mieszczańskiej z czasów drugiego cesarstwa epopei, dopiero w atmosferze przesyconej dymem lo-

komotywy porzuciło swoje *incognito* i w całej okazałości wynurzyło się na światło dzienne? Gdzież tu owa, za dogmat naturalizmu ogłoszona, zależność charakterów ludzkich od otoczenia, które je wytwarza, i czy specjalnie w naturze stosunków kolejowych leży konieczność nietylko ujawnienia typowego „zwierzęcia w człowieku“, ale wyprodukowania całkowitej menażeryi ludzkiej?

Kosiakiewicz, który, nawiasem mówiąc, zna stosunki kolejowe, i to w skutek zbiegu różnych okoliczności, zna je lepiej niż Zola, musiał prawdopodobnie od razu znaleźć odpowiedź na te pytania i zamknąć ją w definicyi, sformułowanej z kompetencją fachowca w rzeczach kolejowych.

— Chory na oczy!—powiedział sobie zapewne, mając na myśli specjalny rodzaj daltonizmu, na który zapadają maszyniści, zwrotniczowie i dróżnicy: polega on na stopniowym zaniku zdolności rozróżniania barw sygnałowych, w skutek którego chory bierze często jeden kolor za drugi. Przyczyną choroby jest ciągle nadmierne wyciężanie wzroku w dal, a szczególnie w głębiny ciemności. Zapatrzony w noc, szukający wśród niej majaczenia migotliwych światełek, między którymi purpurowe najłatwiej mu dostrzedz, daltonista kolejowy dochodzi niekiedy do tego, że ma w oku dwie tylko barwy: czarną i czerwoną. Coś podobnego dzieje się z Zolą: w mrokach natury ludzkiej zepsuł sobie oczy i w biały dzień widzi albo czarno, albo krwawo. Przymiennie, snuł prawdopodobnie dalej swoją dyagnozę Kosiakiewicz, zdarza się czasem, że daltonizm od barw przechodzi do kształtów. Cierpiący na to zboczenie wzrokowe zatracą w sobie poczucie proporcji w liniach, które, jak wiadomo, po ciemku zmieniają swój stosunek, nadając przedmiotom fantastyczne jakieś kontury, wydłużając jedne zarysy, skracając drugie, odwracając działanie perspektywy świetlnej, przybliżając to, co było daleko, odsuwając to, co było blisko, i tworząc z tego odmgotu nienaturalne, prawie nadnaturalne obrazy. Wszystkie te objawy spotyka się u Zoli i jeszcze coś więcej, co z tej samej płynie przyczyny, a sięga głębiej, bo do samej istoty przedstawionego przezeń świata kolejowego. W tym świecie, gdzie ruch sił materialnych ma tyle pozorów życia organicznego, a życie wydaje się tak często uregulowanym z matematyczną ścisłością ruchem mechanizmu, miał Zola więcej niż kiedykolwiek sposobności zastosowania swjej metody, polegającej na ożywieniu tego, co martwe i... niestety, na zabiciu niekiedy tego, co żywe. Człowiek u niego funkcjonuje jak maszyna, kombinacją instynktowych sprężyn,—a prawdziwa maszyna ma duszę; role zmieniają się skutkiem jakiegoś transpozycji motywów, wywołanej rozszerzonym daltonizmem, który miesza psychologię z fizyologią, a zamiast ludzi i rzeczy, wi-

dzi tylko piętrzące się w chorągiew wyobraźni symbole. Na kolei przenoszą daltonistów do innych zajęć, gdzie mogą być użytecznymi, nie narażając życia dziesiątków tysięcy podróżnych; w literaturze, ludzie sami myśleć muszą o własnym bezpieczeństwie i powierzać losy swoje kierownikom, którzy ich nie wykoleją. Co do mnie, konkludował może Kosiakiewicz, wiem, że nie mam kwalifikacyi do prowadzenia literatury po nową a niepewną jeszcze drogą. Podróżując pod sterem takiego talentu, jak Zola, miło czasem i z pociągu wylecieć; ja nie chciałbym brać podobnej katastrofy na swoją odpowiedzialność. Skromniejsze są więc moje wymagania: nie pretenduję nawet do stanowiska zwrotniczego, bo i złe nastawienie zwrotnicy może zmylić drogę i spowodować nieszczęście. Będę sobie „przy budowie kolei“; zobaczę, jak to powstaje, skąd wychodzą nowe tory, któredy przebiegają, dokąd zmierzają; później może tam zacznę od skromnej pracy droźnika, dogląającego linii i salutującego chorągiewką przed podróżnymi. Potém... niewiadomo co przyszłość kryje. Tymczasem szanujmy wzrok, nie wyteżajmy go ani za daleko, ani za głęboko, unikajmy forsowania oczu w ciemnicy, olśniewania ich zbyt niemi blaskami jasności, albo grą barw jaskrawych,—może się to na co przyda.

I przydało się, bo na tym skromnym posterunku napisał Kosiakiewicz „Przy budowie kolei“. Tło wiadome, ludzie dostrojeni są do otoczenia, aktorowie harmonizują z dekoracją; obrazek zostawia wrażenie prawdy; zna się, widziało się to wszystko, a talent autora na tém polega, że zetknięcie z tym znanym światkiem sprawia przyjemność.

Kto jest pan Piasecki, inżynier, bohater główny powieści? Człowiek, którego spotykaliśmy tysiąc razy i który zdaje się nie mieć żadnych tytułów na bohatera. Letkiewicz bez fantazyi, ale biorący życie ze strony łatwej; obowiązkowy, lecz tylko w swoim fachu, bo to mu daje wygodne utrzymanie, nie przywiązujący się jednak do swego zawodu, bo wogóle niełatwo się do czegoś przywiązuje; obdarzony przyrodzonym talentem ciągnięcia korzyści z każdej sytuacji i na każdym stanowisku, lubiący życie w Warszawie, ale umiejący radzić sobie w najgłuchszej prowincyi, Piasecki prawie że nie wybiega ponad poziom przeciętnych uczuć i aspiracyi. Na gorączkowe wyczekiwania mieszkańców stacji Janki, od której zacząć się ma „nowa droga“, na krzyżujące się wśród okolicznej ludności nadzieje i obawy, patrzy z obojętnym trochę uśmiechem — budowa o tyle go interesuje, o ile leży w zakresie jego obowiązków; zresztą wszystko mu jedno, pracę będzie miał nie tu, to gdzieindziej; orientuje się tylko w stosunkach, żeby mu tak tu, jak gdzieindziej, jak wszędzie, dobrze być mogło. W Jankach urządził się odrazu wygo-

dnie. Sam wesoly, wesolością zdobył sympatyę zawiadowczyni, lubiącej się rozśmiać, pozartować—no, i dyskretnie poromansować. Figura to wyborna, lekką ręką i z wielkim taktem nakreślona.

Pani „Jula“ nie jest wcale ładną; rysy jej twarzy odznaczają się tą pospolitością, która wprawdzie nie razi, ale też i nie pociąga ani jednym szczegółem; ale kiedy ujmie swoją zgrabną zresztą i dość pełną figurkę w sztywną, mocno wykrochmaloną suknię, szeleszczącą przy każdym poruszeniu; kiedy energiczna, żywa, ruchliwa, kręci się po swoim gospodarstwie, lub z żelazkiem w rękę, z rękami po za łokcie obnażonemi, stoi nad deską do prasowania i woła od czasu do czasu: „Marysiu dusza!“ — bije z tej postaci zdrowie, życie, humor i łatwo odgadnąć, w jakim kierunku pójdzie, na czem skończy się znajomość Piaseckiego z panią zawiadowczynią, jakkolwiek autor nie podkreśla, żadnych kropek nad *i* nie stawia i delikatnemi tylko rysami tego i owego domyślać się pozwala.

Zupełnie inaczej wygląda stosunek Piaseckiego do młodej dziewczyny, u której wujowstwa inżynier wynajął sobie mieszkanie. Coś jest w tej Janinie zajmującego, a na usprawiedliwienie tego wdzięku nie dał autor podlotkowi ani piękności, ani naiwności szablonowej, ani przedwczesnego, po literacku zrobionego, sprytu. Sytuacja Janinki w domu przykra; wuj Orchocki zdaje się nastroczać ją panu inżynierowi w widokach własnej na przyszłość kariery, a ona służy lokatorowi z jakimś łagodnym, nienarzucającym się smutkiem, a z rosnącą stopniowo dla Piaseckiego sympatją. Zajęty przyjemnym flirtem z panią „Julą“, oddany w samą miarę pracy przy budowie drogi, spędzając zresztą wolne od robót chwile w Warszawie, inżynier ani się spostrzegł, jak siostrzenica Orchockich rozwinęła się z pączka w kwiat śliczny—a gdy wreszcie dostrzegł tę metamorfozę, kiedy domyślił się, ile w niej bez wiedzy dziewczyny miłość wzięła udziału, uśmiechnęła mu się myśl o możliwości sielanki. Tym sposobem życie ułożyłoby mu się doskonale; inne uciechy miałyby przy pani „Juli“, inne przy Janince, co nie przeszkodziłoby mu trzymać w odwodzie panią Łupinkowską, żonę obywatela, której majestatyczna piękność imponuje Piaseckiemu, a drażni go kokieterya nieprzyzstępności. Nie trzeba ztąd wnosić, że pan inżynier ma naturę Don Juana, tylko jest w nim wszystkiego potrosze, w kombinacji średnio-przeciętnej, darzącej go takim spokojem, że pragnąłby mieć w życiu coś dla każdej swojej zalety i wady. Instynkta płochości zaspakaja mu pani zawiadowczyni faktami, a p. Łupinkowska aspiracyami; potrzebie poetycznej rozrywki czynią zadość codzienne wieczorne z Janinką spotkania, a Warszawa ma dlań zawsze w pogotowiu odmianę; że zaś zakochaną w sobie dziewczynę widuje u sie-

bie, że dom pani „Juli“ uważać może za swój własny, że wogóle przyjemności przychodzą mu bez żadnych zachodów, więc się w tém wszystkim najwięcej cieszy filister, drzemiący wygodnie na dnie duszy pana inżyniera. Ta prosta historia zmysłów, serca i wyobraźni zwyczajnego człowieka, roztacza się w związku z postępem budowy nowej kolei, której fazy kreślone są z życiem w kilku charakterystycznych scenach. Niéma w nich żadnego przyboru specjalnej technicznej wiedzy, autor nie uczy czytelnika, jak się sypie i żwiruje plant, ani mu imponuje inżynierskimi wywodami o wytrzymałości szyn, albo o trwałości podkładów—ale daje obrazy, w których pewne momenta cywilizacyjnego na prowincyi przekształcenia gromadzą ludzi z ich dążeniami, zabiegami i ambicjami, stanowiącemi przy ogólnym nastroju miejscowej ludności ciekawą psychologię całego zakątka. Śliczny jest opis wycinania lasu w kierunku projektowanej linii. Wybrano się na miejsce o świcie. Słońce nie weszło jeszcze; duży starodrzewny las zasłaniał całą dolną stronę wschodniego nieba; światłość, rozpościerająca się nad borem, była mało jeszcze silniejszą od reszty nieba, rozwidnionego już, lecz jeszcze nie napojonego blaskiem. Droga przerznęta była w kierunku zachodu i wschodu i w głębi, na końcu szpaleru, utworzonego przez sosny, widać było krwawą lunę, która jakby usiadła na drodze. Tę ciemno-krwawą lunę rozpraszało słońce, ukryte jeszcze; ścierało z horyzontu czerwoność i rozpościerało swój płaszcz szczerozłoty. Wdali pomiędzy drzewami błyszcziała już wielka jasność i powoli na drogę leśną wytaczać się zaczęła duża tarcza słoneczna. Zdawało się, że słońce zastąpiło drogę jadącym i samo puści się teraz pomiędzy stare, milczące, poważne sosny, po ziemi tysiącami kół ujeżdżonej. W miarę jak bryczki posuwały się naprzód, złota twarz dumnie odrywać się zaczęła od ziemi, unosiła się powoli w szpalerze pomiędzy sosnami, minęła wreszcie najwyższe gałązki drzew i, opuściwszy las, wytoczyła się na szeroką przestrzeń horyzontu.

Drzewa, przeznaczone na śmierć, do nowego zbudziły się życia. Ciepłe dni Maja porozwijały już liście i rozpostarły na czarnych, suchych niedawno gałęziach, koronkowe obłoki zieleni. Gdzieniedzie na dole, w cieniu od strony północnej, wpadał w oko jeden i drugi pączek zaledwie rozpęknięty, z delikatnymi młodzieuchnymi listeczkami, zwiniętymi w kłębek. Niewielki gaik ze swoją jasną, wesołą zielonością, rosnący w sąsiedztwie grubych, wysokich sosen, ciemnych zdała, ponurych z bliska, czynił pociągające wrażenie młodzieńczego życia. Topór umiejętnego leśnika nie przeszedł jeszcze tędy. Wszystko rosło tak, jak chciało i mogło; jedne rośliny wyrastały tuż obok drugich, inne wciskały się w zagęszczone już miejsca, gałęzie nieraz

tak zachodziły jedne na drugie, że trudno byłoby wskazać, które do którego należą drzewka. Wierzchnia szata, w jaką wiosna ubrała strojnie i suto ten gaik, utworzyła po obu stronach drogi dwie ściany, dwa wały żywej zieleni.

Na dany znak umilkł gwar, dotychczas między obecnymi głośny, a rozległy się głosy mnóstwa ptaków. Gaik był zamieszkanym i to nawet gęsto zamieszkanym. Ćwierkania wychodziły ze wszech stron zieleni, dalsze i bliższe, cichsze i głośniejsze, i tworzyły, napęniając tę ustron tysiącami tonów krótkich, energicznych, niewyczerpanych, chór ciągle utrzymywany przez niewidzialnych coraz nowych śpiewaków, nieskończony, nieprześpiewany.

Robotnicy rozstawili się wzdłuż drogi i rozległy się pierwsze uderzenia siekier w pnie drzewne. Rosa, w noc układająca się na liściach drzew tych do spoczynku, stanęła w obronie przeciw tej zbrodni. Perły deszczu, zimne, duże, sypać się zaczęły na rąbiących, po każdym uderzeniu siekiery, że zaś uderzenia te były liczne i szybkie, z góry spadały krople bezustanku, ześlizgując się z liści na liście, i padając wreszcie na ziemię i ludzi, tworzyły głośny szelest. Podobnymi one były do łez... młody bezbronny gaik płakał. Robota szła energicznie. Kilkoletnie roślinki padały pod jednem uderzeniem siekiery. Drzewka stawiały opór, ostrze z siłą wpadało w pień, przecinało korę, którą dobroczynna wiosna zabarwiła ciemnymi a delikatnymi żyłkami zielonemi, zagłębiało się w miąższ drzewa, przepelnionego żywotnymi sokami, z rozbujającej niedawno ziemi wypitemi, niosącemi pokarm dla całej istoty, stworzonej do życia i rozwoju. Jedna rana nie waliła drzewa; — jęk tylko jakiś cichy rozchodził się po lesie, rozpaczliwy szum wydały trzęsące się gwałtownie liście, ale drzewo stało; następowało tedy drugie, i trzecie, i czwarte uderzenie, rana rozszerzała się i pogłębiała, nareszcie drzewko chwiało się i upadało zabite“.

Na tło zimowego krajobrazu rzucił autor epizod pełen jędrnej charakterystyki: zabijanie pali w fundamenta pod most. Odbywa się to nad rzeczką w jarze, który stał się w ciągu robót zimową stolicą kolei. Tu skupiało się teraz całe życie, wszystek ruch. Przez cały dzień ukazywały się na górze sanie, które spuszczały się ujeżdżoną drogą, szybko, gwałtownie, i zatrzymywały się na dole. Dozorcy, ubrani w grube kaftany, w sięgające za kolana buty, wskazywali miejsce, gdzie kamienie mają być złożone. Woźnice zatrzymywali się zazwyczaj, aby posłuchać piosnki, jaką śpiewali robotnicy przy zabijaniu pali i przypatrzeć się żelaznej *babie*, podciąganej do góry i spadającej całym ciężarem i impetem na łeb pala drewnianego. *Baba* nie była dla robotników zwykłą kłodą żelaza, jaką wydawała się

każdemu z przechodniów. Baba była to osoba, miała duszę, żyła. Zrana była lekką, ochoczo i wysoko unosiła się do góry, silnie waliła pale, stękające po każdym uderzeniem, aż echo odbijało się w lesie; odpoczywała niedługo, wnet bowiem śpiewano do niej:

Ojże babo mocno wal,
A sam w ziemię wlezie pal!

Im bardziej przecież południe się zbliżało, tém baba robiła się ociężalszą. Wprawdzie zawsze słuchała pieśni, zawsze po wyrazie „pal“ unosiła się do góry, ale coraz niżej, z coraz mniejszą siłą gnębiła pale, które coraz ciszej stękały i wcale się nie śpieszyły wejść w ziemię.

Wśród takiej sceneryi, zmieniającej się wraz z porami roku i w miarę jak droga wydłuża się i rośnie, zapoznaje nas autor z figurami nieobcemi nikomu, kto się kiedykolwiek bliżej przyjrzał stosunkom kolejowym. Więc najprzód nieunikniony hrabia Broński, „słomiany“ inżynier, bez specjalnego uzdolnienia, ale gładki, ugrzeczniony, dobrze wychowany, gotów każdemu przysługę zrobić i z tej racyi powszechnie lubiony; dalej pan Pudelko, wzorowy urzędnik, zamilowany w energii i sprężystości... u innych; dozorca robót Michalik, samouk, robiący ustawicznie odkrycia, które już dawno porobiono, ale niemniej umiejący lepiej to, co umie, od wielu teoretyków; przedsiębiorca Walcarek, stary wilk kolejowy, kuty na cztery nogi, mistrz w oszukiwaniu robotników, a jako przeciwstawienie jego, młody dwudziestoletni technik, inteligentny i wykształcony chłopiec, noszący w sobie niewygasłe jeszcze iskry dawnego ognia humanitarności, usiłujący edciągać robotników od pijaństwa i zachęcać ich do oszczędności; wreszcie wzruszający typ inżyniera tułacza, ruchliwego, krzykliwego, z pozoru rubasznego, sympatycznego i niegłupiego przy bliższym poznaniu, który od wielu lat włóczy się co wiosna po świecie szukać pracy przy wielkich przedsiębiorstwach budowlanych; przez zimę mieszka w jednym z miast gubernialnych, gdzie żona prowadzi pracownię strojów; ma pięcioro dzieci, do których co niedziela w komórcie przy otwartych drzwiach, jedynie tu przepuszczających światło, pisze listy, pełne ojcowskiej czułości, do każdego dzieciaka osobno i w oddzielnej kopercie; wieczorem idzie do Rowka i wysyła sześć listów w jedno miejsce i pod jednym nazwiskiem — tylko imiona są odmienne.

W tych warunkach i w takim otoczeniu, wśród którego wszyscy ustawicznie się z sobą spotykają a życie prowincjonalne skupia się jeszcze bardziej, sielanka Piaseckiego długo trwać nie mogła. Wieczorne gawędy z Janiną, odbywające się zawsze w jego pokoju,

wycieczki we dwoje na jednej bryczce na wieś i do miasteczka, mają charakter zażyłości, dostarczającej plotkarstwu wdzięcznego materiału. Zatonąwszy w lubém przedświadczeniu, że mu „dobrze“, p. inżynier nie wie, że wkoło niego języki pracują — i dowiaduje się o tém dopiero od Janiny, której uwagę zwrócił na to pomocnik Piaseckiego, Sanocki, zazdrosny o Janinę. Naiwnej spowiedzi dziewczęcia słucha p. inżynier z przykrością, nie tyle przez wzgląd na reputację Janinki, ile w przewidywaniu, że „piękne dni Araujezu“ skończyć się muszą. Błysk światła przychodzi nie w porę, niby promień słońca, świecący bez ceremonii w same oczy: przed chwilą właśnie oboje wyznali sobie, że się kochają, i trzeba będzie przerwać tę idyllę!... Chybaby się ożenić? O tém Piasecki nie myślał wcale. Ożenić się! albo mu tak źle z panią „Julą“ w rzeczywistości, z panią Łupinkowską w perspektywie? Nie zrobi tego—raczej zerwie; ale jak? Napisać list? Próbuje, lecz mu jakoś nie idzie. Najlepiej, nic nie mówiąc, wyjechać bez pożegnania. I wyjeżdża do Nizy... za panią Łupinkowską.

Egoista!... zapewne; tylko nie trzeba przesadzać doniosłości tego zarzutu. Samolubstwo znajduje się w naturze Piaseckiego w nie większej od innych wad i zalet proporcji; w tym kierunku, jak i w każdym innym, Piasecki ani za daleko nie dojdzie, ani głęboko nie upadnie; ma w rękę, jak ekwilibrysta, wagę, z którą przez życie przejdzie prawie prosto.

W Nizy nie znalazł spodziewanego ukojenia, jakkolwiek wolno się domyślać, że pani Łupinkowska nie była dlań okrutną; w Paryżu bawił się bardzo umiarkowanie; coś go pchało z powrotem do Janków, coś, czego nie chciało mu się nazwać po imieniu. Ten stan, zbyt jeszcze spokojny, żeby mu nadać znaczenie wyrzutów sumienia, a zanadto niewygodny, żeby mógł się stać normalnym; ten cichy spór raczej, niż szamotanie się między niezdecydowanym samolubem, a niewyraźnie zakochanym, przedstawiony jest przez Kosiakiewicza subtelnemi półtonami. Kiedy na uroczystą prośbę o rękę Janinki, przy pierwszym z nią po powrocie spotkaniu, Piasecki dostaje odkosza, doznał niby pewnego zadowolenia, jak człowiek, któremu udało się spełnić obowiązek bez narażenia swobody. Ale ukontentowanie trwa niedługo, a niepokój powraca na wieść o wyjeździe dziewczyny, która instynktem kobiecym odgadła, że nie serce podyktowało Piaseckiemu jego propozycję.

Janinka pojechała do Warszawy zdać egzamin na nauczycielkę wiejską. Nie lękajmy się—Kosiakiewicz ma poczucie smaku i nie zaprezentuje nam jednego więcej literackiego egzemplarza bohaterki społecznej. Dziewczyna zdaje egzamin, bo jej źle u swoich, bo

może się domyśla roli, jaką jęj przeznaczono; pracuje nie dla apostołstwa, tylko w widokach własnej niezależności — a uzyskawszy ją, wraca. Tęgo powrotu pan inżynier doczekać się nie mógł, tak mu pilno było powtórzyć swoje oświadczenia i choćby przebojem zdobyć tę rączkę, której mu odmówiono. Kocha — czuje to i już to sam sobie otwarcie mówi; kochanek zwyciężył w nim bez walki, jeżeli bowiem egoizmu miał tylko na swoją potrzebę, to i miłości posiada w sam raz, żeby mu wystarczyło. Więcej walczy z sobą Janina — bo to charakter, i jęj kapitulacja jest rzeczywiście tryumfem serca, nie bezwładności. Poprzedza to zwycięztwo bardzo ładna scena, w której zakochani, przeczuwający już, że muszą do siebie należeć, jadą na lokomotywie.

Lokomotywa, „zwierzę ciężkie i nieruchawe, blyszczące świeżym lakierem“, próbuje dopiero sił swoich i posuwa się ostrożnie przez krajobraz zimowy, smutny i jednostajny. Las na prawo, las na lewo, las w głębi, w ulicy zaś, z drzew ogołoconej, wszędzie śnieg leżał, pokrywający wszystko dokoła: trawy i krzewy, zarówno jak rowy i nasyppy, piękność dzieł boskich i sztukę z takim mozolem dokonanych dzieł ludzkich. Widać było tylko tor, dwie nici czarne bez początku i końca, które tęj pustce i samotni mówiły o świecie innym, dalszym, dalekim. O takim świecie marzyło tęż dwoje przypadkowych na maszynie podróżnych. Tymczasem pociąg dostał się na pochyłość i zbiegać zaczął szybko, chwiejąc się to na prawo, to na lewo. Janina zachwiała się raz i drugi, co widząc, Piasecki podał jęj ramię. „Niech pani będzie łaskawa oprzeć się o mnie“, rzekł — i Janina usłuchała. Jechali dalej w milczeniu. On trzymał jęj ramię przy swoim boku, przy każdym przechyleniu się pędzącego parowozu czując silniejszy nacisk jęj drogięj rączki. Czuł doskonale, iż nigdy w życiu szczęśliwszym nie był, jak w tęj chwili. Ona trochę bała się tęj jazdy, nie mówiła nic przecież, oddając się wrażeniom tak nowej dla siebie podróży i czując, jak ją podtrzymuje ramię, które przedstawia oparcie silne i godne zaufania. Kiedy, zostawiwszy Janinę u wuja, Piasecki siadł z powrotem na maszynę, odrzucił z piersi futro. Czuł wiosnę na świecie.

Podobnego uczucia doznaje czytelnik, zamykając książkę. Przeczytał tom, w ciągu którego przesunęło się kilka widoków natury dość codziennęj, trochę ludzi powszednich, nieco wypadków zupełnie zwyczajnych, i przywiązał się prawie do tęj przyrody prostęj, do tych figur, widzianych ledwie przez chwilę, a wypadki nie znudziły go, mimo braku w nich wszelkięj komplikacyi. Przy całej powściągliwości charakterystyki, czytający poznał odrębny świeatek, do którego zaprezentowania autor nie potrzebował ani zapożyczać uczuć od Tro-

glodytów, ani posługiwać się sprężynami kryminalnej reporteryi. Ludzie jego nie są doskonali, ani też nie budzą dreszczu zbrodniczych niespodzianek. Czy śpi w nich „zwierzę“?—nikt się o to nie troszczy. Być może, iż egoistyczne instynkta Piaseckiego mają w sobie coś zoologicznego; zapewne, że pani „Jula“, godząca troskliwość dla męża ze względami dla inżyniera i z dobrocią dla hrabiego, może dać do myślenia; kto wie, do czego byłby zdolny Orchocki, jeżeli mógł przeznaczyć własną siostrzenicę na ofiarę inżynierowi; trudno wreszcie ręczyć za Sanockiego, gdyby tak zobaczył na lokomotywie ukochaną Janinkę ze znieawidzonym Piaseckim; ale te wszystkie: „może“, „kto wie“, „prawdopodobnie“, nie tylko że nie szkodzą postaciom i nic im życiowej prawdy nie ujmują, lecz są raczej czynnikami artystycznymi, wprowadzonymi do psychologii, która w sztuce musi również mieć swoją perspektywę, swoje dalsze i bliższe plany.

Jako ostateczne wrażenie, zostaje czytelnikowi pamięć owęj podróży dwojga zakochanych, to jest młodości i miłości, słowem poezyi, dążącej po nowo utorowanej drodze.

*

*

*

Belletrystyka nie ma szczęścia do „posterunków“ społecznych. W powieści Prus postawił rozmiłowanego w ziemi chłopca na „placówce“, z której całe rodziny Ślimaków powędrowały do Brazylii; p. Jeske-Choiński wynalazł nowy posterunek dla bohatera dramatu, i ubrawszy w paryski garnitur współczesnego Uriela Acostę, wydał go na łup sfanatyzowanej tłuszczy żydowskiej. Jest jednak różnica między intencjami obu autorów i stosunkiem ich do przeprowadzonej tezy. Dla Prusa Brazylia była niespodzianką, za którą może mieć słuszną do życia pretensję—bo życie dostarczyło mu przecież wzorów do Ślimaka i dało wiele prawdziwych motywów miłości chłopca do ziemi; tymczasem p. Jeske-Choiński nazwał z góry wyznaczony posterunek „straconym“ i odrazu skazał na ukamienowanie każdego uczciwego wyznawcę starego zakonu, któryby zamarzył o podźwignięciu ciemnej braci na kulturowe wyżyny; Prus widział swego Ślimaka, p. Jeske-Choiński wymyślił swego Proszowskiego. Obaj zrobili sobie przy tém pewną literacką przyjemność: jeden rozpędził Niemców w małym chociaż zakątku kraju, drugi jest głęboko przekonany, że, jak niegdyś pozytywistów, tak teraz żydów zgnębił doszczętnie; tylko że u Prusa po za tezę została śliczna nowella, u p. Jeske-Choińskiego dramat rozleci się w strzępy, jeżeli z tych pięciu dziennikarskich aktów usuniemy... kwestyę.

Zdawałoby się, że od czasów Shyloka i Uriela Acosty, kwestya żydowska powinna była przybrać na scenie kształty, odpowiednie zmieniającym się stosunkom; w gruncie rzeczy dziś, jak za Szekspira, jak za Gutzkowa, dwa są względem niej praktykowane sposoby postępowania: albo się ją chwyta za gardło, albo się z nią obchodzi jak z jajkiem; pośrednie, przedmiotowe stanowisko, mało kto chce czy potrafi zająć, i oprócz Orzeszkowej, nie wiem, czy znaleźlibyśmy na niem choć jeden prawdziwy talent. Pan Jeske-Choiński lubi pierwszy środek, ale aplikuje go z pewną dyplomacją, bo, żeby wykazać, że żydzi składają się z samych Shyloków, wprowadził między nich Uriela Acostę; tym sposobem i wilk jest syt, i koza cała. „O cóż chodzi?—może powieździeć autor—dałem przecież dodatniego żyda; ale w tym motłochu „oszustów, lichwiarzy i koniokradów“ każdy uczciwy człowiek zginąć musi... co było do dowiedzenia“. Naturalnie, że Uriel-Proszowski nie myśli o torowaniu drogi Baruchowi Spinozie ani o przefiltrowaniu judaizmu przez filozoficzną retortę: *tempora mutantur*, i jeżeli w jakiejś żydowskiej mieścinie przypomina się scena z amsterdamskiej synagogi, jeżeli Proszowski, wezwany przed sąd kahału, tłumaczyć się musi rabinowi, to nie z żadnego sekciarskiego odstępstwa, tylko z tego, że drobnym chałaciarzom szachrować przeszkadza. Rzecz zatem ma być jakoby postawioną na gruncie ekonomicznym—tak przynajmniej twierdzi jeden z krytyków, zwracający uwagę na „podścielisko społeczne „Straconego posterunku“, na „owe fale, na których unoszą się zarówno prawdziwe, jak i fikcyjne postacie p. Choińskiego“, i konkludujący, że „szaleniec tylko, albo manekin, wprowadzony przez dramaturga na scenę, nie pojmie, iż zgłodniały tłum wszelkiej rasy i wiary znajdzie dość kamieni na zdruzgotanie apostołów w rodzaju Proszowskiego, dla zmiażdżenia tych, co usiłują go wyrwać z chlebobajnego błota na nieplodne dla nich wyżyny ideału“.

Musiał się bardzo zdziwić szermierz „młodego konserwatyzmu“, dowiedziawszy się, że malując zgraję żydowską w zapadłym prowincjonalnym kącie, myślał o „zgłodniałym tłumie wszelkiej rasy i wiary“. *So tief war es nicht gemeint* i bohaterowi p. Choińskiego chyba nie śniło się o „nieplodnych wyżynach ideału“. Roił sobie w najlepszym razie o obciążeniu współwyznawcom lichwiarskich procentów, co, według jego rozumienia rzeczy, bynajmniej nie mogło pozbawić chleba zgłodniałego tłumu. Pragnął, żeby ten tłum w błocie chleba nie szukał i dawał mu, w zamian za pracę, chleb niezbrukany, czysty; ale takiego właśnie ów motłoch jeść nie chce, bo błoto—to zawsze jego żywioł, specjalnie zaś wtedy, gdy idzie o zatopienie w niem „goja“. Taka jest idea p. Jeske-Choińskiego, zredukowana do najprostszych rysów, wię-

ta ot tak sobie po staremu i postawiona wśród nowej tylko scenery na dawnym gruncie: rasy i religii.

Nowa scenerya ma niby zabarwienie ekonomiczne, o ile zaś teza sama w odmiennym przez to przedstawia się świetle, niech zaświadczy treść w kilku zamknięta słowach.

Henryk Proszowski, syn arendarza z Lachowa, dziedzicznego majątku Lachowskich, wychował się w Paryżu, „widział Europę, Amerykę, Afrykę, bił się nawet w Algierze w legionie cudzoziemców; ale nie łokieć i miarka, jak sam powiada, szły za nim przez kraje i morza, więc też nie liczby i zarobki nakłoniły go do podjęcia, za powrotem do kraju, pracy, która nie przypina nigdy i nigdzie skrzydeł do ramion. Żydem pozostał w silnym przekonaniu, że kto chce na Izrael oddziaływać, powinien stanąć na gruncie właściwym. Kupiectwo jest żywicielem, kierownikiem, początkiem i końcem myśli Izraela, przeto przemówi doń tylko kupiec językiem zrozumiałym. Kupcem jest więc Proszowski między swoimi, lecz kupcem, który założył dom komisy, zakupił prawie wszystkie zboże z okolicy, płaci ceny targowe, daje zaliczki na zwykły procent bankowy, słowem, chce dowieść innowiercom, że żyd może być uczciwym człowiekiem. Pomstują nań za to współwynawcy,—ale czy za to najwięcej? Naturalnie, że jątrzy drobnych chałaciarzy utrata faktornego; wszyscy jednak Fruchtbaummy, Cukerwassery, Postbriefy i Buttermilchy zdają się z pewnym powątpiewaniem spoglądać na kupieckie uzdolnienie swego współzawodnika i kto wie, czy nie mają trochę słuszności? Istotnie Proszowski w swoich inicjatorsko-reformatorskich rozmachach przypomina nieco Wokulskiego z „Lalki“ i jego „handel z cesarstwem“; projektuje niby i robi mnóstwo rzeczy w wielkim stylu — tylko zapominał o takim elementarnym pewniku, że się ryczałtem majątku nie topi w jednym przedsiębiorstwie i nie dopilnował, żeby zaasekurowano owe magazyny zbożowe, które całkowitą jego fortunę pochłonęły. Wdzięczny mu jest zapewne za to p. Choiński, bo ma gotowy piąty akt do swego dramatu, ale sędzę, że małomiejskie kupiectwo więcej lekceważyć musi powiatowego cywilizatora, aniżeli się na niego gniewać.

Wściekłość tłumów, ta prawdziwa, fanatyczna wściekłość, która jednym tchnieniem obala zuchwałego bojownika nienawistnej kultury, inne ma źródło: oto Proszowski odebrał im „goja“, oplątanego już misternie w żydowskie sieci, wyratował zbankrutowanego szlachcica od licytacji, od grożącej mu ruiny. Robi to wprawdzie syn dawnego arendarza przez wdzięczność dla ludzi, którzy się dobrze z jego rodzicami obchodzili; ale wiadomo, że wdzięczność względem „gojów“ jest zbrodnią, bo „goja“ Adonai odlał Żydowi w wieczne posiadanie. Za to więc, że zaprzaniec wyrwał z matni usidlo-

ną już i szamocącą się nadaremnie zdobycz; że, wezwany przed sąd współwyznawców, nie tylko nie poczuł się do winy, ale sam buntowniczo stanął jako oskarżyciel swego ludu; za to, że na swoją stronę przeciwną siostrzenicę miejscowego potentata finansowego; za to wreszcie, że oboje przed sumaryczną sprawiedliwością rozjuszonego motłochu schronili się właśnie do ocalonych przez siebie Lachowskich; za to zginie on, z dymem pójdzie jego majątek i trupem padnie jego kochanka, słowem, runie reformator, zmiażdżony na proch między ambicyą i chciwością Izydora Krongolda, żyda kosmopolitycznie wypolitowanego, sięgającego po szlacheckie gniazdo i wojującego z ukrycia fanatyzmem ciemnej rzeszy; między zazdrością córki jego, Anieli Krongold, która, wyciągnawszy rękę po Proszowskiego, trafia na nieprzebytą przeszkodę, na miłość jego do siostrzenicy Krongolda, Sary; wreszcie między zawziętością hałastry, użytą przez zręczną rękę za ślepe i posłuszne narzędzie.

Głód zatem najmniejszą tu odgrywa rolę, ale natomiast, głównie działającą, wyłączną prawie sprężyną jest rasowa i wyznaniowa nienawiść, i na tej nienawiści zbudował p. Jeske-Choiński sztukę, poczynając sobie w budowie bardzo naiwnie i bez wielkich zachodów. Bohaterowie w jego sztuce dzielą się na dwie kategorie: po jednej stronie stoją charaktery czarne jak smoła, po drugiej ideały białe jak gronostaje; czarnych dostarczyły autorowi pisma humorystyczne, idealów—własna wyobraźnia... niemniej humorystyczna. Uszykowałszy tak przeciwników, rozdzielił między nich role w ten sposób, że pierwsi działają, a drudzy deklamują. Cokolwiek zrobią tamci, jest piekielne, cokolwiek powiedzą ci, jest niebiańskie; powstaje stąd polemika w pięciu aktach, zakończona naturalnie zwycięstwem złego czynu i pogębieniem dobrego frazesu, a wszystko obmyślane jest tak, żeby ten tryumf był sensem moralnym dzieła. I istotnie: nienawiść górą!—takie wrażenie odebrałby czytelnik po ostatniej scenie „Na straconym posterunku“, gdyby mógł w sztuce wziąć cokolwiek na seryo. Ale jak tu nie ruszyć ramionami na tego bohatera gaziarskiego, który, wchłonawszy w siebie za granicą wszystkie pierwiastki cywilizacji chrześcijańskiej, ludzi się, że jest żydem, a do walki z ciemnotą i fanatyzmem przygotował się... przeczytawszy Uriela Acostę? jak poważnie traktować szablonową charakterystykę prowincjonalnej sfery kupieckiej, którą się co niedziela spotyka w „Kuryerze Świątecznym“? jak nie uśmiechnąć się na widok tego szlachcica, tłómaczącego się przed żydowskim kapitalistą, „że nie przez lekkomyślność stracił majątek“, albo na widok tej szlachcianki, błogosławionej przez bohatera za to, że, kiedy był brudnym jeszcze bachurkiem, „całowała go w oczy, włosy, czoło“? jak nie zostać obojętnym

wobec konwencyonalności i bezkrwistości tych figur, z których żadna nie żyje, jakby umyślnie dlatego, żeby to, co ma pozory realnego życia, jeszcze się bardziej krzycząco wydało? jak tu nie zachować się odpornie wobec pustej retoryki sceny w kabale, do tego stopnia zapożyczonej z Gutzkova, że się w niej nawet znalazła heroina z rodziny Judyty? albo wobec melodramatycznego patosu zakończenia na kirkucie żydowskim, gdzie każda scena jest obliczoną na popolite teatralne efekta? Wszystko to wygląda jaskrawo, trywialnie, brzmi fałszywie, a trzyma się jedynie pewną swadą polemiczną autora, zastępującą mu temperament dramaturga; chłód wieje z tej roboty, w której nie odzywa się ani jedna nuta szczerzego uczucia, ani jeden wykrzyk rzetelnej siły dramatycznej, ani jedno westchnienie prawdziwej poezji; w której miłość, nienawiść, rozpacz i apostołstwo przemawiają stylem nastrojonym na ton jednakowo banalny. Ze stanowiska literackiego i artystycznego „Na straconym posterunku“ ma znaczenie tak zwaną „bomby“, która byłaby dobrą dla niedzielnej publiczności, gdyby nie jej intencje społeczne. Co do tego „podścieliska społecznego“ nie chcę określać go bliżej! Niechby mię wyręczył Proszowski, który, żeby odróżnić się od Uriela Acosty, nie palnął sobie w łeb; jeżeli autor chce nas przekonać, że jego bohater żył rzeczywiście, niech się stara z nim spotkać; może ten idealny Żyd przekona go, poparłszy swoje dowodzenia własnym doświadczeniem w kabale, że nie wywłóczy się niezagodzonych antagonizmów społecznych przed sanhedryn zbiorowych namiętności, bo o bezmyślny kamień łatwo, ale o rozumny czyn — bardzo trudno.

W. BOGUSŁAWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Udekorowanie prezydenta rzeczypospolitej francuskiej najwyższym w Rosyji orderem św. Andrzeja nastąpiło w tak niedługim czasie po nieudanej próbie zbliżenia się Niemiec do Francyi, że mimowoli nasuwa zestawienie tych dwóch wydarzeń. Oczywiście, Rossya nie ma tego Francuzom za złe, że, pomimo podróży cesarzowej Fryderykowej do Paryża i pomimo wszelkich innych ponęt, zachowali się odpornie. Ale tak wysokie odznaczenie pierwszego w republice dygnitarza mogło nie być jedynie nagrodą za powściągliwość w tym kierunku; to téż prasa, zarówno francuska, jak zagraniczna, szła dalej i komentowała je, jako dowód istniejącej już ścisłej zażyłości między Francją i Rosyją, albo nawet wprost jako dowód gotowego lub bliskiego zawarcia sojuszu. Czy miała rację w tym względzie, nie wiemy. Możemy jednak określić przystępne dla oka skutki zaszczytu, jaki p. Carnota spotkał. Niemiecko-francuska próba pojednania miała krótką wprawdzie, ale dość skomplikowaną historję, złożoną z trzech części. Najprzód kroki przygotowawcze Niemców spotkały się z dobrém i, zdawało się, do zgody podatném usposobieniem, tak w rządzie francuskim, jak w publiczności, i to hyla część pierwsza. Zachęteni powodzeniem usiłowań próbnych, Niemcy przyspieszyli tempo swoich zabiegów, w następstwie czego scena się zmienia. Francuzi niespodzianie przypominają sobie dawne czasy i dawną do Niemców nienawiść i, zamiast raptownej zgody, następuje zerwanie, uwieńczone przywróceniem złagodzonych już rygorów paszportowych na

granicy francuskiej; to była część druga. Po niej nastąpiła część trzecia, jeśli nie najważniejsza, to z pewnością najciekawsza. Kiedy Niemcy, dość szorstko odepchnięci, cofnęli się za swoje alzackie szaniece, przebąkując o wojnie, zaczęto sobie w Paryżu zadawać pytanie: czy było dobre to, co się stało? I, o dziwo, odpowiedzi nie zgadzały się w treści. Dla jednych odprawa, dana Niemcom, stanowiła szczyt patriotyzmu i mądrości politycznej, inni widzieli w niej tylko szowinizm i polityczną bezmyślność, a echem tych ostatnich stał się jeden z najpopularniejszych we Francyi dzienników „Figaro“, który w kilku artykułach dowodził, że zachowanie się rodaków jego w stosunku do Niemiec nie ma sensu, że należy się zdecydować stanowczo albo na pokój, albo na wojnę, i jeśli się wojny nie pragnie, o trwałym ze zwycięskim sąsiadem pokoju pomyśleć. Nie chcemy wojny, powiada „Figaro“, a zachowujemy się tak, jakbyśmy jej pragnęli. Jakoż, według zdania tego dziennika, choć nie można być pewnym, czy Niemcy zgodziliby się oddać dwie prowincye, zabrane w roku 1871, patriotyczny obowiązek nakazuje nie usuwać się zasadniczo od pokojowych z nimi układów, aby potomni nie mieli prawa powiedzieć o dzisiejszém pokoleniu, że mogło bez rozlewu krwi przywrócić dawne granice ojczyźnie, a nie potrafiło. Za „Figarem“ nie wiele poszło dzienników, inne bowiem, które podzielały jego zdanie, albo nie śmiały wypowiedzieć go otwarcie, albo ograniczyły się do wyrzucania rządowi, że się pozwala terroryzować ulicy w sprawach, dotyczących losów i przyszłości kraju. Niemniej już sam fakt zadęcia w taką dudkę przez jeden wielce rozpowszechniony dziennik nie jest bez znaczenia, gdy się zwłaszcza przyjmie za dobrą monetę zapewnienie jego, że tak samo myśli wielu najpoważniejszych we Francyi ludzi. Jakoż zdarzyło się, że znakomity historyk, Ernest Lavisse, napisał wkrótce potem broszurę o kwestyi alzacko-lotaryńskiej, zabarwioną pojednawczo, i nowe hasło: „*entamer la conversation*“, stało się ogniskiem krystalizacyjnym dla nowych idei, nie na dziś zaraz, ale na przyszłość, w której nadarzyć się może jeszcze raz okazyja pogadania z Niemcami w sposób pokojowy o Alzacyi i Lotaryngii i o zgodzie.

Coby się było dalej stało, można zaledwie zgadywać. Tymczasem jednak następuje udzielenie p. Carnotowi orderu św. Andrzeja, które sprawia wielkie we Francyi wrażenie. Umysty zostały głęboko poruszone, uwaga publiczna zwraca się ku Rossyi, patriotyczna pewność siebie odrazu potężnie wzrasta. Społeczność mówi sobie, że kiedy tak, więc Francya nie jest odosobnioną, więc ma przyjaciół, na których może liczyć. To téż krok ten rządu rossyjskiego zadał daleko potężniejszy cios nadziejom ugodowym niemieckim, niżby to były w stanie uczynić całe legiony Deroulède'ów, trafił bowiem do

przekonania tego decydującego w rzeczach patryotycznych czynnika, którym jest opinia publiczna. Ta ostatnia, wskutek odznaczenia p. Carnota, stanie się dziś mniej przystępną dla pokus ugodowych z Niemcami, niż była kiedykolwiek. Utwierdzi się ona w wierze, że przy pewnym już teraz poparciu zewnętrznym, którego ów order wysoki jest jakby gwarancją, Rzeczpospolita nie potrzebuje się uciekać do niemiłych z Niemcami pertraktacji. Otrzymała ona niejako czek na odbiór zabranych terytoriów w stosownym czasie własnymi siłami. W takich warunkach będą musieli zamilknąć pionierzy ugody, zarówno w prasie, jak w rządzie.

Z tego punktu widzenia uważane, odznaczenie prezydenta Carnota posiada wybitną doniosłość polityczną, niezależnie od pytania, czy jest ono lub nie jest dowodem przymierza. Jest w każdym razie wskazówką ścisłej solidarności politycznej obu państw, tém ważniejszą, że mamy w niej pierwsze jawne i wieczyste stwierdzenie w drodze urzędowej francusko-rossyjskiej przyjaźni. Dotychczas mówiła o niej prasa, obecnie odezwał się rząd cesarski, na którego słowo Francuzi dawno oczekiwali. Czekali długo i może dlatego, że byli trochę znuzeni, zaczęli się zwracać myślą ku idei zgody z Niemcami. Zwrot ten został obecnie zatamowany, jeśli nie na zawsze, to na długo.

Rozumieją to Niemcy, którzy też przyjęli wiadomość o dekoracji prezydenta Rzeczypospolitej tak poważnie, jak na to zasługiwała. Niektórzy uczuli przytém zdwojony żal, że dość jeszcze wcześniej przedsięwzięta próba pojednawcza spełzła na niczym i szukają winnych. „Kreuzzeitung“ po długim, jak widzimy, namyśle, przysłała obecnie do wniosku, że właściwie nie Déroulède, ale sam p. Freycinet był sprawcą agitacji przeciwko udziałowi malarzy francuskich w wystawie, tenże p. Freycinet bowiem chciał wykopać dołek pod kolegą swoim Ribotem, po którym pragnąłby objąć tekę spraw zagranicznych. „Kreuzzeitung“ pozwala sobie na małe prorocstwo i oświadcza, że chwila, w którejby Freycinet dopiął tego celu, byłaby dla pokoju europejskiego fatalną. Być może, iż stawszy się z ministra wojny ministrem spraw zagranicznych, byłby Freycinet wojowniczym ministrem. Właściwie jednak, pokój, niezależnie od osób i od zmian w fotelach ministeryalnych, ani na mgnienie oka nie przestaje być bliskim swojej fatalnej chwili, bez względu na hymny pochwalne, jakie się ku czci jego śpiewa. Ostatnie więc ewolucje w stosunkach międzynarodowych nie mają innego znaczenia nad to, że w dylemacie francusko-niemieckim, brzmiącym: zgoda, albo wojna, oddalając rozwiązanie od pierwszej, zbliżają je ku ostatniej.

Śmierć Windthorsta, dymisya ministra oświaty i wyznań Gosslera, jaskrawe odwrócenie się cesarza Wilhelma od ks. Bismarcka, o którym w dniu narodzin zupełnie zapomniał, nareszcie tego ks. Bismarcka kandydatura poselska i szafowanie bez kontroli funduszami welfickimi — oto, co zajmowało lub zajmuje umysły w Niemczech. Wydarzenia te nie wszystkie są jednej wagi. Zgon przywódcy centrum, którego talentom i charakterowi oddali hołd pośmiertny nawet nieprzyjaciele, zubożył Niemcy o człowieka, jednego z najwybitniejszych, jakiego posiadały, jednego z tych, którzy w epoce ogólnego zamętu pojęć etycznych i politycznych byli w słowie i czynie negacją wszelkiej negacyi, szermierza wielkiego, przez to, że obok rozumu posiadał sumienie, obok talentów prawość, których-to przymiotów jaskrawego rozbratu wzorem jest żyjący jeszcze olbrzym dziejów współczesnych, a wiekuisty przeciwnik Windthorsta — ks. Bismarck. Choć jednak dla przyjaciół nieboszczyka strata to wielka, znajdują niezawodnie pociechę w tém, że zaskoczyła ich w chwili, kiedy mogą już powiedzieć, że wygrali kampanię. Usunięcie Gosslera z urzędu jest niejako przypieczętowaniem zmiany systemu w rządach, która się rozpoczęła dymisją byłego kanclerza i stopniowo potem coraz silniej była akcentowaną. Jeśli jednak zgon pozbawił Windthorsta możności napawania się widokiem tryumfu swoich zasad, ujawniającego się coraz bardziej we wszystkich sferach życia publicznego Prus, oszczędził mu też i tej przykrości, jakaby niezawodnie uczuł, patrząc na coraz niższe staczenie się po pochyłości potężnego niegdyś swego przeciwnika, Bismarcka. Ze stanowiska interesów frakcyjnych nic to nie może szkodzić przeciwnikom Bismarcka, że się ten dyskredytuje. Sumienie narodowe jednak obruszać się musi na widok małości duszy w człowieku, któremu los pozwolił odegrać wielką rolę w historii swojej ojczyzny. Moralna jego historia wchodzi właśnie teraz w okres krytyczny, z powodu wytoczenia na forum sprawy funduszów welfickich, ze skonfiskowanego majątku byłego króla hanowerskiego powstałych, z którymi ks. Bismarck przez lat dwadzieścia robił, co sam chciał, a jest przypuszczenie, że to, co chciał, nie licowało z zasadami prywatnej i publicznej etyki. Miarę wrażenia, jakie sprawiły w publiczności niemieckiej odkrycia w tym przedmiocie, ztąd powziąć można, że poseł Liebknecht, po ukończeniu wakacyi parlamentarnych, ma jakoby wystąpić na sejmie z wnioskiem wytoczenia byłemu kanclerzowi procesu. Że w takich okolicznościach cesarz Wilhelm, dla którego uczciwość nie jest i nigdy zapewne nie będzie wytartym szelągim, przestał dbać o utrzymywanie nawet pozorów dobrego osobistego stosunku z byłym swoim pierwszym ministrem, jest aż nadto zrozumiałe.

W tych dniach zbierze się austriacka rada państwa, w ubiegłym miesiącu wybrana. Co się tycze wyborów owych i wyniku ich, to sytuacja wewnętrzna monarchii rakuskiej była tak jasną po rozwiązaniu poprzedniego parlamentu, że wszystkie niemal przewidywania, wówczas już czynione, z matematyczną niemal ścisłością obecnie się sprawdzają. Większość utworzyła się z lewicy niemieckiej, z koła galicyjskiego oraz z klubu hr. Hohenwarta. Jest to większość, oparta na tymczasowem porozumieniu, które zatém nie zobowiązuje stanowczo uczestników. Uchwali ona budżet i wogóle poprze rząd w załatwieniu niezbędnych do prawidłowego funkcyonowania maszyny państwowej czynności. Przez ten czas zaś wyjaśni się, czy i o ile zawarcie trwałszego paktu między jej uczestnikami okaże się możliwem. Z tych żaden nic nie traci, każdy też na razie nic nie zyskuje. Wszystkie koszta zmiany, zaszłej w stosunkach parlamentarnych, ponoszą Czesi. Już przed dwoma miesiącami było to łatwe do przewidzenia; rzeczywistość atoli przewyższyła wszelkie przewidywania. Po zniknięciu zapelném z widowni staroczechów, naród czeski, reprezentowany przez młodoczechów, nie tylko przestaje wywierać wpływ bezpośredni na sprawy wewnętrzne w państwie, ale nawet swoich własnych interesów nie będzie mógł bronić inaczej, jak tylko przez życzliwe pośrednictwo należących do większości autonomistów. Wylączeni z większości, niedopuszczeni do delegacyi wspólnych, stają się reprezentanci narodu czeskiego w parlamencie czynnikiem, pozbawionym znaczenia. Wobec tego jedno z dwojga: albo naród czeski wszedł na polityczne manowce, albo też tylko wybrał sobie niestosownych, zbłąkanych na manowce, przedstawicieli. Wolelibyśmy przyjąć to ostatnie przypuszczenie, wobec którego otwiera się alternatywa jakiejś rehabilitacyi młodoczechów w oczach innych stronnictw autonomicznych, przez co spadłby z nich ciężący dziś na nich interdykt, albo ich rychłe zejście z widowni, jako żywiołu nieudolnego do dźwigania ciężaru, który wziął na swoje barki. Jakoż koło galicyjskie, nie wchodząc odrazu w stałe przymierze z lewicą, postąpiło tak, jak gdyby chciało dać narodowi czeskiemu i jego reprezentantom czas do rozpatrzenia się w nowych warunkach i przystosowania się do nich; postąpiło tak, jakby chciało powiedzieć, że się nie wyrzeka na zawsze wspólnego z Czechami działania, lecz je tylko uważa za przerwane chwilowo, a nie wyrzeka się, pomimo przykrego położenia, w jakim samo postawione zostało przez dziwne w polityce czeskiej skoki i obroty, i pomimo ucziwój zapłaty, jakaby wziąć mogło za stanowcze przechylenie się ku nieprzyjaciolom Czechów. Od tych ostatnich będzie zależało, czy zrozumieją wskazówkę i skorzystają z niej, lub też czy zmuszą inne grupy byłej prawicy, a w ich liczbie i koło polskie, do zupełnego nieogląda-

nia się na nich i nieliczenia się z nimi. Podczas obecnego prowizoryzmu parlamentarnego żadna wielka krzywda jeszcze stać im się nie może; rządy będą autonomiczne, bo Galicyianie i klub Hohenwarta nie pozwolą, aby były centralistyczne. Czy jednak takie bezpieczeństwo od krzywd mogłoby się dla Czechów przedłużać w nieskończoność, przy takiej, jak obecna, ich pozycji, to wielkie pytanie.

W Sofii zdarzył się doniosły polityczny wypadek: Minister Belczew, idący pod rękę ze Stambułowem, padł ugodzony kulą morderców, którzy mierzyli właściwie w Stambułowa. Wskutek tego zamachu dokonano wielu aresztowań, za bójcy jednak nie zostali dotychczas wykryci.

Ciężka zima, która przez trzy miesiące dręczyła Europę od Urala aż do Kadyxu i Lizbony, nareszcie popłynęła do morza wraz z lodami rzeczniemi. I Wisła splawiła tę dręczycielkę do Gdańska, bez zachowania formalności celnych na dwóch granicach. Wisła wiele się wybacza. Co rok bierze ona sporą daninę w naturze od mieszkańców nadbrzeżnych i nikt jej za to nie zlorzecezy. Stało się to już powinnością, z góry przewidywaną, więc czekamy na klęskę z założenemi rękami i patrzymy na nią przestraszeni, ale nieruchomi, jak przesądny chłop na palącą się od pioruna stodołę, której nie wolno gasić. Gdyby jednak dało się obliczyć, ile były warte chałupy, zasiewy, narzędzia gospodarskie, inwentarz żywy, zapasy produktów rolnych, zabrane przez wodę w ciągu długiego szeregu lat, suma ogólna z pewnością przewyższyłaby koszta, niezbędne dla uregulowania nie tylko koryta Wisły, ale i jej wartkich dopływów. Owo pogodzenie się z losem dziwnie wygląda wobec tryumfów techniki nad największemi trudnościami. Podczas, gdy sobie drwimy z nieprzebytých dawniej łańcuchów gór i siłą pary przesuwamy się nad ich szczytami lub się dostajemy na drugą stronę przez tunele, podczas, gdy już z dobrą wiarą przyjmujemy projekt unieruchomienia piasków Sabary, a po wąskich, małych rzeczkach zachodnio-europejskich pływamy w wygodnych sporych parostatkach, nie dziwiąc się nawet temu udoskonaleniu komunikacji, nasza Wiselka szara nie zna hamulców na swe kaprysy, a skromne statki Fajansa i Górnickiego utykają co parę wiorst na mieliznach szerokiej rzeki. Jacys przedsiębiorcy niemieccy projektują wprowadzenie bezpośredniej komunikacji parostatkowej z Warszawy aż do Gdańska. Nie znają oni chyba niedomagania naszej rzeki i krótkiego kresu żeglugi, a jeśli znają, to może się uzbroją w cierpliwość długoletnią i będą czekali na uregulowanie koryta.

Prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości dojdzie do uregulowania taksy jazdy kolejowej, na warunkach, o wiele dogodniejszych dla publiczności. Przykład dały Węgry, które w roku przeszłym wprowadziły na swoich kolejach taryfy strefowe i tym sposobem uczyniły jazdę przystępniejszą dla ogółu, a sobie przysporzyły zysków, skutkiem ożywienia się ruchu pasażerskiego. Obecnie prywatne koleje austriackie wprowadzają (od 1 Kwietnia) ten sam system. Podział jest taki, iż pierwsze 50 kilometrów obejmuje pięć stref po 10 kilometrów, następnie 30 kilometrów dwie strefy po 15, i mniej więcej w tym stosunku idzie dalszy podział, tak iż po za 200 pierwszymi kilometrami strefy obejmują już po 50 kilometrów. Opłata jednostkowa za kilometr wynosi dla pociągów pocztowych, osobowych i mieszanych w III kl. 1 krajcar, w II kl. 2 kr. w I-jej 3 kr.; w pociągach pośpiesznych o 50% drożej. Tak więc za 16 stref od stacyi Granica do Wiednia opłata biletu III-jej klasy wynosi tylko 4 guldeny, II-jej 8, I-jej 12. Przy biletach strefowych zniesiono dawniejsze prawo bezpłatnego przewozu 25 kilogramów pakunków za jednym biletem osobowym. Natomiast opłata bagażowa wynosi za każde 10 kilogramów i każdy kilometr 0.2 krajcara z oznaczeniem najniższej opłaty na 10 kr. Kto więc zechce wziąć z sobą skromny pakunek 30 kilogramów, zapłaci od Granicy do Wiednia 2 guldeny 25 kr., czyli przeszło połowę wartości biletu III-jej klasy. W tém się kryje największe źródło zysków kolei; dla większości zaś podróżnych, którzy muszą jeździć z pakunkami, taryfa strefowa o wiele będzie droższą od poprzedniej. Zwróciła na to uwagę prasa galicyjska i żąda zniżenia opłaty za bagaż. Za Austryą pójdą wkrótce Niemcy, a więc jest nadzieja, że w niedalekiej przyszłości system taryf strefowych zapanuje w całej Europie, a i prasa russka gorąco już zachęca do téj zmiany. Przyczem zwraca uwagę na wysoką taksę jazdy kolejowej, która ujemnie wpływa na interesa mieszkańców. Skutkiem tego wogóle ruch osobowy na kolejach russkich w stosunku do zachodnio-europejskich jest bardzo słaby. Niedowierzanie nowemu systemowi przypisać należy obawie strat, ale już dziś powinna ona ustąpić wobec świetnych rezultatów na kolejach węgierskich; w Rosyji, przy jéj olbrzymich odległościach, wzrost dochodów byłby jeszcze większy.

Wogóle nie tylko sprawa pasażerska, ale i transport towarów na niektórych kolejach pozostawia wiele do życzenia. Ucierpiała na tém sława zboża z prowincyi czarnoziemnych na główniejszych rynkach zagranicznych. Kupcy dostali zboże zepsute, skutkiem trzymywania go pod gołym niebem i przewozu w wagonach odkrytych.

Dziś opinia tych samych wytwórców zyskała znowu nieco lepszą markę za granicą; starają się oni zawiązać bezpośrednie stosunki z główniejszymi rynkami zbytu na Zachodzie. Jeszcze w roku zeszłym, na zjeździe rolniczym w Kijowie, p. Edward Jełowicki podał projekt w tym przedmiocie, który obecnie w czyn wchodzi. Utworzono odpowiednią komisję i wydelegowano jej członka sekretarza, p. Hanienkę, właściciela ziemskiego z gub. Kijowskiej, do Francyi. Misya uwieńczona została poniekąd pomyślnym skutkiem. Grupa wytwórców, nigdy przedtém nie badająca dokładnie warunków obcych, przychodzi obecnie do przekonania, że otaczanie się pośrednikami i korzystanie z ich mylnych, obrachowanych na własny zysk, wskazówek, może doprowadzić tylko do ruiny. P. Hanienko przywiózł ciekawe wiadomości z Francyi. Przedewszystkiém zbadał interesa i wymagania młynarzy francuskich. Skutkiem przesilenia ogólnoeuropejskiego, tudzież warunków taryfowo-celnych, połączyli się oni w r. 1886 w jeden związek, liczący dziś 2,972 członków. Prócz tego powstało jedenaście mniejszych syndykatów, z których dziewięć zawiązało bezpośrednie stosunki z powyższym związkiem. Stowarzyszenie to chętnie przyjęło propozycję kijowskiego Towarzystwa rolniczego, a kiedy p. H. przywiózł próbki pszenicy, przemysłowcy francuscy kiwali z niedowierzaniem głowami, powątpiewając o prawdziwości pochodzenia jej z Rosyi. Najlepsze zaś gatunki sandomierki uważali dotąd za produkt niemiecki, dlatego, iż jest przywożony morzem z Królewca. Obowiązkiem wytwórców naszych powinno być sprostowanie tych błędnych mniemań, témbardziej, że się nastrecza do tego sposobność wyborna. Młynarze francuscy są to przeważnie przemysłowcy mniejsi, posługujący się kredytem i niemający środków na nabywanie znacznych partyi zboża na zapas. Kupują odpowiednio do eksploatacyi swych młynów. Wynikiem tego jest posługiwanie się spekulantami, którym nie chodzi o jakość towaru, lecz o ilość i terminową dostawę zamówionej partyi; chcąc dotrzymać zobowiązania, mieszają gorsze gatunki do lepszych. Robią to samo spekulanci w Odessie. Tym więc sposobem dobry gatunek pszenicy nigdy nie dojdzie rąk odbiorców zagranicznych. Na bezpośrednim stosunku zyskają i wytwórcy, i odbiorcy. Względnie do cen, panujących na rynku marsylskim, młynarze płacą drogo. Nasi zaś rolnicy, gdyby oddawali pszenicę po cenach marsylskich, jeszczeby zyskali na tém przeciętnie po 14 kop. na pudzie. Ostatecznie można powinszować p. Hanience dobrego wywiązania się z przyjętej misyi. Rezultatem jej było to, iż głośna stara firma „A et R.“ przyjęła generalną agenturę kijowskiego Towarzystwa rolniczego na całą Francję. Przytém zobowiązania bardzo są korzystne dla wytwórców naszych; firma bo-

wiem będzie przyjmowała wyłącznie zboże powyższego Towarzystwa, które ze swęj strony powinno się udawać tylko do jęj pośrednictwa.

Ważnym jest warunkiem odbieranie pszenicy w Odessie przez agenturę, gdzie ta, w miarę odbioru, płacić będzie właścicielom gotówką. Zbytecznym jest dodawać, iż w interesie wytwórców powinno być dostarczanie zboża w dobrym gatunku, bez wszelkich domieszek. Tak więc są już zrobione wszelkie ułatwienia handlowe do tego stopnia, iż Towarzystwu rolniczemu pozostaje pod tym względem jedna tylko czynność—kontrola zboża w Odessie.

Ważną wskazówką dla wytwórców powinno być stanowisko Francyi w dziedzinie handlu i gatunki zboża przez nią poszukiwane. W handlu zbożowym stanowi ona właściwie rynek pośredniczący, z tego powodu jest tam równie znaczny dowóz, jak i wywóz. Północna część kraju poszukuje głównie miękkiej, białej pszenicy, obfitującej w krochmal, i zwraca się po to do Australii, Ameryki, Indyi Wschodnich, najmniej do Niemiec i Rossyi. Tymczasem, według znawców, sandomierka doskonale może współzawodniczyć z ziarnem australijskim. Południowa poszukuje gatunków czerwonych, twardych, które otrzymuje z Rossyi i Ameryki, przyczem do tęg ostatniej większe ma zaufanie. Rolnicy nasi powinni skorzystać z tych wskazówek i uprawiać odpowiednie odmiany. Stosunki zawiązane i zapowiadają się korzystnie, chodzi teraz o ich wyzyskanie. Czy nasi rolnicy spełnią to zadanie w zupełności, trudno przesądzać. Najważniejszym tu warunkiem powinna być rzetelność, któraby ochroniła wytwórców od takiej porażki, jakiej ongi doznali w Paryżu z wędliną źle przyrządzoną. Z góry można przewidzieć, że usiłowanie pojedynczych ziemian w wielu wypadkach może być bez skutku. Wiadomo, jak się oni dziś urządzają ze sprzedażą zboża. Cierpiąc na wieczny brak gotówki, związują się z podagentami większych pośredników, sprzedają im zboże za bezcen, czasem na pniu. Tutaj zaś trzeba będzie dostawić do Odessy i tam dopiero można otrzymać gotówkę od agentury francuskiej; ale pytanie: jakim sposobem większość ziemian zrobi to bez pobrania zaliczeń, które dałyby możność dostawy? Ani mylnarze francuscy, ani agentura generalna zrobić tego nie mogą. Wszelkie więc ułatwienia w tym względie ciężyć powinny na Towarzystwie rolniczym, które się podjęło tak wielkiego zadania. Ponieważ nie rozporządza ono takimi środkami ¹⁾, żeby ogólną dostawę pszenicy wszystkich wytwórców wziąć na siebie, powinno się

¹⁾ Chyba, że przyjdzie tu z pomocą olbrzymi kapitalista, Tereszczenko, który przez Towarzystwo rol. został zaproszony do komitetu wywozowego, w którego skład wchodzi także: E. Jełowicki, E. Mańkowski, G. Zaleski i O. Glinka.

starać o wszelkie możliwe ulgi i ułatwienia. Czy w tym razie nie można wejść w układy z budowanemi obecnie dziewięciu elewatorami na stacyach węzłowych kolei Południowo-Zachodnich. Wszakże, o ile wiemy, elewatory te mają być wzorowane na amerykańskich, a więc będą posiadały charakter banków zbożowych, udzielających znaczne zaliczenia na zboże dostarczane. I tu wytwórca staje się bezpośrednim dostawcą produktu na rynki zagraniczne, a zyskuje wiele na filialnem znaczeniu takich instytucyi, nie potrzebując transportować ziarna na główny rynek krajowy, dla wielu znacznie odległy.

Jak dla rolników gwałtownie jest potrzebna gotówka, najlepszym dowodem są transakcye, zawierane na tegorocznych „kontraktach”. Ziemianie sprzedają znaczne partie pszenicy *przyszłego* urodzaju, a więc na pół roku przed zbiciem. Pod tym względem „kontrakty” tegoroczne, odbywające się w Lutym i Marcu, miały dla wytwórców zbożowych wielkie znaczenie. W ogóle jednak ten wielki jarmark doroczny szlachecko-kupiecki w Kijowie z rokiem każdym słabnie coraz bardziej. Dawniej posiadał on charakter jakiejś uroczystości wspaniałej, był przedmiotem popisów bogactwa, tonu i szyku, dziś jest zwyczajnym tylko jarmarkiem, na którym się obrabiają przeważnie sprawy giełdowo-kupieckie. Skupienie gotówki w rękach kilku wielkich kapitalistów ściąga tam chmary poszukiwaczy pieniędzy. Obok rolników pierwsze miejsce zajmują na zjeździe przedstawiciele przemysłu cukrowego; jednych zaś i drugich pod względem liczebnym przewyższają ogromne zastępy poszukiwaczy posad. Są to gracze ryzykowni, którzy stawiają ostatni grosz zaoszczędzony po to, aby odjechać z niczem. Różnorodne to i różnobarwne tłumy rozbitków losowych, niewybrednych w poszukiwaniu pracy. Są między nimi ludzie o elementarném i uniwersyteckim wykształceniu, młodzi i starzy, sterani niepowodzeniem, nad grobem stojący. Wszyscy jadą z nadzieją zdobycia jakiej takiej posady, a wracają zgoryczeni i zrozpaczeni. Bardzo niewielki procent jest szczęśliwych graczy. Na kontraktach i zjazdach rolniczych o wielu nieraz rzeczach radzono, najmniej o położeniu oficyalistów wiejskich. Jeśli się nie mylimy, rok temu trochę więcej o nich rozprawiano, ale się tylko na dobrych chęciach skończyło. Ktoś wspominał o pośrednictwie w pracy. Najodpowiedniejsza to byłaby rola dla Towarzystw rolniczych, jako biur centralnych, do których właściciele ziemscy nadsyłaliby dane o ludziach poszukujących pracy i o ich uzdolnieniach. Wogóle ujęcie tej sprawy w karby jakiejś organizacyi stałej bardzo byłoby pożądaniem, zarówno względem oficyalistów, jak i robotników wiejskich. Byłoby to załatwieniem przynajmniej części kwestyi, t. j. pomocą w wyszu-

kiwaniu pracy. Drugą zasadniczą stroną sprawy jest położenie materialne tych, którzy już zdobyli sobie pracę i — zapewnienie bytu w razie starości lub kalectwa. Przed trzema laty przedmiot ten obudził szersze zainteresowanie, dzięki konkursowi, ogłoszonemu przez studentów Instytutu rolniczego w Nowej-Aleksandryi (Puławach), którego owocem pozostała ku wiecznej pamięci broszurka p. Zdziarskiego, zawierająca sporo faktów i wniosków, godnych zastosowania w praktyce. Na tém się skończyło. Jedną trzeba tylko oddać sprawiedliwość, że się u nas o tych sprawach od czasu do czasu sporo mówi w gazetach i przeżuwa się różnorodne projekty. Gdy nie można robić, trzeba wzdychać; a dlaczego nie można robić, o tem znowu dużoby się dało powiedzieć. Jedną z klęsk wszelkiego rodzaju pracowników wiejskich i miejskich jest lichwa, jako wynik niedostatecznych środków utrzymania. Rozrosła się ona już dziś do tego stopnia, że wiele jej ofiar nie zdołałoby uratować nawet podwojenie płacy. Ze walka jednak z tą klęską może być skuteczną przynajmniej w pojedynczych instytucjach, dowiódł tego p. Stanisław Skarżyński, radca komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Dzięki usilnym staraniom, projekt jego doraźnej pomocy pracownikom tej instytucji przez wyasygnowanie 50,000 rs. na spłatę długów lichwiarskich, uzyskał już zatwierdzenie. Pożyczki mają być udzielane w stosunku rocznej pensji, ze spłatą ratami w ciągu lat dziesięciu. Projekt inicjatora uzupełniono w ten sposób, że dla pewności zwrotu za każdego kolegę solidarnie poręczają wszyscy pracownicy biura. Godnym uwagi jest zastrzeżenie, że z pożyczki nie mogą korzystać jedynie urzędnicy, którzy ukończyli 30 lat służby, ze względu, „że zwrot sumy oznaczonym jest na lat 10, a wysłużenie całkowitej emerytury sięga lat 40-tu“. Czyż dla tej kategorii pracowników nie można obmyślić innego rodzaju spłaty, albo też przelać amortyzacyi na emeryturę? Wyłączenie takie ludzi, którzy trzydzieści lat spędzili na ciężkiej pracy, jest wielce niesprawiedliwem i trudno przypuszczać, iżby ten punkt przy ostatecznej redakcyi pozostał w takiej formie, w jakiej jest obecnie.

Na usunięcie lichwy wśród włościan nie znaleziono dotąd środka, a jest ona straszną i odbywa się bezkarnie przez lat dziesiątki. Kto się zbliża przyglądał chłopom naszym, nieraz miał sposobność widzieć wśród nich tak zwanych *zjadaczów* braci własnych: ciesząc się wyjątkową zamożnością, pożyczają oni sąsiadom pieniędzy z warunkiem pobierania procentu w naturze. Tym sposobem stopniowo zagarniają zbiory, a potem stają się panami gruntu dłużnika i w końcu zupełnie go wydziedziczają. Taki typ lichwiarzy, przyczyniający się

do wytwarzania włościan bezrolnych, jest u nas, niestety, dość rozpowszechniony, obok licznych zastępów innego gatunku wyzyskiwaczy. Skutkiem takich warunków daje się zauważyć ciekawy objaw w gospodarstwie włościańskim: z jednej strony wzrastają obszary zabiegliwych, sprytnych, korzystających z ciemnoty i niedołęztwa sąsiadów, z drugiej — podziały w łonie rodziny, dochodzące do paromorgowych przestrzeni (pomimo normy prawnej, której przekroczyć nie wolno), w większości wypadków prowadzą do wydziedziczenia. Tam, gdzie niema zamięłowania do uprawiania rozmaitych gałęzi drobnego przemysłu wiejskiego, fakty takie są częstsze. Wobec tego przykładną należy p. Edmundowi Jankowskiemu, który podał projekt udzielania nagród za dobre prowadzenie ogrodów włościańskich. Zadanie to ma przyjąć na siebie Towarzystwo ogrodnicze i nie powinno zwlekać z wprowadzeniem go w czyn. Sprawy takie są zawsze pilne, a dziś, jak słusznie zauważył inicjator, nadarza się po temu chwila odpowiedniejsza niż kiedy bądź; dziś szczególnie trzeba użyć skutecznych środków, przywiązujących lud do roli. Jest jedna tylko obawa, że projekt piękny przez czas dłuższy pozostanie tylko pobożnym życzeniem, z powodu skromnych funduszy instytucji. Nie chodzi tu o nagrody pieniężne; o wiele skuteczniejszym być może udzielanie sadzonek i wszelkich środków w naturze, potrzebnych do wzorowego prowadzenia ogrodów. Dziś jeszcze Towarzystwo nie posiada własnego ogrodu, nie może więc natychmiast rozwinąć działania w kierunku pomocy dla włościan. Przedewszystkiem więc powinno się zająć wzmocnieniem własnych środków.

W W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, pomimo bardzo nieprzyjaznych warunków, własność włościańska na trwalszych stoi podstawach, niż szlachecka, i odznacza się większą odpornością na nacisk kolonizacji niemieckiej. Według ostatnich wykazów, komisja kolonizacyjna do końca r. 1890 ogółem zakupiła 82 większe majątki, obejmujące 48,666 hektarów, za 29,376,916 mar. 20 fen., i—32 zagrody włościańskie, obejmujące 1,334 hektarów, za 904,294 mar. 80 fen. Przypatrzmy się trochę rezultatom działalności tej wielkiej instytucji, gdyż są one bardzo ciekawe. Na wstępie sprawozdania komisja uskarża się, iż rok ubiegły był wielce dla niej niepomyślnym pod względem gospodarczym, do czego się przyczyniły klęski elementarne. Kulą u nogi dla komisji są majątki, pozostające „w okresie przygotowawczym do kolonizacji“, (administrowane według systemu dawnych właścicieli). Dwadzieścia majątków tej kategorii przyniosło straty ogółem 109,995 mar. 55 fen. Suma ta nie obejmuje procentów od kapitału, wydanego na zakupno. Włącznie z niemi

straty wynoszą 503,195 marek 55 fen. Nie wielką pociechę dla komisji przyniosły także 24 majątki drugiej kategorii, „znajdujące się w stadium kolonizacji“. Przyczyniły one wydatków skarbowi państwa 364,000 marek. Trzecia kategoria, majątki zakupione w r. 1889/90, za rok gospodarki od 1-go lipca r. 1889 do tejże daty r. 1890, przyniosły straty przeszło 55,900 marek. Tak więc rezultatem finansowym gospodarstwa komisji kolonizacyjnej jest 873,000 marek czystej straty pruskiego skarbu państwa. Dodajmy do tego etat komisji, której wydatki wynoszą 206,000 marek rocznie, a otrzymamy pokaźną sumę 1,080,000 marek, straconych w r. z. na cele kolonizacyjne w Poznańskiem. P. A. Donimirski w „Niwie“ przypuszcza, iż suma ta w rzeczywistości jest jeszcze większą. Jeszcze są ciekawsze rezultaty kolonizacji pod względem germanizacyjnym. Dotychczas osiedlono razem 690 rodzin kolonistów, z tych wszakże 183 pochodzą z Poznańskiego, 150 z Prus Zachodnich; tak więc 333 rodziny nie stanowią przyrostu ludności niemieckiej w tych prowincjach. Dalej 11 pochodzi z Prus Wschodnich, 78 ze Szląska, czyli także z prowincyi, zamieszkałych przez ludność mieszaną, stanowią więc one tam ubytek ludności niemieckiej. Po strąceniu powyższych 424 rodzin z ogólnej liczby 690, pozostaje tylko 266 rodzin z zachodnich krajów niemieckich. Dla takiej szczupłej garstki, wzmacniającej germanizację w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, stracono cztery lata zabiegów i kilka milionów marek. Widzą jasno tę bezowocność wielkiego dzieła wyższe sfery rządowe i są usposobione do zmiany chora gwiazki.

Zdaje się, że i sprawa szkolna wchodzi w pomyślniejszy okres dla ludności polskiej w Poznańskiem. Za czasów Gosslera prowadzony był system *wsiąkania*, czyli przesiedlania nauczycieli, urodzonych w Poznańskiem i na Szląsku, w okolice czysto niemieckie, i naodwrot. Nauczyciel niemiec, przybywający do prowincyi słowiańskich, nie umiając wcale po polsku, miał zmuszać dzieci do przyswajania mowy niemieckiej, Polak zaś, wysiedlony do kraju czysto niemieckiego, powinien był się wynarodowić. Tymczasem zawód! Dzieci polskie nie nauczyły się wcale po niemiecku, po polsku zaś nie umieją czytać i pisać. Dzięki więc niefortunnej próbie germanizacji w zakresie oświaty, wzrosła liczba analfabetów. Trzeba było jakoś temu zapobiedz nieznacznie. W tym celu dano nauczycielom prywatnie do zrozumienia, że, jeśli życzą powrotu do stron rodzinnych, znajdą poparcie w Berlinie. Jakoż powoli zaczynają już wracać, a prasa miejscowa cieszy się z tego faktu, widząc w nim zaniechanie germanizacji. Ileż-to minęło już takich przeblysków nadziei! I w tym wy-

padku pesymiści upatrują tylko chęć pozbycia się analfabetów z armii. Pod względem systemu szkolnego, w opinii niemieckiej odbywa się na korzyść ludności polskiej pewien przełom, ale tylko idealny. Posłowie poznańscy, Cegielski i Dziembowski, niedawno, podczas obrad parlamentarnych, skorzystali ze sposobności, podając wniosek, iżby dla prowincyi polskich język wykładowy w szkołach był polski. Pomimo ogólnego zawieszenia kwestyi szkolnej, z powodu nowego projektu przekształcenia odpowiedniego prawa, wnioskodawcy zostali przyjęci względnie dość przychylnie. Uznano powszechnie pedagogiczną słuszność ich żądań, które nawet doczekały się poparcia... teoretycznego ze strony jednego z głównych działaczy niemieckich z Poznńskiego, barona Unruhe-Bomst. Najcharakterystyczniejszém jest to, że skłonność do ustępstw na rzecz języka polskiego wynika z walki z socjalizmem. Ponieważ przekonano się, że socjaliści w agitacyi swojej posługują się językiem polskim, zaś kontragitacya w niemieckim pozostaje bez skutku, należy więc dla przeciwdziałania stanąć na gruncie przystępniejszym. Ciągłe alarmowanie w tym kierunku wpływa na ożywienie kwestyi języka polskiego w szkole: ze Szląska np. ciągle się rozchodzą wieści, że socjalizm, zasiewany w polskim języku, kiełkuje na dobre, że usiłowania antysocjalistycznego „Verein für das Katholische Deutschland“ poszły na marne, gdyż pism i broszur tego stowarzyszenia ludność polska czytać nie chce. Wobec tego „Gazeta Toruńska“ wystąpiła przeciw ściąganiu składek na tę instytucję jałową. Agitacya socjalistyczna najobfitsze owoce wydała na Górnym Szląsku, w obwodzie przemysłowym, w powiatach: tarnogórskim, bytomskim, zaberskim, katowickim i rybnickim. Że lud robotczy w kopalniach tamtejszych, fabrykach i hutach, ma powody do niezadowolienia, przyznają to nawet ludzie najmniej skłonni do ustępstw pod tym względem. Według danych statystyki urzędowej, robotnicy górnoszląscy, w porównaniu do innych prowincyi niemieckich, najdłużej pracują, a najmniej zarabiają. Jeden z korespondentów wrocławskich łatwe zaszczepianie się socjalizmu wśród robotników tamtejszych przypisuje także przyczynom moralnym: germanizacyi przez urzędy, sądy, szkołę, i — dziwnie niejasne stanowisko władzy kościelnej względem sprawy językowej. „Lud nie wierzy rządowi — powiada korespondent — i z natury jest podejrzliwy; wszystko, co tylko w jakim-bądź stopniu z rządem stoi w styczności, uchodzi w jego oczach za narzędzie niemczenia. Nie ma chłop nasz ufności do urzędów, sądów, do szkoły, a ponieważ trwa to już długie lata, władza przeto wszelka nie cieszy się tém, co stanowi jęj istotę i powagę bez zmayı. Lud całkiem także nie wierzy duchowieństwu. Od czasu gdy nastąpił *aditus ad pacem* w stosunkach kościelno-politycznych w Niemczech,

zszarzała się i zaciemniła poprawna i wzorowa postawa duchowieństwa górnoszląskiego, mianowicie względem ludu“.

Po za rozmiarami zarobków i godzinami pracy, ważną kwestyą i zawsze na dobie są warunki zdrowotne ludności roboczej, a więc jej mieszkania. Sprawa ta od lat kilkudziesięciu za granicą posuwa się naprzód w czynię; u nas także *mówiono* o niej jeszcze przed laty 40-tu ¹⁾, a zrobiono dotąd bardzo niewiele. W r. 1862 kółko ludzi „dobrej woli“ zawiązało spółkę budowy domów dla robotników i rzemieślników, z kapitałem, wynoszącym 93,150 rs. Wybudowała ona dwa duże domy na rogu ulicy Czerniakowskiej i Szarzej, następnie jeden na Sienniej i Pańskiej; ten ostatni sprzedała z zyskiem. Dziś spółka posiada trzy domy i cztery place. Jakież pożytek przyniosła ludności ubogiej? Kamienice te zbliżone są do typu wielu innych domów w Warszawie, brudnych, zaniedbanych; lokatorowie nie mogą wyjednać uwzględnienia najniezbędniejszych swych potrzeb; o odświeżaniu izb niema i mowy; komorne regulowane jest miesięcznie, chociaż dla ubogiej ludności roboczej o wiele korzystniejsze byłoby ściąganie opłaty tygodniowo. P. Adolf Suligowski, który dobrze zbadał stan spółki, twierdzi ²⁾, że strona ekonomiczna interesu rozwinęła się bardzo pomyślnie. A jednak, pomimo to, wspólnicy usiłują pozbyć się nieruchomości. Zdumiewający to fakt zniechęcenia po dwudziestu kilku latach pomyślnego rozwoju przedsiębiorstwa! Tyle tylko korzyści z owego doświadczenia na naszym gruncie, że budowa domów dla ubogiej warstwy ludności przedstawia u nas dobry interes, który powinien zachęcić do czynu kapitalistów, zajmujących się obcinaniem kuponów. Należałoby tylko nie traktować tej sprawy wyłącznie, jako interesu dobrze procentującego, ale obok tej strony podstawowej położyć większy nacisk na administrację, na uwzględnienie potrzeb lokatorów i na stronę zdrowotną. P. Suligowski do przyczyn zniechęcenia wspólników zaliczył zamknięcie działalności spółki z góry przez kontrakt w granicach 150,000 rs. Jeśli kiedy u nas powstaną takie przedsiębiorstwa, członkowie ich powinni zwrócić uwagę na tę okoliczność i otwierać zawsze jak największy wstęp dla nowych wspólników i nowych kapitałów. W r. 1873 z inicjatywy dwóch budowniczych powstała myśl założenia towarzystwa dla wykonywania rozmaitych robót budowlanych w Warszawie i gub. warszawskiej. Ustawa otrzymała już zatwierdzenie rządu i obejmowała bardzo sze-

¹⁾ Początek dała „Biblioteka Warszawska“, drukując w r. 1849 tłumaczoną z francuskiego rozprawkę o mieszkaniach dla robotników.

²⁾ „Kwestya mieszkań“. Warszawa, r. 1889.

roki zakres działalności, ale z charakterem czysto spekulacyjnym. Sprawy mieszkań dla niezamożnych bezpośrednio ustawa wcale nie poruszyła. Projekt runął, jak wiele innych, z powodu wymagania zapisu wielkiej ilości akcji w ciągu sześciu miesięcy, pod rygorem rozwiązania. Rozumie się, zapisy nie dosięgły pożądaną skalę i projekt upadł raz na zawsze. Po za tćm, są u nas pojedyncze fakty urządzania przez niektórych przemysłowców wzorowych mieszkań dla swych robotników; chodziły także niedawno pogłoski o nowćm jakićmś przedsięwzięciu budowlanćm. Jako objaw zainteresowania się mieszkaniem ubogić ludności, jest odbyta w ubiegłym miesiącu tak zwana ankieta mieszkaniowa. Szkoda tylko, że to się zrobiło dość powierzchownie; na szematach przekreślono bardzo ważną rubrykę — wymiar mieszkań, który przecież powinien być ważną wskazówką w zestawieniu z liczbą osób, zamieszkujących szczupłe lokale. Pominęto ów szczegół dlatego, żeby nie robić trudności lokatorom. Ale skoro rewizyi podjęła się pewna liczba młodzieży bezinteresownie, nie szćdząc czasu drogiego, można byłoby część obowiązku włożyć na gospodarzy mieszkań, mianowicie dokonanie wymiaru, który przecież nie jest znowu tak trudną rzeczą. Drugą omyłką w tćj robocie było pominićcie ekspertów niezbćdnych, jak budowniczych i inżynierów. Zaledwie kilku doktorów figurowało na liście komisyi. Zarówno w rzeczach przygotowawczych, jak i w samćj budowie i urządzaniu domów dla robotników i w ogóle ubogić ludności, powinniśmy brać przykład z doświadczonego w tym wzglćdzie Zachodu.

W Anglii towarzystwa budowlane szybko urosły i rozwinęły ogromną działalność, dzięki żywemu udziałowi całego społeczeństwa, szczególnie klasy zamożnej. Najstarsze towarzystwo, powstałe w r. 1841, rozporządza kapitałem 186,325 f. i dziś posiada znaczną ilość domów z wzorowymi mieszkaniem, w których mieszka 1,443 rodzin robotniczych, złożonych z 7,165 osób. Inne towarzystwo: „Improved industrial dwelling Company“, założone w r. 1863, z pierwotnym funduszem 50 tysięcy f. szt., dziś ma kapitału około 500,000 i dostarcza zdrowych mieszkań dla 24,000 osób. Nadto istnieją towarzystwa, urządzające domy i mieszkania dla warstwy najbiedniejszej. Mićdzy innymi największą działalnością się odznacza: „Artizans, Labourer's and General Dwellings Company“, budujące drobne domki w okolicach podmiejskich. Rozpoczęła działanie z funduszem 250 tys. f. szt., dzisiaj zaś posiada już 1,750,000. Do r. 1885 pobudowało ono 6,200 domków. Zawiązywanie się takich towarzystw z początku przyjęto z nieufnością i nie wrócono im powodzenia, ze względu, iż komorne od nćdzarzy jest bardzo niepewne. Tymczasem ani jedno z nich do-

ąd się nie zachwiała i ani jedno nie daje mniejszego procentu, jak 5%. Rozumie się, że zrazu był cel tylko filantropijny, z czasem jednak liczba takich przedsiębiorstw zaczęła wzrastać, a niektóre z nich znane są nawet z wyzysku i niedbalstwa względem lokatorów. Istnieją jeszcze stowarzyszenia robotnicze dla budowy domów „building societys“, w których biorą udział sami tylko robotnicy. Z drobnych wkładów miesięcznych powstaje fundusz pożyczkowy na kupno lub budowę domów dla członków. Stowarzyszenia takie ogromnie się rozpowszechniają; w r. 1871 liczono ich w całej Anglii około 2,000. Z tych 1,024 ogłosiły rezultaty działalności i wykazały ogółem 212.000 członków. Dzięki takiej działalności społecznej, ceny mieszkań mniejszych w Londynie znacznie są niższe, niż w Warszawie. We Francji ruch w tym kierunku jest mniejszy, ale również zasługuje na uwagę. W Paryżu Jouffroy Renault zbudował 96 domów dla robotników, de Madre — 85, w których mieszka 7,000 ludzi, i Blondel — 20. Nie zaspiają tej sprawy także większe miasta prowincjonalne. Z towarzystw budowlanych, które względnie są nieliczne, zasługuje na uwagę „Société anonyme des habitations ouvrières de Passy Auteuil“. W Niemczech panuje ruch we wszystkich powyższych kierunkach, chociaż nie zawsze z takim, jak w Anglii, powodzeniem. To samo ożywienie w mniejszych lub większych rozmiarach widzimy w Austrii, Belgii, Holandyi, Danii, Szwajcaryi, Szwecyi i Norwegii. W Kopenhadze stowarzyszenie, założone w r. 1865 przez 230 robotników fabryki maszyn, w rezultatach działalności prześcigło nawet angielskie. Zaczynając z bardzo małemi środkami, po ośmnastoletniej działalności, wybudowano lub przyczyniono się do wzniesienia około 500 domków robotniczych. Stany Zjednoczone pod względem zabiegów w tym zakresie nie ustępują Anglii, a nawet ją prześcigają w niektórych urzędzeniach i pomysłach. W Filadelfii, liczącej 800,000 mieszkańców, stowarzyszenia ułatwiły 50,000 ludzi ubogich posiadanie własnych domków.

My od takich udogodnień dla warstw pracujących jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. W każdym jednak razie najslabsze objawy w tym kierunku miło jest powitać. Miejmy nadzieję, że ankieta mieszkaniowa w Warszawie jest wstępem do jakichś robót. Nie wywoła ona zawiązywania towarzystw na wzór zagranicy, ale przynajmniej wpłynie na stworzenie środków zaradczych w kierunku udoskonalenia mieszkań istniejących. I w tym względzie powinniśmy się udać po wzór do Anglii. Wielkie tam zasługi na tém polu położyły kobiety, dzięki inicjatywie energicznej mis Oktawii Hill. Nabywa ona domy zaniedbane, urządza w nich mieszkania możliwie zdrowe i dogodne

i wynajmuje ludziom ubogim. Przedsiębiorstwo tej kobiety wydało zdumiewające rezultaty. Po dwudziestokilkoletniej działalności, są środki nie tylko na udogodnienia w lokalach, ale nawet na czytelnie i udzielanie zapomóg w razie wielkiej biedy. Dodajmy, że wszystko to się robi za pożyczone pieniądze, pomimo opłacania 5% wierzycielom. Dzięki temu, w 57 budynkach mieszka wygodnie około 12 tysięcy osób. Dzielna mis Hill wciągnęła do tej działalności bardzo wiele kobiet, które nieocenione usługi oddają ludności ubogiej. W Londynie istnieje stowarzyszenie pod nazwą: „Ladies sanitary association“, opiekujące się niezamożną ludnością. W tym celu powstało jeszcze kilka innych stowarzyszeń.

Nie potrzeba dowodzić, iż grzeszymy brakiem energicznej inicjatywy i tchórzliwością w lokowaniu kapitałów. Gdyby jakaś siła usunęła te przeszkody, znaleźlibyśmy bardzo dobry grunt do działalności w powyższym zakresie. Zdaniem naszym, najłatwiejszym byłoby nabywanie domków zaniedbanych, lub budowanie nowych w okolicach podmiejskich, na co wystarczyć mogą skromniejsze środki. Ale mieszkanie w tak odległych miejscowościach jest niemożliwe dla robotników, pracujących w środku miasta. I tu więc należałoby wziąć przykład z innych, — uprzystępnąć komunikację tramwajową dla ludności robotniczej, której potrzeby tego rodzaju wcale nie są u nas uwzględniane, czego najlepszym jest dowodem brak dotąd linii tramwajowych na Solcu, Książęcej, Czerniakowskiej i innych dzielnicach fabrycznych.

Na działalność filantropijną nie możemy narzekać; jest ona u nas dość rozwinięta, tylko brak nam często zrozumienia potrzeb. Ztąd pochodzi załatwianie spraw mniej pilnych obok zupełnego zaniedbania niedomagań społecznych, które należałoby jaknajrychlej usunąć. Nieraz mieliśmy już przykłady, że się znajdują nawet *setki tysięcy* rubli ryczałtowo na cele filantropijne. Znalazły się także pieniądze dość znaczne na podróż ks. Chełmickiego i Glinki do Brazylii, w celu przywiezienia do kraju garstki wychodźców, a pozostałym — udzielenia pociechy moralnej. Wiadomo, jak wielkie wrażenie robi na naszym ludzie sutana, można więc sobie wyobrazić, jak ona podziąła w położeniu wyjątkowem, na znękanych, wśród obcych żywiołów i obcych warunków, ludzi, pozbawionych opieki materyalnej i moralnej. Jeśli wieść, przesłana z Bremy telegraficznie przez nowych delegatów, oparta jest na pewnych podstawach, wychodztwo do Brazylii musi ustać zupełnie. Wiadomość głosi, iż rząd brazylijski wydał przepisy, wstrzymujące zupełnie napływ polskich emigrantów. Skutkiem tego „Lloyd“ przestał ładować oczekujących w Bremie wy-

chodzców na swoje statki. Mniej więcej związaną jest także z wychodztwem wyprawa d-ra J. Siemiradzkiego do Argentyny. Ma ona na celu badania ekonomiczne i przyrodnicze. Z inicjatorem wyjeżdżają w Maju jako uczestnicy: pp. Antoni Hempel z Płockiego i Mieczysław Korwin z Sanockiego; później na gruncie amerykańskim przyłączy się brat inicjatora, Konstanty. W Rio Janeiro z polecenia Towarzystwa Św. Rafała, opiekującego się wychodźcami katolickimi, dr. Siemiradzki wyszukać ma osobę potrzebną na zamianowanie jej agentem Towarzystwa na Brazylię. Dotąd bowiem posiada ono przedstawiciela zaufanego tylko w Rio Grande do Sul i w Buenos Ayres. Dalej wyprawa zwiedzi plantacje kawy w prowincyi San Paulo, kolonie polskie w Paranie, tudzież ważniejsze kolonie rolnicze w prowincyi Rio Grande do Sul. S-ta Catarina będzie pominięta, gdyż wyczerpujące o niej dane zawierają badania niemieckie. W Październiku wyprawa ma nadzieję dotrzeć do Buenos Ayres, skąd przez stepy uda się karawaną do prowincyi Neuqueu w Rio Negro, gdzie podobno najbardziej napływa ludność rolnicza od granicy chilijskiej. W Maju, z nadejściem zimy, (t. j. po roku), wyprawa powróci do Buenos Ayres, z kąd się uda na północ do prowincyi Mendoza, Cordoba Jujuy i Gran Chaco. Jak widzimy, zakres badań jest wielki, pozostaje więc tylko życzyć wytrwania i jak największych plonów, któreby mogły jakiś użytek przynieść ogółowi.

Pisma nasze, podając skrętnie szczegóły o wychodztwie, między innymi zaznaczyły nikczemny podstęp dostawców, którzy oddzielali kobiety, o ile to się im łatwo udawało, pod pozorem niby jakichś przepisów, i zamiast do Brazylii, dostarczali ich dla sprzedaży na inne rynki amerykańskie lub azjatyckie. Niedawno zaś wykryto szajkę takich handlarzy w Rzeszowie, wywożących dziewczęta przeważnie do Konstantynopola. Nie pierwsze to są u nas wypadki. Do jakich zaś potwornych rozmiarów i potęgi przedsiębiorczej dochodzi to kupczenie ciałem młodych dziewcząt, wyświetlił niedawno p. Stefan Barszczewski, w korespondencji z Buenos-Ayres do „Kuryera Warszawskiego“. Niema parowca z Hamburga lub Bremy, twierdzi on, — któryby tego towaru nie dostarczył kilku sztuk, a parowców takich do Buenos-Ayres przybywa rocznie do stu i więcej. Istnieją tam rozmaite firmy handlowe z towarami europejskimi, cieszące się ogromnym powodzeniem, kredytem i akuratnością, sprzedające towary po cenach stałych targowych lub nawet niższych. Dla kupców tych towary łokciowe, kawa lub cukier, są przedmiotami dodatkowemi, głównym zaś towarem — dziewczęta. Posiadają oni wielu agentów, odbywających nieustannie podróże do Europy i płatnych bardzo grubo, od sześciu do dziesięciu tysięcy franków rocznie, nie licząc kosztów

i prowizyi. Ci znowu na własną rękę posiadają subagentów w Rosyi, Królestwie, Galicyi i Prusach. Otrzymują oni wynagrodzenie od głowy i podług „gatunku“. Innego rodzaju kupcy mieszkają w Europie pod pozorem jakiegoś fachu legalnego. Ci nie posługują się agentami, lecz prowadząc dostawę bezpośrednio, ciągną znaczne zyski. „Komiwojażerów“ sprytnych, gładkich, wszędzie jest pełno. Starają się oni w roli dandysów, donżuanów albo ludzi towarzyskich, zaczepiać młode kobiety, a wprawne oko najczęściej upatrzy pewną zwierzyńkę, czy to w mieście, czy w wagonie. O dobrodziejstwach Ameryki rozpuszczają podobne wieści, jak śród ludu o Brazylii. Jest więc i królowa dobra, opiekująca się kobietami i skazująca na śmierć ich krzywdzicieli, pieniędzy tam jak lodu, wygod wszelkich moc niezliczona. Ofiarom zwerbowanym agenci i kupcy pokazują pieniądze amerykańskie w złocie, biżuterje, koszule jedwabne, suknie, słowem najponętniejsze rzeczy dla kobiet. Jakże to nie ma zachęcić ubogiej szwaczki, zarabiającej w kraju za kilkanastogodzinną pracę parę rubli miesięcznie? W Ameryce rozpocznie się rajskie życie, robotnica chodzić będzie w jedwabiach, atlasach i błyskotkach, więc nie potrzeba z sobą ani ubrania, ani żadnych rzeczy zabierać. Jeżeli partya zwerbowanych dziewcząt jest większa, przemycą się je przez granicę; jeżeli zaś tylko dwie, trzy lub cztery, jadą z agentem za paszportami fikcyjnymi. W drodze nie wolno im rozmawiać z nikim i należy się trzymać ściśle wskazówek agenta, pod groźbą kary policyjnej. Jeżeli dziewcząt jest więcej, niż trzy lub cztery, to przed Hamburgiem wsiada do pociągu kilku żydów, zawiadomionych telegraficznie, i rozdziela pomiędzy siebie po jednej lub dwie, dla zmylenia czujności policyi. W Hamburgu lub Bremie zatrzymują się w uprzywilejowanych hotelach i meldują: N, kupiec z żoną, baron N., z żoną i siostrą żony. W mieście ofiary nie są ani na chwilę puszczone same, muszą być nieme. Im bardziej się oddalają od kraju i wchodzą w otoczenie zupełnie obce dla siebie, tém większa jest pewność i silniejsza wola agentów. Na parowce dziewczęta jadą w powozach zamkniętych, zaś przez ocean odbywają podróż prawie zawsze drugą klasą, pod ciągłą opieką kupca lub agenta, który się troszczy o ich wygody, a jednocześnie trzyma je pod ciągłą groźbą zwrócenia do kraju i kary za samowolne przekroczenie granic, w razie nie stosowania się do jego instrukcyi. Po przybyciu do Buenos-Ayres, znowu je wiozą w zamkniętych powozach do hotelów pokątnych albo wprost do domów rozputy. Do ostatniej chwili dziewczęta nie wiedzą, po co jadą. Dopiero na miejscu otwierają się im oczy i rozpoczyna straszne piekło moralne i fizyczne. Za najmniejsze nieposłuszeństwo są bite, katowane. Skarg ich i jęków nikt nie słucha i nie rozumie. Morzone głodem,

zamykane w piwnicach, dochodzą do stanu zupełnego znieczulenia, samobójstwa lub obłądu, z rozpaczy piją i poddają się ostatniemu rozpasaniu. Przed paru miesiącami panna N. z Warszawy, dowiedziawszy się na okręcie, po co jedzie, skoczyła do morza koło Montevideo. Towar ponętny dochodzi do cen wysokich, targ się rozpoczyna najmniej od tysiąca, a kończy się na pięciu tysiącach pesos (dolarów), czyli siedm i pół tysiącach rubli. Liga handlarzy i agentów wyrobiła sobie taką potęgę i spryt, że policya amerykańska, wielka liczebnie, jest zupełnie wobec nich bezsilną. Zresztą jakże nie, ma być słabą, skoro komisarze policyjni otrzymują od 3 do 5,000 pesos miesięcznie za ułatwienie wyładowania i zaniechanie rewizyi. Nadto kupcy i agenci mają swoją własną policyę, nadzwyczaj sprytną i przebiegłą. Obecnie stał się pewnym hamulcem dla tego wstrętnego handlu szef policyi w Buenos-Ayres, dr. Daniel Donovan, który usiłuje przekupstwo wyplenić. Dzięki jego zabiegom, dziesiątki ofiar znalazły już wolność. Ratuja je także, o ile mogą, zamieszkali tam Polacy. Jeden z nich, p. Z., specjalnie w tym celu zaciągnął się do szeregów policyi, inżynierowa zaś R. wyszukuje pracy dla uwolnionych i opiekuje się niemi. Pod tym względem także muszą być zachowane największe środki ostrożności, gdyż na każdym kroku można spotkać podstęp organizacyi kupieckiej, która stara się na nowo usidlić ofiarę, nastroczając jej niby pracę poszukiwaną. Myśl ratowania tych nieszczęśliwych kobiet podobno już u nas w kraju w czyn się przyobleka. Krążyły niedawno pogłoski o ofiarowaniu kilku tysięcy rubli na ten cel przez jednego ze znanych magnatów. Nie wątpimy, że ks. Chelmiecki i p. Glinka zajmą się także tą sprawą szczerze na miejscu targowiska. Przydałyby się także środki zapobiegawcze: rozpowszechnianie jak najszersze wiadomości o istotnym stanie rzeczy za pomocą kazalnicy, prasy, tudzież właścicieli, przełożonych, zarządzających szwalniami i w ogóle wszelkimi zakładami i pracowniami kobiecemi. Takie przeciwdziałanie, nie wymagające kosztów, lecz tylko trochę dobrej woli, mogłoby o wiele pożądanwszy skutek wyrzucić, niż przekonywanie, stosowane do wychodźców, gdyż tu się natrafia na grunt mniej pod tym względem odporny, a chętniej przyjmujący rozumne argumenty, z powodu stosunkowo większej inteligencyi pracownic miejskich, łatwiej mogących odróżnić fałsz od prawdy, drogą najprostszych przedstawień logicznych.

Wszystko to jednak można uważać jako środki tymczasowe. Zło tkwi głębiej w podstawach naszego bytu i tam trzeba sięgnąć dla wyplenienia jego. Upadek kobiety istnieje od początku rodu ludzkiego, tylko z wiekiem każdym przechodzi on rozmaite postacie, sto-

stosownie do rozwoju cywilizacyjnego ludzkości i jest oceniany względnie do pojęć etycznych, bardzo giętkich. Nie bierzmy *upadku* w ścisłym, utartym pojęciu, jako tylko „*utrąty cnoty*“. Fakty nam dowiodły i ciągle dowodzą, że kobiety nie tylko umieją stać do walki na gruncie dotąd uprzywilejowanych gałęzi pracy męskiej, ale nieraz w rozmiarach i stopniach zbrodni o wiele prześcigają silniejszą połowę. Daleko nie szukajmy: mieliśmy niedawno Skublińską, ściągającą do sal sądowych pierwszej i drugiej instancyi rozgorączkowane żądzą wrażeń tłumy inteligencji i nieinteligencji. W przeszłym roku powtórzyło się w Wilnie to samo, a obecnie rozstrzygnięto podobną sprawę w Mińsku gubernialnym, gdzie rozmiary zbrodni ilościowo i jakościowo podobno prześcignęły czyny Skublińskiej. Potworami tymi są izraelici, małżonkowie Szulkinowie. Że tu kobieta celowała, najlepszym dowodem jest stopień kary: mąż skazany na 12 lat ciężkich robót, żona — na 15. Pomimo twierdzenia akademika Fayeta, iż moralność kobiety podług przestępstw jest pięć razy lepszą od moralności męskiej, dane porównawcze kryminalności kobiet w różnych krajach przeczą temu. Im ludność bardziej zgęszczona, im kultura wyższa, tém procent przestępstwa kobiet jest większy. Wykaz statystyczny z okresu dziewięcioletniego w Królestwie Polskiem świadczy, iż mniejszy udział kobiet był w rozboju i rabunku (7.66%) i oszustwie (9.11%), tudzież fałszerstwie pieczęci i dokumentów (11%) większy w uszkodzeniu na zdrowiu, gwałcie publicznym (11—12%) w kradzieży prawie równy normalnemu, t. j. udziałowi w ogólnej liczbie przestępstw (15%); znacznie zaś go przewyższa w występkach przeciw dobrej sławie, w przemieszczeniu, zabójstwie, podpalaaniu (15—26%); w wykroczeniach przeciw obyczajności prawie dorównywa udziałowi mężczyzn (38.8%); wreszcie przewyższa tych ostatnich w występkach przeciw obowiązkowi względem dzieci (74.2%); w dzieciobójstwie, spędzaniu płodu i podrzucaniu dosięga 98.24%. We Francyi ogólna kryminalność kobiet jest prawie ta sama, co u nas. W Cesarstwie udział kobiet w ogólnej liczbie przestępstw jest najmniejszy w stosunku do całej Europy. Za to w występkach przeciw obyczajności kobiety dorównywają mężczyznom, przewyższają zaś w mężobójstwie i ojcobójstwie (52%); w dzieciobójstwie dosięgają najwyższej cyfry w stosunku do innych przestępstw (86.7%). Wogóle dowiedzionem jest, że kobiety więcej popełniają przestępstw (szczególniej zabójstw) rozmyślnych, niż nierozmyślnych ¹⁾. Zbytecznym byłoby dowodzić, że podścielisko ekonomiczne ważnym tu jest czynnikiem. Bardzo często daje się u nas słyszeć zdanie, że kobiety coraz

¹⁾ Buczyński. „Zarysy stanu moralnego“. Warszawa, 1886.

częścięj wypierają mężczyzn z ich uprzywilejowanych gałęzi pracy. W rzeczy samej dzieje się nienormalna zmiana ról. Zarówno u nas jak na Zachodzie i w Ameryce, na porządku dziennym są wypadki większej samodzielności kobiet, niż mężczyzn; ci ostatni, nie mogąc znaleźć pracy, stają się ciężarem, żyją z trudów i zabiegów *głowy rodziny*—kobiety. U nas objaw ten najczęstszym jest w warstwach wyrobniczych. Dzieje się także odwrotnie: mężczyźni wciskają się w zakres prac kobiecych. W Paryżu ogromny procent mężczyzn zajmuje się dziś praniem, pończosnictwem, krawiectwem damskim, szyciem bielizny, modniarstwem, gorseciarstwem, wyrobem czepków i t. d. Za to kobiet coraz więcej można spotykać trudniących się drukarstwem, tapicerstwem, białoskórnictwem, garbarstwem, rymarstwem, siodlarstwem, wyrobami metalicznymi i mechanicznymi ²⁾. Charakterystyczną jest u nas dążność do zajmowania wyższych stanowisk ludzi bez uzdolnień gruntownych i jednocześnie—chwywanie się najprostszych, najcięższych zarobków przez ludzi z wyższem wykształceniem. Obok tego daje się słyszeć nieraz narzekanie na brak fachowców i skutkiem tego nasi przedsiębiorcy udają się po siły odpowiednie za granicę. To samo i w gałęziach pracy kobiecej w miastach i na wsi. Niewątpliwie z czasem te braki wyrównają szkoły przemysłowe, obecnie zakładane; ale po pierwsze: nie mogą one powstać odrazu we wszystkich gałęziach wiedzy technicznej; powtóre: na wytworzenie tą drogą nowych pracowników potrzeba sporęj liczby lat. Usuwanie więc zła musi się odbywać powoli. Z dziedziny fachowego kształcenia kobiet w zakresie gospodarstwa wiejskiego z przyjemnością witamy nową szkołę gospodyń o 14 wiorst od Warszawy, w Chyliczkach.

Ma to być filia zakładu rękodzielniczego w Warszawie, przy ul. Pięknej hr. Cecylii Platerówny. Założycielka wybrała i nabyła bardzo odpowiedni folwark (za 30 tysięcy rs.), z ogrodem owocowym i warzywnym, cieplarnią, sporym stawem zarybionym, inspektami, inwentarzem żywym, dobrze zachowanymi budynkami i t. d.: słowem są wszelkie warunki, bardzo przyjazne dla praktycznej nauki różnorodnych gałęzi drobnego gospodarstwa wiejskiego. Obok przedmiotów obowiązkowych, pensyonarki będą się uczyły na żądanie: pszczelnictwa, ogrodnictwa, warzywnictwa, farbierstwa i tkactwa domowego. Podobno zakład ma na celu przyjmowanie biednych uczennic. Bardzo to piękne, tylko wielka szkoda, że nie uwzględniono ich środków. Najniższe wpisowe ma być 100—200 rs. rocznie, co przy

²⁾ Mücke. Stand und Entwicklung der Industriebevölkerung.

całkowitym kursie czteroletnim uczyni 800—1,200 rs, sumka wcale pokaźna, jak na naukę dziewczęcia *ubogiego*, którego ojciec, jako np. podrzędny ofycyalista, pobiera pensję, nieprzewyższającą nieraz rocznej opłaty wpisowej. Miejmy nadzieję, że po otwarciu szkoły rzeczonych nastąpią jakieś wyjątkowe prawa dla tego rodzaju uczennic, témbardziej, że szlachetna założycielka nie potrzebuje mieć na celu zysków, umiejętne zaś gospodarowanie w tak wzorowym majątku, jak Chyliczki, może zapewnić dochody na pokrycie wszystkich kosztów utrzymania zakładu i dać pewien procent na amortyzację włożonego kapitału.

Śmierć zabrała nam osobistość wielce popularną.

W Warszawie zgasł dr. Wilhelm Lubelski, człowiek znany z uczynności. Gdzie tylko widział nędzę, tam chętnie śpieszył z pomocą. To też ze łzami witano go na poddaszach i w suterrenach. Nieraz zaczepiał na ulicy ludzi mizernie wyglądających nieznanomych i badał troskliwie stan ich zdrowia. Nadzwyczaj czynny i ruchliwy, zajmował się gorliwie rozwojem Towarzystwa lekarskiego. Będąc naczelnym ordynatorem oddziału obłąkanych w szpitalu Dzieciątka Jezus, miał czas na inne prace i usługi publiczne. Kilkakrotnie brał udział w międzynarodowych zjazdach lekarzy, a podczas wystawy w Paryżu był wybrany na prezesa kongresu lekarskiego. Trzydzieści pięć lat spędziwszy w murach Warszawy, zjednał wielką sympatyę jęj mieszkańców. Każdy bez wyjątku znał tę postać w naszym mieście. Pozostawił w spuściźnie kilka dziełek z medycyny popularnej.

Jeden ze starszych poetów francuskich, „pogrobowców romantyzmu“, Teodor de Banville, zakończył życie w połowie ubiegłego miesiąca. Był to pewnego rodzaju mistrz formy, którą starał się pokrywać ubóstwo natchnienia i polotów twórczości. Szczęśliwy przez całe życie, opływający w dostatki, wesoły, zaznaczył piętno tęg pody i humoru we wszystkich poezyach swoich. Przed laty pięćdziesięciu pierwszy zbiorek p. t. „Karyatydy“, od razu zwrócił uwagę powszechną wytwornością języka i formy. Następnie puścił w świat drugą wiązanę p. t. „Stalaktydy“, również cieszący się powodzeniem. Poeta próbował także szczęścia na polu twórczości dramatycznej i beletrystyki. Sceniczne jego utwory nie cieszyły się długotrwałem powodzeniem i przesunęły się jak efemerydy na deskach Komedyi francuskiej, Odeonu i Wodewilu. Dwie sztuki: „Gringoire“ i „Pocałunek“, grane byty także i u nas, pierwsza w oryginale, w odtworzeniu Coquelina, druga w przekładzie A. Langego. Obrazki prozą—są

to przeważnie szkice paryskie, barwnie pisane. Poeta umarł w 68-ym roku życia.

W dniu 7-ym Marca zgasł zasłużony i głośny uczony Francisek Miklosicz, profesor niemiecki, który dla ubóstwa i braku popularności ojczystego, słoweńskiego języka, pisał po niemiecku. Pomnikiem jego dziełem jest „Gramatyka porównawcza języków słowiańskich“, w czterech dużych tomach. Dalej idą równie ważne prace „Słownik starosłowiańsko-grecko-łaciński“, „Słownik wyrazów, zapożyczonych w języku słowiańskim“ i wiele innych. W ogóle w ciągu długoletniej swój działalności Miklosicz napisał, oprócz wielu artykułów, kilkadziesiąt dzieł wielkich w zakresie historii filologii słowiańskiej, wymagających olbrzymiej pracy i badań uciążliwych. Uczony ten stworzył szkołę poważnych slawistów. Pomimo ciężkiej pracy, Miklosicz doczekał się późnej starości; umarł w 78-m roku życia.

Z dniem 1-ym Kwietnia zeszedł także ze świata jeden z organów naszej prasy—*Życie*, zaledwie po czteroletniem istnieniu. „Ciągły ubytek prenumeratorów—mówi pismo w ostatnim numerze—przekonał nas, że zadanie krzewienia dobrego smaku w zakresie literatury jest zawczesne i nie pora na systematyczną a usilną pracę w tym kierunku. *Życie* nie zdołało sobie wywalczyć trwałego gruntu dla przyszłości i dlatego dzisiaj zamilknąć musi, nie bez gorzkiego żalu ze strony tych, którzy z zajmowanego stanowiska ustępują... Taki los, jak wielu, bardzo wielu naszym poprzednikom, przypada obecnie i *Życiu* w udziale. Znika ono z powierzchni ziemi, zostawiając po sobie cztery roczniki, które były w tych ciężkich dla poezji czasach schronieniem gościnnem dla wszystkich poetów swojskich, które za wierają kilka wybitnych oryginalnych utworów powieściowych... Te roczniki, wzmianka w bibliografii i pamięć u dobrych ludzi, — oto wszystko, co pozostanie po naszej działalności“...

W dniu 25 Września 1876 r. postanowiono wprowadzenie do Królestwa Polskiego Kodeksu Kar Głównych i Poprawczych Cesarstwa.

Niektóre jednak przepisy karne, specjalnemi ustawami objęte, a w tej liczbie i kary za przemytnictwo, moc obowiązującą zachowały.

Kary pieniężne z Ustawy Celnój były u nas łagodniejsze, mianowicie wynosiły podwójną sumę cła należnego, gdy tymczasem z Kodeksu równają się pięć razy wziętej opłacie cła.

W dniu 27 Stycznia r. b. zyskało zatwierdzenie zdanie rady państwa co do zrównania Królestwa Polskiego z Cesarstwem pod względem kar za pogwałcenie, lub obejście przepisów Ustawy Celnój.

Pozostały jednak artykuły 1621 i 1622 Ustawy Celnój, obostrzające karę za przemykanie wydalaniem winnego na odległość 100 wiorst od granicy, jeśli jest żydem—21 wiorst, gdy nim nie jest.

Kary osobiste o wiele surowsze.

Jeżeli surowość kar rzeczywiście odstrasza od występku, to przemytnictwo ustać powinno.

Olbrzymiego dzieła podjęła się Rosssya — budowy kolei Trans-Syberyjskiej. Chcąc wyrobić dokładne pojęcie o rozmiarach tej roboty i o jej skutkach w przyszłości, trzeba się przyjrzyć obszarom Syberyi i ocenić jej znaczenie społeczno-ekonomiczne w stosunku do innych państw, azyatyckich i europejskich. Ludność obu tych części świata obejmuje około 1,190 milionów, z czego 970 milionów mieści się w trzech grupach: państwa zachodnio-europejskie (prócz Rosssyi) 260 milionów, Indye angielskie 240 milionów, Chiny i Japonia 470 milionów. Grupy te prowadzą między sobą handel, którego suma obrotów rocznych obliczona jest na miliardy rubli. Dotąd cały handel skierowywany jest drogą morską przez morze Śródziemne, Suez, ocean Indyjski. Najwłaściwsza zaś droga pośrednia lądowa idzie przez Rosssyę, która ma z jednej strony państwa zachodnio-europejskie, z drugiej na przestrzeni 13,000 wiorst graniczy przez Herat z Indyami i przez Mandżuryę z Chinami. Te dwa obszerne państwa, Indye i Chiny, obejmują 710 milionów ludności, wytwarzającej herbatę, kawę, ryż, jedwab, bawelnę i t. d. i pochłaniającej mnóstwo wyrobów przemysłu europejskiego. Z tego ogólnego obrazu możemy mieć pojęcie, jaki przewrót w stosunkach handlowych może zrobić kolej Trans-Syberyjska. Długość jej wyniesie przeszło 4,000 wiorst, przetnie zaś ona miejscowości żyzne, czarnoziemne i obszary obfitujące we wszelkie bogactwa przyrodzone. Tym sposobem Rosssya europejska i Syberya osiągnie olbrzymie korzyści; przede wszystkim wielce się ułatwi sprawa kolonizacyi wewnętrznej. Jak wiadomo, obecnie masy zubożałej ludności ze wszystkich gubernii Cesarstwa skierowane są do głębi Syberyi; zbyt ciężka jest dodawać, jakie to sumy pochłania ta odległa wędrówka. Po ukończeniu nowej kolei, ludność bezrolna łatwo będzie się mogła przenosić na dziewicze bogate przestrzenie syberyjskie. Upadający w wielu kopalniach przemysł kruszczowy, skutkiem pierwotnej eksploatacyi, znacznie się podniesie przez udoskonalenia techniczne, związane z ułatwioną komunikacją. Wogóle puste przestrzenie zaludnią się, zakwitnie przemysł i handel,

powstaną miasta. Dodajmy jeszcze, że nową koleją wielce się interesują Anglicy i marzą o połączeniu dróg indyjskich przez Herat z koleją Zakaspijską i następnie z Trans-Syberyjską. Można więc wyobrazić, jak olbrzymie podboje zrobi kultura europejska w państwach azjatyckich za pośrednictwem tych roznosicielek cywilizacji. (Jak olbrzymie znaczenie będzie miała kolej Syberyjska pod względem strategicznym, łatwo zrozumieć). W krajach barbarzyńskich, gdzie dotychczas (np. w Chinach) istnieje tylko przemysł drobny, dający wyroby ręczne, zapanują o wiele doskonalsze i tańsze towary fabryczne europejskie i wywołają na razie klęskę ekonomiczną wśród wytworców miejscowych; następnie powstaną fabryki, banki i wogóle wszelkie instytucje, jako nieodłączne części składowe systemu kapitalistycznego. Rozwój społeczny i ekonomiczny popłynie teraz drogą utartą z ogromnym pośpiechem. Ogólny koszt budowy kolei Syberyjskiej obliczono na 350 milionów. Roboty będą prowadzone bardzo tanio, siłami skazańców zdrowych i młodych, których już jeden transport odpłynął niedawno z Odessy do Władywostoku. Czas trwania budowy obliczono na lat sześć, rozpoczęto zaś roboty od krańców Syberji wschodniej, kraju Ussuryjskiego, dokąd wszelkie środki transportowane będą morzem z portu odesskiego. Po kilkakrotnej zmianie ostatecznie zatwierdzono następujący kierunek kolei: Złotoust, Kurhan, Omsk, Tomsk, Kańsk, Irkuck, południowe pobrzeże Bajkału, Posolsk, Czyta, Srieteńsk. Dalej linia Amurska ma się zaczynać w Chabarówce i kończyć we Władywostoku. Są pesymiści, którzy widzą tylko ujemne strony nowej kolei, jak np. nadmierny napływ Chińczyków do Rosyi europejskiej i trudność utrzymania w porządku tak olbrzymiej linii na przestrzeniach, które przez długie lata były tylko gniazdem występku.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego krakowskiej Akademii Umiejętności, odbytym w dniu 9 Marca r. b., przewodniczący, prof. K. Morawski, zdawał sprawę z dzieła hr. K. Lanckorońskiego p. t. „Miasta Pamfilii i Pizydy“. Praca ta jest wynikiem kilkakrotnych podróży i ekspedycji archeologicznych, odbytych pod przewodnictwem i kosztem Karola hr. Lanckorońskiego, do dwóch południowych prowincyi Azji mniejszej: Pamfilii i Pizydy. Uczestnicząc w 1882 r. w wyprawie austryackiej do Lykii, hr. Lanckoroński po raz pierwszy wówczas zwiedzał te kraje i, uderzony nietylko nadzwyczajną ich pięknnością, ale zarazem niezwykłą konserwacją ruin, jakeimi są przepełnione, postanowił zbadać naukowo tak kraje, jak ruiny. Przez dwa lata z rzędu, t. j. w 1884 i 1885, prace na miejscu były prowadzone i obecnie rezultaty onych w trzech jednocześnie wydaniach: niemieckim, francuskim i polskim, opuszczają prasę. Dzieło jest obrachowane na dwa tomy: pierwszy, stanowiący przedmiot sprawozdania, obejmuje miasta Pamfilii, drugi poświęcony będzie Pizydy. W wewnętrznej swój treści książka hr. Lanckorońskiego składa się z czterech części: pierwsza obejmuje napisany przez samego wydawcę wstęp, t. j. rzut oka na położenie geograficzne i historyczne badanego kraju; część druga, właściwie archeologiczna, opracowana przez Petersena, dyrektora instytutu archeologicznego niemieckiego w Rzymie, przedstawia naukowo zdobycze obserwacyi, pomiarów

i zdjęć topograficznych i architektonicznych; w trzeciej części, obrobionej przez Niemana, architekta wiedeńskiego, który już przedtem brał czynny udział w ekspedycjach austriackich na wyspę Samotrakę i do Lykię, mamy rekonstrukcye pomników architektury, z wytłomaczeniem i fachową analizą składających ją szczegółów; w czwartej nakoniec — *Corpus inscriptionum*, zawierający 108 napisów, po większej części po raz pierwszy lub w poprawniejszej wersji ogłoszonych.

Wszystkie trzy edycye książki są identyczne i pod względem wykwintności wydawniczej w zupełności sobie równe.

Dr. K. M. Górski odczytał ustępy z pracy swojej „O Franciszku Karpińskim“, a mianowicie: *Dziecinne i szkolne lata Franciszka Karpińskiego*. Zamierzając ten fragment umieścić w najbliższym zeszycie „Biblioteki“, poprzestajemy tymczasowo na tej krótkiej wzmiance.

Sekretarz wydziału złożył pracę D-ra Mikołaja Bobowskiego p. t.: *Polska poezya religijna od najdawniejszych czasów aż do końca XVI wieku*. Książka ta zawiera wstęp, w którym autor stara się dowieść, że początku poezyi religijnej szukać należy nie wcześniej, jak w XIV wieku i że wytworzyła się pod wpływem Zachodu; oraz zbiór tekstów pieśni religijnych z objaśnieniami. O pracy Dr. Bobowskiego członek korespondent, Dr. Tretiak, przysłał uwagi na piśmie, na posiedzeniu zaś ściślejszém wydziału uchwalono dzieło to drukiem ogłosić.

Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego, odbytém w dniu 20 Marca pod przewodnictwem Dr. Janczewskiego, członek J. N. Franke zdał sprawę z pracy Dr. Michała Kozłowskiego p. t. *Teorya drgania błony, złożonej z dwóch pasków kształtu prostokątnego różnego gatunku*, i złożył rozprawę p. t. *Zasady ogólne mechaniki ciał sztywnych na podstawie spórzędnych jednorodnych ruchu i siły*.

— *Józef Kallenbach* wydał z autografu i wstępem poprzedził „Pamiętnik Jana Golliusza, mieszczanina polskiego (1650—1653)“. Kraków 1891.

Nie są to, zastrzega we wstępie wydawca, pamiętniki na urząd pisane, odznaczające się powściągliwością w zwierzeniach, wymuszoną powagą, częstokroć chłodem, — lecz wspomnienia, pisane „sobie, nie komu“, kreślone bez pretensyi, ale też bez obłudy. Takie pamiętniki, wchodząc nieraz w głębinę duszy ludzkiej, stają się najwierniejszém zwierciadłem autora. Do tej kategorii pamiętników zalicza p. Kallenbach skromne i nieudolne zwierzenia młodego mieszczanina polskiego, które, dziwném losu zrządzeniem, za morzem znalezione, dziś po raz pierwszy z ukrycia na świat wychodzą. W stosunku do wcale licznych pamiętników szlacheckich polskich z XVII

wieku, mają wspomnienia Jana Golliusza znaczenie odrębne: mówią nam szczerze i prosto o doli mieszczan w Polsce, o cichém ich życiu, skromnych zabiegach, skuteczném dążeniu do oświaty i ogłady. Jakim sposobem manuskrypt Golliusza dostał się do Anglii, zapewne nigdy się nie dowiemy. Rękopis ten oznaczony: „Bibl. Sloan. 1861“, był tam jednak już w 1753 r. W tym bowiem roku nabyto na własność Anglii bogate zbiory książek i manuskryptów, które Sir Hans Sloane zgromadził; nasz zaś rękopis, według sygnatury bibliotecznej, znajdował się w zbiorach Sloane'a. Książka cała jest doskonałym wzorem licznych w XVII wieku „*Silvae rerum*“. Z całego rękopisu wyziera po półtrzecia wieku pogodna, dobroduszna twarz mieszczanina zamojskiego. Młodość miał szczęśliwą, poznał kawał świata, nabył wiedzy za granicą, uczył się i jak mógł na życie pracował. Trochę ociężały w ruchach i myśli, trochę powierzchowny w naukach, trochę próżny w stosunkach towarzyskich, ale z sercem złotém, zamilowany w pracy, oszczędny, zapobiegliwy, słowem typ polski z XVII wieku, tém godniejszy, aby myśli jego i uczucia przed nami ożyły, że wychowany przez rodziców, zupełnie jeszcze po niemiecku myślących, Jan Golliusz wyrósł na Polaka.

Wydawnictwo p. Kallenbacha wyszło nakładem Akademii Umiejętności, jako osobna odbitka z VII tomu Archiwum dla dziejów literatury i oświaty w Polsce.

— *Dr Bronisław Czarnik* wydał i wstępem opatrzył „*Memo-ryał J. N. Kamińskiego (1829)*“ o stanie teatru lwowskiego.

Wiadomo, czém był dla sceny polskiej we Lwowie Kamiński. Autor, aktor, tłumacz, dyrektor, miał wiele w swój działalności rysów pokrewnych z Wojciechem Bogusławskim i w tém jest do niego podobny, że wielkim jego zasługom nie odpowiadało powodzenie. Ratując się od ruiny finansowej, prosił obywateli, aby pod swój zarząd wzięli scenę narodową i na żądanie właśnie jednego z nich, p. marszałka Wasilewskiego, napisał swój memoriał.

Ciekawy ten dokument jest nietylko przyczynkiem do biografii i charakterystyki Kamińskiego, człowieka, który całe swe życie poświęcił pracy publicznej, ale rzuca światło na ówczesne polityczne stosunki Galicyi. Nic bardziej zajmującego nad rozmowy Kamińskiego z cesarzem i Metternichem o sprawach teatru polskiego. Kiedy władze zabroniły dawania polskich przedstawień, cesarz Franciszek napisał własnoręcznie na petycji Kamińskiego: *Ich bin nicht der Meinung die polnische Sprache und das polnische Theater aus Galizien zu verdrängen*. („Jestem tego zdania, że nie należy wypierać z Galicyi języka polskiego i teatru polskiego“). Na posłuchaniu zaś rzekł mo-

narcha do Kamińskiego: *Ich glaube, mein Kind, für euch schon etwas gethan zu haben.* („Zdaje mi się, moje dziecko, że już coś dla was zrobiłem“). *Ihre Majestät haben uns unter Ihren hohen Schutz genommen, aber...* („Wasza cesarska mość wzięła nas w swoją najwyższą opiekę... ale“). Tu, roześmiewszy się, przerwał monarcha Kamińskiemu temi słowy: *aber kein Geld gegeben, nicht wahr?* („ale nie dałeś pieniędzy, nie prawdaż?“). *Es würde mich freuen,* mówił dalej cesarz Franciszek, *wenn das polnische Theater und durch dieses die Landsprache eine reine Lebenskraft schoepfen könnte—wenn Galizien sowie mein Boehmenland um ihr Nationales besorgt sein wollte—gut, gut, mein Kind, ich werde schon trachten für euch etwas zu thun.* („Cieszyłoby mnie, gdyby teatr polski stał się źródłem prawdziwej siły żywotnej narodu, a z teatru czerpał tę siłę język krajowy—gdyby Galicya, jak moje Czechy, zechciała się troszczyć o swoją narodowość—dobrze, dobrze, moje dziecko, będę się starał coś dla was uczynić“).

Do memoriału dołączył Kamiński projekt nowego towarzystwa dramatycznego, uorganizowanego na zasadach akcyjnych.

Broszura Dr. Czarnika jest odbitką ze sprawozdania zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1890.

— W. *Słodółkiewicz.* „O rozwoju życia i główniejszych jego przejawach“. Warszawa, druk Emila Skińskiego 1891.

Autor, idąc za przykładem prof. Szokalskiego w dziele jego „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie“, pragnie na ogólnej podstawie teorii rozwoju poruszyć najpoważniejsze zagadnienia bytu: mimo więc, że doniosłość hipotez wobec dzisiejszego stanu nauki jest „nieco zachwianą“, próbuje na tle hipotezy przedstawić życie duchowe człowieka i całej ludzkości i mówi w swojej książce: o rozwoju świata, o młodości człowieka, o psychologicznych objawach życia w człowieku, o rozwoju życia społecznego, o główniejszych objawach rozwoju narodów europejskich w okresie historycznym, wreszcie stara się „przedstawić w głównych zarysach nieustannie wahaający się postęp w rozwoju osobniczym, społecznym i historycznym i wskazać, dokąd taki postęp zmierza“.

— Pseudonym *Filograf* wydał dwie broszury: „Racyonalne słówko o „racyonalnej“ grafice polskiej“ i „Jeszcze o praktycznym sposobie ustalenia pisowni polskiej“. (Warszawa, druk Józefa Filipowicza 1891).

Pierwsza zawiera najprzód ocenę nowej „racyonalnej“ grafiki Edwarda Bogusławskiego, a następnie zdanie Filografa o możliwości

przyjęcia przez naród nowej grafiki „racyonalnej“; druga podaje wyjaśnienie ogłoszonego dawniej przez Filografa „praktycznego sposobu ustalenia pisowni polskiej“, zestawienie owego sposobu z werdyktem krakowskiej Akademii umiejętności, czyli porównanie *pisowni pragmatycznej* Filografa, t. j. pisowni *Deputacyi* ortograficznej z 1830 r., potwierdzonej lub poprawionej na mocy aksjomatu pragmatycznego (*non est imponenda obligatio nisi de ea certo constet*) z pisownią akademicką, wreszcie replikę krytykom, którzy wypowiadali sąd swój o „Praktycznym sposobie“.

— *Michał Rowiński*. „Uwagi o wersyfikacyi polskiej, jako przyczynek do metryki porównawczej.—Warszawa, druk Józefa Jerzyńskiego 1891.

— *Józef Długosz*, adwokat przysięgły, „Prawo czynszowe“. T. I. Odessa, w drukarni Sztabu odeskiego okręgu wojennego 1891.

— „Zbiór praw obowiązujących w gub. Królestwa Polskiego“. T. X. 1889, półroczcie drugie, całkowitego zbioru T. XL. 1891.

— *St. Windakiewicz*. „Siedem dokumentów do życia Janickiego“. Pochodzą od r. 1540 do 1543, a zebrane z akt biskupstwa krakowskiego. Dwa z tych dokumentów dotyczą przeniesienia Janickiego z Koniuszy, gdzie miał ubogie probostwo, do Solączowa pod Olkuszem; trzeci jest aktem dzierżawy dochodów proboszczowskich kmieciami z Solączowa Janowi Pyczkowi; czwarty dotyczy sporu o opłaty mszalne między proboszczem a parafianami; piąty ustępuje Maciejowi Pyczkowi i jego sukcesorom karczmę proboszczowską.

— *St. Windakiewicz*. „Informacye o aktach uniwersytetu bońskiego“.

Przedewszystkiém autor to tylko czerpał, co się odnosiło do polaków. Każdy uniwersytet włoski prowadził tak zwane akta, które były trojakiemu rodzaju: profesorów, uczniów i stowarzyszeń akademickich, w odrębnym, a właściwym każdej korporacyi charakterze prowadzone. Stąd też z takich aktów poznać można nie tylko działalność naukową uniwersytetu, ale poniekąd życie młodzieży owoczesnej. Materiał do dzieła swego czerpał autor z archiwum państwowego i arcybiskupiego.

— *Ludwik Jenike*. „Stefan Czarniecki“, urywek historyczny przez... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1891, str. 168.

Treściwie opowiedziane dzieje Stefana Czarnieckiego. Autor starał się fakta znane i nieznanne objaśnić za pomocą źródeł.

— „Pamiętnika Fizyograficznego“ tom X wyszedł z drukarni J. Sikorskiego i zawiera w dziale *meteorologii i hydrografii*: „Spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu roku 1889 na stacjach meteorologicznych, urządzonych staraniem sekcji cukrowniczej Warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“; A. Pietkiewicza „Jednoczesny stan pogody oraz jej zmiany na pewnej przestrzeni“ i „Wykaz spostrzeżeń fenologicznych, nadesłanych do redakcyi „Wszecchwiała“; w dziale *geologii z chemią*: J. Morozowicza „Przyczynki do petrografii krajowej“, St. Kontkiewicza „Badania geologiczne w pasmie formacji Jura między Częstochową i Krakowem“; w dziale *botaniki i zoologii*: K. Łapczyńskiego „Zasięgi roślin krzyżowych w Królestwie Polskiem i w krajach sąsiednich“, K. Drymmera „Rośliny najbliższych okolic Kielc“, tegoż „Dodatek do spisu roślin powiatu Kutnowskiego“, B. Eichlera „Spis Desmidiy zebranych w okolicy Międzyrzecza“, F. Kwiecińskiego „Spis mchów zebranych w 1888 r. w okolicach m. Białej (gub. Siedlecka)“, tegoż „Spis roślin skrytokwiatowych naczyniowych i jawnokwiatowych, zebranych w 1887 r. na gruntach majątku Woroniec (gub. Siedlecka, pow. Konstantynowski)“, F. Błońskiego „Wynik poszukiwań florystycznych skrytokwiatowych, dokonanych w ciągu lata 1889 w obrębie 5 powiatów Królestwa Polskiego“, Wł. Kozłowskiego „Przyczynek do flory wodorostów okolic Ciechocinka“, M. Twardowskiej „Ciąg dalszy spisu roślin z okolic Szemchowszczyzny i z Weleśnicy“, A. Wałęckiego „Przyczynek do fauny ichtyologicznej“, A. Landego „Materyały do fauny skorupiaków widłonogich Królestwa Polskiego“, H. Lindenfelda i J. Pietruszyńskiego „Przyczynek do fauny pijawek krajowych“; w dziale *antropologii*: T. Dowgirda „Wiadomość o wyrobach z kamienia gładzonego, znalezionych na Żmujdzi i Litwie“.

— A. Wallace. „O cudach i nowoczesnym spirytyzmie“, z trzeciego wydania oryginału przełożył J. K. Potocki. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1891.

Autor niniejszego dziełka jest znanym i uczonym przyrodnikiem. Na sprawę spirytyzmu zapatrywał się z początku nader sceptycznie. Wielka jednak ilość faktów, zgromadzonych przez ludzi poważnych, nieposzlakowanej wiary i nauki, poświęcających się badaniu spirytyzmu tylko w celu poznania rzeczy nieznanych i wytłomaczenia ich, skłoniły Wallace'a do krytycznego roztrząsania opisywanych zjawisk. Nie mając żadnej podstawy do zaprzeczenia wiarogodności całego szeregu zjawisk, które jedni zaliczali do kategorii oszustwa, inni do rzędu zjawisk nadprzyrodzonych, przy pomocy krytyki przyszedł do przeświadczenia o ich prawdziwości. Indukcyja doprowadziła go do wia-

ry: 1^o w istnienie pewnej liczby umysłowości nadludzkich rozmaitych stopni i 2^o, iż niektóre z owych umysłowości, jakkolwiek zazwyczaj niewidzialne i nienamacalne dla nas, mogą oddziaływać i oddziaływają na materję, oraz wpływają na nasze umysły. Słowem, spirytyzm, według zdania Wallace'a, dostarcza nam takich dowodów istnienia istot eterycznych oraz ich władzy oddziaływania na materję, iż muszą one wywołać przewrót w filozofii. Dowodzi on rzeczywistości istnienia form materji, tudzież rodzajów bytowania, niedających się pojąć dawniej; uznaje życie ducha bez mózgu oraz intelligencyę, oddzieloną od tego, co się nazywa ciałem materyalnem, a w ten sposób stara się usunąć wszelkie uprzedzenia przeciwko dalszemu istnieniu, z chwilą, gdy ciało fizyczne ulegnie już rozprzężeniu i rozkładowi.

— *Henryk Wernic*. „Praktyczny przewodnik wychowania“ przez... Warszawa. Nakład księgarni G. Centnerszvera. 1891, str. 353.

Mając na względzie, że dotychczasowe podręczniki sprawę wychowania traktowały zwykle ogólnikowo, niezbyt zwracając uwagę na wiek, rozwój umysłowy, a często charakter dziecka, stąd dobre niekiedy środki doradcze nie przynosiły spodziewanego pożytku, autor postanowił bardziej różniczkować przepisy wychowawcze. Plan więc jego pracy jest nader szczegółowy, ażeby ułatwić rodzicom i wychowawcom wynalezienie odpowiednich wskazówek lub nawet sposobu postępowania w pewnej sytuacji.

Zastanowiwszy się pokrótce we wstępie nad tém, jaki stosować system w wychowaniu—łagodny czy surowy, autor przystąpił do systematycznego wykładu. W tym celu pracę swoją podzielił na trzy działy: w pierwszym zastanowił się nad wychowaniem fizycznem, w drugim — moralnem, trzeciemu dał tytuł: okresy wychowania. W pierwszym dziale autor położył główny nacisk na higienę wieku dziecięcego, mówiąc ożywieniu, oddychaniu, ciepłe, pielęgowaniu skóry, odzieży, śnie, zabawach, hartowaniu, chorobliwym wpływie zbyt silnych wrażeń na nerwy, nieco o chorobach dziecięcych i pielęgowaniu chorego dziecka. Drugi dział obejmuje niektóre przepisy postępowania przy wdrażaniu dziecka do posłuszeństwa, prawdomówności, przyzwyczajaniu do pracy i t. p., wreszcie o kształceniu umysłu i serca, charakteru, o poprawianiu niektórych błędów. W końcu w dziale trzecim, ostatnim, daje przepisy stosownego do wieku kształcenia dziecka i umiejętnego używania rozrywek.

— *O. v. Leixner*. „Wiek XIX“, obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacji w dziedzinie historii, sztuki, nauk i polityki, z li-

cznemi ilustracyami, opracował według oryginału Fr. Rawita. Tomu I zeszyt I. Warszawa. Nakład i własność Gebethnera i Wolffa. 1891.

Jest to streszczenie pracy niemieckiego autora z dodaniem rzeczy polskich, pominiętych zupełnie prawie w oryginale. Zeszyty pięcioarkuszowe ukazywać się będą miesięcznie.

— *Léon Maury*. „Essai sur les origines de l'idée de progrès“. Paris. 1890.

Autor dowodzi tam, iż idea postępu sięga korzeniami swemi chrystyanizmu. Zastanowiwszy się pokrótce nad znaczeniem poglądów na moralność i naukę w świecie starożytnym, przechodzi do badania cywilizacyjnej roli chrześcijaństwa. Następnie zatrzymuje się nad doktrynami pozytywizmu i ewolucyi i analizuje poglądy Augusta Comte'a, Spencera, jako też pisarzy o kierunku anti-chrześcijańskim: Leopardiego, pani Akerman i Richepin'a. W końcu, w rozdziale traktującym o pesymizmie, dowodzi, że pesymistami są równocześnie ludzie bezwyznaniowych zasad.

— *Marcil René*. „Kobiety myślące i kobiety piszące“, spolszczyła M. Ch. 1891.

— *Darwin Karol*. „Autobiografia Karola Darwina, życie i wybór listów“, wydane przez syna, Franciszka Darwina, z oryginału przełożył dr. Józef Nusbaum. Warszawa. 1891.

— *Wiśniowski T.* „Mikrofauna iłów ornatowych okolicy Krakowa“. Część II. Gąbki górnego Kelloweyu w Grójcu, oraz nowe otwornice tych samych warstw (z jedną tablicą). Kraków, 1891.

— „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, wydany staraniem komisji antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie“. T. XIV, z 3-ma tablicami. Kraków, 1890.

— *Piotrowski Gustaw*. „O wahanii wsteczném przy pobudzaniu różnych miejsc tego samego nerwu“. Kraków, 1891.

— *Nosicki Al. dr.* „O wzorowym sposobie hodowania karpia w stawach, zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa“, napisał... Kraków, 1891.

— *Henryk Waśniewski*, weterynarz. „Hypnotyzm u zwierząt“, napisał ... Odbitka z „Gazety rolniczej“. Warszawa. 1890.

Autor dowodzi, że zwierzęta w ogóle, nie wykluczając domowych, podlegają wpływowi hypnotyzmu na zasadzie poddawania i tłumaczy za pomocą sugestyi tak zwaną tresurę zwierząt, która ma polegać

na poddawaniu jednej i tej samej myśli, aż do otrzymania pożądanego rezultatu. Dla usprawiedliwienia swojej tezy, autor sięga do rzymskich lekarzy zwierząt i szuka genezy kuracyi hypnotycznój w zamawianiu chorób, lub też wpatrywaniu się w chore osobniki.

— „Gospodarz wiejski”, czasopismo rolnicze dla włościan, pod redakcją Władysława Szybińskiego. Lwów. 1890.

Jest to pierwszy rocznik pisma, poświęconego wyłącznie gospodarstwu wiejskiemu włościan. Artykuły pisane są w przedmiocie spraw społecznych i ekonomicznych, przemysłu domowego, rolnictwa, hodowli zwierząt domowych, weterynaryi, sadownictwa, pszczelnictwa i t. p. Polityka, belletrystyka i poezya są zupełnie wykluczone.

— Towarzystwo Ogrodnicze warszawskie wydało w drukarni J. Sikorskiego w Warszawie szóste z kolei sprawozdanie ze swój działalności p. t.: „Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego warszawskiego za rok 1890“.

— *Edmund Jankowski*. „Ogrodnictwo przemysłowe“, tom VI Biblioteki „Ogrodnika polskiego“, ozdobiony 58 rycinami. Warszawa, w drukarni J. Sikorskiego 1891.

Pisząc tę książkę, autor miał na celu wskazać młodzieży, poszukującej zajęcia, kilka dróg nowych, na którychby znaleźć mogła chleba kawał, i dowieść jednocześnie, że ogrodnictwo nietylko jest miłą rozrywką, ale także źródłem zysków być może. Siedm działów składa się na dziełko p. Jankowskiego: przemysł warzywniczy, rośliny aptekarskie i niektóre przemysłowe, hodowla nasion, handlowe szkółki drzew, przemysł owocowy, przemysł roślinny i kwiatowy, eksploatacja.

— *H. Merczyng*. „O biegu w rurach wody, nafty i ropy“ — odbitka z „Przeglądu Technicznego“. Warszawa, druk J. Sikorskiego 1891.

Praca powyższa premiiowaną była przez konferencyę Instytutu Inżynierów Komunikacyi.

— *Franko Jan Nepomucen*. „Poradnik dla obsługi i nadzoru maszyn i kotłów parowych dla użytku maszynistów kotłowych, gorzelników, właścicieli maszyn parowych i techników“, napisał... Wydanie II, przejrane i znacznie powiększone, z 70-ciu rycinami w tekście. Lwów, 1891.

— *Ks. W. Cz.* „Podręcznik praktyczny gramatyki języka polskiego dla młodzieży szkolnej“, ułożył... Kraków, 1891.

— *Plato v. Reusner*. „Najnowszy elementarz polski czyli początkowa nauka czytania“, ułożył i wydał... Warszawa, 1891.

— *Adolf Dygasiński*. „Czy jechać do Brazylii?“, str. 13, 1891.

— *Grajnert Józef*. „Do Brazylii po dyamenty czyli ciekawe przygody Florka Kurzawy w stepach i puszczech brazylijskich“, napisał... Warszawa, 1891.

— *Tarczyński H. B.* „U nas a w Brazylii“. Powieść prawdziwa z 11 obrazkami. Nakład autora. Warszawa 1891. Wydanie popularne.

— *Karol Hofman*. „Listy ex-aktora do ex-aktora (I—VI)“, napisał... Radom. W drukarni A. Kurzątkowskiego. 1891, str. 81.

Kilka uwag o położeniu teatrów prowincjonalnych, skreślonych nader żywo.

— *Józef Łoziński*. „Nie pierwszy“, fragment sceniczny w 1-ym akcie przez... Warszawa, 1891.

— *Kasprowicz Jan*. „Świat się kończy“, dramat z życia ludu wielkopolskiego w 5-ciu odsłonach. Lwów, 1891.

— *Bronisław Grabowski*. „Boruta“, dramat z podań ludowych w pięciu aktach z prologiem. Kraków, 1891.

Boruta—dyabeł obrał sobie siedzibę w zamku Łęczyckim, gdzie za okutymi drzwiami, według podania ludowego, ukrywał skarby i nęcił niemi ludzi chciwych, którzy je zdobywali, zaprzędając własne dusze. Boruta uwija się, jako szlachcic, po okolicy, hula i pije z bracią szlachtą, co mu ułatwia zdobywanie dusz. Autor pod szczególną opiekę Boruty oddał szlachcica Łońskiego, którego przyjaźń z szatanem i zatargi z bracią szlachtą stanowią treść dramatu.

— *Klemens Junosza*. „Wybór pism“ w X-ciu tomach. T. I. Nakład autora. Warszawa, 1891, str. 291.

Tom I obejmuje następujące nowelle: Nieruchomość Nr 00, Córeczki pani Maciupskiej, Pan Metr, Mała Patti, In minus. Każdy tom składać się będzie z 15—20 arkuszy druku. Zapisujący się odrazu na wszystkie tomy płaci 6 rs. w dwóch ratach: przy zapisie rs 3 i przy III-cim tomie rs. 3. Na przesyłkę po 15 kop. za tom. W Warszawie tom każdy 1 rs. Skład główny w redakcyi „Wiek“, Nowy-Świat Nr 61.

— *Julian Eętowski*. „Na bożym świecie“, nowelle i obrazki. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Mieści w sobie następujące utwory: *Marta*, *Konkurencya*, *Wysoka stawka*, *Zmarzłak*, *Lew na pokucie*.

— *J. Stasiak*. „Opowiadanie o Krzysztofie Kolumbie i o tym, kto pierwszy był w Ameryce“, napisał... Warszawa, 1891, str. 63.

— „*Ali-Baba i 40-tu rozbójników*“, opracował po części według niemieckiego oryginału, a po części według podań ludowych *Z. Z.* Warszawa, 1891, str. 45.

— *Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej* wydała dwie komedye Plauta: *Miles gloriosus* i *Menaechmi*, w tłumaczeniu Jana Wolframa, z rękopismów po nim pozostałych. Przekład poprzedzony jest wstępem Piotra Chmielowskiego.

— Jako odbitka z Kalendarza lubelskiego na rok 1891, wyszła broszurka p. t. „Wydawnictwa peryodyczne w Lublinie“ przez Rafała Lubicza.

— *Sewer Sterling*. „Dziecko“. Warszawa. 1891.

Malutka broszurka, w której autor wyłożył higienę dziecka w pierwszych miesiącach.

— *Wyboru pism J. I. Kraszewskiego* wyszedł oddział VII, obejmujący „Utwory dramatyczne“. Jest to właściwie tom literatury polskiej, należący do „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej“ a zawiera trzy komedye: „*Miód Kasztelański*“, „*Ciepła wdówka*“, „*Kosa i kamień*“ oraz dwie anegdoty dramatyczne: „*Panie Kochanku*“ i „*Radziwiłł w gościnie*“. Sztuki te są poprzedzone wstępem krytycznym, napisanym przez Władysława Bogusławskiego.

— *Didon W. O. Z. K.* „*Jezus Chrystus*“, z 20-go wydania francuskiego za upoważnieniem autora przełożył biskup Henryk Piotr Kossowski. Zeszyt I. Przedpłata za całość (25 zeszytów) rs. 4, z przesyłką rs. 5.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

OGŁOSZENIA.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów malarzy, iż stosownie do § 1 regulaminu Wystaw corocznych konkursowych Towarzystwa, w m. Styczniu 1892 roku odbędzie się **konkurs malarstwa**. Do przyjęcia na konkurs kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, miniatury, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich i jeżeli przytém nie były umieszczone na wystawie czy to w Towarzystwie, czy innéj w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu wszelkie kopie i dzieła artystów, zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy konkursowéj. Dzieła na konkurs nadsyłane mają być w ramach. Rysunki, ujęte w jedną ramę, za jedno dzieło uważane będą. Deklaracye w formie zwyczajnéj korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przysyłać należy przed 3 (15) Grudnia 1891 roku. W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, cena, dokładny adres artysty z krótką wiadomością o tém, gdzie i kiedy się urodził i w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła konkursowe nadesłane lub dostarczone być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniej 19 (31) Grudnia 1891 roku do godz. 6 wieczorem. Komitet przeznaczył na konkurs powyższy trzy nagrody pieniężne: po rubli 600, 300 i 200 za dzieła, mające istotną wartość artystyczną. Koszt transportu dzieł, par petite vitesse, z opłatą cła od przysyłanych z za granicy, o ile dzieła te przyjęte zostaną przez cenzurę rządową i delegacyę sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu, na żądanie, wysyła franko lub wydaje na miejscu bezpłatnie kancelarya Towarzystwa.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszém, iż w ciągu r. b. 1891 wakować będą następujące **stypendya**:

1) z funduszu imienia Józefa **Simmlera**, stypendyum rs. 240, dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona studyum olejne z natury, oraz szkic kompozycyi na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowéj kwalifikacyi,

pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza Józefa Simmlera.

2) z zapisu Heleny Korwin-Szymanowskiej, stypendyum rs. 150, dla młodzieńca, urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego, moralnej konduity, pragnącego wydoskonalic się w sztuce malarskiej lub rzeźbiarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu, kto pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona na temata wyznaczone prace, za dostateczne uznane. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia, Szymanowscy herbu Ślepowron, przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy będą mieli pierwszeństwo do stypendyum.

3) z zapisu Ignacego Ciszewskiego, stypendyum rs. 215, dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiej, według wyboru Komitetu Towarzystwa.

Kandydaci, pragnący się ubiegać o powyższe stypendya, winni najpóźniej do dnia 1 Września r. b. 1891 uczynić podanie do Komitetu Towarzystwa, na papierze bez stempla, z załączeniem: metryki urodzenia, świadectwa zamieszkania, świadectwa stanu majątkowego i świadectwa dobrej konduity; zaś kandydaci Simmlerowie, Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów, i legitymację swego pochodzenia. Co zaś do stypendyum Ciszewskiego, kandydaci winni przedstawić Komitetowi obok wzmiankowanych dowodów i odpowiednią własną pracę, o ile takowa nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendystę. Gdyby który z kandydatów pragnął uzyskać jedno z powyższych stypendyów dla kształcenia się za granicą, winien przedstawić świadectwo naczelnika gubernii o pozyskanie pasportu na pobyt za granicą.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszém dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich **konkurs imienia Józefa Kuryerowa**, niegdy obywatela m. Warszawy, z nagrodą pieniężną w kwocie rubli 360. Nagroda powyższa, stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na swojskim temacie i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższej kwoty na dwie nagrody, I-ą i II-ą, dla najlepszych z dzieł przedstawionych, oryginalnych i tematu swojskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa, winni

nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednej rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-m a najdalej 15-ym Marca 1892 roku, przy załączeniu własnoręcznie napisanej i podpisanej deklaracji, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w której mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość, gdzie i w jakiej szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 Marca 1892 roku. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z tejże wycofane przez właściciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, par petite vitesse, i cła od obrazów z za granicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, par petite vitesse, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki brutto, oraz cła, za wyłączeniem cła od rzeźb w bronzie.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa poleca przystępne, barwnym stylem pisane broszury **Filografa:**

Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej. Warszawa, 1887, cena 35 kop.

Jeszcze o praktycznym sposobie ustalenia pisowni polskiej. Warszawa, 1891, cena 30 kop.

Teoretyczna poprawa Grafiki polskiej z dwiema tablicami litograficznymi. Warszawa, 1887, cena 30 kop.

Racjonalne słówko o „racjonalnej“ Grafice polskiej. Warszawa, 1891, cena 20 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wyszedł z druku:

Katalog XLV: BIBLIOTHECA POLONICA,

zawierający spis dzieł starych i nowych, dotyczących Polski, które sprzedaje po cenach oznaczonych

N. KYMMEL,

Księgarz w Rydze.

Na żądanie katalog wysłany zostanie darmo.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1891.

Strona

Filozofia.

Pozytywizm i zadania krytyczne filozofii przez H. Struvego 9

Historya.

Nowe opracowania źródłowe przez A. Rembowskiiego 70
Kierunki duchowe za Batorego przez Kazimierza Morawskiego 294
Próba naprawy Rzeczypospolitej za Jana Kazimierza przez Wiktora
Czermaka 519
Henryk Schliemann i jego odkrycia naukowe przez Ludwika Ówikliń-
skiego 483
Teodora Zawackiego pamięć robót i dozoru gospodarskiego z r. 1616
przez Józefa Rostafińskiego 568

Publicystyka.

Publicystyka bezimienna w Niemczech przez ** 213

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Polityka socyalna Wilhelma II przez A. Donimirskiego 127
Kwestya ceł zbożowych przez K. Rozego 345
W kwestyi własności literackiej przez Antoniego Górskiego 451
Konwersye przez A. Donimirskiego 599

Literatura.

Lux in tenebris lucet (nowela) przez Henryka Slenkiewicza 1
Chochlik-Psołnik (nowela) przez Elizę Orzeszkową 259

	<i>Strona</i>
Mąż i pan (opowiadanie) przez Stefana Roguskiego	548
Transkrypcje z Horacego wiersze K. M. Górskiego	61
W górach Grecyi; Beatryce i Francesca wiersze Maryi Konopnickiej .	593

Studia literackie.

Geneza „Maryi“ Malczewskiego przez d-ra Antoniego J.	42
Bolesław Prus przez Wł. Bogusławskiego	107, 316
Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. I. Kazania średnio- wieczne przez A. Brücknera	241
Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza przez K. M. Górskiego . .	362

Studia artystyczne.

Impresjonizm przez W. Gersona	95
---	----

Krytyka.

<i>Prof. dr. Władysław Abraham</i> „Organizacya kościoła w Polsce do poło- wy wieku XII“ przez J. K. Plebańskiego	148
<i>Prof. X. dr. Pawlicki</i> „Historya filozofii greckiej od Talesa do śmierci Arystotelesa“, Tom I, przez H. Struvego	388
<i>St. Maciejowski</i> „Historya miast i miasteczek w krajach dawnego pań- stwa polskiego“ opracował <i>M. R. Witkowski</i> —przez A. Rembowskiego . .	612
<i>Aleksander Małkowski</i> „Hrabia August“ i <i>Marya Rodziewiczówna</i> „Szary proch“ przez K. Kaszewskiego	172, 401
<i>Adam Szymański</i> „Szkice“ przez J. K. Ehrenberga	185
<i>J. Rogosz</i> „Karyerowicz“ i <i>Maryan Gwałewicz</i> „Drugie pokolenie“ przez J. Gądomskiego	189, 617
<i>Adolf Dygasiński</i> „Pan Jędrzej Piszczalski“ przez J. Kotarbińskiego .	410
<i>Włodzimierz Wysocki</i> „Wszyscy za jednego“, „Laszka“, „Zaklęta Iza“, „Nowe dziady“, „Oksana“, „Las“ przez Adama Pługa	624

Kronika zagraniczna.

<i>Galicyjska</i> przez U. Uregulowanie finansów krajowych i sprawa inde- mizacyi. — Ustawa o urządzeniu służby zdrowia w gminach i na obszarach dworskich. — Rozłam między posłami ruskimi. — Występy Modrzejewskiej i sprawa budowy teatru we Lwowie. — Rozbudzenie zamięłowania do śpiewu chóralnego. — Stała wystawa sztuk pięknych	51
---	----

Paryska. Sprawozdanie sekretarza akademii francuskiej Kamila Dou-
ceta z dzieł uwieńczonych na konkursach poezyi i wymowy. — Nagroda fun-
dacyi barona Gobert za pracę historyczną i przegląd dzieł konkursowych
z téj dziedziny. — Uwieńczone utwory literackie. — Konkurs fundacyi Monthyo-
na i przegląd książek nagrodzonych. — „Panna Micia“ Małgorzaty Poradow-
skiej. — Konkurs imienia adwokata Józefa Née. — Mowa Juliusza Simona w aka-
demii nauk moralnych i społecznych o profesorze Caro. — Polemika generała

- Tcheng-ki-Tong z malarzem Regamey'em. — „Przeszkoda“ (Obstacle) Alfonsa Daudeta. — Śmierć Oktawiusza Feuilleta. — Edwarda de Pompery wspomnienie o Littrem. — Bankiet w towarzystwie jeograficzném i opowiadanie Bouvalota o wyprawie naukowej do północnej Azji. 274
- Londyńska* przez E. S. Naganowskiego. Odnalezienie Arystotelesowej konstytucyi Aten i autentyczność papyrusów, nabytych przez Muzeum Brytańskie w Londynie. — Otwarcie „Królewskiej opery angielskiej“. — „Ivanhoe“ Sulivana i krytyka angielska. — Wpływ na belletrystykę angielską wypożyczalni książek pp. Mudie i spółki komisowej pp. W. H. Smith. — Powieść angielska. — „Fenicjanin Phra i jego dziwne przygody“ Edwina Lestera Arnolda. — „Zapłaty grzechu“ Łukasza Maleta. — „Czułek“ miss Gerard i „Trzymaj się dzielnie Craig-Royston“ Wiliama Blacka. 503

Kronika miesięczna.

- Styczeń.* — Rzut oka na stan polityczny Europy. — Choroba woli na Zachodzie i u nas. — Emigracya do Brazylii. — Odkrycie Rudolfa Kocha. — Publicystyka i reporterya. — Budowa teatru w Warszawie, Krakowie i Lwowie. — Występy Modrzejewskiej. — Zapis ś. p, D-ra Zenona Pileckiego z Krakowa. — Ustąpienie dotychczasowego Prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, D-ra Majera, i wybór Stanisława hr. Tarnowskiego na Prezesa, a prof. Stanisława Smolki na Sekretarza Akademii. — Posiedzenie Akademii Umiejętności. — Zmarli: Henryk Schliemann w Neapolu. — Dr. Wiktor Szokalski w Warszawie i Oktawiusz Feuillet. — Odkrycia literackie profesora Brücknera . . . 193
- Luty.* — Niespodzianki w stosunkach politycznych europejskich. — Ciężka zima i środki ulżenia nędzy, przedsięwzięte w Paryżu. — Gorączka wychodźstwa do Brazylii i sprawozdania Adolfa Dygasińskiego. — Konwersya 5% listów zastawnych Tow. Kredytowego Ziemskiego. — „Przemysł rolny“ przez inżyniera Józefa Łubieńskiego i „Młynarstwo zbożowe“ przez Stanisława Małuszczyckiego. — Fundacya Hirscha. — Ofiara p. Wawelberga na urządzenie Muzeum Rzemieślniczego. — Niedola stróżów warszawskich. — Tuberkulina D-ra Ottona Bujwida. — Rozstrzygnięcie konkursu imienia Gersona. — Zmarli: Michał hr. Lewalt Jezierski, Maurycy Krupowicz, Andrzej Brzeziński i Wincenty Korotyński w Warszawie, Dr. Tomasz Stanecki we Lwowie i Leon Délibes w Paryżu. — Wskreszenie „Tygodnika Powszechnego“. — List kardynała Lavigerie, dany Sienkiewiczowi do misjonarzy afrykańskich 421
- Marzec.* — Alarmy w polityce. — Sprawy robotnicze we Francyi i we wschodnich prowincjach Niemiec. — Lichwa w Warszawie i kasy pożyczkowe. — Dom sierot po robotnikach. — Formy filantropii u nas. — „Stowarzyszenie oszczędności kobiet“ we Lwowie. — „Spółka melioracyjna“, Bank ziemski i Spółka ziemska w Poznaniu. — Wychodźstwo do Brazylii. — Sprawa środków zaradczych przeciw dewastacyi. — Spółka wydawnicza dzieł rolniczych, utworzona przez obywateli gub. Lubelskiej. — Katedra wykładów przemysłu natfowego przy lwowskiej szkole politechnicznej. — Katedry fizjologii i filozofii przy uniwersytecie lwowskim i narady w sprawie otworzenia fakultetu miedycznego przy tej wszechnicy. — Obrady w Warszawie w sprawie przemysłu rolnego, położenia robotników, zdrowotności publicznej i kolei willanowskiej. — Dyskusya w komitecie sanitarnym w kwestyach stróżów i opieki nad nie-

szcześliwemi niemowlętami. -- Ogólny przegląd zdrowotności Warszawy. — Kolej żelazna z Kalisza do Łodzi. — Powrót Adolfa Dygasińskiego z Brazylji. — Utworzenie w Warszawie stałej reprezentacji dla sklepów wiejskich „chrześcijańskich“. — Piąta wystawa nasion, zbóż i traw w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — Zmarli: Józef Szlezgier, pedagog i Henryk Sumiński, inżynier w Warszawie, dr. Aleksander Ogonowski, profesor prawa cywilnego przy Uniwersytecie lwowskim i Meissonier, malarz w Paryżu. — Występy Modrzejskiej.

634

Wiadomości bibliograficzne.

<i>Styczeń</i>	205
<i>Luty</i>	442
<i>Marzec</i>	661